

Nr. 1485.

Ks. Józef Pianaś



*My, druga
Brygada*

1 9 2 9

Nakładem: Śląskie Zakłady Graf. i Wyd. „Polonia” Sp. Akc., Katowice



T. 21.

Nr. 1485.



Nr. 1485.



My II Brygada

BIBLI.

MUCHA

WŁADYSLAW



Ks. Józef Panas. (Fot. Bulhak, Wilno 1916)

K s. J Ó Z E F P A N A S

My II Brygada

..... a gdy Kraj ocalę
To nie stanę, na tronie, pod tronem, przy tronie
Ja się w chwili ofiary jak kadzidło spalę
Imienia nawet nie zostanie po mnie,
Tylko echo (Słowacki Kordjan).



Katowice 1929



Nakładem: Śląskie Zakłady Graf. i Wyd. „Polonia“ w Katowicach

15149

¹
S

943.8.078 : 356.3 : 282] "1914/1918" A/X

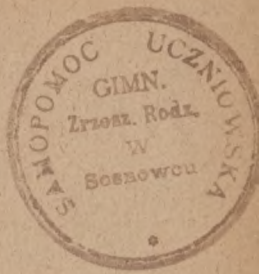
Drukiem: Śl. Zakłady Graf. i Wyd. „Polonia“ Sp. Akc., Katowice

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc.nr K 643, 98, 2b.51.....



*Gen. broni Józef Haller, Pierwszy Naczelny Wódz
Wojsk Polskich*



JÓZEF MACZKA,
kapral II. Brygady.

PRZYSIĘGA.

Przysięgłem Tobie na cześć...
na honor — i na imię —
na honor... polskich żołnierzy!
We krwi i harmat dymie
życie mi trzeba nieść,
i umrzeć, jako należy
za Twoje Imię!

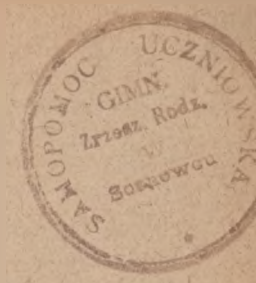
Przysięgłem Tobie na Sławę —
na ojców pobojuwiska
za zbroie relikwie rdzawe
i połamanych pałaszy —
na Twe sztandary... zdobyte,
których szum w Kremlu wrogi łupem straszy
na zgłiszcza i popieliska,
z szubienicami krwawemi —
na te krwi krople, bagnetem przybite
do krzyża ziemi!

Przysięgłem Tobie na Królów Koronę
i na łachmany zhańbionych nędzarzy,
co szli ku Tobie w szkarłatach swej krwi,
że jako oni, do skończenia dni
bronić Cię będę — cokolwiek się zdarzy...

*Na matkę moją i na ojców cienie
i na łez onych dziewczęcych bezmiary,
że mnie nie złamią ni łzy, ni wspomnienie,
gdy przyjdzie krwawej dopełnić ofiary...
A iż nie spocznę na żywot bezpieczny,
przysiągłem Tobie... na spoczynek wieczny!
I oto idę na śmierć — i na życie!*

*Przysiągłem Tobie na anielski huf —
gwiazdy na niebie i słońce w błękicie...
przysiągłem Tobie na duszę i Bogu —
O Ukochanie! Najczystsze mych snów
Ojczyzno Droga!!!*

B o g u m i n, w listopadzie 1915 r.



I.

Wybuch wszechświatowej wojny zastał mnie w Niemczech, w ksiąstewku Anhalt. Poświęciłem bowiem odpoczynek wakacyjny pracy duszpasterskiej wśród polskich robotników fabrycznych i rolnych, których setki tysięcy pracowało w przemyśle i rolnictwie niemieckiem. Stanowili oni jedną z podstaw siły ekonomicznej tegoż państwa. O liczebności robotników polskich niech świadczy i ta okoliczność, że ich grosz znoyny pokrył czysto protestanckie okolice setkami kościołów katolickich, zwanych *Polnische Kirche*.

W czasie wojny austriacko-serbskiej panowało w Niemczech ogólne podniecenie, nie było jednak wyraźnie zarysowanej opinii, że sprzymierzeńcowi należy iść z pomocą. Owszem — u księdza katolickiego, który użyczył mi mieszkania w swym domu, nieraz słyszałem, że Austria, będąca konglomeratem narodów, niema zupełnie prawa do istnienia: „Rosja powinna zabrać Galicję — tłumaczył mi swoje poglądy — kraje niemieckie, Czechy i Morawy zabiorą Niemcy, Bośnię i Hercegowinę Serbia, a Węgry stanowiąc będą osobne państwo z Hohenzollernem na czele, a wówczas będzie spokój“.

Poza polskimi robotnikami obracałem się w sferach duchownych może najwięcej nam przychylnych, bo bezwzględnie centrowych, ale rzadko spotkałem się z sympatią dla powstającej sprawy polskiej. Gdy depesze przyniosły wiadomość (fałszywą zresztą), że w Warszawie wybuchło powstanie i że powstańcy wysadzili

w powietrzu. cytadelę, jeden ze znajomych złożył mi z dość złośliwym uśmiechem kondelencję: *Na, da werden noch viele Polen gehängt.* (No! to jeszcze wielu Polaków wisieć będzie).

Zagryzłem wargi i nie odezwałem się ni słowa. Agitacja przeciw wojnie była bardzo silna. Wszystkie gazety, aż do czasu ogłoszenia stanu grożącej wojny i zaprowadzenia cenzury, mimo głośnych marsowych pogrózek, pozwalały między wierszami wyczytać absolutną chęć utrzymania pokoju.

Byłem na wiecu socjalistycznym w Bernburgu nad Saalą, gdzie socjalistyczny poseł do parlamentu (nazwiska już nie pomnę) miał dwugodzinną mowę przeciw wojnie, którą zakończył temi słowy: „Na cóż nam wojny? Na to, żeby dostać dwanaście milionów Polaków, i tak mamy ich trzy miliony za wiele!“ Naturalnie z rozrentuzjasmowaną socjalistyczną publiką, biłem z całych sił brawo.

Wybuchła wojna z Rosją i Francją. Nastrój zmienił się w jednej chwili. W kilka godzin po ogłoszeniu mobilizacji już widać było nowo-zaciężne oddziały umundurowane, w pełnym rynsztunku, maszerujące do stacji kolejowej.

Równocześnie z wybuchem wojny wybuchła epidemicznie szpiegomanja. Szczególnie wiele nieprzyjemności spotykało nas Polaków uważanych powszechnie za Rosjan. I tak w Gerbstad, gdzie w tym czasie przebywałem, krążyła pogłoska, że polscy robotnicy (Russen) zatruli wodę w wieży wodociągowej i nikt nie chciał pić wody, a robotników wracających z kościoła tłum pobił do krwi. Ponieważ polska rzesza robotnicza była nadzwyczaj liczna i obawiano się z tego powodu rozruchów, poproszono więc mnie, ażebym uspokoił robotników, że zaszła pomyłka. Mimo to, tegoż samego dnia aresztowano mnie z Najśw. Sakramentem w szpitalu, gdzie leżało kilkadziesiąt robotników i robotnic polskich na epidemicznie panującą czerwonkę.

Pierwszy raz w życiu miałem do czynienia z żandarmerją i to w okolicznościach nigdy nieprzewidzianych, więc też krew mi uderzyła do głowy i zbaraniałem zupełnie.

Moje dokumenty były wówczas u dziekana w Dessau, a przy sobie miałem tylko świadectwo zwane „celebret“ od konsystorza przemyskiego. Niestety, akt ten był napisany po łacinie, a pan komisarz policji wywnioskował z niego, że jestem Rosjaninem, no i na poczekaniu miałem jechać do obozu jeńców. Nie pomogła depesza do konsula austriackiego w Lipsku, ani uroczyste zapewnienie, że jestem z Galicji. Nareszcie ocaliło mnie słowo „Przemyśl“, wypisane na łacińskim dokumencie. Sprowadzono pastora i po długiej naradzie postanowiono mnie zostawić na wolnej stopie, zwłaszcza, że od dziekana z Dessau przyszła depesza, że u niego złożone są moje dokumenty zawierające zezwolenie władz niemieckich do pracy duszpasterskiej wśród Polaków.

Ale ów Przemyśl, który mnie uratował od zarzutu poddaństwa rosyjskiego, i powrócił zbyt wcześnie wolność o mało się nie stał powodem mojej zguby, bo skoro tylko wyszedłem z magistratu i wracałem do domu, tuż obok „polskiego“ kościoła zaczepił mnie szynkarz, który miał urazę do mnie za szerzenie wśród robotników abstynencji, odbijającej się niedobrze na jego kieszeni i wśród krzyków „trzymać rosyjskiego szpiega“, zaczął mnie szarpać. Zaraz zebrał się ogromny tłum; tylko dzięki zimnej krwi, którą potrafiłem zachować, a która onieśmielała nieco napastników, uniknąłem niemiłego wypadku, bo wśród tłumu powstały różne bardzo nieprzychylne propozycje. Na szczęście do magistratu nie było daleko, dostałem się więc z powrotem pod opiekę władz policyjnych, które dla bezpieczeństwa, na wszelki wypadek mnie przymknęły, a po 3 dniach zostałem „szupasem“ odstawiony do Bodenbachu w Czechach. W drodze zauważyłem, że ów sąsiadujący z kościołem szynkarz towarzyszył mi nie tylko do kolei, ale

aż do Halle czy Lipska, co zresztą nie było potrzebne, bo przecież umundurowany stróż bezpieczeństwa chyba zupełnie wystarczał.

W czasie mojego aresztowania usłużny pastor przyniósł mi gazetę z wielką nowiną, że w Galicji i Królestwie tworzy się wojsko polskie, mające walczyć u boku państw centralnych o wolność Polski i równocześnie pokazał mi swój artykuł umieszczony w miejscowej gazecie, objaśniający mieszkańców garbarskiego grodu, że polscy robotnicy bynajmniej nie są Rosjanami, ale nienawidzą Rosjan podobnie jak i Niemcy.

W opinii niemieckiej nastąpił więc pewien przełom. Zwłaszcza od chwili wybuchu wojny z Anglią nawet Polacy zaczęli w opinii niemieckiej stanowić przyjaciół nie do pogardzenia.

Pod wpływem aresztowania, w tak szczególnych okolicznościach zostałem opanowany psychozą nienawiści. Wojna z Anglią i ogłoszenie przez landrata dnia ogólnej modlitwy i pokuty (Allgemeiner Bet- u. Buss-tag) wywołało u mnie silne wrażenie ulgi, Schadenfreude, jak to mówią Niemcy; z całą zawziętością powtarzałem sobie, „Poczekajcie, niech-no podrośniemy trochę, to wam potrafimy sowicie zapłacić!“.

Z drugiej strony w czasie kilkudniowego więzienia porywała mnie rozpacz bezsilności osobistej, a bardziej ogólno-narodowej. Przed wojną robotnik polski, tak strasznie wyzyskiwany, swoją krwawicą wzmagający siłę i dobrobyt obcego nam narodu, nigdzie żadnej pomocy znaleźć nie mógł. Bo któż się za nim miał ująć, chyba przygodnie pracujący wśród robotników ksiądz, bo konsulatory, austriacki i rosyjski zupełnie się robotnikiem polskim nie interesowały. Gdy zaciskając zęby i zagryzając wargi, jako jednostka bezsilna rzucona w morze gwałtów niemieckich, a z miną mimo bólu obojętną i z wszystkimi formami towarzyskimi, chodziłem prosić o sprawiedliwość dla robotników u chlebowców, fabrykantów, właścicieli dóbr, obiecywano wiele i zawsze bardzo grzecznie, a nie dotrzymano

nigdy. „Co będzie z tymi tysiącami robotników w czasie wojny, myślałem sobie, gdy nie będzie żywego ducha, któryby mógł przewieźć za granicę wiadomości o nadużyciach?”

Stąd wysnułem wniosek: jesteśmy narodem niewolników i każdy, kto chce, wyzyskuje nas i pluje nam w twarz, bośmy słabi; musimy więc mieć silne wojsko i Państwo, a wszyscy szanować nas będą i nikt wyzyskać nie potrafi“. Ta myśl poczęta w więzieniu silnie utkwiała w mej duszy.

Podczas jazdy przez Czechy ku wielkiej radości dowiedziałem się o wmarzszu Piłsudskiego do Królestwa, o konsolidacji społeczeństwa w N. K. N. i o tworzeniu z dawnych organizacyj wojskowych, sokolich, drużynowych i strzeleckich Legjonów polskich. Przed wojną brałem udział w organizacjach sokolich i drużyn bartoszowych, i w swoim czasie podpisałem jako członek stałej drużyny sokolej w Dobromilu deklarację stawienia się w razie potrzeby w szeregi, więc też bezpośrednio po powrocie uczyniłem to i z drużyną dobromilską stawiałem się w Sanoku, gdzie 30 sierpnia stanął Legjon wschodni.

II.

1 września 1914.

Sokola legitymacja wystarczyła mi w zupełności za legitymację i bilet jazdy z Dobromila do Sanoka. Pociągi przeładowane uciekającymi. Wszystko jakby przed straszną jakąś burzą uciekało na zachód, a trwożliwe opowiadania uciekinierów podnosiły do nieskończonej potęgi grozę swej nieznanej strasznej burzy, której huk od Lwowa już było słyszeć.

W Sanoku, w fabryce wagonów, zastałem dwa bataljony Legionu wschodniego. Wspaniale maszerująca kolumna, zaopatrzona w cały rynsztunek, zręcznie rozwijająca się na polskie słowa komendy, sprawiła na mnie radosne a silne wrażenie. Nareszcie doczekaliśmy się.

Ach gdyby — pomyślałem sobie — p. Janicke z Gerbstaedt zobaczył te polskie uzbrojone zastępy, straciłby odwagę do plucia w twarz polskim robotnikom.

Gwar życia obozowego pochłonał mnie zupełnie. Jedynym moim celem było zostać w Legionach, ale trudności się piętrzyły, bo Legion wschodni miał już kapelana O. Damazego, kapucyna.

Oświadczyłem więc, że mi na posadzie kapelana tak mocno nie zależy, a jestem zdrow i jeszcze nie stary, więc każdą wyznaczoną mi służbę chętnie będę pełnił.

Ponieważ intendancja Sekcji wschodniej nie bardzo dobrze funkcjonowała, a trzeba było wyżywić około 10.000 ludzi w czasie ciągłych ruchów, na razie więc

przeznaczono mnie do intendantury a po parudniowej praktyce w Sanoku, zostałem przeznaczony na prowiantowego IV. baonu, którym dowodził p. Szczepan, później zaś p. Hamburger z Kołomyi.

Każdy ksiądz ma trochę kwalifikacji na kvestarza, a że znajdowaliśmy się w stronach moich rodzinnych, gdzie znałem wszystkich proboszczów i wiele dworów, to też moim chłopcom nie najgorzej się powodziło.

Wielu z nich później jeszcze w Karpatach i na Besarabji wspominało dobre rymanowskie czasy, gdzie to nawet tokaj zjawił się w herbacie, a oficerzy musieli stać z menażkami u kotła razem z szeregowcami.

5 września IV baon przybył do Rymanowa; radośnie witany przez całą ludność znalazł doskonałe kwatery w zakładzie kąpielowym hr. Potockiego.

Przygotowaliśmy się do ćwiczeń i wewnętrznej organizacji, mając nadzieję, że bataljon pozostanie tutaj przynajmniej kilka tygodni. Niestety ukazał się długi złowróźbny szereg samochodów, a stugębna fama powiadała, że to ucieka generalny sztab, potem przesunęły się szeregi wozów trenowych, a potem i my dostaliśmy rozkaz maszerowania dalej na zachód.

Mimo wszystko w Legjonie składającym się przeważnie z młodzieży akademickiej, gimnazjalnej i zdrowego, a patriotycznego żywiołu wiejskiego z Galicji wschodniej duch był jeszcze dobry.

Wszak kompanja kołomyjska, po odcięciu tego miasta i zajęciu węzła kolejowego w Stryju przeszła z furgonami przez Karpaty i przez Węgry dostała się do Sanoka.

Ale zaczęły się już objawy agitacji przeciw tworzeniu Legjonów. Wielu żołnierzy straciło słomiany zapal, życie męczące i niewygody sprzykrzyły im się, zaczęli tęsknić za domem.

Przygodnie pełniłem również funkcje kapelana, starałem się przeto podtrzymywać młodzieńczy zapal.

Dnia 10 września przybyliśmy do Jasła i tam znowu jak w okolicy Sanoka zebrały się wszystkie od-

działy. Nasz bataljon został zakwaterowany w browarze w Trzcinicy. W Jasle odbyła się u komendanta Legionów polskich Fiałkowskiego odprawa, czy też konferencja, na której postanowiono zatrzeć wszystkie ślady organizacji cywilnych, to jest Sokołów, Drużyniaków. Strzelców i t. p. a zaprowadzić jednolitą organizację wojskową.

Legjon podzielono na dwa pułki piechoty i dwa szwadrony kawalerji. Komendantem 1 p. p. został Haller, a drugiego Kozicki. Ja zostałem zamianowany kapelanem 2 p. piechoty. Legjon oprócz uzupełnienia w broni dokonywanego na własną rękę przez poszczególnych żołnierzy, otrzymał także karabiny maszynowe, które jednak wkrótce zostały odebrane. Wskutek nieporozumień między komendą Legjonu wsch. a Sekcją wschodnią N. K. N. Fiałkowski ustąpił i oddał komendę Hallerowi.

Bataljony w liczbie ośmiu zostały rozkwaterowane w okolicznych wsiach celem ćwiczenia i organizacji, ale niestety rozpoczęła się agitacja polityczna. Dużo złego zrobiły takie nieprzychylne okoliczności, jak n. p. oddanie do dyspozycji Legjonu starych strzelb i rozmaitych raubszycerówek konfiskowanych przez żandarmeryę. Naturalnie, że broni tej nie odebrano, ale sama propozycja takiego uzbrojenia sprawiła wiele złego.

Ostatnim promykiem rozkładającego się Legjonu, były ćwiczenia pomiędzy Jasłem a Dębowcem pod kierownictwem Hallera. Niewiele wówczas znałem się na ruchach wojskowych, ale wojsko rozsypujące się po wszystkich górach tak składnie, zwinnie i prawie niewidocznie bardzo mi zaimponowało.

— Ach Boże, myślałem sobie, i my mamy to stracić, znowu mamy się sami pozbawić własnej siły i karabiny wzięte do ręki i w walce o wolność Polski sromotnie porzucić. Nasze marzenia, które zaczynają przybierać realne kształty, mają tym razem się rozwiąć.

Znowu przemknął złowróżbny sznur automobili ciągnących na zachód i południe; za nimi wychudłe już

szkapy przy pustych wozach trenów, a wreszcie i my musieliśmy ciągnąć na zachód, tym razem koleją do Mszany dolnej, gdzie rozegrała się tragedia Legionu wschodniego.

Pułk pierwszy Hallera został umieszczony w Mszanie, pułk drugi kap. Kozickiego w Rabce, gdzie zakład kąpielowy stanowił dla nas bardzo wygodne pomieszczenie.

Agitacja antylegjonowa przybierała coraz to większe rozmiary, szczególnie na tle przysięgi, o której tekst prowadził przetargi z rządem austriackim. Naczelny Komitet Narodowy.

Garstka tylko ludzi oświadczyła się za absolutnem utrzymaniem Legionów, choćby w najgorszych warunkach wychodząc z zapatrywania, że tylko dobijanie się do niepodległości siłą fizyczną może mieć wśród ogólnego zmagania się narodów realne znaczenie.

Decydującem momentem w tej sprawie był fakt złożenia przez Komendanta Piłsudskiego i przez I Brygadę zwykłej przysięgi austriackiej w Kielcach — przy czem Kap. Zagórski na własną odpowiedzialność dodał do tytułów cesarza Austrii: „da Bóg królowi polskiemu“.

W Legionie wschodnim zawrzało. Przed kurhauzem w Rabce zebrał się olbrzymi wiec żołnierski, na którym długo rozprawiano za i przeciw. Większość mówców przemawiała przeciw przysiędze, a za rozejściem się, względnie wstąpieniem do regularnego wojska austriackiego. Za utrzymaniem przemawiał kap. Kozicki, por. Zaleski, dr. Loth. W krótkim przemówieniu przedstawiłem, że istnienie nasze nawet w razie klęski państw centralnych jest nie tylko potrzebne, ale i konieczne, a największa liczba Wojska Polskiego powinna być istnieć dopiero w czasie zawierania pokoju; jak bowiem istnienie nawet rozbitych i wyrzuconych w głąb Francji Legionów Dąbrowskiego, rozstrzygnęło na Kongresie Wiedeńskim o utworzeniu Królestwa Polskiego, tak istnienie Wojska Polskiego w obecnej wojnie zmusi narody do stworzenia Państwa Polskiego i krew nasza

podobnie jak i naszych dziadów z pewnością przyniesie pożytek Ojczyźnie.

Argument ten dość silnie podziałał na żołnierzy.

Na drugi dzień odbył się ogólny wiec oficerski w budynku sądowym w Mszanie dolnej. Ile głów, tyle było zdań. Większość opowiadała się za zupełną likwidacją Legionów, zwłaszcza, że mianowanie pułkownika austriackiego Chomińskiego komendantem tegoż Legionu zrobiło złe wrażenie.

Zgromadzenie zostawiło wolną rękę oficerom i żołnierzom w sprawie przysięgi i pozostania w Legionach, a wszystkim ustępującym postanowiono wydać legitymacje, świadczące o odbytej służbie i zaliczkę na drogę powrotną do domu w kwocie 50 kor. dla oficerów, a 10 kor. dla żołnierzy. Koszta te miały być pokryte z funduszów sekcji wschodniej N. K. N. ¹⁾

¹⁾ Nastroje panujące w społeczeństwie polskiem w Galicji, tudzież warunki polityczne, wśród których tworzyły się Legjony, doskonale maluje Dr. Stanisław Głabiński w zbiorowej pracy p. t.: „Rola Małopolski Wschodniej w odbudowie Polski“, Lwów 1928.

Uczyniliśmy to także w Małopolsce Wschodniej. Natychmiast po wypowiedzeniu wojny przez Austrię Serbji, zawiązaliśmy na razie tajnie we Lwowie „centralny Komitet narodowy“, do którego weszli przedstawiciele demokracji narodowej, stronnictwa ludowego, związku chrześcijańsko-społecznego, stronnictwa środka Grupy Rzeczypospolitej, autonomistów, duchowieństwa, Towarz. uczestników powstania roku 1863, organizacyj narodowych, Sokola i drużyn Bartoszwowych. Komitet centralny uznał konieczność podjęcia akcji czynnej, tak dyplomatycznej, jak zbrojnej, celem utworzenia kadr wojska polskiego i drużyn Bartoszwowych i Sokolich. Prezydjum Komitetu postanowiło przede wszystkim porozumieć się z rządem austriackim i sztabem generalnym celem otrzymania stanowczych zobowiązań w sprawie niepodległości Polski i zezwolenia na utworzenie oddzielnego wojska polskiego dla walki o niezawisłość Ojczyzny.

Od początku zarysowała się zasadnicza różnica między sekcją wschodnią Komitetu pod przewodnictwem śp. Tadeu-



General Karol Durski, Pierwszy Komendant Legj. polsk.

Przed odebraniem przysięgi odbyło się nabożeństwo w kościele parafjalnym w Mszanie. Ponieważ O. Damian wystąpił z Legionów, więc odprawiłem nabożeństwo i miałem kazanie.

Jako motto do kazania wziąłem z Pisma św. opowiadanie o 10.000 zastępach Gedeona, z których pozostało tylko 300 mężów.

Słowa moje sprawiły wrażenie szczególnie na świeżo przybyłych z kap. Przypilińskim i p. Łyskiem, Ślązaków i Podhalan, których przyprowadził p. Minkiewicz i p. Wimmer, gdyż i na nich zaczęła silnie działać agitacja antylegionowa.

Podczas nabożeństwa przybył gen. Durski, komendant Legionów polskich z szefem sztabu Zagórskim Włodzimierzem.

Po nabożeństwie zaintonowałem „Boże coś Polskę“ i tysiące głosów pochwyciło hymn narodowy.

sza Cieńskiego, a sekcją zachodnią pod przewodnictwem dra Leopolda Jaworskiego. Różnica ta pogłębiała się ciągle w miarę, jak wzrastała nieufność obozu narodowego do państw centralnych w sprawie polskiej. Nie można było od dyplomacji austriackiej i niemieckiej otrzymać żadnych konkretnych przyrzeczeń, a także legiony traktowane były jak oddziały pomocnicze, ale uzbrojone i wyposażone. W czasie odwrotu wojsk niemieckich i austriackich z Królestwa powstawała w sferach austriackich nieufność do oddziałów legionowych, której jaskrawym wyrazem był rozkaz zredukowania pułku organizowanego koło Wadowic w sile 11 tysięcy żołnierzy do najwyżej 9.000. Widocznem się stało, że Austria zdecydowaną jest nie dopuścić do takiego wzmożenia się legionów, aby w razie klęski państw centralnych, mogły zaważyć na szali wypadków wojennych. Nowym wyrazem tej nieszczerości stały się losy przysięgi wojskowej legionów.

Na podstawie dawnych oświadczeń szefa sztabu generalnego v. Hötendorfa zażądałem w Wiedniu konferencji z ministrem obrony krajowej Georgim.

W konferencji wzięli udział oprócz mnie, minister Biliński, prezes Komitetu narodowego dr. Leo, przedstawiciel wojskowy Komitetu, dzisiejszy generał Sikorski. Po dłuższych naradach minister Georgi, zgodził się na moje żądanie o tyle, że do przysięgi wojskowej dodał sam jako ostat-

Przysięga odbyła się pod wrażeniem, że jest ona wymuszona okolicznościami, a dokonana z rozkazu N. K. N., który wówczas Rząd Polski zastępował. W duszy i sercu ślubowaliśmy służbę dla Ojczyzny i Jej tylko postanowiliśmy życie i krew naszą oddać. O tem zresztą, że chcemy walczyć jako Legioniści przede wszystkim i jedynie o wolność Polski, mówiliśmy jawnie i głośno wszystkim i wszystkimi to powinno być wiadome. Jesteśmy więc polskimi żołnierzami.

Krótki rozkaz wojskowy oznajmił nam, że przez Węgry mamy udać się na front, gdzie po krótkiem przygotowaniu staniemy do boju.

nie słowa: **Auch schwöre ich für die Unabhängigkeit Polens bis zu meinem letzten Blutstropfen zu kämpfen**“. Na życzenie ministra Georgiego miałem się udać z tą formułą wraz z drem Leo do Przemyśla, gdzie znajdował się wówczas sztab generalny, aby uzyskać jeszcze aprobatę szefa sztabu. Stała się jednak rzecz niezwykła: do wyjazdu do Przemyśla wcale mnie nie wezwano, a później oświadczył mi dr. Leo, że był sam w Przemyślu, ale szef sztabu na ten dodatek się nie zgodził. Było to w czasie, gdy **legion zachodni** złożył był już przysięgę wojskową austriacką bez dodatku a legion wschodni po długiej wędrówce wzdłuż Karpat oczekiwał w Mszanie Dolnej ostatecznej decyzji pod politycznym kierunkiem Aleksandra hr. Skarbka, przewodniczącego Wydziału militarnego sekcji wschodniej Komitetu Naczelnego. Oświadczyłem wówczas Skarbkowi, że na dalsze zwodzenie legionu wschodniego nie mogę brać politycznej odpowiedzialności i udzieliłem mu rady, aby pozostawił samemu legionowi decyzję, czy w takich warunkach zechce wytrwać na stanowisku, jako zawiazek przyszłej armji polskiej, czy rozwiązać się na widomy znak niewiary w Austrię i jej obietnice. Tak się też stało. Decyzję powzięli sami legioniści. Jedni nie chcieli rozstać się z myślą czynnej walki dla Ojczyzny, która ich zgromadziła w legione i wytrwali. Drudzy rzucili przewrotnej Austrii rękawicę i wystąpili. Jedni i drudzy czynili to dla Polski w pełnej świadomości, że służą idei polskiej bez względu na walki i cierpienia, jakie ich czekają. Jednym i drugim Cześć!

III.

K a r p a t y.

Znużeni długiem wyczekiwaniem na stacji ładunkowej w Mszanie dolnej, z radością zauważyliśmy, że nareszcie rusza pociąg, mający nas zawieść w nieznane strony, na nieznane losy.

Na stacjach galicyjskich spotykaliśmy jeszcze wielu niedawnych kolegów, którzy poszukiwali jakiegokolwiek zajęcia, a największa ich grupa zebrała się w Nowym Targu jako bataljon robotniczy.

Jechałem w jednym przedziale z 3 podporucznikami: Starkiem, Giżyckim i Stefanem Pomirskim. Byłem już mianowany kapelanem 3 p. piechoty w randze podporucznika.

Znużeni zasnęliśmy twardo. Koło północy zbudził nas wielki hałas i jakiś radośny tumult. Wyszliśmy z wagonu, było to już za granicą galicyjską, na Węgrzech.

Po dawnym polskim Spiżu, po zamkach orawskich rozeszła się lotem błyskawicy wieść, że tamtędy mają przejeżdżać na front wschodni polscy Legjoniści, więc zebrała się fala ludu, który jeszcze nie zapomniał polskiej mowy i z proboszczem swoim na czele witał polskich żołnierzy chlebem, solą, papierosem, a przede wszystkim gorącym słowem. Podobnego przyjęcia doznały wszystkie nasze transporty na wszystkich sta-

cjach dawnego Spiżu i doliny orawskiej, pełnej ślicznych zamków królewskich. Poprad Felpa, Kassa-Hamor, chociaż na słowackiej ziemi położone przedstawiły nam się dawniej, jako kraj zupełnie obcy. Na niektórych stacjach, wśród strasznych nudów czekaliśmy bez nadziei całymi godzinami, aż nareszcie przez Koszyce Satoralja-Ujheli i Csap przybyliśmy 6 września do Kiralyhaza.

Podczas transportu kolejowego odprawiłem dla wojska Mszę św. na stacji kolejowej Csap. Kilka dni trwający transport kolejowy tak nam się naprzykrzył, że ulubione przez Władysława Warneńczyka miasteczko Kiralyhaza (dom królewski) wydało nam się rajem. zwłaszcza, że oprócz pięknych ruin zamku, posiada to, zresztą żydowskie i brudne miasteczko, mnóstwo winnic, a dojrzewające w tym czasie winogrona można było masowo zjadać za bezcen, mimo dużej obawy przed cholera, która tu i ówdzie zaczęła się pokazywać.

W skład II. Brygady w chwili przybycia na Węgry wchodził 2 pułk piechoty pod komendą pułk. Zielińskiego, 3 pułk pod komendą mjr. Hallera, 2 szwadron kawalerji Dunin Wąsowicza, 3 szwadron Jana Brzezińskiego, tudzież bateria armatek górskich. Brygada liczyła przeszło 9.000 ludzi.

W Kiralyhaza został umieszczony trzeci pułk piechoty, już pod komendą Hallera, bo c. i k. pułk. Chomiński opuścił nas w tej chwili, gdyśmy się tylko zaczęli zbliżać w strony zagrożone przez nieprzyjaciela. Komenda Legjonów, 2 p. p., artylerja i kawalerja została umieszczona w niedalekiem mieście Nagy Szölösz (Wielkie winogrona). Przez kilka tygodni mieliśmy pozostać w tej okolicy celem uzupełnienia rynsztunku i wyćwiczenia żołnierzy, zwłaszcza, że wielu z nich pierwszy raz widziało karabin we własnych rękach.

Kompanje podhalańskie chodziły jeszcze w rodzinnym stroju góralskim, kierpcach, guńce i okrągłym kapelusiku z muszelkami. Wprawdzie tęgi góral uzbrojony w przedwieczny karabin Werndla, wyglądał na do-

skonałego zbójnika, ale wojskowego wyglądu nie miał wcale.

7 września. Wśród przygotowań do ćwiczeń wojskowych zostaliśmy zaraz na drugi dzień zaalarmowani, gdyż Rosjanie po zajęciu Marmarosz Sziget, posuwali się bardzo szybko doliną Cisy w równiny węgierskie. Załadowano nas znowu do wagonów. Na stacji spotkaliśmy wielu rannych, którzy opowiadali, że nieprzyjaciel jest oddalony zaledwie o kilka kilometrów. Nocą pojechaliśmy na wschód do przeważnie ruskiego miasteczka Töcse (Taczew). Dziwny widok zastaliśmy tam. Nigdzie żywej duszy; na ulicach i na rynku błąkały się głodne konie, krowy i świnie, domy porozbijane; widocznie przed nami musiało przechodzić jakieś wojsko, a nadto po ucieczce ludności i żandarmerji złodzieje po hulali po swojemu.

Nareszcie zasiągnięto języka. Stary jakiś chłop, wyciągnięty z ukrycia, ze strachem opowiedział, że wprawdzie Moskali tutaj jeszcze nie było, ale za przykładem władz ludność uciekła częścią na zachód, częścią w las, a cofające się wojsko madjarskie splondrowało puste mieszkania.

W Töcse zatrzymaliśmy się zaledwie przez dwie godziny; piechotę przewieziono koleją do wysadzonego mostu na Cisie, a reszta podążyła naprzód wprost ze stacji Töcse.¹⁾ Drugi pułk piechoty z artylerją i kawalerją pod komendą gen. Durskiego poszedł w górę Cisy i uderzył na Moskali dnia 6. X. pod Kraczfalu i Papfalvą, przez co oswobodził Marmaros-Sziget, a trzeci pułk pod komendą Hallera miał zdobyć dolinę rzeki Taracz i uderzyć na Moskali z lewego skrzydła.

Świeżo improwizowany żołnierz szedł śmiało na nieprzyjaciela, którego rozbijała fantazja chciała wszędzie zobaczyć. Więc snuły się nasze patrole i po nie-

¹ Tutaj powstała humorystyczna piosenka: „Tren nasz się okrutnie wlecze...”

dostępnych ścieżkach górskich i po olbrzymich polach, pokrytych wysoką kukurudzą, ale przezorne patrole kozackie na widok zbliżającego się wojska umykały z powrotem za góry, a zapalona do boju patrol taborowa chwyciła zwyczajnie na górskich polanach tylko juhasów na gorącym uczynku pieczenia ziemniaków.

Z Töcse maszerowaliśmy bez wypoczynku przez Irholcz, Kalifalu do Krasnihora, gdzie przybyliśmy na nocleg około północy, budząc wśród góralskich mieszkańców postrach i zadziwienie, bo w żaden sposób nie mogli skombinować, co to za wojsko przybyło, w jakichś odmiennych mundurach. A że wielu z nas mówiło dobrze po małopolsku, więc łatwo powstało przypuszczenie, że jesteśmy Rosjanami, a stąd u jednych zapanała cicha radość, a na drugich, szczególnie na żydów, padł strach. Nocowałem ze sztabem pułkowym na plebanji ruskiego - unickiego proboszcza, który już coś niecoś słyszał o nas i opowiadał nam, że Rosjanie pozajmowali wszystkie przełęcze i przejścia górskie.

Na drugi dzień zaczęliśmy się piąć dalej w góry. Choć to był początek października, spadł olbrzymi śnieg prawie do kolan. Minęliśmy wioskę Dombo (Dubowo) mającą jeszcze w dolinie nieco pól uprawnych i nad wieczorem znaleźliśmy się w Kiralymezö, (Königsfeld). Jestto duża osada niemiecka zamieszkała podobnie jak Brustura przez drwali i robotników leśnych. Tutaj spotkaliśmy rozbity bataljon landszturmu austriackiego pod komendą majora Zaremby. Bataljon ten podczas cofania się z Galicji utracił cały tren w górach koło Porohów i cofał się na doliny węgierskie.

Königsfeld stał się podstawą dalszych operacji wojennych. — 8 października wyruszyła 13 kompania pod komendą kap. Zaleskiego przez Turbatturkulat i Turbaczil na przełęcz Pantyr i po długim i ciężkim przedzieraniu się przez lasy i góry dostała się 12 października do galicyjskiej wsi Rafajłowej. Nasza kompania stanęła w rządowym pałacyku myśliwskim nad Czarną Bystrzycą, a kozacy i piechota rosyjska w sile prze-

ważającej stała w samej wsi, mając sztab w karczmie Wundermana. — Ze świtem rozpoczęła się bitwa. Trzynastka złożona wyłącznie z żołnierzy dobrze wyćwiczonych w dawnym Legionie wschodnim biła się dobrze i Moskale musieli w popłochu uciekać. Mieliśmy zaledwie kilku rannych, ale transport ich przez te wszystkie karpackie wertepy był prawie niemożliwy. Na szczycie Pantyru spotkałem sanitariuszy, niosących na noszach rannych. Całe dziesiątki kilometrów brnęli po kolana w topniejącym śniegu. Rannym udzieliłem ostatnich Sakramentów, wątpiąc czy którego z nich dołoką żywcem na doliny, skąd już łatwiej, bo drogą kołową można dostać się do szpitala.

Wskutek rozkazu wyższej komendy austriackiej 13 kompanja wycofała się 13 października z Rafajłowej, na przełęcz Pantyr, gdzie w nędznej kolebie pastuszej znalazł schronienie sztab pułkowy. Koleba pełną była nawozu, miała tylko niziutkie drzwi i na środku dachu dymnik. — Na środku paliło się ognisko.

Jeszcze gorzej powodziło się chłopcom, bo nie wszyscy posiadali namioty, więc też by się chronić od śniegu i zimna, poklecieli sobie z jedliny marne schronienia. — Pluton kawalerji starego kozackiego rotmistrza Skowrońskiego także nie próżnował. Niepokojąc Kozaków ich własnym systemem, dotarł on górami i rozpadlinami aż do przełęczy tatarskiej, gdzie znalazł się na tyłach rosyjskich. Rotmistrz Skowroński, uczestnik wojny rosyjsko-tureckiej, z długą siwą brodą, wrył się w moją pamięć bardzo głęboko jako typ dawnego polskiego rycerza-sodalisa.

Niewprawiona jeszcze do przygód wojennych prowiantura głodziła nas w straszny sposób, bo zamiast przygnać przez góry żywego cielaka i na miejscu go zabić, kazała biednym kucharzom i prowiantowcom nieść rosół w kotłach całe kilometry wśród rozpadlin górskich.

Ale znowu zmieniła się sytuacja. Trzeci pułk piechoty dostał rozkaz przeprowadzenia się do Galicji i wybudowania drogi dla przeprowadzenia koni i wozów.

Do Rafajłowej przyszedł cały czwarty bataljon i obsadził wieś, a tymczasem reszta pułku pod przewodnictwem inżynierów Wimmera i Słuszkiewicza wzięła się do robienia drogi, przez sąsiednią przełęcz zwaną „Rogodre“. Na stokach gór ścinano olbrzymie jodły, budowano mosty nad przepaściami, robiono serpentyny i już 18 października zdołano przeprowadzić konie wierzchowe i kilka wozów. Mój siwek, kupiony jeszcze w Legionie wschodnim, który pocziwie ciągnął moją taradajkę, a w wolnych chwilach mnie dźwigał na siodle, potknął się na stoku góry i tak silnie poranił sobie głowę, że straciłem zupełnie nadzieję wyleczenia go i podczas cofania się z pod Stanisławowa, zostawiłem go u chłopca.

Zanim jeszcze ukończono na Rogodzy drogę Legionów, już 4 baon pomknął dalej do Zielonej i Pasiecznej.

Doskonałe usługi oddała nam wąskotorowa kolej górська, w dolinie Czarnej Bystrzycy. Chłopcy, skoro tylko dostali w ręce dwa zepsute „samowary“, zaraz znaleźli wśród siebie mechaników, maszynistów i t. p., kolejka była w okamgnieniu gotową i użyto jej dla przewozu patroli.

Nocą podjechał pociąg patrolowy aż do Nadwórnej, obsadzonej silnie przez Moskali. Ponieważ znowu pocieplało, Kozacy porozkładali się obozem na ulicach i gwarzyli wesoło, a w tem wpada nasza patrol, otacza w zupełnem milczeniu cały posterunek, złożony z 10 Kozaków i bierze ich bez wystrzału do niewoli. Cenniejszym od Kozaków kubańskich był dla nas łup 10 koni. Jeden z nich z racji nieszczęśliwej przygody mego siwka, został do mojego użytku.

W Pasiecznej stanąłem kwaterą u unickiego księdza proboszcza. Po długiej poniewierce w odludnych górach przygodna kwatera była dla wszystkich przedmiotem marzeń. Tu i ówdzie patrole trochę do siebie pukwały, ale przez dni kilka na froncie był względny spo-

kój. Tymczasem nowowymbudowaną drogą nadciągnął także drugi pułk piechoty i 24-go rano uderzyliśmy na pasieczkańskie kopalnie nafty, Pniów, Bitków i studenną Klewę, aby zająć węzłową pozycję, jaką stanowiło powiatowe miasto Nadworna.

IV.

Nadworna - Mołotków.

24 października. Od wczesnego rana zaczęły grzmieć armaty w okolicy Nadwornej. Obie strony przygotowywały się do walnej rozprawy. Rosjanie, posunęli się znacznie ku nam i zajęli opłotki koło pasieczyńskiej kopalni nafty. Po Mszy św., którą odprawiłem w polskim kościółku ozdobionym ślicznymi rzeźbami i sztukaterjami drewnianymi, udałem się na pole bitwy, niosąc na piersiach Sanctissimum. Po drodze spotkałem nasz sztab z generałem Durskim na czele, studiujący mapy; minąłem pozycje naszej minjaturowej artylerji i znalazłem się na pozycjach piechoty wśród ognia nieprzyjacielskiego. Pierwszy szrapnel prujący powietrze i pierwsza kula gwizdząca koło ucha nie wielkie na mnie zrobiły wrażenie, ale czułem się jakoś dziwnie poważnie nastrojony, jakbym był innym człowiekiem. Zaraz na wstępie natknąłem się na mnóstwo rannych i zabitych. To podziało na mnie bardzo silnie i chociaż widziałem później straszniejsze widoki, pierwszy wyrył się w mojej pamięci najpotężniej i dotąd nie raz we śnie staje mi przed oczyma. Patrol chorążego Czechowicza dostał się w opłotkach w zasadzkę sprytnych Kozaków i został wycięty do nogi. Widać było ślady rozpaczliwej walki, która się tu rozgrywała; rozbite czaszki, zmiażdżone ciała, jeszcze ciepłe i krwią bluzgające. Komendant patroli chorąży Czechowicz z rękojeścią złamanej szabli klęczy zeszywniały

u płotu. Według opowiadania jednego z rannych, gdy chorąży został ranny w pierś, oparł się o płot i zaczął mówić pacierz, lecz druga kula trafiła go w czoło i zakończyła ostatnią modlitwę. Wszystkim dającym jeszcze znaki życia udzieliłem absencji i ostatniego namaszczenia, a tych, którzy byli przytomni, wyspowiadałem. Sanitarjusze pod rozkazami dr. Lotha, wkrótce zaopatrzyli rannych i rozbiegli się poszukiwać nowych. Dowiedziałem się, że na prawem skrzydle pod Studenną Klewą jest także dużo rannych, udałem się więc przez dolinę w tamtą stronę. Naraz posłyszałem z tyłu za sobą nierówną salwę i setki kul zabrzęczało mi koło głowy; za pierwszą salwą przyszła druga. Czułem się silnie zdenerwowany, myślałem, że to tylko fantazja, że kule nie idą z tyłu od Pasiecznej, bo przecież Moskale znajdują się na przodzie, koło Nadwórnej, jednak dla bezpieczeństwa padłem na ziemię i począłem rozglądać się wkoło. Ku memu przerażeniu zobaczyłem cały oddział kawalerji pędzący półksiężycem od strony Pasiecznej wprost na mnie.

Jesteśmy otoczeni! — pomyślałem, aż tu ze zdziwieniem poznaję naszą kawalerję, pod komendą chorążego Pryzińskiego, która właśnie nadjechała z węgierskiej strony, a zobaczywszy, że się coś czarnego kręci po polu bitwy, mniemała: to pewnie Kozak, więc go trzeba sprzątnąć i dano do mnie okrągłutko trzy salwy po 80 strzałów. Dzięki Bogu, że ułani źle strzelali, ale gdyby to była piechota, to pewnieby mnie i sutanna nie obroniła przed celnością strzałów. Aby uniknąć podobnych omyłek, już się więcej w czarnej sutannie na polu bitwy nie pokazywałem. Przywdziałem szary żołnierski płaszcz.

W Nadwórnej panowała niesłychana radość, chociaż nie wszyscy wiedzieli, komu zawdzięczają oswobodzenie. Wszystko wiedzący żydkowie, na widok jakichś odmiennych mundurów zaczęli krzycheć „hojch Preussen“, ale kilka dosadnych argumentów zmieniło

ich przekonanie polityczne i nie bez wielkiego zdziwienia dowiedzieli się, że istnieje także „Polskie Wojsko“.

U miejscowego księdza proboszcza spotkało mnie bardzo gościnne braterskie przyjęcie. Cała zresztą Nadwórna i okolica, mimo zniszczenia i długiego postoju Moskali starała się zasypać nas różnemi łakociami. Według opowiadania miejscowej ludności po zajęciu Nadwórnej Kozacy odczytali na ulicy Delastyńskiej, nazwiska wszystkich, którzy brali przed wojną zapomogi w rublach rosyjskich i wprost żądali od nich usług wojskowych. A że na początku wojny obawa przed zdradą rzeczywistą czy fikcyjną była wprost chorobą nagminną, więc nic dziwnego, że i nasza żandarmerja, która tak w I. jak i II. brygadzie składała się prawie bez wyjątku z uczestników bojówki z r. 1905, zaareztowała kilkunastu obwinionych o udzielanie wojskom rosyjskim czynnej pomocy i mimo łagodzącego wpływu gen. Durskiego i zabiegów miejscowych księży obu obrządków kilka egzekucji wykonano na rynku miejskim. Rotmistrz żandarmerji, z którego rozkazu wykonano tę jedyną w II. brygadzie egzekucję, zginął zaraz na trzeci dzień w bitwie pod Mołotkowem i to podobno od kuli własnego żołnierza, za to, że zastrzelił ранego Legionistę wzbraniającego się wrócić do linii bojowej.

25. X. posunęły się nasze oddziały do Mołotkowa i Żuraków. W Nadwórnej na cmentarzu gminnym. tudzież w Pasiecznej na ruskim cmentarzu i na polanie na prawo od Bystrzycy pochowałem Legionistów poległych w ostatniej bitwie.

Na pogrzebie w Nadwórnej zebrał się tłum ludzi bardzo liczny. Podczas przemowy opisałem bohaterską, piękną śmierć Czechowicza ¹⁾ i jego oddziału.

26. X. Komenda 3 pp. stanęła kwaterą w Mołotkowie we dworze u p. Matkowskich; ja stałem kwaterą na plebanji ruskiej. Wszystkich zachwycała atmosfera

¹⁾ Choraży Czechowicz, bratanek przemyskiego unickiego biskupa, był idealnym typem polaka - patrioty obrz. greckiego.

polskiego dworu w Mołotkowie, który nas nadzwyczaj gościnnie przyjmuje. Wspominamy czasy Legionów napoleońskich na Litwie. Ludność ruska odnosiła się do nas bardzo przyjaźnie i stara się we wszystkim pomagać.

27. X. odbyła się bitwa pod Hwozdem i Żurakami. Roja z 4 bat. 2 pp. posunął się bez rozkazu do Sołotwiny i zajął Bohorodczany. Podobno wskutek tego przerwała się łączność frontu.

28. X. Roja wśród gwałtownego ognia cofa się z Bohorodczan, gdzie poniósł liczne straty. Opuszcza również Sołotwinę. Byłem z oddziałami 3 pp. na grzbiecie Brzowaczu. Ze szczytu doskonale widać nadciągające liczne kolumny rosyjskie. Dowódca pułku mjr. Haller objaśniał nas, że Moskale w każdej wsi zapalają parę stodół, aby przez te sygnały utrzymać łączność masy maszerujących przeciw nam wojsk. W powietrzu mimo chłodnej jesieni czuć było upał zbliżającej się krwawej bitwy.

29. X. śliczna jesienna pogoda. Do Nadworny nadeszła nareszcie od strony Delatyna dywizja austriacka generała Athemsa, miała ona jeszcze 24. X. uderzyć razem z nami na Nadwórnę. Bitwa zaczęła się od rana. Rosjanie ściągnęli przeciw nam olbrzymie siły z okolicy Przemyśla. Ogień rosyjskiej artylerji bardzo gęsty. Austriacka artylerja starego systemu musi co chwilę zmieniać pozycje, bo ją zdradzają gęste obłoki czarnego dymu. Nasze armatki podjechały do linii piechoty, ale podobno więcej robią huk i dymu niżli szkody nieprzyjacielowi.

Koło godziny trzeciej Rosjanie usadowili się silnie na naszej flance na górze „wielka Hyga“ i nie tylko zmusili nas do opuszczenia pozycji, lecz zagrodzili drogę odwrotu, gdyż przez Bitków mogli łatwo dostać się aż do źródeł Czarnej Bystrzycy. Wieczorem przy ogniu płonącego Mołotkowa i okolicy zaczął się nasz odwrót. Dowiedziałem się, że w samej wsi Mołotkowie

jest wielu rannych i chciałem dostać się tam poprzez łągi zarośnięte rzadka krzewami, ale dostałem się przed naszą linią w podwójny ogień. W tej niebezpiecznej sytuacji poznałem dr. Stefanowskiego, który również wlaźł w ten sam sposób w kabałę. Kule naszych werndli piechoty miały tak nieprzyjemny syk, że nabraliśmy dla nich pełnego respektu. Przy pomocy nadchodzących ciemności wybrnęliśmy jednak szczęśliwie z tej przykrej sytuacji. Przed zapadnięciem zupełnego zmroku gen. Durski ze szefem sztabu Zagórskim sformowali jeszcze raz cofające się oddziały do kontrataku, celem osłony taborów, cofających się przez Bystrycę i celem umożliwienia normalnego odwrotu oddziałom skrzydłowym. Strategiczny cel bitwy, to jest odciążenie Przemyśla i jego połączenia z Węgrami zostało przez nas należycie wykonane.

W krwawej tej bitwie brało udział 8 batalionów legionowych i jeden przydzielony batalion landszturmu oraz 14 przestarzałych armat przeciwko 16 batalionom piechoty 34 rosyjskiej dywizji z pułkiem Kozaków z 48 działami i 32 karabinami maszynowymi.

W nocy cofnęliśmy się do Pasiecznej. Setki wozów wiozło naszych rannych, których było około 1000. Zabitych straciliśmy nie tak wiele jak sobie po rozmiarach bitwy można było przedstawiać, bo koło setki. Wprawdzie ciężko rannych nienadających się do transportu i zabitych zostawiliśmy na miejscu, ale w lutym 1915 obszedłem wszystkie groby z wójtem, który na rozkaz władz rosyjskich grzebał poległych i z jego zapisków, tudzież z zapisków p. Matkowskiego, jakoteż z wielkości mogił, można było na pewne wywnioskować, że więcej zabitych nie było. Najwięcej strat miał baon Roji, który jeszcze w Bohorodczanach i Sołotwinie stracił dużo ludzi. Po szybkim, ale krótko trwającym tryumfalnym pochodzie przez Karpaty, Mołotków był przykrem przebudzeniem w krwawej szkole zapasów wojennych, ale też ta jedna bitwa postawiła II. Brygadę na wyżynie wytrawnego wojska.

Był to również egzamin wojskowy; wtenczas okazało się, że nie każdy, kto jest dzielny w gębie, jest nim również i w rzeczywistości, bo nie brakło nawet takich, co dali drapaką aż gdzieś pod Kraków i opowiadali bajki o zupełnem rozbiciu drugiej Brygady i naturalnie o własnem bohaterstwie, któremu zawdzięczali ocalenie swego życia w ogólnym pogromie.

30 października cofnęliśmy się w dalszym ciągu do Zielonej. Pozycje czołowe objął 3 pp. zajmując przysiołek Fenterale i zbocza Zielonicy. Rannych przewieziono do Rafajłowej, gdzie zebrało ich się kilkuset. Brak pomieszczenia i kilkunastokilometrowa podróż po wyłożonych okragłakami zboczach i grzbietach gór zagasiły niejedno dość jeszcze silnie tlejące życie. Po kilku dniach zapanowały lepsze stosunki, gdy liczba rannych się zmniejszyła. Na Węgrzech założono szpitale legionowe i izby chorych w Brusturze, Königsfeldzie, Dombo i Taracköz, Bustyahaza, a nadto sporą liczbę naszych rannych rozrzucano po szpitalach wojskowych: Marmaros Siget, Szatmar Nemeti, Debreczen, Budapeszt, Braszo, Koloszwär, Nagy Varad i innych.

Drugiego listopada odprawiłem w Zielonej polowe żałobne nabożeństwo za poległych Legionistów 3 pp. Ponieważ ks. Tomasziewicz, kapelan głów. Komendy dotychczas znajdował się gdzieś na Węgrzech, a kapelan 2 pp. cofnął się z wojskiem austriackim do Köresmezö. dłuższy więc czas przy tak wielkiej liczbie rannych i chorych miałem bardzo wiele pracy. Dla ułatwienia komunikacji z Węgrami, a przez to z resztą świata pracowano gorliwie nad ulepszeniem drogi Legionów, a przy tej sposobności na szczycie Rogodzy (nie Pantyru, jak mylnie piszą) umieszczono krzyż z napisem, ułożonym przez domorosłego poetę Legionistę:

Młodzieży polska patrz na ten krzyż
Legiony polskie dźwiżyły go w zwyż,
Przechodząc góry, lasy i wały
Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały.

V.

WALKI GRUPY HALLERA.

Po klęsce mołotkowskiej, Komenda Legionów, wraz z większością sił II Brygady przeszła na prawe skrzydło ku źródłom rzeki Prut, a dla obrony górnego biegu Bystrzycy nadwórniańskiej (Zielona, Rafajłowa) i sołotwińskiej (Porohy) oraz Łomnicy pozostała część 3 pułku (2½ batal.) tudzież pluton kawalerji i baterje armatek. W Rafajłowej został ostatecznie sformowany 3 pp. pod komendą pułk. Hallera. Dowódcami baonów byli por. Henryk Monkiewicz, por. Leonhardt, Colonna Walewski i przybyły z I. Brygady por. Fabrycy. Adju-tantem pułku był por. Szczepoń, a następnie młodziutki chorąży, i utalentowany poeta-piosenkarz Szul Bogu-sław. Kompanjami dowodzili kap. Zaleski, por. Wais, por. Łysek, por. Zabdyr, podpor. Hajduk, podpor. Fiałkowski, por. Roklan, por. Zygmunt Tarkowski (Czechma), por. Stefan Torma, por. Zubrzycki, por. Józef Zając, Karol Udałowski, Kopeczny, Florek, Chelmicki, Kossakowski Adam (Orwid), Sikorski Franciszek, Dziekanowski Karol, Pasłowski, Torlecki i inni. Dowódcą kawalerji przy grupie Hallera był rotmistrz Skowroński, a jednym z najlepszych kaprali-wywiadowców był Józef Mączka, sławny jako poeta-Karpatczyk (zginął w r. 1918 na Kaukazie w walce z bolszewikami. Sanitarjat grupy prowadził Dr. Loth wraz z Dr. Majewskim i Dr. Grossem. Prowianturę przez wszystkich kochany „tato“



*Ś. p. gen. Włodz. Zagórski, szef sztabu Legj. polskich,
organizator polskiego lotnictwa, więzień wileński*

Przepiliński, a płatnikiem był por. Sidorowicz Czesław. Całość frontu legionowego liczyła 120 km. linii powietrznej.

Straty, jakie poniosła II. Brygada, a w szczególności 3 pp. zostały bardzo łatwo wyrównane, bo większość Legionistów, którzy opuścili legion wschodni powróciła obecnie z radością do szeregów legionowych, gdy poznała dokładnie, a często na własnej skórze różnicę ideową, moralną i materialną między landszturmem a legionami. Rozpoczęły się wzajemne podchodzenia i walki patroli, w których Legioniści jako młodzi, sprytni i zwinni żołnierze zawsze byli górą.

Zaraz po bitwie mołotkowskiej, wybrał się z Zielonej mały oddział legionowy z dr. Lothem i sanitariuszami do Pasiecznej, aby stamtąd dotrzeć na plac boju i nieść pomoc pozostawionym ciężko rannym. Długo już niesmarowany samowarek zgrzytając i wrzeszcząc straszliwie, dowiózł nas szczęśliwie do żelaznego mostu w Pasiecznej, a stąd dr. Loth wybrał się do wsi na ochotnika, by zbadać sytuację.

Niestety, zaledwie rozgościł się w szkole i zdążył zasięgnąć języka, został od nas odcięty przez Kozaków i batalion rosyjskiej piechoty. Po wymianie strzałów nasz patrol kolejowy musiał zmykać, uważając dr. Lotha i sanitariuszy za straconych. On jednak umiał wyjść z matni, mimo tego, raczej dzięki temu, że w tejże samej szkole zakwaterował się komendant owego baonu sztabkapitan Kwieciński. Doktor przebrał się za robotnika naftowego z Bitkowa i mimo kilkakrotnego przetrząsania wszystkich polskich domów w Pasiecznej (gdyż Żydzi zawiadomili Rosjan o pobyciu we wsi Legionistów) nie został wcale wykryty i otrzymawszy przepustkę od tegoż sztabkapitana udał się do Bitkowa, a stamtąd górami powrócił do nas razem z sanitariuszami i przywiózł jako cenną zdobycz, rosyjską mapę sztabu generalnego, tudzież różne meldunki zarekwirowane w rosyjskiej komendzie.

Jeszcze przez kilka dni po bitwie mołotkowskiej, lasami i górami wracali do nas chłopcy, którzy zdołali umknąć z niewoli, a podpor. Walek-Walewski przeprowadził nawet całą kompanię z bronią poprzez linie rosyjskie. Kapitan Zaleski przez miesiąc przebywał w mołotkowskim dworze jako karbowy, a przy sposobności wrócił do nas.

7 listopada rano dostaliśmy rozkaz uderzenia na Pasieczną i zajęcia tej miejscowości. Równocześnie na wschód od nas miały w dolinie Prutu wojska austriackie uderzyć na Mikuliczyn. Nasza artylerja podsunęła się aż do samych pozycji piechoty i rozpoczęła znąglą gęsty ogień. Na zaskoczonych Rosjan, piechota uderzyła z lewego boku, dostawszy się na zbocza Buchtowca, i po paru godzinach, bez straty poważniejszej (bo było tylko paru lekko rannych), Pasieczna była naszą, a Rosjanie cofnęli się aż do Nadwórnej, zostawiając dla nas zastawiony na stole obiad.

Zakwaterowaliśmy się we wsi, a ponieważ był zupełny spokój, udałem się do kościółka odległego 1 km., aby odprawić Mszę św. Zanim znalazłem kościelnego z kluczami, zeszło sporo czasu. Podczas Mszy słyszałem gdzieś niedaleko strzały, lecz jakoś nie zwracałem na nie uwagi. Dopiero gdy wychodziłem z kościoła, zdziwiła mnie pustka, Legionistów nigdzie nie było, dawna kwatera pułkowa pusta, tylko gdzieś słychać strzały karabinowe, a szrapnele furcząc, przelatują nad głową.

Niestety przez żelazny most kolejowy nie można było przejechać koniem, gdyż deski były pozrywane. Zostawiwszy konia, próbowałem przejść piechotą, ale most był kilkadziesiąt metrów długi i kilka metrów wzniesiony nad wodą na skalistych brzegach, był więc zdaleka widoczny i tak silnie ostrzeliwany, że kule rosyjskie były jak grad o stalowe wiązania. Gdy w dodatku z sykiem pękł szrapnel tuż nad mostem, brakło mi odwagi i cofnąłem się z mostu.

Tymczasem zauważony oddział znikł mi gdzieś bez śladu (cofnął się górami prawym brzegiem rzeki), a ja zrozpaczony zostałem sam. Siadłem nerwowo na konia i bijąc go jakimś kawałkiem deski, skoczyłem ze skalistego brzegu 3 m. wysokości, razem z koniem do wody. Było to szaleństwo. Na szczęście woda była w tym miejscu dość głęboka, więc nic się nie stało, ani koniowi, ani mnie. Byłem ciężko ubrany, w rewerendę, kożuszek i płaszcz, dlatego też po zamoknięciu nie mogłem się zupełnie ruszyć i woda niosła mnie wśród kawałków kry zupełnie obezwładnionego w stronę Rosjan. Byłem pewny śmierci i chciałem się przeżegnać, ale nie miałem siły; jednak szczęśliwie woda przyniosła mnie do sterczącego wśród rzeki skalistego progu, gdzie chwilę odpocząłem i z przyjemnością zauważyłem, że Rosjanie przestali do mnie strzelać.

Z drugiej strony rzeki nasza cofająca się patrola techniczna, która burzyła w ostatniej chwili most, zauważyła, że tonę. Jeden z pionierów na ochotnika poszedł mnie ratować i podawszy mi tykę, po długiej a bardzo zimnej kąpeli, wyciągnął mnie prawie zupełnie omdłego z wody.

Za pół godziny dostałem się do pierwszej naszej placówki, rozstawionej koło kamiennego wału w poprzek doliny. Komendantem placówki był dobry mój znajomy podpor. Iwo Giżycki. Rozebrałem się, aby trochę przesuszyć ubranie, ale czujka dała znać, że się kozacy znowu zbliżają. Zdawało mi się, że już nie ujdę kroku; na szczęście nie trzeba było uciekać, bo to był mój własny koń, który po nieszczęśliwej wodnej imprezie, straciwszy mnie z oczu, czynił za mną poszukiwania, albo też spieszył na swoją kwaterę do Zielonej, gdzie mu widocznie nie źle się działo.

Nagły nasz odwrót został spowodowany tą okolicznością, że oddziały austriackie w dolinie Prutu, nietylko nie poszły naprzód, ale cofnęły się wstecz i skutkiem tego Rosjanie zagrażali naszym tyłom. O połączeniach telefonicznych poszczególnych oddziałów, jeszcze wów-

czas mowy nie było, podobne więc niespodzianki mogły się łatwo zdarzać.

Podczas tego odwrotu, który zresztą odbył się dość szczęśliwie, z wyjątkiem tego, że oddział cofający się doliną przez pomyłkę zaczął ostrzeliwać majora Hallera i kompanię cofającą się prawym brzegiem Bystrzycy, został major Haller ranny szrapnelem rosyjskim w rękę, a porucznik Pasławski w nogę.

Właśnie wtenczas wracał bataljon Fabrycego z Węgier, a kompanja Leonhardta z Mikulczyna. Zjawiły się one w samą porę w dolinie Zielonicy i ułatwiły obsadzenie nowych pozycji. To powodzenie, zdaje się, było podstawą bardzo szybkiej, lecz nietrwałej kariery wojskowej wymienionych oficerów w II. Brygadzie.

12 listopada wyjechałem do szpitali położonych po węgierskiej stronie.

Wzorowy porządek panował w szpitalu w Dombo, prowadzonym przez chorążego-medyka Przeździeckiego. Sprawował on zarazem funkcje komendanta etapu.

Najbardziej skarżyli się Legjoniści w szpitalu wojskowym w Marmaros Siget. Opowiadano mi, że gdy ich rannych przywieziono do szpitala, ustawieni zostali w rząd, a po długim męczącym dla rannych czekaniu odczytał im jakiś plutonowy po madjarsku regulamin szpitalny.

Chrześcijanie węgierscy odnosili się do nas na ogół dość przychylnie, ale żydzi, których spotykaliśmy co krok, okazywali wręcz wrogie usposobienie z wyjątkiem tych chyba, którzy robili w dostawach wojskowych grube interesa.

Po kilkudniowej pracy w szpitalach wróciłem do 3 p. p.

Jedną z większych utarczek mieliśmy 9 grudnia na przysiółku Hołodyszczce. Przydzielono nam wówczas austriacką baterję górskich armat, która w krótkim czasie całkiem zleguniała.

Miałem i wówczas niebardzo miłą przygodę. Plac opatrunkowy mieliśmy w leśniczówce Hołodyszcze i tam spowiadałem rannych, a konia zaprowadziłem sto kroków naprzód i przywiązałem do brogu ze sianem, aby się trochę pożywił. Na nieszczęście nasi cofnęli się i musiałem wśród szalonego ognia iść po konia przed linię bojową. Naturalnie mocno się zastanowiłem czy mam dla konia narażać głowę. Ambicja i obawa przed ośmieszeniem się zwyciężyła; konia zabrałem.

Osobny odcinek w grupie pułk. Hallera, stanowiła podgrupa por. Czechny-Tarkowskiego, operując na lewym skrzydle u źródeł rzeki Łomnicy. Kompanja ta, składająca się ze 167 ludzi operowała skutecznie na olbrzymim terenie, zagrażając pozycjom rosyjskim pod Stanisławowem, Kałunem i Stryjem. W czasie ciężkich marszów i patroli po szczytach karpackich odznaczył się tam szczególnie góral z Lanckorony Andrzej Plichta.

Boże Narodzenie 1914 r. — Kolenda.

Rozpoczęła się mroźna zima, wśród szczytów karpackich. Żołnierze, którzy nie mogli znaleźć pomieszczenia w malutkich izbach góralskich, pobudowali sobie prymitywne szałas z okraglaków i jedliny i zdaje się, że lepiej było spać choćby wprost na mrozie, niż w małej izbinie w towarzystwie 20 osób i 3 krów, nie licząc kur i innego gadaństwa.

W polskim kościółku odprawiałem codziennie o g. 6 rano roraty, na które schodzili się tłumnie Legjoniści, a nie brakowało także „cywilów“. Nadeszła wigilja. Chociaż zdala od rodzin, które znajdowały się poza frontem rosyjskim, spędziliśmy wieczór wigilijny nadzwyczaj przyjemnie, bo kilkomiesięczne niebezpieczeństwa i trudy wojenne znoszone razem, zadzierżgnęły już między nami bardzo silne węzły braterstwa.

Wieczera wigilijna odbyła się we wszystkich kompanjach nadzwyczaj uroczyście. Przy łamaniu się opłatkiem jedno życzenie rozbrzmiewało powszechnie: „Obyśmy się jaknajwcześniej doczekali wolnej Polski“. Nawet na pozycjach Legjoniści urządzali sobie choinki i śpiewali kolendy, których echo zwabiało do nas placówki rosyjskie. Pasterka odbyła się w kościele. Wojskowej parady ani szyku nie było, ale wszyscy przyszli hurmą i z tysiąca młodych piersi zabrzmiało donośnie: „Wśród nocnej ciszy“...

Przez całe święto panował zupełny spokój, z żadnej strony ani jeden strzał nie padł.

Pocztą przez długi czas wozila z odległej o 80 klm. stacji kolejowej Taraczköz mnóstwo pakunków z podarkami, pochodzącymi przeważnie z Węgier. Nasza popularność jako oswobodzicieli ziemi węgierskiej od najeźdu rosyjskiego była tak wielka, że ja sam dostałem z Węgier trzydzieści kilka pakietów z różnemi łakociami. Jak się później dowiedziałem, jeden z dziennikarzy madjarskich, którego wziąłem podczas jego wyprawy na front na swój wózek, zrobił mi w jakimś fejletonie reklamę, i skutkiem tego dostałem mnóstwo prezentów. W każdym pakiecie znajdował się długi list, pisany po madjarsku. Wprawdzie nie bardzo łamałem sobie głowę nad treścią, ale musiałem przynajmniej odgadnąć adresy nieznanych wielbicieli Legjonów i odpisałem im również długimi listami po polsku; pakiety zaś rozdałem chłopcom.

W kilka dni po Bożem Narodzeniu przybyli do nas delegaci N. K. N. hr. Michałowski i hr. Morstin. Wizyta ich dla nas była bardzo miła, bo chociaż siedzieliśmy na skrawku polskiej galicyjskiej ziemi, to jednak wiadomości z niezajętego przez Moskali Krakowa, wędrowały do nas przez Wiedeń i Budapeszt.

Staropolskim zwyczajem kolendy, wybrałem się po Bożem Narodzeniu na wędrowkę, aby odwiedzić wszystkich Legjonistów rozrzuconych w górach, w chatach i pałacach. Była to niezwykle miła wędrowka, zwłaszcza, że znaczną jej część odbywałem przy pomocy nart. Legjoniści śpiewali kolendy z wielkim zapałem. Przybywałem do kwater zazwyczaj niespodziewany, a znalazłem wszędzie porządek. Wolne od służby chwile spędzali żołnierze na czytaniu książek, śpiewie i na hartowaniu się w znoszeniu zimna przez prowadzenie zawziętej wojny kulami śniegowemi. Naturalnie, że czasami trafiały się także różne niewłaściwości, ale to już zwykła kolej spraw ludzkich.

Po odbyciu kolendy w „Rzeczypospolitej rafajłowskiej“, wybrałem się na węgierską stronę do szpitali.

Góry były zasypane olbrzymią masą śniegów. Drożynka na szczyt przełęczy Rogodzy była wprawdzie zaznaczona wyraźnie kopytami setki juczych koni, które nam nosiły codziennie chleb powszedni, ale mimo to nie przestała być straszliwie uciążliwą. Na prawo i lewo leżały tu dziesiątki trupów końskich, które padły ze zmęczenia i zamarzły. Mimo wojennego ruchu, stanowiły one przynętę dla wilków i lisów, których tutaj była znaczna ilość. Upolowano nawet jednego niedźwiedzia, którego (ostatnie chyba europejskie) okazy znajdują się w Karpatach lesistych.

Była to bardzo ciężka przeprawa, zwłaszcza, że sam jeden bez towarzysza znalazłem się zdaleka od ludzkich siedzib, wśród śniegów w czasie 20-stopniowego mrozu na szczytach Karpat. Za to smakowała mi znakomicie herbata z rumem w naszym t. zw. hotelu (Holzschlaghaus), znajdującym się po węgierskiej stronie u źródeł Turbatu.

Po szpitalach chorzy i ranni z ciekawością wypytawali się, co się dzieje na froncie i czy nie nadchodzą jakie wiadomości z Polski. Szesnastoletni chłopiec, ranny w piersi, podczas patroli w Porohach, opowiada mi w gorączce, że przyjechała do niego ze Lwowa jego matka, że była u niego wczoraj i znowu tu przyjdzie. Inny znowu, maturzysta gimnazjalny, prosi, czy mu nie mogę tutaj dać ślubu, bo jego narzeczona taka dobra, że przez góry i śniegi, aż tu do Dombo do niego przybyła, chciałby się więc z nią zaraz połączyć dogonnym węzłem. Widocznie gorąca i szlachetna wyobraźnia jeszcze u progu śmierci tworzyła piękne i miłe obrazy wśród twardej i zimnej rzeczywistości. Mogiły obu chłopców znajdują się pod szczytami Karpat.

Przez Brusztury, Königsfeld, Dombo, Krasną horę, Kalipolu, Taracköz i t. d. dotarłem aż w doliny węgierskie do Bystyahaza i Viz, gdzie również mieliśmy szpitale we własnym zarządzie.

Względny spokój na froncie zapragnął wykorzystać i dowódca „Rzeczypospolitej Rafałowskiej“, pułk. Hal-

ler, aby należycie uporządkować nasze etapy i szpitale. Zjawienie się ukochanego dowódcy wywoływało nie tylko entuzjazm u chorych żołnierzy, ale i postrach wśród różnych treniarzy i łapiduchów. We Vis otrzymał pułk. Haller wiadomość, że w Rafajłowej wre bitwa. Natychmiast dosiadł konia, ja się również przyłączyłem, a 80 km. zaśnieżonej drogi górskiej zrobione w jednym dniu było dla mnie trochę za wiele, ale wiele robi ten, co mu iść za dobrym przykładem.

Gdy wróciliśmy, Rafajłowa przedstawiała jeszcze straszny widok, na zboczach gór i nad rzeką było co niemiara trupów rosyjskich, a w szpitalu cisnęło się wielu ciężko rannych naszych i Rosjan.

26 stycznia odbył się uroczysty pogrzeb poległych Legionistów i porucznika Florjana Węglowskiego, który był ranny kulą w brzuch i zmarł po dwu dniach męczarni. Wprawdzie nie byłem świadkiem strasznego ataku Rosjan, dn. 24. stycznia, ale godzi się bodaj według opowiadania naocznych świadków opisać to ważne zdarzenie.

Służbę na froncie miał wówczas baon Roji. Rosjanie, którzy dotarli aż pod sam Kraków i zajęli północne Węgry aż po Homonnę, nie mogli w żaden sposób wykurzyć nas z tego górskiego gniazda w Galicji wschodniej. Były to bowiem pozycje bardzo trudne do wzięcia przemocą. Postanowiono z nami za każdą cenę skończyć. Okrężnemi drogami w kierunku góry Siwuli, tudzież Bukowicy i Duboczanki wysłano kilka bataljonów, które miały niepostrzeżenie dostać się na nasze tyły i zaatakować nas na dany sygnał. Doliną zaś i zboczami gór wysłano silny bataljon, którego czołowej kompanji wcale nie dano naboju, miała bowiem wszystko kłuć bagnietem, aby nas uśpionych dłuższym spokojem łatwiej i bez alarmu zaskoczyć.

Pułk. Hallera nie było, komendę miał Roja. Plan rosyjski był znakomicie obmyślany i początkowo wszystko szło nieprzyjacielowi jak z płotka. Czujki i pierwsze placówki zmiotli wśród ciemności nocnych

bez strzału. Pogotowie na Tersowaniu otoczyli prawie zupełnie, tak, że tylko część żołnierzy uciekła przez okna. Ale już zaczęła się strzelanina.

Zbudzona kompanja Szula, widząc sytuację bez wyjścia, cofnęła się za most nad Bystrzycą, aby tam stawić opór. Komenda grupy, kasa i wszystkie akta były na leśniczówce przed mostem. Porucznicy Przepiliński i Sidorowicz zdołali je ocalić, uciekając z kasą w negliżu podczas kilkunastostopniowego mrozu. Artylerja rosyjska podjechała aż do żelaznego mostu kolejowego, ale tutaj nastąpił już kres powodzenia rosyjskiego.

Przy ustawianiu armat zaświecili Rosjanie światło, w tej chwili nasza artylerja, stojąca koło kościoła i wywierowana we dnie na wąskie przejście koło mostu kolejowego zaczęła bić co siły w rosyjską artylerję i rezerwy idące zwartym szykiem. Równocześnie atakujących Rosjan przyjęła na drewnianym moście kompanja Szula tak równiutką salwą, jakby to działo się na mustrze, poczem ruszyła do kontrataku, aby odbić leśniczówkę.

W dzikiej walce na bagnety padło kilku naszych, gdyż Legjonista nie umie kłuć i rżnąć bagnetem z bezwzględnością rzeźnika tak, jak żołnierz rosyjski. Jednak po czterech godzinach walki Rafajłowa była z powrotem wolną, a plon w jeńcach okazał się bardzo obfity.

Rosyjskie oddziały, które miały na nas uderzyć z obu boków, spóźniły się z powodu zasp śnieżnych o kilkanaście godzin i te ukazawszy się już po ukończonej bitwie, musiały natychmiast tymi samymi wertepami uciekać, gdyż bez żywności i trenów nie mogły się na szczytach utrzymać ani 24 godzin. W ten sposób brama do Galicji wschodniej została w naszych rękach, a pułk 3 okrył się nową chwałą, za dzielne trzymanie Rafajłowej, którą perjodyczne mapy sytuacyjne już dawno umieszczały poza frontem rosyjskim.

VI.

Ofenzywa lutowa.

Inicjatywa zimowa karpackiej kampanji pochodziła od Hindenburga, który do wykonania jej daje swe najlepsze, wypróbowane wojska i doświadczonych generałów, a to Linsingena, Ludendorffa jako szefa sztabu (później zastąpił go gen. Stolzmann), Bothmera, Hoffmana i t. p.

W rozkazie operacyjnym wskazuje Hindenburg na przykład Hannibala, który przed 2000 lat pokonał zimę w Alpach i wprawdzie utracił połowę armji, ale druga połowa osiągnęła swój cel: zwycięstwo nad Rzymianami. A przecież Karpaty są mniej groźne od Alp. Duma pruska była bardzo na rękę Conradowi Hötendorfowi i armji austriackiej, gdyż w Przemyśle u stóp Karpat broniła się stutysięczna armja austriacka, która posiadała zapasy żywności wystarczające tylko do połowy marca. Po rozgromieniu 3 armji austriackiej przez W. ks. Mikołaja i cofnięciu się rozgromionych wojsk austriackich, do obrony przełęczy i szczytów karpackich pozostał tylko „landszturm, straż graniczna, leśna i legjony polskie“ (złośliwe zestawienie generała Friedeburga w „Karpathen- u. Dniesterschlacht“ 1915). Celem działania armji niemieckiej składającej się z sześciu dywizyj, była odsiecz Przemyśla i dostanie się na tyły rosyjskie. Armja ta, która przybyła w Karpaty pod dowództwem gen. Linsingena, posiadała doskonałe techniczne uzbrojenie przygotowane do

wojny górskiej, a wadą jej była ta okoliczność, że składała się z pułków pomorskich i wschodniopruskich, a więc z ludzi, którzy pierwszy raz w życiu widzieli góry, które ich olśniewały wspaniałością widoków, a deprymowały swą niedostępnością. Mimo wszystko żołnierze niemieccy, którym stawiono przed oczy hannibalowe wyczyny, jego sławę i naturalnie dewizę „Deutschland über alles“, szli w Karpaty z niesłychaną dumą, a gdy im legioniści oddawali pozycje pod Oekörmezö, nawet nie pytali o informacje. Ta pycha i duma jednak bardzo wiele im zaszkodziła. Ponieważ obsada frontu odbyła się z wielkim rumorem, więc Rosjanie mieli czas na odpowiednią dyzlokację wojsk. a armii gen. Linsingena przeciwstawili VII Korpus gen. Nikitina, składający się przeważnie z górali kaukaskich, przyzwyczajonych do górskiej zimy i wielkich mrozów.

Z końcem stycznia rozpoczęła się ofenzywa na całej linii Karpat od przełęczy dukielskiej, gdzie operowała austriacka armia gen. Boreovica, aż po granicę rumuńską, gdzie operowała legjonowa grupa gen. Durskiego. Główne uderzenie miał wykonać Linsingen, aby poprzez Karpaty i dolinę rzeki Opór i Łomnicy przeć w kierunku Stryja i Halicza. Legjonowa grupa płk. Hallera, która miała w posiadaniu skrawek galiicyjskiej ziemi, miała operować wzdłuż dolin rzek Złotej i Czarnej Bystrzycy. Dolinę Prutu obejmowała 42 dywizja austriacka, złożona z Chorwatów, naszych stałych przyjaciół, a wreszcie na prawem skrzydle była znowu grupa legjonowa gen. Durskiego. Wśród strasznego mrozu, który na szczytach dochodził do 25 stopni, rozpoczęła się bitwa. Strona atakująca, pozbawiona jakichkolwiek schronów, których budowa w skalistym terenie była niemożliwa, była w bardzo ciężkim położeniu, a mróz, szczególnie po chwilowej odwilży, dokonywał dużo obfitszego żniwa śmierci, aniżeli setki szrapneli i granatów.

Niemcy na wyznaczonym im krótkim odcinku poszli z brawurą do ataku, ale też ciężko opłacili doświadczenie w wojnie górskiej, bo w pierwszym ataku na wzgórze „Tatarka“ stracili 500 zabitych. Entuzjazm prysnął, a gen. Friedeburg przyznaje, że powodem niepowodzenia był zupełny brak doświadczenia w wojnie górskiej. To też w tym samym czasie, gdy obie grupy legjonowe spełniały w zupełności swoje zadania, zdobywając kolejno w krwawym, ale zręcznym boju kluczowe pozycje, to jest Stanimir i Poleński Szczyt, a następnie Sołotwinę, tudzież Kirlibabę i całą Bukowinę, to ofensywa niemiecka prowadzona dziesięćkroć licniejszemi siłami „zamarzła“ pod szczytem karpackim Zwinin, który Niemcy bezskutecznie zdobywali aż do 9 kwietnia. Dziwić się należy, dlaczego taka masa wojsk i tylu zdolnych generałów rozbijało sobie głowy o grzbień karpacki, gdy tuż obok słaba grupa legjonowa otwarła szeroko drzwi na tyły rosyjskie, boć przecież te drzwi były i dla nich otwarte. Odpowiedź można znaleźć tylko w szalonej ambicji Niemców. czujących wobec ponurych i groźnych gór swą niemoc, a śmieszność wobec „mniejwartościowych“ kombatantów“.

Działanie Grupy pułk. Hallera.

Z końcem stycznia ze szczytów karpackich zeszły w dolinę Czarnej Bystrzycy nowe wojska nadciągające od węgierskiej strony. Byli to tyrolscy strzelcy (między żołnierzami bardzo duży procent „Tyrolczyków“ z rzeszowskiego i krośnieńskiego powiatu), tudzież pułki bośniackie. Przybyła również prawdziwa polowa artylerja, a nawet i ciężkie haubice przeciągnięto przez szczyty na saniach.

Widać była znaczne przygotowania do ofensywy. Wieść niesła, że my, jako już starzy Karpaczczycy mamy tylko odgrywać rolę przewodników po górach.

w których każdą piędź znaleźliśmy, a później, skoro tylko wojsko dążące na odsiecz Przemyśla, przeprowadzimy w doliny pójdziemy na zasłużony odpoczynek. Utrzymanie tego jedyne go przejścia do Galicji było dziełem nadzwyczajnem, ale też i wyczerpywało wszystkie siły. Rzeczywistość okazała się dla nas niesłychanie twardą.

Ofensywa rozpoczęła się. Po przygotowaniu artylerzyckiem uderzyły nasze oddziały środkiem doliny i prawem skrzydłem, a Bośniacy prowadzeni przez naszych przewodników, lewem zboczem góry Maksymca. Nasi poszli silnie naprzód, lecz niestety sąsiedzi na lewo spóźnili się i pierwszy atak został rozbity.

Rosyjskie pozycje były z natury bardzo silnie obwarowane. Bystrzyca w tem miejscu pod siłą wpadającego potoku Maksyma zwraca się bardzo silnie na prawo, a wylot doliny zamyka góra Stanimir. Na tej górze panującej nad całą doliną mieli Rosjanie silną z kamieni zbudowaną pozycję z krytymi przejściami do rezerw. Atakująca w białych płaszczach kompanja porucznika Szczepana dotarła niespostrzeżona aż pod same prawie okopy. Poszła do ataku, lecz nie mając oparcia z lewej strony musiała się cofnąć wśród szalonego ognia, gdyż nawet białe „śmiertelne“ koszule odbijały się wyraźnie od oślepiającej białości śniegu oświetlonego przez wschodzący księżyc. Mróz był straszny, bo 28°. Rannych co prędzej ściągnięto do szopy stojącej w dolinie, aby ich w chwili zniknięcia księżyca za chmurami wywieźć dalej. Niestety nie udało się to, gdyż Rosjanie byli nadzwyczaj czujni i spostrzegli natychmiast, gdy para silnych, białych koni z długimi saniami zajęchała po rannych. W jednej chwili wystrzelali konie, rannych i obsługę.

W szopie owej strasznej została reszta rannych przeznaczona na śmierć przez zamarznienie. Zaczęła się uporczywa 6 dniowa walka przy mrozie sięgającym przeciętnie 20° niżej zera. Żołnierze całemi dziesiątkami

mi odmrażali sobie nogi, tak, że w wielu wypadkach trzeba je było obcinać. To ciągle leżenie bez ruchu na śniegu, wśród mrozu przechodziło wytrzymałość ludzką. Rosjanie trzymali się zawzięcie, a skoro padł jeden szereg, nadsyłali dziesięć innych.

Przez kilka nocy spałem również na polu koło punktu opatrunkowego. Leżałem koło ogniska i naprzemian ogrzewałem sobie to głowę, to nogi, a skutkiem był ten, że spaliłem sobie buty, czapkę i poły kożucha.

Pułkownik Haller trwał cały czas na pozycji w domku góralskim, na środku doliny Maksymca, tuż za linią piechoty. W izdebce małej i niziutkiej, mieściła się nasza komenda z telefonem, komendant austriackiej artylerji, lekarz Dr. Hora, obrzynający z zimną krwią poszarpane i odmarzniete nogi, kapelan dysponujący rannych na tamten świat, no, i gospodarze domu: Chłop i baba, 2 dzieci, a cielę i świnia leżały grzecznie pod olbrzymim piecem.

Po ruchu, jaki odbywał się koło tego domu, poznali Rosjanie, że tam musi być komenda, gdyż obrzucali nas nieustannie granatami i szrapnelami. Całe pole dookoła zostało zorane do niepoznania, dom jednak ocalał nietknięty. Kul karabinowe przechodziły nieraz dom na wylot przez ściany, ale większość ich pozostawiała w pierwszej ścianie.

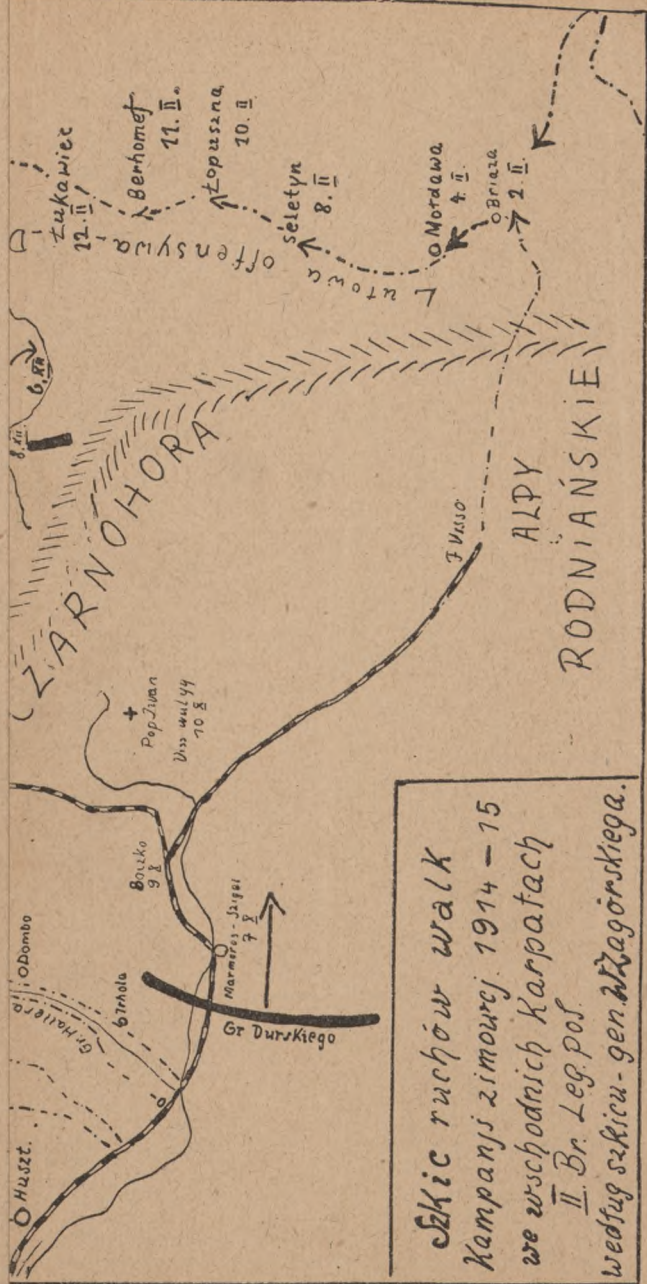
Ta wyjątkowa walka obfitowała w różne epizody. Wieczorem, gdy mróz rozpoczął swoją ofensywę, sprzykrzyło się kilku bośniakom wojna i postanowili zakończyć ją przez poddanie się. Skoro to zauważył przewodnik Legjonista, popędził natychmiast do naszego najbliższego oddziału, aby o tem zameldować. Drogę sobie trochę zmylił, ale po dłuższem szukaniu, zobaczył w parowie starannie kryty przed okiem ludzkim ogień, więc sady prosto jak w dym, a oślepiiony światłem, krzyczy: „panie poruczniku, Bośniaki wieją“. W tem się spostrzegł, że to Moskale, więc bez namy-

słu daje drapaka, a zdumiały rosyjski oficer krzyczy za nim: „pastoj, sukinsyn“, naturalnie nadaremnie.

Śmiałością w przeprowadzaniu patroli odznaczył się po kilkakroć 16 letni Bartłomiej Murmyło, który ze zwinnością kota drapał się po ścieżkach górskich, docierał w swoim białym płaszczu pod same pozycje nieprzyjacielskie, donosił jedzenie do najbardziej zagrożonych stanowisk. Został przez pułk. Hallera na polu bitwy zamianowany „starszym“ żołnierzem.

Pewien rotmistrz ze sztabu dywizji był dla nas bardzo nieprzychylnie usposobiony i wyrażał się o nas nie tylko nieprzychylnie, lecz lekceważąco. Raz przybył na pozycję, by zbadać dlaczego lewe skrzydło nie może poruszać się naprzód. Po skalistej, pokrytej lodem ścieżynie chciał się dostać do samej pozycji, ale spostrzeżony przez Rosjan, dostał się w gwałtowny ogień, został ciężko ranny w rękę i nogę i stoczył się ze ścieżki, po pochyłym zboczach góry, na płaszczyznę doskonale widoczną dla nieprzyjaciela. Próżno wołał o pomoc do swoich przechodzących żołnierzy, nikt nie chciał stawić życia na jedną kartę dla wątpliwego prawdopodobieństwa ucalenia rannego. Groziła mu, jak wielu innym, śmierć wskutek zamarznięcia, które przy wpływie krwi następuje bardzo szybko.

Ale znalazło się dwu „Legunów“, którzy stworzywszy z jakichś drągów sanie, szczęśliwie, w białym dniu wyciągnęli rotmistrza z tej opresji. Gdy był w bezpiecznym miejscu, zapytali go, gdzie go mają odstawić, czy na austriacki plac opatrunkowy, czy na nasz, poprosił o nasz. Po zaopatrzeniu i zabandażowaniu, ci sami Trzeciacy odwieźli go do austriackiego szpitala polowego. Wdzięczny i przekonany już do „Legunów“ rotmistrz, ofiarował im na pamiątkę po 100 K., ale Trzeciacy z dumą odrzucili zapłatę, mówiąc: „Wir sind Legionäre, wir dienen für unser Vaterland, nicht für Geld“.



Szkic ruchów walk
 Kampanji zimowej 1914-15
 we wschodnich Karpatach
 II. Br. Leg. pol.
 wedlug szkicu - gen. Włazgórskiego.

To ciągle ślęczenie na mrozie, wyczerpało nasze siły zupełnie, nic też dziwnego, że szeregi nasze strasznie przerzedły, a przepelniły się nasze szpitale, Komendant żandarmerji polowej, porucznik Szwarz, musiał sobie zadać dużo trudu, żeby obsada pozycji była przynajmniej minimalna i tylko dzięki jego takto- wi dało się to uskuteczyć.

Gdy się przekonano, że atakiem czołowym nie spo- sób wyprzeć Rosjan z ich znakomitej pozycji, wysłano jeden bataljon Legjonowy, pod komendą por. Zająca, kombinowany z różnych kompanji, z karawaną juków, by przez Poleński szczyt (1681 m. w.) i Pankowiec zaatakował Rosjan od Zielenicy, a przez to zagroził ich tyłom.

Ten uciążliwy pomysł dokonał swego. Gdy Le- gioniści ze szczytów gór zaczęli posuwać się ku doli- nie Zelenicy, wycofali Rosjanie natychmiast swoją artylerję, a gdy nasz oddział karabinów maszynowych porucznika Starka, podsunął się pod pozycje rosyjskie, zboczami przeciwległej góry, Rosjanie musieli pozycje opuścić.

Pobojowisko przedstawiało straszny widok. Tu sanie pełne rannych, woźnica, para koni, wszystko to dziwnie skotłowane przez ogień i zimno. W szopie, do której poznoszono rannych, wszystko straszliwie skostniało; a widać było, że ranni ostatkami sił tleją- cego życia bronili się, kopiąc sobie w zmarzniętej ziemi ochronę przed kulami, które przez cienkie ściany szopy przechodziły jak przez papier. Kilku zabezpieczyło się nawet dość dobrze przed kulami przez wygrzebanie dużych jam, lecz niestety nie doczekali pomocy, mroź dokonał swego dzieła.

Pozycje rosyjskie pełne były trupów, przymarz- niętych do zimnych kamieni. Tak e położone było nie do pozazdroszczenia, od kilku dni nie mogli nawet za- bitych usuwać, padali jeden na drugiego. Za pozycjami, w góralskiej chacie mieli plac opatrunkowy, przepel-

niony rannymi. Nasz granat trafił w chałupę i natychmiast ją zapalił. Lekarz i sanitariusz uciekli, a ranni wszyscy się spalili. Ludność Zielonej i Nadwórnej opowiadała nam, z jakim strachem szli Rosjanie w czełście gór karpackich. Z tęsknotą oglądali się po raz ostatni na północny wschód ku dolinom, ku swej matuszce Rosji i pobożnie czynili mnogie kresty.

Dalsze posuwanie się w stronę Stanisławowa szło nam już o wiele łatwiej. O Pasieczną bitwa trwała pół dnia, o Nadwórną dzień i znaleźliśmy się znowu na polach mołotkowskich.

W tych dniach przekonałem się, jak prędko i bezpodstawnie można być oskarżonym o zdradę i szpiegostwo. W grudniu 1914, nie pamiętam którego dnia, dostał nasz porucznik K. rozkaz, po naszym opuszczeniu Zielonej, pozostać tam i utrzymywać „czucie“ z nieprzyjacielem, tak, iżby on nie spostrzegł się zaraz, że Zielona faktycznie opuszczona. Porucznik K. opuścił swoje stanowisko zawczasem, a przyciśnięty do muru, na swoje usprawiedliwienie opowiadał o zaskoczeniu go przez Rosjan, wskutek zdrady ruskiego proboszcza, ks. Lewickiego, u którego mieszkał. Także używany do posług szpiegowskich rafajłowski żydek, stwierdził, że ks. Lewicki przekrada się przy pomocy chłopów do Rafajłowej i przenosi wiadomości Rosjanom.

Sprawa była prawie pewna i mimo mojej obrony, gdyż ks. Lewickiego znałem doskonale i również kilka dni u niego mieszkałem, miał być natychmiast po zajęciu Zielonej zaaresztowany i oddany pod sąd polowy. Aby do tego nie dopuścić zaraz po wkroczeniu wojska do Zielonej, udałem się z naszym audytorem Dr. Dańcem na plebanję i tu dowiedzieliśmy się od naszej żandarmerji, że przeprowadzone śledztwo wykazało, że ks. Lewicki nie tylko się lojalnie zawsze zachowywał, lecz nawet z tego powodu, że nie krył swoich uczuć, był przez Rosjan pilnie strzeżony i prześladowany.

Aby mu wynagrodzić krzywdę za tak ciężkie posadzenie, pułk. Haller podał ks. Lewickiego do odznaczenia. Skompromitowany porucznik K. znalazł się znowu na plebanji i w dalszym ciągu zawracał głowy popadiankom, które nie przypuszczały, jaki im los chciał zgotować ich adorator! To był jednak koniec kariery owego pana. Został zwolniony z Legionów i poszedł służyć do armji austriackiej jako szeregowiec.

W zapusty zawitaliśmy wśród huku armat z młodzieńczą werwą do gościnnego dworu w Mołotkowie.

Wrota otworzyły się szeroko; skrzętna pani domu kazała wydobyć z pod ziemniaków kosz starego tokaju, którego szlachetność już dawniej poznaliśmy. Co za radość panowała i gwar w tym dworze zwłaszcza, że w Mołotkowie nie brakowało i panienek, potrafiłby opisać chyba Mickiewicz. Przeżywaliśmy naprawdę chwile tak podniosłe jak Legjoniści Dąbrowskiego w Soplicowie. Za przyzwoleniem starszyny młodzież puściła się w tany, które się zakończyły ogólnym polonезem prowadzonym przez postarzałego już w bojach, pułkownika Hallera.

Młody poeta, chorąży Szul zaimprovizował piosenkę, charakteryzującą nasz nastrój.

„Wszystkie się pola zazieleniły
Śnieg potokami z gór spływa
Od mołotkowskiej, świeżej mogiły
Jakiś dziwny strach ludzi bierze
Ludzie słuchają zdziwieni
Czy to z mogiły wstali rycerze.
Co legli zeszłej jesieni...

Na drugi dzień wrzała szalona bitwa o Sołotwinę; mieliśmy wielu zabitych i ciężko rannych.

Na flankowej patroli w Porohach padł chorąży Heyda, z którym równocześnie wyjechałem z Dobromiła. Poległych pochowaliśmy razem na cmentarzu sołotwińskim. Bardzo ciężko ranny został porucznik

Krzaczyński z 4 bat. 2 p. p. Ocalał tylko dzięki troskliwym staraniom pań z Mołotkowa. Wogóle dwór mołotkowski był dla nas ucieczką i ochroną w złej i dobrej doli.

Pod Sołotwiną nastąpiło też połączenie się kompanji Tarkowskiego, która od listopada broniła szczytów karpackich Siwuli, Bojaryna, Gawronu i Pośredniej Groni, debuszując śmiało swemi patrolami w kierunku Jasienia, Perchnińska i Kałusza. Zadanie ich objęła niemiecka armja Linsingena.

Nadzieja nasza, że po wyprowadzeniu ofensywy na doliny, pójdziemy na zasłużony spoczynek, niespełniła się. Bataljony nasze silnie przerzedzone przez ogień nieprzyjacielski, mróz i gorsze jeszcze od mrozu roztopy, topniały codziennie. Mimo wszystko dotarliśmy do Bohorodczan, a patrole nasze zjawiały się w Stanisławowie.

Alarmujące raporty Hallera wykołatały dla nas nareszcie wypoczynek. — Marsz z Bohorodczan do Kołomyji, choć to niezbyt daleko, był dla nas wśród przenikającej mokrej śnieżycy nadzwyczaj uciążliwy.

Nareszcie odetchnęliśmy swobodnie, mając dach nad głowami, a nadto znajdowaliśmy się między ludźmi, i to w dużem mieście, gdzie można było kupić mydła, chustkę do nosa i t. p.

Zakwaterowałem się wygodnie u OO. Jezuitów. Głucha wieść niosła, że po 2 tygodniowym spoczynku pójdziemy do Królestwa, do czego tęskniliśmy od dawna. Niestety złudzenie było krótkie. W trzecim dniu naszego spoczynku zobaczyliśmy transport grupy Legjonów gen. Durskiego.

Działanie Grupy gen. Durskiego.

Jeszcze piękniejszą epopeją samodzielných walk przeżyła główna grupa II Brygady pod komendą gen. Durskiego, szefa sztabu Zagóbskiego i pułk. Zielińskiego, który w czasie dwumiesięcznych walk na Węgrzech

pod Oekörmezö, Huculczyźnie, Bukowinie i nad Dniestrem w okolicy Kołomyji, stał się wprost bożyszczem swoich żołnierzy.

W tych walkach, których szlak bojowy w ciągu niespełna trzech miesięcy wynosił przeszło 450 km. w pośród bardzo trudnego terenu i strasznych mrozów, okazała się w całej pełni wartość bojowa legionisty Karpacztyka, który dzięki swej inteligencji i nowonabytej sprawności fizycznej, karności wojskowej potrafił drobnymi siłami i przy niewielkich stratach utrzymać 120 km. frontu tam, gdzie poprzednio liczne wojska austriackie wiały w dzikim popłochu.

W czasie tych walk ruchomych wypłynęły też największe talenty wojskowe Januszajtisa, Dunin Wasowicza, Kossakowskiego i wielu, wielu innych.

To też nawet bardzo niechętna austriacka komenda musiała w końcu uznać w rozkazach i komunikatach, nieocenioną wartość bojową nie wielkiej liczebnie grupy legionowej. Małe stosunkowo straty II Brygady, nawet w czasie najkrwawszych bitw, zawdzięczamy nie tylko inteligencji żołnierza, który umie należycie wykorzystać osłonę terenu, a ryzykanctwo, którego może najwięcej miał mjr. Roja, nie było całkiem w modzie, a czasem kończyło się degradacją tego, co zbyt chętnie chciał szafować cudzem życiem.

W drugiej Brygadzie oficer cenił tak samo życie każdego żołnierza-legionisty, jak i swoje własne i nigdy nie poświęcił nawet obozowego ciury dla jakiegoś efektownego popisu.

Grupa gen. Durskiego stoczyła najcięższą kilkudniową bitwę pod Kirlibabą w Alpach rodniańskich na pograniczu Węgier i Bukowiny od 18 X. — 22 I. 1915, a następnie miała bitwy pod Briazą (2. II.), Młdawą (4. II.), Sektinem (8. II.), Łopuszną (10. II.), Berhometh (11. II.), Lukawetz (12. II.) — Unterstantie (14. II.), Książem (17. II.), Śniatynem (18. II.), Bratyszowcu (24. II.), Niżniowem (28. II.), Jezupolem (28. II.), Niżniowem

(1. III.), Jeziorzonami i Tłumaczem (5. III.), Korolówką (6. III.), Bortnikami (9. III.) Przepiękna ta kampanja dotychczas niestety nie posiada nietylko nalezitego opracowania, ale nawet nie posiadamy z niej drukowanych pamietników, a jednak powinien ktos uwiecznic piorem te wspaniala epopeje dziadka Zielińskiego.

W przeciegu lutego II Brygada zajela cala poludniowo-wschodnia Galicje, az po Dniestr, a na zachod po Jezupol i Niebylow, a Niemcy wciaz krwawili pod Zwiniem. Jednak przyznac trzeba, ze posiadali upor godny lepszej sprawy; nie wiele im pomogla i ta okolicznosc, ze jako przewodnikow w gorach otrzymali jedna kompanje „siczowych strilkow“, w ktorej powazna role odgrywala „Olona Stapaniwna“ (Tanner, Frontberichte eines Neutralen, Berlin 1916).

Z koncem lutego, gdy losy Przemysla zaczely sie zbliczac do tragicznego konca, gen. Pflanzer Baltin wydal rozkaz grupie plk. Hallera, ktora po dokonaniu swego zadania odpoczywala w Kolomyji, azeby uderzeniem ze Solotwiny przez Rossulne i Niebylow w kierunku Doliny, a wiec na flanke i tyly rosyjskie, „odkorkowac“ Niemcow i ulatwic im wydostanie sie z Kanpat w doline Lomnicy. Zadanie to nie bylo zbyt trudne do wypeelnienia, zwlaszcza, ze mialy dzialac polaczone siły, a to grupa plk. Hallera, 42 dywizja austriacka i 5 dywizja kawalerji niemieckiej. Zadanie to jednak nie zostalo wypeelnione, nietyl z powodu przemeczenia Legionistow ile z powodu dosc zle ukrywanej radości, ze buta pruska zostala dosadnie poskromiona pod Zwiniem. Plk. Haller wprost odmowil prowadzenia swych oddzialow na odsiecz Niemcom, bo uwazal, ze zbyt latwe i zbyt rychle zwyciestwo Niemcow nie lezy w naszym celu. Dr. Loth napisal alarmujacy raport o katastrofalnym stanie zdrowia w oddzialach i wysylal na urlop kazdego, kto tylko chcial. a kompanje pozbawione oficerow topnialy jak snieg

na wiosnę, tak, że po bitwie pod Majdanem Niebyłow-
skim musiałem z powodu braku oficerów zorganizować
odwrot. Pflanzer Baltin nie rozumiał, co się nagle
z Legionistami stało, bo nie chciał rozumieć, że abso-
lutnie nie chcą wyciągać dla kogokolwiek kasztanów
z ognia, nie chcą figurować w komunikatach sztabu
generalnego jako „Armee Pflanzer-Baltin“, bo z nią
nie mają nic wspólnego. Tak przewrotność austriacka
jak i pruska buta były dla Legionisty wprost nie do
zniesienia, a kto żołnierza II Brygady widział w do-
linie śmierci na Maksymcu, czy pod Kirlibabą, czy pod
Niebyłowem, tego ani trochę nie zdziwiła później Ra-
rańcza i Kaniów. Ludzie rozumni, jak niemieccy gen.
Gerock i Conta umieli ocenić bohaterstwo i dumę Legjo-
nisty i odtąd zawsze odnosili się doń z pełnem uzna-
niem, natomiast gen. Pflanzer-Baltin za sabotaż akcji
„odkorkowania“ Niemców postanowił urządzić dla
II Brygady w Kołomyży rekolekcje pod kierownictwem
austriackiego gen. Zaleskiego. Rekolekcje te skończyły
się zrzuconiem austriackich „gwiazdek“, niesalutowa-
niem austriackich oficerów i odstawieniem całej drugiej
Brygady na skrajne prawe skrzydło, gdzie otrzymała
również samodzielne zadanie, ale nie wzięła udziału
w dalszej galicyjskiej ofensywie i oswobodzeniu
Lwowa.

VII.

Kołomyja - Bukowina.

Po przebytych trudach każdy pragnął przede-wszystkiem wypaść się pod dachem w ciepłej izbie.

Po zaspokojeniu tego żywiołowego popędu do spania, chłopcy wykąпали się w brudnej kołomyjskiej łaźni, pozaszywali dziury na ubraniach i za kilka dni wszystko znowu było w porządku. Największą plagą był brak obuwia, tak że chłopcy nawzajem sobie musieli pożyczać butów, gdy wychodzili na miasto. Nadciągnęła wkrótce do Kołomyji także grupa gen. Durskiego, tak, że druga Brygada znalazła się w całości w Kołomyji.

Spoczynek nasz jednak nie trwał długo, gdyż po-lecono naszej Brygadzie ufortyfikowanie Kołomyji jako przyczółka mostowego.

Plany wypracowane przez szefa sztabu Zagórskiego zostały prędko i dokładnie wykonane i widać była to niezła robota, skoro Kołomyja oparła się w maju zawziętym atakom Rosjan, których padło tysiące pod okopami.

Był to czas przedwielkanocny. W kościele OO. Jezuitów urządziliśmy 3-dniowe rekolekcje dla Legjonistów w dwu partjach. Nauki rekolekcyjne dla 1 partji miałem ja, dla drugiej jeden z OO. Jezuitów. Legjoniści uczęszczali na nauki bardzo pilnie, mimo fatalnej pogody i nagminnego braku obuwia. Do spowiedzi przystąpiło $\frac{3}{4}$ ogółu żołnierzy.

Upadek Przemyśla, któremu bezskutecznie próbowaliśmy nieść pomoc, sprawił przygnębiające wrażenie, ale wszyscy wiedzieli po klęsce Armji niemieckiej, że to było nieuniknione.

Dnia 19 marca obchodziliśmy z wielką uroczystością imieniny podpułkownika Hallera i wielu innych Józefów w sali kołomyjskiego Sokoła. Była to pierwsza większa legjonowa uroczystość, na której mieliśmy sposobność bliżej się poznać, gdyż rozłączeni zaraz na początku kampanji karpackiej na dwie grupy, nie mieliśmy nawet sposobności nawiązania bliższej znajomości.

W Kołomyji wypracowałem książeczkę do nabożeństwa dla Legjonistów i udałem się do Krakowa celem wydania jej drukiem.

Droga prowadziła jeszcze przez Budapeszt-Wiedeń, bo Galicja była zajęta z wyjątkiem zachodnich powiatów. W Krakowie załatwiłem się z cenzurą duchowną dzięki interwencji ks. dr. Mazanka w bardzo krótkim czasie, tak, że mogłem wpaść na święta do brata w Mszanie dolnej. W Skawinie wachmistrz żandarmerji rewidujący dokumenta, mocno się zdziwił napisem na marszrucie „Kołomyja“ i zapytał mnie, na jakiej podstawie jeżdżę na zeszłoroczną marszrutę; tłumaczyłem mu, że marszruta ma dopiero kilka dni.

— A co znaczy — pyta się — Kołomyja?

— Jestem przecie od początku października we wschodniej Galicji, wyjaśniłem.

Na takie dictum roześmiał się żandarm i powiada:

— Moskałe pod Limanową, a ten mówi, że z Kołomyji jedzie, chodźno panie do Stationskommando!

Na szczęście, o czysto semickim wyglądzie leutnant miał trochę lepsze pojęcie o położeniu na froncie i po spisaniu protokołu, pozwolił mi jechać dalej.

Do Kołomyji nadchodziły radosne wieści, że wszyscy idziemy do Królestwa, gdzie połączymy się z I. Brygadą i zaczniemy tworzyć woisko na wielką skalę. Niestety znowu nadzieje nas zawiodły, bo jeszcze przed Wielkanocą zabrano dwa bataljony marszowe Szcze-

pana i Kaufera i rzucono na Bukowinę, a dwa tygodnie później mimo protestów ze stron najrozmaitszych, pomaszerowaliśmy tam wszyscy.

Do Królestwa odeszła tylko sama Komenda Legjonów, oddziały sztabowe, jakieś tysiąc chorych i różnych łazików. Ponieważ w Królestwie miano tworzyć nowe pułki, więc udało się tam także wielu wyższych oficerów, między którymi także pułk. Haller, który koło Częstochowy uległ wypadkowi automobilowemu i major Roja, późniejszy komendant 4 p. p.

Komendę II. Brygady objął generał Zaleski, wprowadził Polak, ale obcy nam wychowaniem i duchem.

Dnia 15 kwietnia przyjechaliśmy koleją do stacji Żuczka pod Czerniowcami, skąd nasyciwszy się z daleka ślicznym widokiem Czerniowiec, pomaszerowaliśmy na granicę Besarabską do wsi Czarniawki i Dobronowiec. Dwa nasze bataliony stały tu już od 2 tygodni i zdołały się dobrze zagospodarować; okopy i rowy biegiły wśród ślicznych bukowych i dębowych lasów poza kordonami granicznymi.

Na polance, zarosłej zrzadka bukami, poszarpaną od granatów, wystawił batalion Szczepana duży krzyż na pamiątkę swego pobytu na dawnych dzikich polach, a później u stóp tego krzyża składał kolegów, poległych wśród ciężkich walk.

tronu, nas usiłowano gwałtownie schować pod korzec,

Dnia 20 kwietnia przybył do 42 dywizji następca okopów.

gdyż wtedy była Msza polowa na froncie wśród wiałem nabożeństwo co dnia, z wyjątkiem niedziel,

W Czarniawce była polska kaplica, w której odprowadzało się nawet kuchniom polowym nie wolno było jeździć ze wsi na pozycje, by ich po drodze przypadkiem następca tronu nie spotkał.

Rozpatrzyłem się po Czarniawce i okolicy. Wszędzie znać tu ślady dawnej polskiej kultury i potęgi. Olbrzymie kurhany świadczyły o dawnych zapasach

polsko-tureckich, które toczyły się wiekami w tych okolicach. Ludność po większej części prawosławna, ubiera się po rumuńsku, mówi narzeczem rusko-rumuńskim, a nazwiska nosi dotychczas dawne polskie i szlacheckie: Szydłowskich, Myszkowskich, Krasowskich, Stapińskich. Gdzieś pośród starszych pokoleń można jeszcze odnaleźć resztki rycerskich tradycji, a nawet resztki zbroi pilnie przechowywane razem z olbrzymim stosem wschodnich kobierców, których tutaj w każdej najuboższej nawet chacie, jest bardzo wiele.

Ludności polskiej, katolickiej, jest zaledwie garstka, składa się ona przeważnie z nowszych kolonistów, gdyż dawna Polonia wskutek braku troskliwej opieki wynarodowiła się zupełnie. Ciekawe, że nowsi polscy koloniści, mieszkający obecnie wśród większości rumuńsko-ruskiej, ulegają germanizacji, gdyż wśród mieszaniny bukowinских narodów, język niemiecki, chociaż Niemców jest stosunkowo najmniej, stał się językiem pośredniczącym.

Trzeba przyznać, że Bukowina, a zwłaszcza pogranicze bessarabskie, to cudny kraj. Karpaty kończą się tu lekkimi pagórkami, i u ich stóp rozciągają się bezbrzeżne równiny, zalane na wiosnę powodzią kwiecia wiśni i innych drzew owocowych. Ziemia nadzwyczaj urodzajna, domki wśród sadów bielutkie i schludne, lud w starorzymskich strojach, bo mężczyźni wszyscy noszą białe, długie tuniki czy też koszule z samodziału, przepasane szerokim pasem, a kobiety nieco dłuższe koszule, przepasane szeroką, wełnianą opaską, zastępującą spodnicę i wełnianym pasem. Zameżne kobiety noszą na głowie biały kwef.

Na cmentarzu w Czarniawce, gdzie pochowałem jednego Legjonistę, spotkałem kilka razy chłopca, leżącego na grobie. Poruszyłem go, gdyż zdawało mi się, że sobie wybrał niewłaściwe miejsce do grzania się na słońcu i zapytałem, co tu robi.

— Tu leży mój ojciec, powiada mi, patrząc na mnie błędnymi oczyma, ojciec, którego nasi powiesili.

— Za cóż, pytam się.

— Nie znam — powiada — przyjszy nasi żołdacy i powisyły taty, a ja i Sonia łyszyłyśmy się doma sami.

Chłopiec ten nazywał się Iwan Krynicki. Zająłem się jego losem, aby nie zmarniał na grobie ojca. Próbowałem dowiedzieć się, za co został powieszony ojciec tych sierót, ale w żaden sposób nie mogłem tego dociąć, a sąsiedzi opowiadali tylko, „że to ci żołdacy niejakoj mowy nie ponimaly i ne skazały za szczo wiszajut“.

Rocznicę 3 Maja obchodziliśmy z wielką uroczystością na froncie. Mszą połową miałem na pozycjach koło bataljonu kap. Zaleskiego. Mimo dość gęstego ognia nieprzyjacielskiego, chłopcy z werwą śpiewali pieśni religijne, a później narodowe, co niepomniernie zdziwiło pruskiego generała, który zwiedzał nasz front. Było to wśród bukowińskich lasów, nieprzyjaciel więc nie tak łatwo mógł zauważyć, gdzie jesteśmy zebrani i strzelał tylko na ślepo.

Najradośniejszem jednak zdarzeniem wśród uroczystości była wiadomość, że pułk. Zieliński wraca do nas, a nawet już jest w Czerniowcach. Bardzo przykro dotknęło nas, że wszyscy sztabowi oficerowie z wyjątkiem Januszajtisa opuścili Brygadę i udali się do Królestwa, a nas niejako zostawiono na powolne wymarcie, gdyż nowych rezerw mieliśmy już nie dostawać.

Dnia 5 maja zaczęły się gwałtowne ataki ze strony rosyjskiej na nasze pozycje już dość dobrze wybudowane; chłopcy bronią się dzielnie. Na skraju lasu od strony Kalinowiec zostało 2 naszych zabitych i kilku rannych.

Dnia 9 maja przełamali Rosjanie pozycje 42 dywizji pod Bałamutówką i wpadli na nasze skrzydło. Nasza druga bateria polnych armat przydzielona do 42 dywizji została przez Rosjan otoczona. Zdołano ocalić zaledwie konie. Januszajtis daremnie czynił wysiłki dla

uratowania tej baterji. W zamian za naszą drugą baterję, która była przydzielona do austriackiej dywizji, myśmy mieli przydzieloną austriacką baterję pod komendą porucznika Weltera, który w długich bojach tak się przywiązał do nas, że na widok rozpaczy jaka ogarnęła nasze szeregi skutkiem straty nowiutkich, a tak długo oczekiwanych połówek, poszedł z Legionistami z karabinem w rękę do kontrataków i zgiął trafiony kulą w serce.

Temu szlachetnemu człowiekowi, który nie umiając prawie po polsku, kochał Polskę całą duszą, należy się słuszenie miejsce w złotej księdze polskich bohaterów.

Dnia 12 maja. Rosjanie przerwali front koło Zaleszczyk i zaczęli zagrażać naszym tyłom. Nie wiedzieliśmy zgoła nic o tem. O godzinie 10 przed południem zauważyłem pośpiesznie cofający się zakład sanitarny austriacki, od którego się o tem dowiedziałem i zaraz zawiadomiłem nasz szpital połowy pod komendą dr. Stefanowskiego. Wszystkich rannych zdołaliśmy szczęśliwie odesłać, a rannych Rosjan oddano pod opiekę wójta. Nasze oddziały bojowe dostały rozkaz cofania się dopiero po południu i opuściły pozycję o godzinie 5, a cofały się w szyku rozwiniętym, ostrzeliwując się ciągle, atakującej konnicy. Przyłączyłem się do szpitala. Co godzinę dostawaliśmy inne rozkazy. Dlatego odbyliśmy niepotrzebnie daleką drogę okrężną po przez Sadogórę, Zadobrowkę, Szubranec, aby się znowu wrócić do Mamajowiec koło Sadogóry. Na moim wózku jechał dr. Konopacki. Postanowiliśmy przespać się w Mamajowcach, gdyż dostałem gorączki. Rano obudziliśmy się i z wielkim strachem usłyszeliśmy, że nasze treny i wojsko cofnęły się w nocy. Na szczęście most na Prucie jeszcze był cały, ale landszturmiści już dawno polali go ropą i skoro tylko szczęśliwie przejechaliśmy, natychmiast go podpalili.

Sytuacja przedstawiała się jednak inaczej niż sądzono, gdyż jeszcze kilka naszych bataljonów było

z tamtej strony Prutu, między innymi bataljon Kaufera, który został przez rosyjskich dragonów przyparty do rzeki z powodu spalenia mostu i zupełnie rozbity. Wielu było zabitych i rannych, mnóstwo potopiło się w rwących nurtach Prutu, około 150 dostało się do niewoli, a wielu również przycupnęło w chatach, gdzie miejscowa ludność pilnie ich ukrywała, aż do naszej nowej ofensywy. Komendant rozbitego baonu został postawiony pod sąd wojenny. Inne baony odparły ataki kawalerji, cofnęły się w stronę Czerniowiec i przez tamtejszy most przeszedłszy na prawy brzeg Prutu, zajęły pozycje około 30 klm. długości od Czerniowiec do Hlinicy.

Rozbitki z baonu Kaufera, które zdołały Prut przepłynąć, straciły w tej przeprawie karabiny i plecaki i rozbiegły się na wszystkie strony. Bardzo wielu cofało się szosą w stronę Storożyńca, głosząc, że cała brygada rozbita. Po naradzie z dr. Konopackim postawiłem koło drogi swego ordynansa z karabinem i przymocą zatrzymywałem łazików, a później zabrałem ich do szpitala polowego, który stanął na przedmieściu Czerniowiec, obok ruin zamku Kazimierza Wielkiego zwanych „Cecine“.

Pozycje nasze miały wspaniałe położenie na bardzo wysokim brzegu Prutu. Z drugiej strony rzeki rozciągała się dolina 7 klm. szerokości, tak, że każdą mysz można zobaczyć. Mieszkalem w szkole na wysokiej górze ponad pozycjami. Z okna widać było dokładnie każdy ruch rosyjski, więc też całymi godzinami obserwowaliśmy, jak nasza artylerja kropiła podsuwające się z kocią ostrożnością rosyjskie patrole. Rosjanie teren mieli tak zły, że tylko w nocy mogli się zbliżyć do naszych pozycji, więc też chłopcy wygrzewali się całymi dniami, jak susły na słońcu, co i ja przy swoich niedomaganiach z wielką satysfakcją robiłem. Bukowina miała jeszcze mnóstwo wszystkiego, nawet mleka można było dostać podostatkiem.

Dnia 16 maja odprawiłem nabożeństwo dla 2 pp. w Strileckim Kucie, skąd pojechałem do Biłej wierzchem ponad Prutem przed naszymi pozycjami. Była to wprawdzie najlepsza i najkrótsza droga, ale można było łatwo wpaść w ręce patroli rosyjskich, które nocą zakradały się i chowały po domach. Przejechałem szczęśliwie i zaledwie tylko parę kul świsnęło mi koło nosa. Jednak taka jazda, po lepszym zastanowieniu się zupełnie nierozważna, z początku trochę bawi, a później denerwuje, zwłaszcza, gdy się zobaczy z własnych rowów pilnie śledzące lornetki i lufy karabinów; to też już nie próbowałem więcej podobnego skracania drogi.

W dolinie pomiędzy pozycjami leżało sobie spokojnie kilka wsi. Rozkaz spalenia ich dla oczyszczenia przedpoja, jakoś nie został skwapliwie spełniony, z ewakuacją ludności zwlekano także, więc też pomiędzy jedną wrogą linią a drugą codziennie pasło się bydło na pastwiskach, chłopci i baby robili spokojnie na polach, a w razie silniejszej strzelaniny, wszystko chowało się do domów i przygotowanych jam ziemnych, aby za godzinę powrócić do pracy.

Z wielką uroczystością obchodziliśmy na froncie Boże Ciało. Na dużej polanie za pozycjami ustawiono cztery ołtarze i ubrano zielenią; w nabożeństwie brało udział dwa tysiące żołnierzy ze wszystkich oddziałów, reszta została w okopach. Po Mszy św. rozpoczęła się procesja z Najśw. Sakramentem w monstrancji wśród tłumu zbrojnej młodzieży, która całą pierś śpiewała: „On ludu swego odwiedza ściany, bo nawykł bawić między ziemiany“. Przy końcu procesji na „Te Deum“ rosyjska artylerja dała kilka strzałów, Bogu dzięki nieszkodliwych.

Po Bożem Ciele otrzymaliśmy wiadomość o zdobyciu Przemyśla przez wojska austriackie, a już dawno pilnie zdaleka obserwowaliśmy postęp ofensywy w Galicji. I my niedługo posiedzieliśmy spokojnie, bo czekały nas nowe i ciężkie trudy.

VIII.

Ofenzywa czerwcową.

Dnia 6 czerwca otrzymaliśmy rozkaz przystąpienia do nowej ofenzywy. Oddziały nasze ściągnięto na lewe skrzydło w okolice Hlinicy skąd przez przyczółek mostowy Dubowce miały się przerąbać znowu na granicę besarabską. Bitwa pod Dubowcami była bardzo krwawą; liczne straty miał szczególnie baon pod komendą Lorschea.

Dnia 8 czerwca przedarliśmy się już do Łużan. Linja bojowa biegła opłotkami wsi i tak była dobrze maskowana, że szukając jej, wyszedłem gościńcem poza pozycje, aż jakiś poczciwy żołnierz pobiegł za mną i zawrócił mię, mówiąc: „Czy ksiądz kapelan ma zamiar Moskałom kazanie prawić, bo nasze pozycje są tuż za wsią“.

W Łużanach szrapnel rosyjski zabił ułana, cztery konie ze sztabu pułkowego, tudzież trzech ułanów ciężko ranił.

W Łużanach straciliśmy 8 zabitych. Lazaret polowy mieścił się w płonącej od 3 dni cukrowni, będącej własnością Towarzystwa Cukrowniczego w Przeworsku. Do czerwcowej spiekoty, tak przykrej dla rannych, łączył się żar od pożaru, olbrzymiego składu węgla i cukru, który palił się przez cały tydzień.

Następnego dnia zdobyliśmy Witelówkę, gdzie nas gościnnie przyjmowali państwo Pasakasowie.



Rańailowa — 3 p. p. leg. maszeruje na pozycje



Kompanja śląska por. Łyska (x) w okopach

11 czerwca wrzała gwałtowna i zacięta bitwa o Zadobrowkę, gdzie Rosjanie mieli doskonale wybudowane pozycje. W bitwie tej było kilkunastu zabitych i stokilkadziesiąt rannych Legionistów. Ciężko ranni pozostali w Zadobrowce, między innymi chorąży dr. Rytenberg. Zatrzymałem się tutaj również, aby spowiadać rannych i pogrzebać poległych. Pozostał tu także rotmistrz Wąsowicz, który czuł się chorym. Na pogrzeb Legionistów w Zadobrowce, podobnie jak i w Łużanach, przybyły tłumy miejscowej, prawosławnej przeważnie ludności, oplakującej młodych Legionistów jakby własne dzieci. W Zadobrowce przybył na pogrzeb również prawosławny proboszcz z całą procesją.

W bitwie pod Zadobrowką szczególnie odznaczył się baon Szczepana, któremu udało się otoczyć Rosjan i zabrać 500 jeńców. To miało duże następstwa. Wieczorem kawalerja pod dowództwem rotm. Brzezińskiego dotarła do rosyjskich, silnie odrutowanych okopów, zbudowanych na miejscu dawnych polskich szańców z wojen tureckich (mapa S. g.: alte Schanzen) i stwierdziwszy, że nie są obsadzone, zajęła je, a przez to zmusiła całą rosyjską linię do cofania się. Odnieśliśmy sukces nielada, bo zaoszczędzał on wiele krwi przy zdobywaniu nowych pozycji.

Szarża pod Rokitną.

12 czerwca wybrałem się z rotmistrzem Wąsowiczem i ppor. Poperem na front, który przez półtora dnia już się od nas znacznie oddalił. Wieczorem przyjechałem do Rarańczy. Rano odprawiłem Mszę św. w polskim kościółku i zaraz udałem się do lasku Bucz, gdzie stała komenda brygady. Na wschód od lasku na polu nad wzgórzem rokitniańskim w niedużym rowie strzeleckim spotkałem pułk. Kittnera, który po gen. Zaleskim objął komendę II. Brygady, któremu się zameldowałem, równocześnie przybył rotmistrz Wąsowicz.

Po chwili konnica stojąca wśród olbrzymiego ładu ślicznej koniczyzny dostała rozkaz siodłania koni. Za-

jęty swojemi sprawami, nie interesowałem się zbyt wiele ruchami taktycznymi, ale teraz zdziwiło mnie to, że ułani jadą konno na pierwszą pozycję. Wiedziony więc ciekawością wyszedłem na najbliższy pagórek. Ułani jechali spokojnie wśród doliny poprzez łąn złocistej bujnej pszenicy, sięgającej koniom po grzbiety. W powietrzu panowała zupełna cisza. Szwadron przejechał spokojnie dolinę i dostał się na skraj wsi po pod pagórek, na którego szczycie stały trzy wiatraki. Nagle od podnóża wzgórka zerwał się szwadron jakby stado spłoszonego ptactwa i pognął co sił w stronę wiatraków. Śliczny to był widok rozszalałych jeźdźców i koni, lecz równocześnie zawrzała straszna burza artylerji, karabinów maszynowych i ręcznych. Na nieszczęsny drugi szwadron spadł grad ognia i żelaza i to nie tylko od rosyjskiej, lecz także austriackiej artylerji, którą za późno zawiadomiono o szarży. Stoki pagórka i owe przeklęte wiatraki widać było wszędzie i wszyscy z namiętnymi nerwami śledzili przebieg walki. Ta podniosła chwila trwała zaledwie kilka minut. Pierwsi jeźdźcy spadają z koni, inni lecą przez nich naprzód, aż nareszcie wszystko niknie, tylko tu i ówdzie błakają się konie bez jeźdźców. Z daleka w tej ciężkiej chwili wymawiam słowa sakramentalne: *Ego vos absolvo a peccatis vestris in nomine Patris etc.* Burza złowrogiej artylerji i grzechot rosyjskich kulomiotów osłabł i ucichł.

Pułkownika Zielińskiego zrozpaczonego i przybitego spotkałem z adjutantem na ugorze. Mimo cechującej go surowości łzy padały mu jak groch z oczu. Stało się to wbrew jego woli. Brygadjer Kittner rwał sobie siwe włosy z głowy, kapitan Wagas był zdenerwowany do najwyższego stopnia, a raz danego i natychmiast wykonanego rozkazu nikt odwołać nie potrafi. Major Minkiewicz wymyśla głośno na Kittnera, że mimo jego meldunków o tem, że rosyjskie pozycje są odrutowane wydał rozkaz szarży kawaleryjskiej. Wszyscy dziwią się także rotm. Wąsowiczowi, że nie znając sytuacji, bo przed paru minutami przybył na pole bitwy, podjął się wykonania rozkazu. Padło 4 oficerów i 9 ułanów,

40 było rannych, reszta utraciła konie zaraz na początku ataku.

Wszystkie okopy i przeszkody z drutu kolczastego przeforsowało 3 ułanów, aby paść u celu bez duszy. Ciężko ranny ułan Jakubowicz, właściciel dóbr z Bukowiny, dostał się w ręce rosyjskie. Wy German? wypytawali go Rosjanie. „Nie, jestem Polak - Legionista“. A mnogo wy dostali wódki? „Zupełnie nie piłem“. To wy geroje, zakonkludował Rosjanin.

Szarża osiągnęła swój cel, gdyż Rosjanie mimo osiągniętego sukcesu, cofnęli się pospiesznie w głąb Bessarabji, na linię Chocima.

Szarża ta była piękną i bohaterską, ale w każdym razie niepotrzebną omyłką, gdyż to samo zadanie mogła lepiej i z mniejszem ryzykiem wykonać piechota po odpowiednim przygotowaniu artyleryjskiem.

15 czerwca odbył się na cmentarzu w Rarańczy pogrzeb poległych w szarży. Trumny stały rzędem, na czele trumna rotmistrza obwinięta polskim sztandarem. Na cmentarzu tem spoczywało już wielu naszych bohaterów z piechoty. Odprawiłem na cmentarzu Mszę św. i przemówiłem króciutko do zebranych: „Pomódlmy się za dusze naszych braci, którzy dowiedli, że polski żołnierz każdy rozkaz spełnić potrafi, chociaż mu wypadnie iść na pewną śmierć i prosimy Boga, aby krew ich na darmo przelana nie była“. Chórem zawtórowała brać legionowa, odmawiając Ojcie nasz i Zdrowaś.

W pogrzebie brał udział również komendant korpusu, do którego byliśmy przydzieleni, austriacki generał Corda.

Niedługo trwał nasz pościg za Rosjanami.

Już 16 czerwca natrafiliśmy pod Ryngaczem na silny opór, a dowództwo nasze przyszło do przekonania, że ani dalszy pościg, ani też zdobycie terenów jest niemożliwe z powodu fatalnego stanu dróg, więc też cofnęliśmy się na dawne stanowiska na granicy besarabsko-bukowińskiej.

17 czerwca Rosjanie widząc nasz odwrót urządzili za nami gwałtowny pościg. Najbardziej deptała nam po piętach jedna bateria polnych dział pod komendą oficera Polaka, który już w bitwie pod Zadobrówką dał się nam dobrze we znaki. Zdołał się on podsunąć pod nasze pozycje na jakie 300 kroków, lecz zaledwie ustawił działa, dostał się pod ogień naszych karabinów maszynowych i w paru minutach cała obsługa armat i koni leżała pokotem, a on sam z obserwatorem dostał się do niewoli ¹⁾. O pozostałe na międzypolu armaty zawrzała gwałtowna walka. Rosjanie przeprowadzili pięć gwałtownych ataków odpartych dziarsko przez naszych chłopców. Ostatni atak prowadził podpułkownik Iwan Gerasymowicz Kosykow, komendant 172 drużyny. Chciał on podstępem dostać się do naszych okopów, gdyż na okrzyk naszych chłopców „kidaj ruzie“ i „ruki w wierch“ część jego drużyny rzuciła karabiny. Większość jednak ciągnęła je za sobą skrycie. Chłopcy tego niezauważyli i przestali strzelać. Skoro mniemani jeńcy znaleźli się w naszych okopach wówczas Kosykow wyciągnął szablę i krzyknął „W pierod“. W tej jednak samej chwili najbliższy Legjonista rozpruł mu brzuch bagnietem. W masę ludzką, jaka się tam wytworzyła z Rosjan i z naszych zaczęły bić z flanki karabiny maszynowe, a na odsiecz pospieszył por. Dziekanowski z kompanją 2 pp. i niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Dzień ten nazwano w komendzie 7-mej armji „Polentag“. Przyniósł on 1002 jeńców i kilka karabinów maszynowych. Oprócz tego mnóstwo Rosjan poległo przy atakach.

Płk. Kosykowa, jeszcze dającego znaki życia, przenieśli jeńcy do lazaretu polowego. Na krótko przed śmiercią prosił mnie o odesłanie pieniędzy i papierów do jego żony, mieszkającej w Chocimiu. Z metryki ślubu wynikało, że ożenił się przed dwoma tygodniami

¹⁾ Ów porucznik jest obecnie pułkownikiem polskiej kawalerji, więc widocznie zapomniał urazy do ułanów, którzy mu bardzo wleźli za skórę.

właśnie w tem mieście. Prośbie stało się natychmiast zadość, a ciało jego pogrzebał miejscowy prawosławny proboszcz. Legioniści oddali w czasie pogrzebu honory wojskowe.

Na drugi dzień po pogrzebie przystali Rosjanie parlamentarza z prośbą o wydanie ciała i rzeczy żonie zmarłego, która przybyła z Chocimia, ponieważ jednak już było po pogrzebie i pieniądze wysłane, nie mogliśmy prośby wypełnić. Mieliśmy w tym dniu niebywale szczęście, bo w tak szalonym ogniu i mimo to, że nasze karabiny maszynowe po podstępie Kosykowa musiały strzelać do własnych okopów, utraciliśmy tylko jednego zabitego i 20 rannych.

19 czerwca wysłali Rosjanie parlamentarza zawiadomieniem, że chować będą poległych. Pogrzeb przy pomocy naszych sanitariuszy odbywał się przez dwa dni. Mimo, że nie było formalnego rozejmu, nie padł ani jeden strzał z żadnej strony.

17 czerwca rozstrzygnął o ustaleniu się naszego frontu na czas dłuższy. Zawrzały roboty techniczne, budowanie okopów, rowów dochodowych, łącznikowych, redut, schronów. Urządzaliśmy się coraz wygodniej, wplatając sypiące się ziemne ściany kosztami z wikliny.

Front nasz został nieco skrócony, gdyż część jego zajął batalion bukowińskiego legionu.

Mimo ustalenia się frontu walki trwały ciagle. Pozycje były oddalone od siebie o jakie 200 kroków. Najwięcej strat mieliśmy z tego powodu, że chłopcom sprzykrzyło się siedzieć w ziemi jakby krety i ciagle włączali się na powierzchnię ku irytacji pułkownika Ziełińskiego, który ciągle chodził po rowach i napędzał chłopców do okopów.

Dnia 20 czerwca w niedzielę miało być nabożeństwo tuż za pozycjami, ale nas wyśledził rosyjski obserwator i artylerja nieprzyjacielska zaczęła tak celnie strzelać, że żołnierze musieli się rozproszyć, a ja musiałem kazanie przerwać, czem prędzej zwinąć ołtarz

polowy i także dać drapaka, szczęśliwy, że jeszcze nie zacząłem Mszy św. Mimo ognia nieprzyjacielskiego mieszkańcy Rarańczy pracowali spokojnie na polu koło ziemniaków i kukurudzy. 23 czerwca wpadł ciężki granat w ziemniaki tuż obok pracującej kobiety, lecz nie wybuchł. Ta, po niedługim namyśle, nie chcąc mieć takiego gościa w ziemniakach, z wielkim trudem podniosła go i przyniosła na bliski nasz punkt opatrunkowy i opowiadając, że jeszcze ciepły położyła go koło naszej ziemianki.

Zdumienie ogarnęło biedną kobietę, gdy zobaczyła, jak wśród złorzeczeń, skierowanych pod jej adresem, wszystko się rozbiega i ucieka od prezentu, który ona przyniosła w zapasce. Granaty takie wybuchwały często bez powodu nawet po dłuższem leżeniu, więc ostrożność była i w tym wypadku wielce wskazana.

Dnia 23 czerwca zawrzały gwałtowne walki. Został zabity mój krajan i daleki krewny Nawrocki z komp. technicznej. Wielu było rannych. Najwięcej cierpieli ranni w brzuch, których nie można poruszać z miejsca przez trzy dni pod grozą natychmiastowego zapalenia otrzewnej i niechybnej stąd śmierci. Rannego takiego po zabandażowaniu zostawiano zawsze tam, gdzie padł, okopując go dookoła, celem ochrony przed kulami. W wielu wypadkach wśród ognia nieprzyjacielskiego, spowiadałem tych biedaków, skazanych na śmierć prawie pewną. Czasem jednak i z tych opresyj ranni wychodzili szczęśliwie. Podpor. 2 pp. Jaster, został na pozycji ranny w brzuch; okopano go więc dookoła i pozostawiono na polu. Pilnujący pana wiernie ordynans podał mu usłużnie przesadną wiadomość, że się cofamy, a on, jako ciężko ranny, musi zostać na polu. Wówczas Jaster dobył resztki sił i przycisnąwszy silnie ranę ręką, dowlóknął się wbrew wszelkim regułom medycyny do najbliższej chaty, a po kilku dniach przyszedł do siebie, mimo zapalenia otrzewnej. Ocalenie zawdzięczał tej okoliczności, że przed zranieniem był głodny, bo cały dzień znajdował się w ogniu i nie miał czasu na jedzenie.

Jeszcze w maju zostałem przeniesiony z 3 p. piechoty do Komendy Legionów na miejsce przydzielonego z armji austriackiej kapelana ks. Tomaszewicza, który przeniósł się do szpitala w Kamieńsku. Ponieważ jednak byłem sam jeden w Drugiej Brygadzie, więc brygadjer Kittner oświadczył, że mnie nie puści, aż na moje miejsce przybędzie inny kapelan.

Z początkiem lipca przybył ks. Antosz, kapelan 2 p. p. Zacząłem przygotowywać się do drogi, co mi nie szło jednak zbyt łatwo, gdyż ze swoim 3 p. p. i Drugą Brygadą wojsk żyłem się przez ten rok krwawych trudów i niebezpieczeństw i trudno mi było oderwać się od koła przyjaciół. Przed odjazdem chciałem jeszcze spełnić obowiązki wobec poległych i bryczką objechałem wszystkie nasze pobojewiska w Galicji i na Bukowinie. Ze szczupłych funduszy, zbieranych wśród oficerów i żołnierzy, postawiłem dębowe krzyże z napisami na grobach w Rarańczy, Mamajowcach, Łużanie, Sołotwinie, Bohorodczanach, a w innych miejscach, to jest w Nadwórnej, Zielonej, Rafajłowie i Mołotkowie uprosiłem miejscowych obywateli o zajęcie się naszymi grobami. Jak się później dowiedziałem, powstały piękne pomniki kosztem miejscowej ludności, a staraniem ks. Sorysa w Nadwórnej i Pasiecznej.

Dnia 17 lipca wróciłem na pozycje; równocześnie dostałem z Krakowa długo oczekiwany transport moich książeczek do nabożeństwa dla Legionistów, które na pożegnanie rozdałem wszystkim żołnierzom. Mała, w formie notesu książeczka, oprawna w szarą ceratkę, podobała się ogólnie.

19 lipca wyjechałem z pułku z wielkim żalem, aby się wybrać w inne, a nieznane mi jeszcze strony i między przeważnie nieznanymi ludźmi, a pocieszałem się tą myślą, że wkrótce zobaczymy się wszyscy razem na terenie Królestwa, gdyż ciągle nadchodziły radosne wieści, że lada dzień, wszystkie oddziały Legionów zostaną połączone w jedną nierozdzieloną całość.

X.

Na nowy posterunek. Pochód przez Królestwo.

Ze stacji Czerniowce wyjechałem 19 lipca wieczorem. Na świeżo zdobytym terenie galicyjskim koleje krążyły z szybkością żółwia. Już w Kołomyji opuściłem pociąg osobowy, gdyż miał się tam zatrzymać kilka godzin, a pojechałem z jakimś transportem wojskowym, dzięki czemu dostałem się 20 lipca po południu do Stanisławowa.

Tutaj znowu czekanie parugodzinne. Ludność miejscowa dopytywała się pilnie o krewnych i znajomych Legionistów.

W zachodniej Galicji podróż można było już odbywać w szybszem tempie, to też niebawem przez Kraków dostałem się na granicę Królestwa, która przed wojną dla każdego księdza polskiego z Galicji była zamknięta jak brama Sezamu, a dla II. Brygady przedstawiała złudną nadzieję i szczyt marzeń.

Wyłącznie obcy język panujący na kolejach pod niemieckim zarządem, napisy na stacjach pisane w jakimś kameruńskim narzeczu: Sombkowizy (Ząbkowice), Rospscha (Rozprza), Tschenstochau podziały na mnie jak kubek zimnej wojny. Postanowiłem też nie zatrzymać się i nie zwiedzać Częstochowy, dopóki nie zniknie ten wstrętny szyld rozpierającej się pruskiej buty. Dziwny naprawdę mają Niemcy dar zyskiwania sobie zawziętych nieprzyjaciół.

W Piotrkowie nie zastałem już Komendy Legionów, która przed 2 tygodniami wyjechała na front z I. Brygadą i 4 p. p. Zgłosiłem się w Komendzie Grupy L. p. u pułk. Grzesickiego, który mnie na własną rękę przydzielił do formującego się w Rozprze 6 pp. Zameldowałem pułkownikowi, że mam inny rozkaz z Komendy Legionów p. i że ten rozkaz muszę wypełnić. Niemniej jednak w najbliższą niedzielę, udałem się do 6 pp., gdzie wcale nie było kapelana i odprawiłem dla pułku nabożeństwo, tudzież wygłosiłem kazanie o obowiązkach żołnierza polskiego. Po nabożeństwie rozdałem żołnierzom kilkaset książeczek do nabożeństwa. Na sumie miałem kazanie do licznie zgromadzonego ludu o obowiązku miłości ojczyzny i o jedności narodu polskiego. W 6 pp. spotkałem wielu znajomych z drugiej brygady, którzy przenieśli się do nowotworzących się pułków, tudzież wielu oficerów z I. Brygady, między innymi majorów Wyrwę, Frugalskiego i Ryłskiego.

2 sierpnia wyjechałem z Piotrkowa i znowu musiałem jechać naokoło przez Katowice (gdzie jakiś Polak ucieszył się niezmiernie, że widzi po raz pierwszy Legionistę, żołnierza polskiego) Kraków, Dębicę do Rozwadowa. Właśnie wrzała gorączkowa robota koło budowy kolei Rozwadów-Lublin, zbudowanej w czasie wojny przez Rosjan, ale też przez nich w czasie odwrotu zupełnie zrujnowanej. Z Rozwadowa do Kraśnika jechałem koleją aż 3 dni, a jestto zaledwie odległość 38 km. Na szczęście w Kraśniku kolej się kończyła, a w austriackiej Komendzie etapu dostałem do spółki z 3 austriackimi oficerami podwodę, którą szczęśliwie dostałem się do świeżo zajętego Lublina, a ponieważ Komendy Legionów już tam nie zastałem, natychmiast więc udałem się w dalszą drogę i dopędziłem sztab 7 sierpnia w Wólce Krasienińskiej. Zameldowałem się u generała Durskiego w chwili przełomowej walki pod Ożarowem. Zaraz też podążyliśmy naprzód. Na folwarku ożarowskim zobaczyłem po raz pierwszy brygadjera Piłsudskiego i przedstawiłem mu się jako referent spraw duszpasterskich przy Komendzie Legionów.

Sztab Piłsudskiego wyglądał imponująco, chociaż trochę dziwacznie, gdyż oprócz oficerów i personelu brygady, otaczał go szwadron gwardyjski zwany husarzami czy też dragonami w olbrzymich napoleońskich czakach okrągłych, podobnych do szerokiej konewki, obróconej dnem do góry. Obok folwarku był staw, a za nim ciągnęły się bagna pomiędzy Samokłeskami a Kamionką. Rosjanie ostrzeliwali silnie granatami staw i bagna, przez co powstawał piękny widok olbrzymich wodotrysków.

I. Brygada przy ataku na Samokłęski straciła 1 oficera i kilku żołnierzy koło drogi, prowadzącej w stronę Kamionki, 4 pułk atakował miasteczko Kamionkę, zdobywając kolejno folwark Bratnik i wieś Kozłówkę, ze ślicznym, pełnym arcydzieł malarstwa i rzeźby pałacem. Ponieważ atak ten przeprowadzony został przez majora Roję w bardzo szybkim i silnem tempie, Rosjanie nie mieli czasu palić ani pałacu w Kozłówcę, ani też Kamionki i sąsiednich wsi, chociaż na prawo i lewo wszędzie świeciły łuny pożarów, za co nam hr. Zamoy-ski i ludność niezmiernie byli wdzięczni.

Na polach Kamionki, Brotnika i Kozłówki poległo 15 Legionistów. Większość z powodu braku czasu pochowano tam, gdzie padli, a tylko 3 pochowano na miejscowym cmentarzu.

Oddziały nasze w tej ogólnej fali ofenzywnej maszerowały po 25—30 km. dziennie wśród ciągłych bitew, a bez żadnego spoczynku.

9 sierpnia nocowaliśmy w Chudowoli; ponieważ kapelan 4 pp. ks. Gilewicz odjechał do 6 pp., więc objąłem również obowiązki kapelana pułkowego 4 pp., a w wolnych od marszu chwilach pracowałem nad obrobieniem regulaminu służbowego dla kapelanów legionowych i stałych norm do prowadzenia aktów stanu cywilnego, gdyż dotychczas nie mieliśmy żadnych przepisów ani druków metrykalnych, a austriackie wzory z niemieckim językiem urzędowym wobec odmiennych u nas stosunków prawnych były nieodpowiednie. Kapelani I. Bry-

gady nawet dotychczas metryk śmierci nie prowadzili i dopiero na moje energiczne przedstawienie u bryg. Piłsudskiego, sprawę tę oddano kapelanom. Naturalnie, że dokładne uzupełnienie metryk po roku wojny było już niemożliwe, ale przy usilnej pracy ks. Ciepichała, Lenczowskiego i Żytkiewicza dało się jeszcze wiele rzeczy uzupełnić.

10 sierpnia przeszliśmy Wieprz pod Łysobykami, które zdobył 4 pp. i pomaszerowaliśmy przez folwark Annopol do Bronisławowa, gdzie nam wypadł nocleg.

11 sierpnia przybyliśmy przez Oszczepalin do Woli Cieżko. Ludność przysłuchiwała się naszej rozmowie, dziwiąc się, że po polsku mówimy, gdyż straszono, że przyjdą Niemcy, którzy wszystkich wyróżną. Gdy się jeszcze dowiedziano, że w Legjonach są i księża katoliccy, rozwijały się języki i zaczęły się skargi na to, że Moskale pozabierali krowy i konie a płacić obiecywali aż w Brześciu litewskim. Rosjanie uprowadzili także z tej okolicy wszystkich chłopców w wieku popi-sowym, a nawet i dziewczęta zabrali do robót fortecz-nych do Brześcia.

12 sierpnia maszerowaliśmy przez szereg spalonych wsi. W Sobolach na zgłiszczach domów spotkaliśmy płaczące kobiety i dzieci; mężczyzn uprowadzili Ro-sjanie.

Na wschód począwszy od Sentek wiele wsi niespa-lonych. Ludność opowiada, że zawdzięcza swoje oca-lenie Żołnierzom Polakom z wojska rosyjskiego, którzy nie tylko nie wykonali rozkazu podpalenia lecz bronili ludność przed rabunkiem ze strony kozaków. Była to „Polska Strzeleckaja Brygada“ czyli drużyny Gorceyń-skiego; nakłaniali mieszkańców do pozostania we wsi i zapewniali ich, że nadejdą Legjoniści, którzy są do-brymi Polakami, nikomu krzywdy nie wyrządzą. Cie-kawe jednak, że nigdy oko w oko Legjoniści z owymi Strzelcami się nie zetknęli. Być może, że się to zda-rzyło, lecz strzelcy niczem zewnątrznie od żołnierzy rosyjskich się nie różnili, więc trudno było rozpoznać.

Chłopi w tej okolicy są bardzo bogaci, a oświata stoi dość wysoko.

13 sierpnia. Przez Zakrzew i Gąsiorzyce przybyliśmy w południe do Kakolownicy. Jechałem wózkiem tuż za piechotą i zajechałem od razu na plebanję. Proboszcz był przerażony, bo zaledwie przed chwilą oddalił się patrol kozacki, a komenda rosyjskiej dywizji wyjechała przed paru godzinami. Gdyśmy rozmawiali zajechał na plebanję sztab nasz i tutaj się rozgościł, przygotowując plany do dalszego ataku jeszcze w tym dniu. Wyszedłem z proboszczem do ogrodu, gdzie mi pod sekretem jako konfratrowi zwierzył się, że przed kilku dniami bawił z Legionistami Gorczyńskiego w twierdzy w Brześciu. Nagle ustawiona koło kościoła bateria polówek dała salwę. Przerażony ks. proboszcz przewrócił się ze strachu na ziemię. Zdawało mu się, że już ginie, zastrzelony przezemnie za moskalofilskie przekonania. Sytuacja byłaby bardzo zabawną, gdyby nie to, że bitwa toczyła się faktycznie i Rosjanie nie pozostali dłużni odpowiedzi. Ich artylerja pracowała bardzo energicznie.

Po chwili jednak proboszcz przyzwyczał się do huków dział i przekonał się, że ani ja, ani nikt inny nie ma do niego ani za dawne, ani nawet za obecne przekonanie polityczne najmniejszej pretensji. Po ukończonej bitwie pozwolił nawet zaprosić siebie na naszą skromną, wieczerzę.

14 sierpnia weszliśmy na teren niedoszłej gubernji chełmskiej. Chłopi w Żakowoli i Worzach opowiadali nam, że rosyjskie napisy graniczne gubernji i tablice gminne malowali i przybijali na słupach sami popi i pisarze gminni, bo nikt nie chciał tego wykonać, a popi chcieli koniecznie, by wkraczający nieprzyjaciel zastał fakt dokonany oddzielenia gubernji chełmskiej słupkami malowanymi w kazonny deseń.

W sławnym z rzezi w czasach prześladowania unji Drelowie otoczyła nas ludność z prośbą o oddanie im zabranego przez Rosjan kościoła. Prośbie stało się za-

dość. Legjoniści otworzyli kościół, a kapelan 1 pp. ks. Ciepichałł odprawił tam Mszę św.

Mieszkańcy Drelowa opowiadają, że prawie wszyscy prawosławni wyjechali do Rosji, gdyż popi głosili, że kto przyjedzie, dostanie tam za darmo ziemi, ile będzie chciał. Pop Drelowski miał nawet spis wsi w gubernji czernichowskiej, do których prawosławną ludność miano przesiedlić. Z prawosławnych pozostali w domu tylko ci, którzy mają krewnych katolików i uważają się za Polaków.

16 sierpnia obchodziliśmy pierwszą rocznicę powstania Legjonów. Jako delegaci N. K. N. przybyli do nas pp. Starzewski i hr. Morstin. W dniu tym gościliśmy w dworze żerocińskim u p. Przytulickich. Żerocin przechowują Legjoniści obok Mołotkowa w miłych wspomnieniach.

Dnia 17 sierpnia stanęliśmy w Leśnej, obok olbrzymiego po paulińskiego klasztoru, zamienionego na żeński klasztor prawosławny, którego celem było szerzenie prawosławia przez wychowywanie nauczycielek i nauczycieli prawosławnych, rekrutowanych z ludności miejscowej i przez zakładanie szkół cerkiewnych.

Również ten kościół otworzyliśmy i po poświęceniu oddaliśmy miejscowej katolickiej ludności.

Na nocleg stanęliśmy w Konstantynowie, majątku hr. Platerów. Katolicka parafia powstała tutaj dopiero w r. 1905, posiada śliczny kościół, dużą plebanję i około 4000 parafjan. Przed edyktem tolerancyjnym należeli oni do „uporstwujuszczych“ a zapisani byli przymusowo, jako prawosławni. Cerkiew prawosławna ma także ślady niedawnej polskości i unji, a na drewnianym krzyżu obok cerkwi wyraźnie znać niebardzo dawny napis polski „Zbaw lud twój, Panie“.

Kwaterowaliśmy na plebanji. W dworze stał sztab dywizji węgierskiej. Hr. Krasicki, oficer ordynansowy naszego sztabu, stara się usilnie o zaprowadzenie w dworze, należącym do jego bliskich krewnych, jakiegoś ładu, ale pokazuje się, że służba niszczy wszystko

i kradnie w zмовie z honwedami, jak to i poprzednio czyniła w zмовie z kozakami.

Z Warszawy nadeszły wiadomości o demonstracji socjalistycznej z czerwonym sztandarem na cześć Piłsudskiego, który miał się zameldować jako komendant Legionów; Niemcy zażądali, by w dwie godziny opuścić Warszawę.

19 sierpnia stajemy nad Bugiem w Pawłowie. Włościanin, Franciszek Wojczuk opowiada mi, że wczoraj pytali go kozacy: „Gdzie polskaja granica?“ Odpowiedział im, że gdzieś koło Kijowa. Na to strapieni kozacy: „Pa Bug budiem odstupať — bolsze niet“.

Myśmy również myśleli, że Rosjanie będą bronić linii Bugu. Nasze oddziały pędziły już przeszło miesiąc, robiąc wśród krwawych wojennych manewrów po 25—30 kilom. dziennie. Kilka więc tygodni czy choćby dni pozycyjnej walki uśmiechały się każdemu. Powiadaliśmy sobie: „Nad Bugiem koło Brześcia postoiśmy sobie z miesiąc“, a tu Rosjanie sami opuścili linię Bugu i dnia 20 sierpnia przeszliśmy po moście pontonowym na ziemię litewską.

Cała rzeka pokryta była rybami, które zostały przez Prusaków dynamitem masowo zabite, a niezjedzone gniły.

Już jesteśmy na Litwie, wkraczamy w jej gościnne progi, jak niegdyś Legjoniści Dąbrowskiego. Te słowa biegły z ust do ust chłopców i napełniały wszystkie serca. Pierwszy nasz etap przypadł w Niemirowie, miasteczku pięknie położonem nad Bugiem, ale nasz pobyt tutaj był krótki, gdyż zaraz wybraliśmy się w dalszym pościgu do wsi Krynki, wsławionej rzezią unitów w 1842 roku przy kasowaniu unji na Litwie. Nie zastaliśmy we wsi żywego ducha; wszystka ludność uciekła czy też została wywieziona, lecz w domach i stodołach pełno było zboża młóconego i w snopach. Każde wojsko jest lekkomyślne i nie bardzo szanuje wspólnej, a tem bardziej cudzej własności, ale te masy zboża, bydła, świń i koni, które zostały zniszczone na Litwie i na Woły-

niu podczas ofensywy 1915 r. mogły wystarczyć na długi czas na wyżywienie dużej armji.

Nocleg w Krynkach 21 sierpnia był fatalny z powodu ulewy tak dojmującej, że mimo dobrego namiotu zmokłem jak mysz. Przez Zarzecze, gdzie podziwialiśmy doskonale wykończone rosyjskie okopy, przyszlismy do Makarowa, kozackiej kolonji, również zupełnie pustej. Po krótkiej, ale gwałtownej bitwie (na krótkim odcinku było 87 dział), pomaszerowaliśmy przez Wysoko Litewskie do Raśnej.

Dnia 22 sierpnia dostaliśmy wiadomość o zdobyciu Kowna (400 dział) i Modlina (700 dział).

Walki przybierały gwałtowny charakter. Mieliśmy 4 zabitych i kilkunastu rannych. W Raśnej znajduje się kościół ewangelicki i plebanja. Akta prowadzone po rosyjsku, książki stare polskie, nowsze rosyjskie i niemieckie.

Po przełamaniu frontu posuwamy się dalej. Jechałem razem ze szefem sanitarnym Rogalskim i zapędziwszy się zadaleko, dostaliśmy się pod gwałtowny ogień nieprzyjacielski, wobec czego cofnęliśmy się na noc do wsi Kaszczaniki, gdzie zastaliśmy nasz sztab. Wieczorem ukazała się na południowym zachodzie łuna wielkiego pożaru. Twierdziłem, że na nasze umartwienie Brześć się poddaje, chociaż nikt nie chciał w to wierzyć, co jednak było faktem.

Dnia 28 sierpnia maszerowaliśmy z Polinówki przez Wojsko, Minkiewicze do Łyszczy, gdzie nocowaliśmy na zgliszczach ślicznego polskiego dworu. W całej okolicy zupełnie pustki. Za ledwie można spotkać gdzie staro dziada lub wiekową babę.

Dnia 29 sierpnia wypada niedziela. W południe przeszliśmy Bug z powrotem po moście prowizorycznie odbudowanym i przyszlismy do Malowej góry, znajdującej się już na terenie Królestwa. Z daleka widać było śliczny lecz rozsadzony minami kościół. Wieża spadła zupełnie, część sklepienia się zawaliła, na dachu nie pozostała ani jedna dachówka, ale wśród poszar-

panej granatami fasady stała nienaruszona figura N. M. P.

Ludność witała nas nadzwyczaj serdecznie. Na wiadomość, że z Legionistami przybył również ksiądz, zeszła się tłumnie ludność do rozwalonego kościoła, gdzie po usunięciu przez Legionistów części gruzów, odprawiłem nieszpory i wygłosiłem kazanie do ludu na temat psalmu nieszpornego: „Pan sługi swoje z niewoli wybawi, I dla nich wieczny testament zostawi, Sąd Swój rozciągnie po całym świecie, I nieposłuszne narody zgniecie“.

Po nieszporach ochrzciłem dziecko, które trzymał kapitan Kleeberg, zastępca szefa sztabu.

Zakrystja nie uległa wprawdzie niszczącemu działaniu granatów, ale wszystkie urządzenia zostały zniszczone ręką żołdacką. Jednak wszędzie bywają ludzie, bo w zakrystji znalazłem przybitą do szafy kartkę z napisem: „*Bitte die heiligen Sachen schonen, wir sind ja Deutsche, keine Barbaren*“.

Po nieszporach ludziska otoczyli mnie tłumnie wkoło i zaczęli wywodzić swoje skargi, żale, opowiadać ciężkie przejścia stare i nowe. Przed r. 1905 nie było tu urzędownie katolików, chociaż wszyscy za katolików się uważali i po polsku mówili. Śluby brali w Krakowie, w Leżajsku, albo też zaprzysięgali sobie dozgonną miłość i wierność aż do śmierci wobec starżyzny, na co zresztą było zezwolenie Ojca św. Po patencie tolerancyjnym wszyscy gromadnie przeszli na łono Kościoła i wybudowali śliczny kościół, stanowiący ich radość i chlubę i oto nieszczęście spadło na nich. Ks. Proboszcz już w czasie bitwy wyjechał gdzieś do sąsiedniego miasta i spodziewają się lada dzień jego powrotu. Kozacy namawiali ich do opuszczenia wsi, a później chcieli ich do tego zmusić, ale odpowiedziano im: „Gdy wszystko spalicie, my zostaniemy choćby na popiele, jednak na swoim własnym, a po cudzych kątach tłuc się nie będziemy. Pop z rodziną naturalnie dawno



Korpus oficerski Grupy pułk. Hallera w Kołomyji w roku 1915

wyjechał, ale 5 rodzin prawosławnych, które tutaj mają krewnych, pozostało we wsi.

Dnia 30 sierpnia o godz. 5 rano odprawiłem Mszę św. w kościele; mimo wczesnej pory kościół był pełen ludu, który Legionistów żegnał serdecznie i błogosławił nam na dalszą drogę.

Zwiedzamy po drodze świeżo zdobyte forty Brześcia Litewskiego; wyglądają imponująco, urządzenia, zdaniem znawców, doskonałe. Tu i ówdzie widać skutki działań zdobywczej artylerji, ale forty nie są do tego stopnia uszkodzone, by się z nich nie można było bronić. Grobów rosyjskich spotykamy bardzo mało. W jednej z kazamat znaleźliśmy jeszcze zapasy ziemniaków i kapusty, chociaż to było już po wyprzątnięciu fortów przez zdobywcze oddziały.

Dnia 31 sierpnia przez Kęty, Lemuszki, Międzyki przybyliśmy do miasteczka Sławatycze, które w całości uległo zniszczeniu. Zaledwie po przedmieściach zostało kilka domostw i stodół. Prusacy umieścili w obu kościołach katolickich starym i nowym tudzież w cerkwi prawosławnej szpitale. Ornaty, kapy, alby zostały podarte i porozrzucane po śmieciach; według opowiadania naocznych świadków Anny Mikołajewskiej i Tekli Łowczanki, żołnierze niemieccy powyrzucali z kościoła obrazy i krzyże, nadto przebierali się w szaty kościelne i razem z żydami urządzali drwiny z najświętszych uczuć katolickiej ludności, która przez sto lat skutecznie broniła swej wiary przed zakusami prawosławia. Ja sam widziałem aparaty kościelne, walające się w błocie.

Poszedłem do niemieckiego komendanta lazaretu A. O. K. Nr. 3, ale ten z furją wpadł na mnie za „mieszanie się do cudzych interesów“, więc zrobiłem pisemne doniesienie do władz niemieckich przez Komendę Leg. Polsk.

Po długim marszu przybyliśmy do Włodawy, gdzie nam obiecywano kilkudniowy odpoczynek. Miasteczko bardzo pięknie na pagórku położone, przepełnione ucie-

kinierami, którzy masowo powracają do domu z niepotrzebnej wycieczki na pińskie błota. Wśród tłumu tu i ówdzie słyszać lamenty, to zawodzą chłopci i baby, gdyż żołnierze niemieccy z 11 i 55 p. piechoty zabrali konie, wozy, chleb, a samych z dziećmi zostawili na gołej drodze, dziesiątki mil od mieszkań, które ci biedni ludzie pozostawili, pędzeni jak owce, naporem burzy wojennej. Spisałem protokolarnie kilka wypadków z podaniem świadków i udałem się znów do niemieckiej komendy placu.

Tutaj kapitan niemiecki był bardzo grzeczny i gdy mu przedłożyłem protokoły, tudzież kwit rekwizycyjny z napisem „*Der Zettel ist dein und Schwein ist mein — Lustiger Deutsche*“ kiwał mocno głową i tłumaczył mi: „*Ja, es ist Krieg und die Legionäre müssen auch was essen*“.

Na uwagę, że to zgoła nie byli Legjoniści, lecz żołnierze niemieccy i że w protokołach podane numera pułków odpowiedział mi szorstko: „*Es ist also nicht Ihre Sache, deutsche Soldaten sollen sie nicht interessieren!*“

Przekonałem się, że i pisemne doniesienia nic nie znaczą, że człowiek poprostu musi umieć jeszcze na dłuższy czas zaciąć zęby, ale przecież na świecie Bóg i Sprawiedliwość istnieją.

Dnia 3 września przeprowadziliśmy się znowu na drugą stronę Bugu, na Polesie Wołyńskie. Droga prowadziła przez olbrzymie piachy nad jeziorem pulemickim i Switezią. Okolica dziwnie malownicza, chociaż krajobraz składa się tylko z trzech elementów: piasek, woda, sosna. Nocowaliśmy we wsi Switezi położonej na wydmie ponad jeziorem. Gdy promienie zachodzącego słońca zapaliły taflę jeziora rubinowym światłem, zdawało się, że stado białych gęsi płynie wśród ognia. A to płynęły głupie gąski do brzegu, nie wiedząc, że tu śmierć czeka na nie w postaci chytrego Leguna z ostrym bagnetem.

Ludność Switezi przeważnie pozostała na miejscu, nie spodziewali się nawet wogóle zobaczyć jakiegokol-

wiek wojska w tem piaszczystem wodnem ustroniu bez żadnych dróg.

Ze Switezi do Lubomla prowadzi szosa, kończąca się ślepo w jednej i drugiej miejscowości. Tym dziwnym skrawkiem dobrej drogi maszerowaliśmy ponad górnym biegiem błotnistej Prypeci, podziwiając na prawo i lewo od grobli całe mile błota i moczarowatych łąk i oparzelisk, pokrytych tu i ówdzie stertami siana, które można zabrać tylko w zimie.

Luboml, miasteczko małe i brudne, ale pamięta dawne czasy i chlubi się kościołem fundacji królowej Jadwigi, bardzo piękną bóżnicą, wreszcie sukiennicami z XVI. wieku. Pułki rozłożyły się w miasteczku, a nasz sztab stanął gościną na plebanji u ks. Ginoffa.

Był to nasz ostatni jeszcze spokojny etap po marszu na nowy front, świeżo przez Rosjan przełamany koło Łucka i Kowla. Ponieważ bardzo wiele wsi w parafji Lubomlskiej zostało opuszczonych, a zawierały one wielkie zapasy zboża i różnej żywności, przeto po odbyciu konferencji z ks. proboszczem przedstawiłem gen. Durskiemu projekt ogłoszenia rozkazu celem zapobieżenia rabunkowej gospodarce, że opuszczonemi gospodarstwami mają zarządzać komitety gminne, które kontrolować będzie komitet parafjalny.

Do kościoła, mimo bliskości frontu i obrzydliwej słoty, zebrały się tłumy ludu polskiego. W niedzielę miałem nabożeństwo dla Legionistów, a na sumie kazanie do ludu, nauczając go o jedności Narodu polskiego, którego główną podstawą jest wiara katolicka, udzieliłem też dokładnych wskazówek, jak się ludność ma zachowywać wobec różnych wojsk, ażeby uniknąć nieprzyjemności, krzywdy lub szkody. Gdy po sumie zacząłem „Boże coś Polskę“ cały lud zawtórował wśród łkania. Pieśni tej nie słyszano tu publicznie od r. 1863, a jednak wszyscy umieją ją śpiewać z tak rzewnem zabarwieniem melodji.

Wszędzie po drodze wśród powyrzucanych z cerkwi aktów wyszukiwałem rzeczy, potrzebnych mi do poznania stosunków na Wołyniu, ale duszę Poleszuka z jej głębokimi tajnikami i zagadką zakulisowej polityki żandarmsko-cerkiewnej otworzył mi ks. Ginoff, który na Polesiu spędził długie lata, kilka zaś razy odsiadywał rosyjską tiurmę za „niebłagonadiożność“. To też poznanie ks. Ginoffa niezmiernie ułatwiło mi dalszą pracę na Wołyniu.



XI.

Walki na Polesiu wołyńskim.

Ponieważ Kozacy przedarli się na zachodni brzeg Stochodu, rozsypali się po całym prawie Polesiu, więc już od Lubomla maszerowaliśmy marszem ubezpieczonym.

5 września przyszliśmy do Maciejowa, niegdyś zupełnie polskiego miasteczka o 3 kościołach, a dziś lichej

Ideowe i dyscyplinarne stosunki w I Brygadzie strzeleckiej Piłsudskiego, która się stale odżegnywała od nazwy legionowej, najlepiej opisuje sam Komendant Piłsudski w artykule „Czeremoszno“, oraz jego adjutant Stachiewicz w artykule „W Kowlu“. — Artykuły te pomieszczone są w „Wspomnieniach legionowych“, Warszawa, „Ignis“ 1924. Dla orientacji czytelnika przytaczam tu kilka wyjątków. Julian Stachiewicz str. 105.

„Prześliśmy już granicę ziemi polskiej (to jest rzekę Bug, wrzesień 1915). Miesiąc temu padła Warszawa i ofenzywa państw centralnych dobiegła kresu już na terenach, które mogły być krańcem naszych marzeń (sic!). Spełniliśmy zatem nasze zadanie; z bronią w ręku uczestniczyliśmy w wypchnięciu Rosjan z ziemi polskiej. — Kończyła się nasza rola wojenna i nie mieliśmy powodu dalej krwi przelewać, skoro dalsza walka dla umożliwienia życia i pracy zaboru rosyjskiego, stawała się zbędną...

„Przeszkody w pracy rzucane pod nogi (Komendanta) przez niewolników i samolubów, bywały tak potężne, że wypaczały na każdym kroku twórczą myśl polską zabagniając ją w życiu publicznym kompromisem... a w życiu żołnierza stwarzając kondotjerską doktrynę rzekomej dyscypliny wojskowej, która miała polegać na ślepym posłuchu wobec każde-

żydowskiej miejsciny. Śliczny kościół w stylu odrodzenia z XVI. wieku przemieniono na cerkiew w r. 1875, a dwa inne kościoły klasztorne uległy zupełnej ruinie i dziś służą żydom na składy różnych rupieci.

6 września. Przybyliśmy do Kowla, brzydkiego żydowskiego miściscka, które stanowiło centrum handlowe tej okolicy i posiada bardzo ważny węzeł kolejowy. Przed wojną było koło 30.000 tys. mieszkańców przeważnie żydów; cerkwi jest aż 7 chociaż prawosławnych w mieście było zaledwie 4 000, a obecnie tylko koło 30 dusz, Polaków przed okupacją było 2000, obecnie 200. Natomiast parafia katolicka jest dość liczna, bo należy do niej olbrzymi obszar z porozrzucanymi polskimi kolonjami opartymi na długoletniej dzierżawie. Duszpasterz miejscowy ks. Szuchajski, przebywa w Kowlu od r. 1866, a od roku 1870 jest proboszczem.

7. września. Komenda Legionów otrzymała rozkaz ufortyfikowania Kowla. W naszych oddziałach pojawiła

go, bardziej ugważdżonego kołnierza, choćby nosił go wróg... C. i K. Komenda Legionów była instytucją, przez wysokie c. i k. władze austriackie do skierowania bandy legionowej (sic!) na drogi tak właśnie pojętego czaru życia wojskowego powołaną.

To też kiedy w maju 1915 r. Komenda Legionów zjechała do Piótrkowa, nie przywożąc ze sobą porzuconej, w obcym kraju na Bukwinie czy Bessarabji II Brygady, rozpoczęły się od razu tarcia między Komendą Legionów, a Komendantem Piłsudskim.

„... Komendant poszedł na rozstrzygnięcie tego skandalem. — Mam wrażenie, że Komendant chciał doprowadzić do „wylania“ go z Legionów.

Jeszcze dosadniej maluje stosunki w I Brygadzie strzeleckiej oraz owe zatargi z Komendą Legionów sam Komendant Piłsudski w rozdziale „Czeremoszno“, str. 105.

„Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historii naszej. Ze śmiechem mustym myślę, jak za parę godzin w szanownej K. und K. Komando von Legionen, dziko otworzą oczy na wiadomość, że cała brygada odmaszerowała w pościgu za Kozakami i że zatem wychodzi z nod jej łaskawej opieki... Czuje wciąż na sobie oczy żołnierzy i oficerów. Jest w nich zapytanie, marsz ten jest dla nich niespodzianką.

się cholera, zaczęło się więc na gwałt szczepienie surowicy antycholerycznej.

Dnia '8 września, 4 pułk piechoty zajął Krzeczwice i Gołoby, gdzie Legjoniści mieli budować umocnienia polowe. Ponieważ do robót fortyfikacyjnych nie można było dostać robotników, zabrano do roboty kilka tysięcy żydów z Kowla. Komisarzem Kowla dla spraw ludności cywilnej został zamianowany por. dr. Liebermann. Na sądny dzień gen. Durski zwolnił żydów od roboty, co ich tak ośmieliło, że w najbliższy szabas poczęli uciekać z roboty. Skutek był taki, że jeden żyd został zastrzelony przez eskortę.

Z Kowla wybrałem się na front do 4 pp. i przybyłem do Gołab; zamieszkałem u ks. proboszcza Maciejowskiego. Kościół murowany, bardzo stary z bardzo ładną wieżą olbrzymiej wysokości tak, że ją widać doskonale kilka mil dookoła. Major Gałca, por. Śluszkiewicz i dr. Bobrowski o mało nie wpadli w ręce pa-

Oficerowie salutują i udając powagę, dają znać, że wiedzą o co chodzi; Żołnierze nie udają nic i starają się z twarzy Komendanta wyczytać odpowiedź na pytanie, które sobie stawiają... Kasztanka nie lubi tłumu i towarzystwa. Kiwa wesoło łysym łbem, omija starannie najmniejszą kałużę, nie chcąc zabłoczyć pończoszek, parska, jakby mówiła, „a ja wiem“.

„Wreszcie jestem sam na drodze... Żadnych oczu nie czuję na sobie, żadnych pytań do mnie skierowanych..... Bo ja mogę wiedzieć, co właściwie będzie? Ileż razy wściekałem się na to głupie pytanie... im człowiek jest głupszy, tem bardziej szuka pewności tam, gdzie żaden rozumny człowiek pewny nie jest...“

Wczoraj „Rzuciłem wściekły rozkaz o ziemię, wyrzuciłem za drzwi oficera z K. u. K. Komando legjonowej, który mi je przyniósł. Sosnkowskiemu, o którego duszę już chytrze się targowano, nęcąc go karierą, kazałem zachorować. Odmówił mi zastąpienie mnie w dowodzeniu brygadą, kazałem mu więc wyjechać na tyły i robić jakieś głupstwa w głupiej Warszawie. Wbrew wszystkim rozkazom kazałem wymaszerować gdzie oczy poniosą, ku nieprzyjacielowi. Będę się psiawiara charatał z Kozakami sam, bez tych Kościuszków w obcych mundurach.

troli rosyjskiej, gdyż bez broni wyszli na pola oglądać miejsce pod przyszłe okopy.

Dnia 13 września wśród polskich chutorów jechałem do Mielnicy, gdzie była komenda 4 pp. Mielnica była również niegdyś polskiem miasteczkiem, a kościół został zamieniony w r. 1870 na cerkiew i pomalowany wewnątrz i zewnątrz na zielono, aby świadczył wobec wszystkich, że Mielnica, to „istotno ruskie“ miasto.

Nad jeziorem wznosi się wysoko wieża stanowiąca resztkę dawnego polskiego zamku. Miasto straszliwie brudne i mimo długotrwałej posuchy, grożącej wysuszeniem pińskich błot, w Mielnicy można się utopić w błocie tak na rynku jak i w bocznych ulicach.

Czwarty pułk zdobywał Hulewicze, miasteczko mające dużą fabrykę szkła, trzy razy, ale musiał się cofać, gdyż nie miał oparcia na północnym skrzydle o I Brygadę, gdyż ta odmówiła wykonania rozkazu Komendy Legjonów i została na zachodnim brzegu Sto-

„... Dusi mnie pasja jakaś i wściekłość, i z tej wizyty mojej w Warszawie.... i z tego, że te malczyki, idący posłusznie za mną w zwartych szeregach, nie chcieli zwolnić mnie od tej mordęgi. Awantura! Mają więc awanturę razem ze mną — Idziemy dzisiaj w niewiadomą przyszłość, połamawszy wszystko, co jest rozkazem w wojsku, co jest służbą na wojnie....

„Opanowuje mnie jakieś rozleniwienie, nie chcę myśleć ani rozmawiać.... odkładam wszystko na później....

„Za chwilę opada mnie „banda“, jak ją nazywam sztabowa.... Wszyscy są zadowoleni, skandal w Kowlu ich podnieca,... idziemy wszyscy razem na awanturę.

„Dosyć tego, Komendancie, woła gruby doktor, my chcemy być żołnierzami. Dosyć Komendant nas trzymał w cuglach.... my chcemy być żołnierzami, chcemy rabować, gwałcić. Już niech sobie Polska? już ją mamy za plecami, niech sobie pieści się z nowym „naszym“, ale tu dość tej cnoty...

„Zmarszczyłem się i zawołałem: — „Dyżurny oficer do mnie“.... „Poruczniku, dobitnie rozkazałem zmarszczony — dostarczyć ma pan jedną żydówkę, może być i stara, dać ją doktorowi, ma ją przy panu zgwałcić. Wykonanie zameldować“.

chodu. Straty 4 pp. były dość liczne: 14 zabitych, w tem por. Tęcza Kondycki, kilkudziesięciu rannych, a do niewoli dostał się wskutek przyparcia do bezdennych błot Stochodu por. Wasung z 2-ma karabinami maszynowymi. Po dłuższych zmaganiach 4 pp. utrzymał się w Hulewiczach, lecz został przeniesiony na inny odcinek koło Kolek, a pozycje jego objął 1 pp. pod komendą mj. Śmigłego.

Wyszukanie zwłok poległych wśród bagien Legjonistów, przedstawiało bardzo wielkie trudności. Można było je pozbierać dopiero teraz, gdyż przedtem wążka grobla prowadząca przez bagnisty Stochód była przez Rosjan ostrzeliwana dniem i nocą.

Po pogrzebie udałem się z 4 pp. do Paulinówki. pięknego polskiego dworku koło Miryna, który przedstawiał się nam jak cudowna ilustracja do zaściankowych powieści Kaczkowskiego.

„Wybrałem dobrze. — Doktor żonkoś... bał się żony. osłupiał —

„Dlaczego ja?“

„Wyście tu inicjatorem, a ja na pewno Pani waszej to opowiem“. — Wszyscy buchnęli śmiechem.

„Jak na złość, gdym się już przygotował do snu, szanowna K. u. K. Komando dała znać o sobie. Do Czeremoszna zjawił się oficer z zapieczętowaną kopertą, którą mi wręczył. Pamiętam, chwilę kopertę trzymałem w rękach, nie rozpieczętowując jej. — Dziwne, myślałem — gdybym się był nie lenił i wyjechał do Smolar, koperta by tu leżała, czekając na mnie, a ja bym spokojnie dalej był swobodnym. W kopercie znalazłem depeszę od Arcyksięcia, dowódcy Armji z rozkazem, bym jak najprędzej przyjechał do Łucka, do jego kwatery. Zaśmiałem się. Depesza była skutkiem mego skandalu, którym w Kowlu zrobił... Zdecydowałem się jechać zaraz... Jeszcze kładąc się spać, gdym wydał rozkazy, by Śmigły komendę objął i Stochód jednak forsował, w tym czasie, kiedy ja do Łucka pojadę, myślałem ze śmiechem przekory, że los dał mi wygraną nad moimi chłopcami...“

Legjony zostały przydzielone do nowoutworzonego korpusu kawalerji gen. Hauera. Ponieważ zaś sztab korpusu jeszcze nie był zorganizowany, służbę więc pełnił sztab nasz tj. Komenda Legionów Polskich.

Dnia 15 września wyszedł rozkaz Komendy Legionów Polskich, piętnujący kilkakrotnie niespełnienie rozkazu operacyjnego przez I. Brygadę jako „warcholstwo“, przynoszące nieobliczalne szkody i dla życia żołnierzy i dla sprawy narodowej. Oburzenie w Brygadzie bardzo duże, krążą wieści, że zgromadzenie oficerów I. Brygady zebrane w Kowlu, uchwaliło jako odpowiedź, rozwiązać I. Brygadę i rozejść się do domów. Do wykonania uchwały podobno nie dopuścił podpułk. Sosnkowski. (vide J. Piłsudski „Czeremoszno“).

18 września. Zwiedziłem szpital na „Górze“, gdzie leżeli chorzy na cholere. Legionistów spotkałem 10; przychodzili już do zdrowia.

Po odprawie wewnętrznej 20 września, korpus oficerski Komendy Legionów Polskich, tudzież delegaci korpusu oficerskiego 4 pp. zastanawiali się nad stanowiskiem, jakie się ma zająć wobec biernego oporu uprawianego przez I. Brygadę. Wywiązała się bardzo żywa dyskusja, w której rej wodził kap. Wyrostek i dr. Liebermann. Dr. Liebermann stwierdzając niewątpliwy nietakt w zachowaniu się I. Brygady, pochwalał jednak jej solidarność i bezwzględne oddanie się Piłsudskiemu. Dr. Wyrostek atakował gwałtownie całe postępowanie I. Brygady. Wobec różnicy zdań co do sposobu załatwienia kwestji, sprawę pozostawiono nierozstrzygniętą. Szósty pułk p. przyjechał na front, a z 4 i 6 pp. uformowano III. Brygadę, której komendę objął pułk. Grzesicki.

Przez dawną hulewicką groblę, na której już się tyle krwi połało, pomaszerowaliśmy do Trojanówki. Tutaj z powodu braku oficerów przy Komendzie Legionów Polskich spadł na mnie obowiązek pełnienia

funkcji oficera prowiantowego oddziałów sztabowych i technicznych, tudzież t. zw. menażmajstra czyli gospodyni sztabu. Wprawdzie już próbowałem tego fachu na początku wojny, ale teraz w czasie ofensywy, wśród bagnistych lasów Wołynia, nie był to obowiązek przyjemny.

Kasę i inne skarby a przedewszystkiem dość obfita trafikę oddałem pod baczną opiekę mego wiernego towarzysza niedoli, leg. Wicka Latonia, który mi towarzyszył od Kołomyji.

Dnia 28 września stanęliśmy w Czersku. Jestto prawie czysto polska wieś. Mieszkańcy — typowe Połeszuki, z długimi włosami grubo smarowanymi masłem, w postołach z łyka wierzbowego i brunatnych świtkach. Przynależą do parafji Hołoby, dokąd mają trzy mile. W czasie wojny ksiądz proboszcz tylko bardzo rzadko mógł do nich przyjeżdżać. Po nabożeństwie zacząłem nauczać jak mają się zachowywać, by się żadnemu wojsku nie narazić niepotrzebnie na prześladowanie i jak bronić swojej własności przed bezprawnym rabunkiem żołnierzy, wśród których dość często trafiają się ludzie nieuczciwi. Przed kościołem pogwarzyłem sobie z ludźmi jeszcze jakieś półgodzinki, opowiadając im o naszej polskiej ziemi, naszych nadziejach i obawach. Mieszkańcy tutejsi trudnią się przeważnie hodowlą bydła, połowem ryb. Lud nadzwyczaj krępy i zdrowy. Mimo niskiej kultury (przeważnie świecą po domach łuczywem, wszędzie używając hupki i krzesiwa), świadomość narodowa i religijna stoi dość wysoko. Główną zaś zaletą puszcz polskich jest to, że do takich zakątków, jak Czersk jeszcze nie zdołały dotrzeć żydowskie karczmy. Od Czerska odbijają bardzo silnie sąsiednie polskie kolonje. Lud ubrany z miejska, domy przeważnie murowane (mimo taniości drzewa) z dwoma oknami, podłoga itp. kulturalnemi urządzeniami.

Koloniści owi przeważnie z zachodnich gubernij Królestwa, siedzą na gruncie dzierżawnym, gdyż prawo nie pozwalało im jako Polakom kupować ziemi na własność. Mimo to mają się doskonale i uważają się za coś wyższego od miejscowych polskich czy też chachłackich muzyków w wierzbowych postołach, których parę można nabyć za dwie kopiejki.

Oddziały niemieckie ciągną od Pińska na południe do kolei. Podobno ma być podjęta ofenzywa w Serbii.

Tegoż dnia przybyliśmy przez Gorodok do Maniewicz, ale po kilku godzinach cofnęliśmy się z powrotem do Gorodka. Obie te wsie są prawie zupełnie puste. Gdzieś po zaułkach ukryło się jeszcze nieco staruszków, a w Maniewiczach trochę żydów. Wszystko co zdrowe i silne, uciekło z dobytkiem z Rosjanami lub pochowało się w bezbrzeżnych lasach.

26 września. Patrol ułańska została w kolonii Końskie otoczona przez Kozaków i zupełnie zniesiona. Zginął chorąży Pruszyński i kilku ułanów z 6 szwadronu.

Przez kilka dni trwały ciągłe utarczki z Kozakami w lasach na wschód od Maniewicz.

29 września. Przez polskie chutory Końskie i Prechrest'e dostaliśmy się do Wołczecka, położonego już niedaleko linii Styru, do której mamy na razie dotrzeć. — Wprawdzie Wernyhora przepowiada, że granicą Polski będzie Horyń, ale na razie po ciągłych marszach wśród bagnistych lasów, przydałby nam się odpoczynek i nad Styrem.

30 września. Szósty pułk piechoty zajął Bolsze Miedwieże nad brzegiem Styru. Nasze oddziały zajęły również Kościuchnowkę, Sobieszyn i Kołodę, wypierając wszędzie Rosjan za rzekę.

Walki o posiadanie linii Styru toczyły się ze zmiennością szczęściem. Kozacy przedzierali się ciągle bagnistymi lasami na nasze tyły, zmuszając nas do odwrotu.

W Maniewiczach austriaccy dragoni na wieść o cofaniu się podpalili cały szereg domów; eksplozje nabo-

jów pozostawionych przez żołnierzy w domach, sprawiały wrażenie silnej potyczki, to też nasz tren sztabowy przypuszczając, że Maniewicze zajęte, tak się zaszył w lasy, że go było trudno odszukać.

Front nasz biegł dnia 3 października prostopadłe do linii kolejowej, opierając się o stację Maniewicze. Komendant 6 pp. major Ryłski z całym sztabem, kapelanem i lekarzem cofnął się razem z trenami aż do Czermosna za Stochodem. Pułkownik Grzesicki trzyma się bardzo blisko frontu, robiąc wiele uwagi godnych zdjęć fotograficznych.

Sytuacja żywnościowa wskutek ciągłych walk na nieustalonym froncie, stawała się wśród bagnistych lasów, coraz gorsza. Zgłodniały szwadron ułanów, który stał koło jeziora Bezimiennego, przechodząc do rezerwy, odwiedził nas i objadł doszczętnie.

Nareszcie jednak 7 października zjawiała się część naszego taboru. Biedni taboryci pocieszali się w czasie odwrotu dość intensywnie, gdyż dość obficie zaopatrzona spiżarka strasznie schudła, a wszystko wino w drodze wyciekło!!!

Walki w bagnistych lasach trwają dalej.

Dnia 10 października przeszliśmy do rezerwy. Przez Iwanówkę pomaszerowaliśmy do miasteczka Hulewicz. Ludność tutejsza przeważnie polska. Samych robotników fabrycznych Polaków jest około 700. Żyją oni w strasznej nędzy z powodu braku pracy. Ratuja się ziemniakami i zbożem, które zebrali na opuszczonych polach sąsiednich prawosławnych wsi. Na wyspie Stochodu, w ślicznym położeniu, stoi stary przepiękny kościół w stylu późnego odrodzenia. Został on skonfiskowany w r. 1875 przez Rosjan i zamieniony na cerkiew prawosławną. Przed kilku laty ks. biskup Żarnowiecki, który tutaj miał prymicje, zatrzymał się przed bramą skonfiskowanego kościoła i wygłosił do ludu kazanie, przepowiadając, że jeszcze doczekają się w swoim miasteczku katolickiego nabożeństwa. Na prośbę

miejscowej ludności, postanowiłem kościół zwrócić katolikom. Po półgodzinnej pracy, znikły ze świątyni wszelkie ślady prawosławia, a zdumionym oczom ludu ukazał się dawny kościół z przepięknem barokowem malowidłem. Nawet i ołtarze łatwo było przywrócić, gdyż były one zwyczajem późnego baroku malowane na ścianach i Rosjanie ich nie usunęli, ale zastawili ikonostasami.

Dnia 11 października odbyło się uroczyste poświęcenie kościoła w obecności naszego sztabu, liczego tłumu katolików i zastępu Legionistów. Po Mszy św. ochrzciłem kilkoro dzieci. Ojcami chrzestnymi byli Legioniści.

W menaży 6 pp. 14 października, gdzie byłem zaproszony na podwieczorek, zjawił się major Fabrycy z I. Brygady i wygłosił swoje credo polityczne. Brzmiało ono tak: „Najgorszy z diabłów jest ten, który poradził Polakom tworzyć Legjony. Są one nieszczęściem większem, niż rok 1863. Cała odpowiedzialność spada na tych, którzy stworzyli ruch niepodległościowy, a wy, panowie, poszliście tylko za nami. My czujemy naszą odpowiedzialność i przekleństwo, które spadnie na nas ze strony społeczeństwa. Dlatego chcemy naprawić nasz błąd i ręczę, że za miesiąc od dnia dzisiejszego Pierwsza Brygada istnieć nie będzie“.

W swej skromnej ciekawości zainterpelowałem p. Fabrycego, kogo on rozumie pod szumnem nazwiskiem patentowanych twórców ruchu niepodległościowego. Dowiedziałem się, że ludzi, którzy winni dźwigać ciężar przekleństwa za swój wynalazek, jest bardzo mało, a to Piłsudski, Sosnkowski, Fabrycy, Trojanowski, Januszajtis i paru innych, których nazwisk nie zdołałem spa-miętać.

Ośmieliłem się przeczyć, twierdząc, że ruch niepodległościowy nigdy nie przestał istnieć od czasów Kościuszkowskich i wypływa z ogólnego położenia i duszy całego narodu, a nie kilku jednostek. Poprosiłem

też p. Fabrycego, by pozwolił mi część przekleństwa, jakie spada na niego, wziąć na siebie, gdyż od dziecka zawsze marzyłem o niepodległości Polski, a zdaje mi się, że było i jest w Polsce setki tysięcy gorących niepodległościowców, którzy przed wojną nie słyszeli nigdy nie tylko o panu Fabrycym, lecz nawet o Piłsudskim.

Moja argumentacja wywołała żywe oburzenie p. majora Fabrycego. Zakonkludował on poważnie: „My po długiej i ciężkiej pracy, po wielu przykrych doświadczeniach naszą sprawę likwidujemy. Za parę dni I Brygada przestała istnieć, jeżeli się ktoś czuje na siłach, niech się weźmie do dalszej roboty“.

Rosjanie przełamali 21 października pod Komorowem linię austriacką i zajęli przyczółek mostowy Kulikowicze prawie bez strzału, zabierając do niewoli 35 000 żołnierzy Czechów. W nocy wpadli na tyły odcinka niemieckiego i zadali Prusakom wielką klęskę, zabierając po zacieklej walce wiele ciężkich armat. Na froncie utworzyła się luka, którą miały zapchać Legjony Polskie. Zostaliśmy przydzieleni do korpusu niemieckiego, gen. Gerocka, co wobec nieżyłczego dla nas stanowiska, gen. Hauera, było dla nas pomyślną okolicznością.

Nasze oddziały zajęły 22 października Jabłonkę borową i Jabłonkę wielką, Okońsk i Dołżyce, jednak oddziały rosyjskie jeszcze włóczyły się po lasach, a front nie został ustalony, lecz pokręcony w różne strony.

Pod Okońskiem o mało nie dostałem się do niewoli rosyjskiej razem z prowiantami, które wiozłem na moim malutkim wózek. Ocaliła mnie szybka ucieczka do Jabłonki. Do naszego sztabu został przydzielony przez Gerocka jako oficer łącznikowy, niemiecki rotmistrz Speit. Miał on dziwną przygodę, gdyż zatrzymany w nocy przez Legjonistów słowami: „Stój, kto idzie?“ — podniósł razem z swoimi ułanami ręce do góry i poddał się do niewoli.

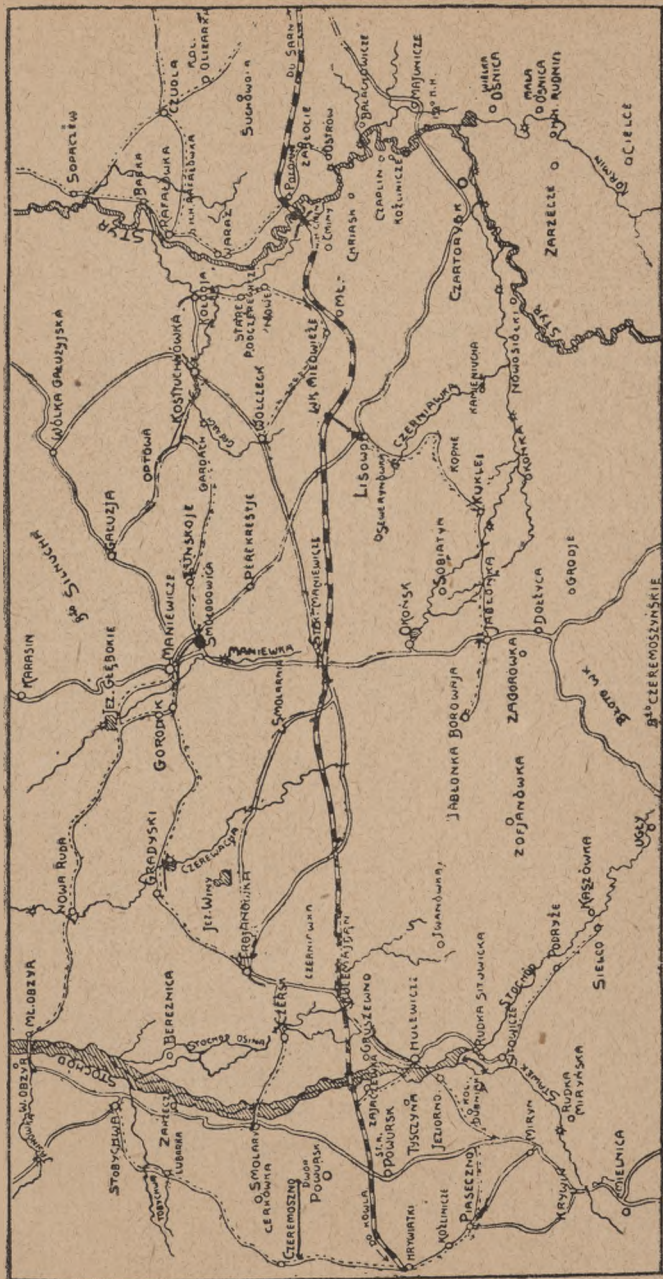
Oddziały nasze stoczyły dnia 23 października zawziętą walkę o Kukle, które stanowią klucz pozycji, zajętych w ostatniej rosyjskiej ofensywie. — Jabłonka była pełna rannych, bardzo wiele rannych w brzuch i głowę, dużo wypadków śmierci. U wylotu wsi założyłem cmentarzyk dla naszych bohaterów. Przez nasz punkt opatrunkowy przechodziło także dużo rannych Polaków z wojska niemieckiego.

Po długich i ciężkich zmaganiach pozycje rosyjskie zostały przełamane, a Gerock wydał rozkaz głoszący: „den tapferen Eroberern von Kukli dreifaches Hurra“. Nadchodzą zewsząd depesze gratulacyjne, że Legioniści naprawili błąd dwu dywizyj i uratowali sytuację, która groziła bardzo przykremi komplikacjami.

Podczas obiadu rotmistrz Speit postawił kilka butelek szampana, by uczcić nasze zwycięstwo. Ponieważ nie miałem ochoty pić zdrowia Wilhelma, przegrupowałem się do kuchni. Speit, który z poprzednich rozmów znał moje przekonanie, że chcę całej i wolnej Polski, ale że gdyby przyszło do wyboru, wolę Moskali niż Niemców, wyszukał mnie w kuchni i sprowadził z powrotem do jadalni słowami: Sie können doch in diesem Momente auch einen deutschen Sekt trinken.

Dnia 25 października zawrzały gwałtowne walki o Kamieniuchę i Budkę. Także w lasach za Kukłami Rosjanie stawiali gwałtowny opór. Pobojowisko w Kukłach wyglądało strasznie. Pierwszy raz w życiu widziałem taką masę trupów, były to przeważnie ofiary poprzednich walk z 21 października. Całe pola zasłane były pruskimi pikelhaubami, na niektórych bagnietach widniał znak poddania się: biała skrwawiona chusteczka, lecz wszystko leżało martwe, ciała gwałtownie się rozkładały.

Najstraszniejszy widok był koło dworku Kopno, gdzie widocznie chronili się ranni. Dwór rozbity grana-



Teren walk II Brygady na Wołyń

tami, pełen trupów, na które z porozbijanych ścian patrzyły święte obrazy również poszerpane kulami i portrety rodziny Cieleckich. Legjonistów padło także bardzo wielu, bo około setki. Grzebanie umarłych szło uciążliwie. Nie miał kto kopać grobów, tak, że trzeba było schować stulę do kieszeni, a wziąć rydel do garści i naśladować biblijnego Tobiasza.

W pustej chacie zastałem 2 ciężko rannych Rosjan i jednego nieboszczyka. Ciężko ranny w nogę płakał wołając: *Pomilujcie zawiązku. Pomilujcie zawiązku.* Kawalek suchara połknął z łapczywością zgłodniałego wilka. Sąsiad ranny w głowę, lecz przytomny, prosił również o jedzenie, dałem mu kawalek suchara. Próbował jeść, lecz rozbity mózg i czaszka, takie mu wskutek wzruszenia sprawiły bóle, że jak furjat zgrzytając zębami, rzucił się na leżącego obok niego nieboszczyka.

Wieczorem rozszalała bitwa na nowo. W zakładzie sanitarnym spotkałem „patentowanych niepodległościowców“ Trojanowskiego i Fabrycego, którzy lekko zachorowali i szli na tyły.

Dnia 26 października Rosjanie cofnęły się za Styr. Legjoniści wzięli wielu jeńców, odbili również jeńców austriackich z 11 dywizji.

Dnia 27 października przybyła na Wołyń II. Brygada. Z wielką radością spotkałem dawnych moich znajomych, idących na pozycje.

Wśród huku dział obchodziliśmy w Jabłonce rocznicę bitwy mołotkowskiej. Nabożeństwo połowe odprawilem na świeżym cmentarzyku legjonowym, bardzo ładnie urządzone przez porucznika Michałowskiego.

Przy końcu nabożeństwa zjawił się nad Jabłonką rosyjski aeroplan. Kompanja biorąca udział w nabożeństwie, dała do niego salwę i aeroplan począł natychmiast opadać, a po chwili sprowadzono zepsutą maszynę i wzięto do niewoli 2 lotników, z których jeden został ciężko ranny.

Przy przesłuchaniu oficer zapytany, dlaczego rzucał bomby na naszą piekarnię polową, powiedział: aby sobie ulżyć ciężaru.

Dnia 30 października wybrałem się do drugiej grupy Leg. Polskich, walczącej w sile 4 batalionów pod komendą Piłsudskiego i Roji pod Koszystczami. Droga przez Dołżyce, Gradye, Kołki była nadzwyczaj uciążliwa, gdyż błoto wszędzie po osie; zaledwie miejscami można było znaleźć kawałek lepszej drogi czy raczej bezdroża pomiędzy sosnami.

W Kołkach spotkałem na plebanji u miejscowego ks. proboszcza, dawnego znajomego, ks. Ranizewskiego, katechetę z Sambora, który służy przy wojsku jako kapelan austriacki. Nasz Oddział w szpitalu przepełniony chorymi i rannymi.

Pozycje czwartego pułku pod Koszystczami wybudowane znakomicie. Kwatera komendanta to wprost pałacyk wkopany w pagórek piaszczysty. Składa się z dwu pokoi, kancelarii i kuchni, zaopatrzony w prawdziwe okna z szybami i piecykami okopowymi. Ziemianka naturalnie była zawsze przepełniona, bo mieściła cały sztab pułkowy. Gdy się rozpoczęła wieczorem strzelanina, przekonałem się, że ziemianka nie jest jednak tak bezpieczna, bo kule przechodziły przez ścianę, na szczęście tuż pod samą powalą.

Dnia 1 listopada miałem nabożeństwo i kazanie na pozycjach 4 pp. Podczas nabożeństwa kilka kul zabręczało mi koło ucha, ale na szczęście nerwy mam już zahartowane. Po nabożeństwie wybrałem się do Brygadiera Piłsudskiego, gdyż mimo urgensów, dotychczas nie odano kapelanowi I. Brygady prowadzenia metryk. Przedstawiłem Brygadjerowi stan prawny tej kwestji, że mianowicie tylko kapelani mogą prowadzić prawomocne metryki, tudzież że Wikarjat Apostolski urguje jak najszybsze wykonanie tej sprawy i Piłsudski wydał odpowiednie rozkazy do podległych mu oddziałów.

Z ks. Lenczewskim udałem się do komendy 5 pp., gdzie poznałem majora Berbeckiego i wielu oficerów 5 pp., z którymi dotychczas się nie znałem.

Po powrocie zastałem komendę Legionów w Wołczeku, z którego pozostało po poprzednich walkach załedwie parę nędznych chałup. Nie bardzo żałowałem swojej poprzedniej kwatery: miała nieprzebrane mnóstwo pluskiew. Ale nocleg pod cieniutkiem namiotem w śnieżystą listopadową noc także nie należał do przyjemności. Nad Styrem gwałtowne walki.

Dnia 3 listopada, Rosjanie przerwali front na odcinku c. i k. 21 Brygady pomiędzy Kostuchnowką a Optową.

Zamiast uroczystości imieninowych gen. Karola Durskiego, mieliśmy od rana gwałtowną bitwę. Ciężki granat rosyjski padł tuż obok naszego sztabu. Rosjanie zajmują wzgórza panujące nad Wołczekiem i okolicą. Do kontrataku posłano 1 baon 3 pp., który wprowadzono z pozycji koło Bieglowa. Spotkałem kap. Tarkowskiego, komendanta baonu i gwarzac o dawniejszych lepszych czasach, poszedłem z bataljonem pod same pozycje, nieprzeczuwając co się stanie z całym bataljonem za kilkadziesiąt minut. Chcąc obserwować przebieg walki, poszedłem na stanowisko obserwatora artylerji. Przez doskonałą lunetę widać było każdy ruch oddziałów biegnących tyraljerą do ataku i zapadających co chwila na ziemię. Mimo kociej zwinności z jaką Legjoniści podkradali się skokami pod nieprzyjaciela.... kontratak na wzgórze się nie udał. Pozycje rosyjskie były silnie wybudowane, odrutowane i obsadzone karabinami maszynowymi. Wśród straszego ognia straciliśmy koło 70 zabitych, między innymi zginął komendant baonu Tarkowski, komendanci kompanji kap. Łysek, por. Zaleski, chorąży Lejczak, rannych było koło 250, a część dostała się nawet do niewoli. Jako *curiosum* oglądałem karabin ma-

szynowy z oddziału por. Lewickiego, który wykazywał ślady trafienia przez 130 kul karabinowych nieprzyjacielskich. Naturalnie był pokiereszowany zupełnie.

Następny baon 3 pp. wstrzymał wprawdzie nieprzyjaciela, ale sytuacja była bardzo przykra, a przede wszystkim bardzo bolesna, bo straciliśmy masę wytrawnych karpaczków, a przeważnie Ślązaków i górali, którzy dla swego żelaznego zdrowia i wytrwałości byli chlubą 3 pp. Serce mi się krajało, gdy na placu opatrunkowym zobaczyłem w nędznej szopie i na dworze wśród pluty jesiennej wielu ciężko rannych dawnych moich znajomych i przyjaciół. Pod ścianą na noszach leżał kilkunastoletni Legionista ciężko ranny w brzuch. Znekany przykrem widokiem tylu rannych, zrazu nie poznałem go, dopiero po spowiedzi on sam zapytał mnie, czy go sobie przypominam z Karpat; był to Bartuś Murmyo, który w Karpatach dokazywał cudów waleczności i sprytu. „Muszę umierać tu na tych błotach zdaleka od swoich“. Począłem go pocieszać nadzieją, że wkrótce wyzdrowieje, odpocznie sobie w szpitalu, i znów do nas powróci, ale on spokojnym głosem odrzekł: *„wiem na pewno, że jeszcze dziś umrę, bo widziałem wielu tak samo rannych, ale proszę księdza, proszę mi powiedzieć, czy będzie Polska?“*

Łzy stanęły mi w oczach na widok tego szlachetnego jak kryształ chłopca, którego życie spaliło się na ołtarzu Ojczyzny i rzekłem pełen nowej otuchy: Będzie z pewnością, a ty pamiętaj, gdy będziesz w niebie modlić się do Boga, by skrócił dni naszej męki.

Śmierć Tarkowskiego, którego wszyscy kochali dla jego zacnego charakteru i żywiołowej wiary w bliskie zmartwychwstanie Polski, tudzież śmierć twardego, a szlachetnego Ślązaka Łyska, wywołała w całej II Brygadzie prawdziwy żal i duże przygnębienie. — Na ich bratniej mogile postawiłem duży dębowy krzyż

z napisem: My krew i życie niesiem w dań, tylko ojczyźnie z grobu wstań“.

Dnia 6 listopada rozpoczęły się przygotowania do nowego kontrataku, nadciągnęło wiele artylerji i piechoty. Po zaopatrzeniu chorych w lazarecie polowym, udałem się na pozycje 3 pp. Pozycje strasznie nędzne; małe pojedyncze jamki pełne wody. Rosjanie mieli z wyżyn pagórka kostiuchnowskiego doskonały punkt obserwacyjny i w razie najmniejszego poruszenia zasypywali nas granatami. Z trudem odnalazłem jamę komendanta pułku, Minkiewicza. W wilgotnej, malutkiej jamie, mającej jakieś 1½ metra długości i szerokości, mścił się komendant pułku, adjutant, telefon i ordynans alarmowy, a wszystko to nakryte z góry płachtą z jednego namiotu. Z nastaniem zmroku wracała z pozycji kuchnia, której się tu udało przyjechać nad ranem. Przyłączyłem się do niej. Ledwie ujechaliśmy kilkanaście kroków, otoczyły nas z przodu i tyłu białe-czerwone obłoki szrapneli rosyjskich. Naturalnie dałem natychmiast drapak co siłą by się oddalić od kuchni i skryłem się do rowu, chociaż był pełen śnieżno-błotnej rugi i śledziłem dalsze losy zasypywanej granatami kuchni, która się nigdzie skryć nie mogła: nastraszone konie pędziły co siłą, a zimnokrwisty kucharz z reutońskim sorwtem iak zając, wymykał się rosyjskiemu obserwatorowi, robiąc fałt na prawo, to znowu fałt na lewo. Wrócił szczęśliwie do domu obryzany silnie błotem od wybuchających granatów.

Drugi pułk piechoty, stojący koło Lisowa i Bielgowa miał bardzo duże straty, a Januszajtis o mało nie dostał się do niewoli razem z całym pułkiem, gdyż Rosjanie zabrali prawie bez strzału c. k. 9 i 10 pułk piechoty. Nasza kolumna sanitarna stała w Sewerynowce, naszych rannych oddawano do austriackiego Zakładu sanitarnego, który się ulokował w cerkwi w Lisowie. Rannych bardzo dużo, niema ich gdzie pomieścić, bo cerkiew już przepełniona; zmarłych chowano zaraz pod cerkwią.

8 listopada. Odwiedziłem nasz zakład sanitarny, stojący w Sewerynowce, położenie było fatalne, gdyż od frontu dość daleko, a droga bardzo zła.

9 listopada. Rozchodzą się wiadomości, szerzone przez wziętych do niewoli Rosjan, że dr. Matczyńskiego i kilku innych oficerów wziętych przedwczoraj do niewoli, Rosjanie powiesili. (W rzeczywistości Matczyński uciekł z niewoli i wstąpił do legionów Gorczyńskiego).

Ponieważ na froncie trochę się uspokoiło, wybrałem się na pobożowisko, aby wśród bagnistych zarośli pomiędzy Lisowem, Bielgowem i Podgatiem wyszukać poległych. Jechałem z początku ostrożnie swoim małym wózekkiem, przemykając pomiędzy krzakami, a ośmielony ciszą, puściłem się drogą; nagle coś zaszeleściało, słaba eksplozja granatu i z odległości 50 kroków zaczął pełzać zielonawo-żółty gad, wyciągając swe wstrętne macki na wszystkie strony. Zrozumiałem: Trujący granat gazowy. Zrozumiał to i Wcek, zrozumiały nawet i siwki i całym natężeniem wszvstkich sił wialiśmy do najbliższego lasu. Za sobą posłyszałem jeszcze dwie podobne eksplozje, ale pouczony przykładem żony Lota, mimo bardzo ciekawego widoku, nie oglądałem się, aż w bezpiecznem oddaleniu, zakryty ciemnością lasu, gdzie Wcek z flegmą starego Leguna, oświadczył mi: „Proszę księdza, ja wiedziałem, że to granaty gazowe, ale nie chciałem księdza straszyć“.

Dnia 10 listopada. Od świtu były energiczne przygotowania do ataku. Sto armat, od połówek — do haubic najcięższego kalibru stało w pogotowiu. Udałem się znowu na obserwatorium artylerzyckie, skąd można było doskonale obserwować bitwę, która się miała odegrać na stokach blizkiego pagórka, będących kluczem do pozycji nad Styrem.

Punktualnie o godz. 8 rano, zawyły wszystkie armaty. Powietrze przepelnione było hukami, szelestem,

trzaskiem wystrzałów, eksplozji i warczących złowrogich żelaznych ptaków, pędzących w stronę nieprzyjaciela. Polska góra, tak nazwano tę bezimienną górę, zlaną obficie polską krwią, pokryła się cała dymem, buchała ciągle ogniem eksplozji. Koncert trwał półtorej godziny, potem wszystko nagle ucichło, a przyczajone do ziemi Leguny, znowu skokami zerwały się do ataku, znacząc mimo dnia, swój pochód świetlnymi rakietami, które były sygnałem dla własnej artylerji.

Atak poszedł bardzo gładko, gdyż Rosjan wielu padło skutkiem ognia huraganowego, a reszta była tak ogłuszona, że zaledwie w czasie ataku odezwało się parę karabinów maszynowych i „Polska Góra“, była zdobyta. Za naszą tyraljerą udałem się natychmiast pod okopy rosyjskie, gdzie się rozegrała nasza tragedia.

Legjoniści, którzy zginęli przed kilku dniami, leżeli w jednej długiej martwej tyraljerze na 50 kroków od rosyjskich pozycji. Niektórzy usiłowali się zasłonić przed morderczym ogniem kulomiotów plecakami, niektórzy zdołali sobie nawet już łopatką wykopać osłonę, ale wszyscy leżeli przesyłani dziesiątkami rosyjskich kul. Chorąży Gawron zajął się przetransportowaniem zwłok poległych oficerów do wsi, a ja z sanitariuszami i sierżantem Olejem zająłem się pogrzebem Legjonistów, których ciała mimo późnej jesieni, zaczęły się już silnie rozkładać.

Rosjanie zająwszy pozycje z drugiej strony rzeki, zaczęli znowu gwałtownie ostrzeliwać „Polską Górę“, zwłaszcza gdy zauważyli ruch, jaki powstał przy znoszeniu nieboszczyków, porozrzucanych po polu do wspólnego grobu.

Podczas pogrzebu, który trwać musiał kilka godzin, rzucili na nas Rosjanie kilkadziesiąt granatów i szrapneli, tak, że musieliśmy się co chwila chować do grobów, by wśród nieboszczyków szukać bezpieczeństwa. Na szczęście groźne granaty nic nikomu nie zro-

biły, a mimo, że kule karabinowe tylko słabo donosiły, dostałem postrzał karabinowy w prawy bok.

Kilkunastodniowy żywot koczowniczy wśród jesiennej pluty, mieszkanie składające się z jamy wykopanej w wydmy piaszczystej, nakryte tylko jedliną, ciągle naprężenie nerwów, tak mi się dało we znaki, że gdy poczułem ból i przekonałem się, że jestem ranny, pierwsza moja myśl była; tak, nareszcie pojedę na urlop.

XII.

Walki pozycyjne.

Boże Narodzenie. — Wielkanoc 1916.

Po powrocie z urlopu zastałem swoją budę zupełnie zniszczoną, ale już był mróz, z którym prędzej można sobie poradzić niż ze śnieżną, słotną plutą. Razem z ordynansem zabrałem się do budowania trwalszego i większego schroniska na zimę.

Ziemiankę, składającą się z dołu, wyłożonego okrągłakami wykończyłem szybko, utkałem szczelnie mchem, a nawet znalazło się okno początkowo z natłuszczonego papieru, a później jako wielki skarb wy dostałem kawałek szyby, który pochodził podobno z niemieckich magazynów.

Wewnętrzne urządzenie mojej ziemianki zaczęło się dalej udoskonalać. Uzyskałem żelazny piecyk, a nadto w kącie znalazł się stół, który z rana służył za prowizoryczny ołtarz. Najgorsza bieda ze światłem, ale prze-myślny Wicek wynalazł nowy sposób świecenia łożem z rosółu, z konserwy lub wreszcie za protekcją wydostanym od rzeźników. Najpewniejsze jednak światło daje piec, w którym się palić musi od rana do wieczora, bo inaczej w ziemiance zimniej niż na dworze.

Zresztą budowa rozpoczęła się wszędzie. Na froncie obok okopów powstały na wolnych miejscach setki ziemianek, bo to był najwyższy czas zabezpieczenia się przed ofensywą mrozu. Sztab nasz, który dotychczas mieścił się w kilku ziemiankach w Wołczecku, rozpoczął przy pomocy 400 jeńców budowę miasteczka,

które nosiło nazwę „Legjonowo“. Równocześnie budowano nowe drogi i mosty, ciągnące się przez rozmokłe bagna. Zbudowano również kolejkę polową ze stacji Wołczek do Legionowa.

W swojej budzie, stojącej wśród sosnowego lasu, siedziałem względnie leżałem całymi dniami, bo czułem się chorym. Nudy rozpędzam studjowaniem teologii przy bardzo prymitywnem oświeceniu.

Dnia 23 grudnia wielkie przygotowania do Świąt. Ja już Bogu dzięki oddałem obowiązki oficera prowiantowego, więc mam święty spokój. Zato zacząłem się bawić w profesora, przygotowując swego podoficera kancelaryjnego Lejczaka do egzaminu z 6 klasy względnie do matury.

Ks. Biskup Bandurski, zaproszony przez Komendę L. p., zapowiedział swój przyjazd 24. XII. Wyjechałem po niego na stację kolejową Maniewicze. Mróz bardzo silny. Po długiem czekaniu schroniłem się do naszej piekarni polowej, gdzie u por. Małeckiego znalazłem gościnne przyjęcie.¹⁾ Por. Małecki przydzielony z armji austriackiej, był dawnym moim znajomym. Mianowicie w czasie ostatnich austriackich wyborów rozbiłem mu kilka czysto ukraińskich wieców w powiecie dobromilskim, gdzie miałem duże wpływy wśród ruskich chłopów. „Jak pan może pogodzić swoje przekonania ukraińskie ze służbą w Legjonach?“ pytam go. — „Zostałem tu przez austriacką komendę przydzielony bez mojej woli, ale przyznam się, że wolę służyć w Legjonach, bo Polacy są mi bliżsi niż Niemcy, lub Madjarzy, ale zresztą skoro nas P. Bóg stworzył na jednej ziemi, to kłócić się, a czasem i pobić musimy, ale o wiele wygodniej nam będzie robić to w Warszawie niż we

¹⁾ Por. Małecki pozostał w Leg. Polsk. aż do bitwy pod Rarańczą i zawsze zachowywał się wzorowo. Mimo to, że znał dobrze nasze tajemnice, nigdy w niczem nas nie zdradził. W czasie walk z Ukraińcami — wziął udział w walce jako dowódca baonu ukraińskiego przeciw nam, a po klęsce wycofał się do Czechosłowacji.

Wiedniu“. Czterokonny powóz Biskupa otaczały dwa szwadrony tęgich ułanów; takiej banderji już dawno nie miał żaden z polskich ks. Biskupów.

Wśród nocnej ciszy, przy silnem świetle dwu reflektorów odprawił ks. Biskup na leśnej polanie pasterkę dla kilku tysięcy Legionistów, reprezentujących wszystkie rodzaje broni i wszystkie oddziały. Po pasterce wygłosił ks. Biskup nadzwyczaj podniosłe kazanie. Podniosła ta uroczystość z pewnością wryła się bardzo silnie w serca i pamięć wszystkich Legionistów.

Przyjazdu ks. Biskupa Bandurskiego czekaliśmy z wielkiem utęsknieniem, gdyż spodziewaliśmy się, że on swoją powagą i wielkiem sercem biskupa-patrjoty potrafi dokonać wielkiego dzieła, to jest pogodzić różne waśniące się wielkości legionowe, lecz niestety nadzieja ta zupełnie się nie spełniła.

Dnia 9 stycznia 1916 nabożeństwo miałem dla 2 p. u., który stoi w Hradyskach. Jestto dość schludna wioska, otoczona dokoła lasami i wielkimi bagnami, zamieszkała przez ludność prawosławną. Nabożeństwo odprawiłem w cerkwi. Oprócz wojska zebrało się także dużo ludności cywilnej, prawosławnej, która jednak pamięta, że „tut była Polszcza i nasze didy były katolikami“. Ochrzcilem kilkoro dzieci i odrazu dałem do rąk rodzicom akta chrztu, aby po wojnie dali wciągnąć się do ksiąg matrykalnych.

Odwiedziłem również Czersk, gdzie w kościółku miałem nabożeństwo. Stoi tu jeden szwadron naszych ułanów. Przy pomocy naszej komendy placu założyłem polską szkołę, do której się zapisało 50 dzieci. Uczyć będzie nauczyciel-legjonista.

15 stycznia, długie wieczory zimowe wloką się pośpiesnie jedne za drugimi, każdy dzień podobny do drugiego jak krople wody. Na froncie także spokojnie, czasem tylko trafiają się lokalne walki patroli, skutkiem czego bywają ranni, a nawet zabici. W naszym Zakładzie sanitarnym, który jest dość wygodnie urządzony koło stacji Wołczek pod komendą dr. Korolewicza jest

dużo chorych, wskutek złego pomieszczenia ziemianek legionowych na bagnach. Niestety, front się nie da zmienić. Do chorych wzywają mnie telefonicznie często i w nocy.

Według raportów porannych stan Legionów wynosi 22.000 ludzi. Legionowo rozrosło się w piękne miasteczko, miało nawet pewien styl, ale było wszystko tak słabe, jak grzyby wyrosłe po deszczu, które wystarczy potrącić, aby się rozleciały w kawałki.

Z początkiem lutego został zwolniony ze stanowiska Komendanta gen. Durski, zacny Polak, a brat znanego w całej Polsce organizatora Sokoła we Lwowie. Durski, żegnając się z Legionistami, płakał i zapewniał, że gdyby nie 7 krzyżyków, które dźwiga na barkach, to zostałby w Legionach nawet jako prosty żołnierz, lecz musi ustąpić pod naciskiem bryg. Piłsudskiego.

Jego następca gen. Puchalski nawiązał bardzo ścisłe stosunki z I. Brygadą.

Piłsudskiego widać było bardzo często w Legionowie, prowadził długie narady z Puchalskim; był kilka razy w naszej menaży, ozdobiony austriackim orderem „Żelaznej Korony“.

Opowiadają, że cały sztab Komendy L. p. zostanie zmieniony i obsadzony osobami mającymi mir w I. Brygadzie.

Dnia 1 marca byłem na pozycjach 3 pp. Gdy wracałem wieczorem, zostałem zatrzymany przez niemiecki patrol, a niestety zapomniałem hasło, tak, że dopiero po długich ceregielach, protokołach i telefonach powróciłem do domu.

Dnia 13 marca w komendzie odbyło się bardzo ważne zebranie, mianowicie pod przewodnictwem generała Puchalskiego obradowała „rada pułkowników“.

Dnia 27 marca przez Kowel udałem się do Rokitnicy, leżącej na granicy powiatu włodzimierskiego, gdzie stoi nasz szpital koński i szkoła aspirantów oficerskich kawalerji, pod komendą rotmistrza Kordeckiego. Nauki rekolekcyjne i spowiedź urządziłem w miejscowej cer-

kwi, a pracy duszpasterskiej miałem o wiele więcej wśród ludności cywilnej niż wśród ułanów. Skoro Polacy-katolicy dowiedzieli się o przyjeździe polskiego księdza do Rokitnicy, zewsząd podążyły tłumy do cerkwi, gdyż do dalekiego Kowla lub Włodzimierza nie mogli się dostać z powodu trudności przepustkowych w terenie operacji wojennych. Również ludność prawosławna garnęła się chętnie do polskiego księdza. Miejscowy diak-staruszek przed nabożeństwem odmawiał zawsze na głos „Ojcie nasz po polsku i opowiadał mi, że tu jeszcze wszyscy pamiętają, że byli Polakami, a wielu prawosławnych mówi do dziś pacierz po polsku.

„Nasz dawny ksiądz, opowiadał mi „prawił służbę Bożą“ zawsze ze „starych bukw“, a tylko wtenczas, gdy przyjechał przystaw, wynosiliśmy stare bukwy na strych, a służbę się prawilo z kazionnych bukw, przysłanych przez naczalstwo“.

Była to więc tragiczna walka kapłańskiego sumienia z ciężkimi obowiązkami ojca, obarczonego liczną rodziną.

Po niedługim szukaniu na strychu odnaleźliśmy z djakiem stare katolickie księgi liturgiczne i przepięknie oprawną ewangelję, tudzież stare lecz dobrze utrzymane tabernaculum. Umieściliśmy je z powrotem na ołtarzu w obecności licznie zebranego ludu obu obządków, a „kazionne bukwy“ odmianą kolei losów powędrowały na strych.

Po nabożeństwie ochrzciłem 6 dzieci katolickich i prawosławnych.

Ponieważ w tym czasie w Kowlu powieszono kilkunastu włościan za udział w szpiegostwie, więc w kazaniu przestrzegałem ludność, by się strzegła nawet pozorów jakiegokolwiek działalności na szkodę wojska, a przede wszystkim unikała nieznanych indywiduów, które włączają się po kraju i trudnią się szpiegostwem, albo też wyszukiwaniem nieraz wymyślnego szpiegostwa.

Jeden z włościan oświadczył mi, że często widać w Rokitnicy i sąsiednich wsiach jakiegoś człowieka

w austriackim mundurze, z kokardką siwo-żółtą, który wmawia w ludzi, że oni nie Polacy, ale „ruskie-kraincy“ i namawia szczególnie katolików, by wstępowali do ruskich strzelców. Wyjaśniłem chłopom, że ich obawy przed siwo-żółtymi agitatorami są płonne, gdyż to są galicyjscy Ukraińcy, którzy werbują do galicyjskich ukraińskich strzelców, ale dotychczas jeszcze nikogo nie zwerbowali, chociaż władze wojskowe zabroniły przyjmować Wołynian do Legjonów polskich i pozostawiły Wołyń bezwzględnej eksploatacji Ukraińcom.

Moje wywody nie trafiały jednak do przekonania chłopom, którzy jeszcze nic nie słyszeli o ukraińskiej narodowości, a znali dotychczas tylko Polaków-katolików i ruskich prawosławnych, antyrosyjska zaś działalność rusko-ukraińskich agitatorów wydawała im się gadką o żelaznym wilku.

Kilka dni w Rokitnicy spędziłem nietylko pożytecznie lecz i przyjemnie, bo w wolnych chwilach pobierałem od sławnego rotmistrza Kordeckiego lekcje jazdy konnej z przeszkodami.

W Kowlu znajdował się nasz sąd polowy, więzienie, stacja zborna, tudzież kilka oddziałów etapowych, dla których urządziłem spowiedź wielkanocną.

Obrzydliwe miścisko zmieniło znacznie swój wygląd od czasu mego ostatniego pobytu. Jaskrawe rosyjskie szyldy znikły zupełnie, bo je zamalowano jeszcze jaskrawszymi szyldami niemieckimi i polskimi. Handlowny naród Izraela nieco przygnębiony podczas zajęcia Kowla, podniósł głowę, przymusowo ostrzyżoną i robi doskonale interesy na wszystkim, czego tylko dusza żołnierska zapragnąć może. Szynki i pokrewne lokale znajdują się prawie w każdym domu. Jedyną chrześcijańską cukiernię właściciel sprzedał żydom, gdyż jak mi wyjaśniał, przy tak licznej konkurencji bez „ubocznego handlu żywym towarem“, który nie potrafił dotąd skazić licznych polskich cukierni na wschodzie, nie może utrzymać cukierni z powodu braku gości.

Korzystając z kilku dni wolnego czasu udałem się do Hołob (Gołębie) na zaproszenie tutejszego proboszcza ks. Maciejskiego, bym mu dopomógł do słuchania spowiedzi w jego licznej parafji.

Pracy przez kilka dni mieliśmy bardzo wiele, gdyż lud garnał się tłumnie do spowiedzi wielkanocnej. Oprócz miejscowych parafjan, których jest przeszło 4000, od czasu ostatnich operacji wojennych znajduje się w tutejszej parafji kilka tysięcy Polaków z parafji leżących nad frontem, to jest z Kołek, Sokola, Wiszenek, którzy się tutaj przenieśli i dzięki zabiegom miejscowego ks. proboszcza otrzymali przytułek we wsiach opuszczonych przez prawosławnych.

W kościele zjawily się także wszystkie okoliczne dwory i po staropolsku razem z ludem i dworską służbą przystępowały do Stołu Pańskiego. Także wielu prawosławnych, którzy zachowali jeszcze dawne katolickie tradycje, przystępowało do Sakramentów św.

Gdy zobaczyłem, ile dobrego potrafił zdziałać ks. proboszcz dla biednej ludności, narażonej na najstraszniejsze przejścia różnej natury, jakie tylko bezpośrednia bliskość frontu bojowego przynieść może, przekonałem się o nadzwyczajnej trafności starego prawa kościelnego, zakazującego proboszczowi pod surowemi karami opuszczać parafję w jakimkolwiek wypadku.

Z Hołob wybrałem się przy sposobności do Łucka, starego i pięknego grodu. Mury i zewnętrzna struktura przypominają typowe polskie miasta, którym polskiego charakteru nie potrafiło odebrać malowanie „kazionną“ zieloną farbę dachów skonfiskowanych kościołów, ani też sztucznie poprzylepianę kopułki. Panującym żywiołem byli żydzi i wojsko; polskość choć liczebnie silnie reprezentowana, chroniła się w zaciszne mury starej katedry biskupów łuckich, a na ulicach, szczególnie wieczorem panował żydowsko-niemiecko-rosyjski żargon. Żydzi, podobnie jak i w Kowlu, umieją doskonale po polsku, ale szczególnie żydówki lubią się popisywać na ulicy językiem rosyjskim. Miejskowa gazeta

wychodziła w 3 językach: niemieckim, polskim i rosyjskim.

Z okazji spowiedzi wielkanocnej widać było olbrzymią różnicę pomiędzy oddziałami etapowymi, względnie tymi, które prawie stale przebywają na różnych etapach, a oddziałami frontowymi. Dobry żołnierz siedzi cierpliwie na froncie, a gorszy pod każdym względem „łazik“ stara się dostać na tyły, gdzie bezpieczniej można żyć i swawolić.

W Wielki Piątek odprawiłem nabożeństwo z całym ceremonjałem; Boży grób urządziliśmy skromnie, lecz samo położenie kaplicy wśród olbrzymich lasów, w pobliżu frontu bojowego robiło duże wrażenie. Straż przy grobie stać będzie aż do Wielkiejnocy.

Uroczystość rezurekcyjna odbyła się na pozycjach 4 pp. Śliczna, wysoka kaplica zbudowana przez majora Galicę z zawodu architekta, stanowiła właściwie tylko prezbyterjum, a kościół wspierał się na potężnych kolumnach sosen nakrytych sklepieniem niebieskiem, Boży grób ubrany o wiele wystawniej i staranniej niż u nas w Legionowie; nie brakło nawet postaci Pana Jezusa leżącego w grobie, ani też baldachimu, który sporządzono ze sztandaru pułkowego. Wśród salw miotaczy min, błysku świetlnych rakiet i silnego światła reflektorów frontowych odbyła się procesja wzdłuż czworobocznego szeregu dziarskich czwartaków.

W poniedziałek wielkanocny odbyła się uroczystość rezurekcyjna w Wyźwie; do cerkwi oprócz ułanów przybył ogromny tłum ludu, przeważnie prawosławnych, którzy pozbawieni swego obrządku, do którego przywykli, z radością przysłuchiwali się radosnym pieśniom polskim. Chcąc ich przekonać o naszej tolerancji religijnej i narodowej, zaśpiewałem na końcu nabożeństwa *Chrestos woskresen iz mertwych*, które natychmiast podchwycili i śpiewali, powtarzając kilkanaście razy tę samą zwrotkę.

Trudno mi było objechać w czasie świąt całą moją parafję rozrzuconą na przestrzeni kilkudziesięciu km.,

więc też jeszcze i w trzeciej dzień świąt obchodziliśmy rezurekcję w Krzeczewicach, gdzie stały pociągi prowiantowe naszych taborów.

Krzeczewice, niegdyś brudna wieś, przez którą nie tylko przejść ale i przejechać nie było można, zmieniła się pod sprężystą ręką komendanta taborów rotm. Paselli, do niepoznania. Drogi głęboko ofosowane wyschły zupełnie, a po obu bokach drogi znajdują się nawet chodniki, domy schludnie wybielone, mieszkańcy po przymusowej kąpieli i przymusowem strzyżeniu włosów wyglądają przyzwoicie. Z początku mieszkańcom Krzeczewic nie bardzo podobały się te przymusowe porządki, ale skoro przekonali się, że to pomogło do natychmiastowego stłumienia tyfusu i szkarlatyny, które srożyły się tutaj i w sąsiednich wsiach przez kilka miesięcy, serdecznie polubili komendanta, który im w każdym wypadku pomaga i radzi. Z Legjonistami żyli w najlepszej zgodzie, chociaż tabory, jak zwykle, starają się o żywność dla koni, nie tylko legalną drogą, tylko jak się uda.

Nabożeństwo odbyło się w cerkwi. Ludność miejscowa przybyła bez wyjątku. Przed nabożeństwem podobnie jak w Rokitnicy zdjąłem ze strychu stare katolickie *tabernaculum*, tudzież stare księgi liturgiczne, wydane za Jana III i wyjaśniłem ludowi, że właściwie nigdy nie przestał należeć do Kościoła katolickiego, bo na prawosławie zapisano całą unicką dyecezę łucką, nie pytając nikogo o zgodę, jednym pociągnięciem carskiego pióra. Po nabożeństwie ochrzciłem 8 dzieci prawosławnych. Do chrztu trzymali je nasi oficerowie.

Koło kwater piątego pociągu taborowego umieszczono długie stoły zastawione obficie święconem. Do stołu zasiadliśmy wszyscy razem, nie wyłączając jeńców rosyjskich, którzy stanowią w naszych taborach znaczny procent. Chór rosyjski robił nawet poważną konkurencję naszemu kółku śpiewaków. Na odgłos

muzyki zbiegła się naturalnie cała wieś i wkrótce podwórze zaroilo się od chłopskich świtek i krasnych ubrań kobiecych, przypominających dawne polskie, szlacheckie stroje. Zbratanie było ogólne, ogólna też zapanowała radość, gdy chór dziewcząt miejscowych zanucił starodawną piosnkę, w której śpiewano słowa z treścią dziś nie dla wszystkich zrozumiałą: *pidu za pisarya gorodzkoho, albo za starostu kamienieckoho*.

Widać, że wiekowe, przymusowe rozdzielenie, a nawet rosyjska siejba nienawiści, nie potrafiła zniszczyć dawnego braterstwa, które przy sposobności na nowo jeszcze silniej między nami odżyje.

Na Wołyniu są groby legjonowe rozrzucone w trzdziestu kilku miejscowościach, więc z wiosną musiałem się zabrać do ich uporządkowania, zwłaszcza, że w wielu miejscach trzeba było przeprowadzić ekshumacje, gdyż podczas bitwy chowano poległych na przedce koło domów, co z różnych względów jest niewłaściwe.

Do przeprowadzenia tych robót dostałem 4 żołnierzy z baonu etapowego, tudzież 3 robotników cywilnych. Prace te nadzwyczaj ciężkie, gdyż zwłoki chowane bez trumien są już w pełnym rozkładzie. Rum i papierosy, nieco tłumią przykre fizjologiczne uczucia i objawy.

Najpiękniejsze położenie posiada cmentarz w Wołczecku. Jest to stare cmentarzyisko zarosłe potężnymi sosnami, które od wieków osłaniają zaciszne miejsce wiecznego odpoczynku. Nasze groby, znajdujące się we wschodniej części cmentarza, otoczyliśmy płotem, na grobach umieściliśmy krzyże dębowe z nazwiskami poległych, a na środku cmentarza duży dębowy krzyż z napisem: Obok naszych grobów pochowano również żołnierzy niemieckich z poznańskiego pułku. Wszyscy mają nazwiska polskie. Także groby rosyjskie i austriackie

zawierają zwłoki Polaków. Dziwny los: na polskiej górze lała się krew Polaków ubranych w cztery różne mundury: rosyjski, niemiecki, austriacki i polski i wszyscy jak bracia leżą na jednym cmentarzu, a na prawosławnym krzyżu widać napis: *Hier starb für sein Vaterland und Kaiser russischer Soldat St. Wojciechowski*, lub też pod znakiem żelaznego krzyża napis: *Im Feindesland für sein Vaterland starb Musketier Nawrocki*.

W czasie tej pracy nad grobami o mało nie postradałem życia. Jechałem z Hruszewna, na przełaj do Czerska drogą polową, która miała widoczne ślady kół; nagle naprost chutoru Zabrody koń zaczął grzęznąć, a po kilku krokach zapadł w bagno po brzuch. Skoczyłem czemprowadzie w błoto i brodząc po kolana, nagnosilem chrustu, burzanów, mchu, a po dwugodzinnej pracy udało mi się „Babę“ wyciągnąć z błota, dzięki temu, że umiała w tej przygodzie zachować zimną krew. Naturalnie sam także okapałem się w gęstym błocie po uszy, tak, że mimo zimnej pory musiałem się rozebrać, oczyścić z błota siebie, konia, który był zanurzony prawie do grzbietu, wyprać w sąsiedniej kałuży swoje ubranie. Dopiero późnym wieczorem napół żywy, zajechałem w mokrem i brudnym ubraniu do dworu w Czersku.

Po dwutygodniowej włóczędze po bagnach i żywieniu się chlebem, konserwami, rybami i kwaśnym mlekiem, mój pokój w Legjonowie z elektrycznym oświetleniem wydawał się rajem. Naładowany odpowiednią ilością różnych wojskowych medykamentów, układałem się do łóżka na kilkudniowy spoczynek.

Ponieważ sprawa grobów w okolicy Bielgowa jeszcze zgoła nie załatwiona, a już miałem za dużo włóczęgi, i nocowania pod gołym niebem, wysłałem więc tamże ks. Ciepichalla, a sam zabrałem się do uporządkowania grobów w pobliżu frontu. Trzeci pułk pie-

choły urządził bardzo ładny cmentarz tuż za pozycjami. Kaplica projektowana przez art.-malarza Janowskiego, była wprost cackiem. Jedną miała wadę, że rzucała się w oczy a zaciekało nas to, dlaczego do niej Rosjanie nie strzelają?

Na froncie zaszły pewne zmiany, gdyż II. Brygada, która zbudowała doskonałe okopy i silną reduę, przezwana później redutą Piłsudskiego, została ściągnięta do rezerwy, a jej pozycje zajęła I. Brygada, od początku grudnia zeszłego roku pozostająca w Karasinie i Leszniewce.

W I. Brygadzie noszono wyłącznie maciejówki, a w drugiej rogatywki, co było powodem także do różnych „politycznych“ scysyj i żartobliwych docinków. Gdy na dawnych pozycjach 2 pp. byłem zajęty porządkowaniem cmentarzy, jakiś żołnierz z 1 pp. przyszedł do mnie i podziwiając moją rogatywkę, zagadnął:

— Dlaczego obywatelu, djabeł ma tylko dwa rogi, a wy macie aż cztery?

— „Prosta rzecz — odparłem, — bo z djabełem nie mam nic wspólnego, a nie chcę być podobnym do osła, który całkiem niema rogów, podobnie jak wy obywatelu“.

Były to już ostatnie dni rogatywki, gdyż II. Brygada chętnie zrzekła się tej tradycyjnie polskiej czapki, byle tylko nareszcie doprowadzić do jednostajności w umundurowaniu Legionów.

Pomiędzy I. a II. Brygadą powstały duże tarcia z powodu zajęć w Karasinie i Leszniewce. Korpus oficerski II. Brygady żądał nawet formalnie wyjaśnień od oficerów I. Brygady. Te nierozumne i szkodliwe tarcia w mniejszych i większych rzeczach powstawały na tle specjalnych organizacyj w I. Brygadzie, tudzież na tle szerzenia kultu dla Piłsudskiego oraz partjotyzmu

I. Brygadowego, opartego na pogardzie wszystkich i wszystkiego co stoi poza I. Brygadą.

Nie pomogło nic także usunięcie się na życzenie Piłsudskiego, szefa sztabu, kapitana Zagórskiego, który w pożegnalnym rozkazie oświadczył, że chętnie usuwa się z Legionów, by ułatwić zlanie się Legionów w jedną całość i współpracę całości Legionów dla wywalczenia niepodległości Polski.



XIII.

Ofenzywa rosyjska.

Nad Legionowem przeleciały 1 czerwca złowróżbne ptaki, cały łańcuch nieprzyjacielskich aeroplanów, a odgłosy gwałtownego ognia w południowej stronie zwiastowały ofenzywę rosyjską.

Legjonowo było bardzo dobrze wybudowane, nie brakowało nawet sukiennic z szerokim podcieniem, gdzie zwinni skauci sprzedawali wszelkiego rodzaju towary poczynając od czernidła i kielbasy — skończywszy na poważnych książkach naukowych.

Wszystkie polany wokoło były zasadzone ziemniakami, grochem, zasiane owsem. W lesie mnóstwo borówek, które zaczynają dojrzewać. Nasz ogródek warzywny posiadał wszystkie jarzyny, z wyjątkiem chyba szparagów. Wobec tych okoliczności perspektywa opuszczenia Legionowa nie była dla nas przyjemną.

W niedzielę 4 czerwca podczas nabożeństwa zaczął się na froncie gwałtowny ogień. W południe zarządzono wszędzie ostre pogotowie. Zakład sanitarny został uruchomiony i umieszczony przed mostem na Garbachu. Od ognia rosyjskiej artylerji było kilku zabitych i rannych.

Następnego dnia walki na froncie były coraz gwałtowniejsze. Nadchodziły wieści, że koło Łucka front został przełamany, a Łuck już zajęty. Major Wyrwa

wykonał na czele silnej patroli bardzo sprytnie obmyślany atak na rosyjską redutę, którą zajął prawie bez strat, zabrał jeńców i karabiny maszynowe i wysadził redutę w powietrze.

Dnia 9 czerwca Brygada II. została przerzucona na południe celem ryglowania austriackich pozycji, gdyż czwarta armja została rozbita i Rosjanie zagrażali naszym tyłom.

Na skutek tej akcji na naszym froncie uspokaja się, lecz zachodziła obawa, że Rosjanie złapią nas w pułapkę. Po zajęciu Kowla pozostałaby nam tylko jedna droga, a raczej jeden kierunek odwrotu przez środek błot poleskich w stronę Brześcia litewskiego lub jeszcze bardziej na północ. Cała nasza ufność w II. Brygadzie, która wytrwale broniła kolana Styru.

Ponieważ 2 bataljony detaszowane do Gruziatyna, nie miały kapelana, przeto wyjechałem tam w towarzystwie ułana.

W Dołżycach spotykaliśmy mnóstwo rannych Legionistów zarówno z pod Czartoryska jak i Gruziatyna.

Przez Gradie puściłem się leśną drogą w stronę folwarku Tuman, gdzie stał kap. Szczepan z dwoma bataljonami. Droga zrazu była piaszczysta, lecz wnet rozpoczęło się straszliwe wprost błoto, sięgające koniom po brzuchy. Po niedawnej imprezie bagiennej moja „Baba“ nie chciała zupełnie iść, musiałem ją ciągnąć za sobą. Po drodze spotykaliśmy transporty ciężko rannych, których sanitariusze nieśli na plecach przez błota jak niegdyś na początku wojny przez szczyty karpackie. Po kilku godzinach uszliśmy czy też ujechali zaledwie 5 klm. błota, a że było do przebycia jeszcze 4 klm., podobno niebezpieczniejszego, więc zatrzymaliśmy się na suchym miejscu na nocleg, który z powodu nieprzebranego mnóstwa komarów był dla nas i dla koni 5 godzinną męczarnią.

Na tej wyspie mieliśmy także towarzystwo: dwu rosyjskich rannych jeńców. Zdołali oni aż tutaj dotrzeć

mimo ciężkich ran, ale obaj stracili siły i jeden już umarł wskutek upływu krwi, a drugiego czeka los podobny, bo piechotą przez błota nie przejdzie, a przenieść nie ma kto. Nawet transport naszych rannych odbywa się zaledwie przy wyłożeniu wszystkich sił naszych sanitariuszy. Po przez błota wozem przejechać nie sposób.

Nasze pozycje biegły wzdłuż zalesionego garbu w oddaleniu 1 klm. od Styru. Koło folwarku Tuman wrzała gwałtowna bitwa, która zakończyła się zajęciem folwarku przez Rosjan. Obok Legjonistów walczyły tam dwa bataliony 45 pułku piechoty i kilka baonów czeskich. W rozgwarze bitwy szukałem w 45 pp., który rekrutuje się z powiatów krośnieńskiego, sarnockiego i liskiego, swoich krewnych i znajomych, których miałem tu bardzo wielu. Niestety spotkałem tylko jednego znajomego, od którego pozbierałem różne smutne wiadomości.

Nasze straty były również bardzo duże; koło Tumanu zginął chorąży Barys i kilku żołnierzy. ciężko rannych jest kilkunastu, między innymi podpor. Szul, ma rozerwaną szczękę.

15 czerwca wykonano skuteczny atak na wieś Gruziatyn. Wieś ta panuje nad okolicą i ma możliwą do kołowej jazdy drogę. Zaraz po zdobyciu tego węzła drogowego wozy nasze przywiozły prowiant i amunicję, co było naszym zbawieniem, bo żołnierze zjedli już dawno ostatnie konserwy.

Noc 17/18 czerwca spędziłem na pozycjach 3 bat. 2 pp. Ponieważ był silny ogień karabinowy, wykopałem sobie dołek, który dawał schronienie przed kulami; niestety zaczął padać deszcz i tyle zebrało się wody w moim rowku, że musiałem go opuścić i resztę nocy spędziłem, schroniwszy się za pień grubej sosny. Rano przekonałem się, jak niebezpiecznie spać na powierzchni ziemi, bo jeden z Legjonistów, Seweryn

Iżewski, który spał obok mnie, podczas snu dostał kulą w głowę i naturalnie już się nie obudził.

Wskutek kilkudniowego pobytu wśród moczarów nabawiłem się jakiejś malarycznej gorączki i silnego zapalenia gardła. Wprawdzie dr. Kuczkowski zaaplikował mi aspirynę i wysmarował jodyną wewnątrz i zewnątrz jak arkę Noego, ale mimo wszystko gorączka gwałtownie rosła i skutkiem tego musiałem wracać do Legjonowa. Wprawdzie po zdobyciu Gruziatyna miałem już drogę o wiele lepszą, ale za to towarzyszący mi ułan mocno zastanawiał się nad tem, czy mnie nie trzeba przywiązać do konia, bo robiłem wrażenie całkiem nieprzytomnego. Na drodze koło wsi Gradie zaczepił mnie polowy żandarm węgierski, zapytując po madjarsku o przepustkę. Odpowiedziałem: „Nem tudom Kikeriki“, co przyprowadziło go prawie do wściekłości. Musiał ją jednak pohamować na widok nadjeżdżającego z tyłu ułana.

„Kikeriki“ była to popularna nazwa, nadana przez Legionistów węgierskim żandarmom, zdobnym w kogucie pióra. Nazwy tej nie wytępił nawet surowy rozkaz 4 armji, wydany w tej sprawie.

Nasza druga brygada z wyteżeniem wszystkich sił zatrzymała Rosjan na linii Styru, przez co uniemożliwiała Rosjanom pościg za cofającymi się rozbitkami armji austriackiej, gdyż w każdej chwili mogliśmy wpaść na tyły rosyjskie. Opowiadają, że pościg rosyjski zatrzymała także ta okoliczność, że w Łucku były nagromadzone znaczne zapasy rumu i różnych trunków, co skłoniło Rosjan do zatrzymania się, aby trochę „pagulat“. Nadesłane posiłki niemieckie załatały lukę, która powstała na miejscu czwartej armji.

Dzięki usilnym staraniom Komendy L. P. udało się z końcem czerwca drugą brygadę wydostać z korpusu Fatha z powrotem na odcinek legjonowy.

W miesięcznych krwawych bojach, w których II-ga Brygada stanowiła ryglową zaporę dla całego północ-

nego skrzydła armji, mieliśmy straty bardzo dotkliwe, chociaż procentowo o wiele mniejsze, niż oddziały austriackie.

Z początkiem lipca nad Legjonowem przeleciał znówu sznur aeroplanów; a 2 lipca od wczesnego rana Rosjanie rozpoczęli ogień huraganowy na dużej przestrzeni od Komorowa aż po Polską Górę.

Drugiego dnia ogień staje się coraz gwałtowniejszy; 5 pułk piechoty miał znaczne straty. Kilku rannych zmarło na placu opatrunkowym, pochowałem ich na cmentarzu w Wołczecku. Podziwienią godną była wytrzymałość dr. Strońskiego, który od wczesnego rana do nocy wśród uciążliwych warunków przeprowadzał operacje i zabiegi przeważnie szczęśliwe nawet w ciężkich wypadkach.

Na pagórku nad Garbachem, na wysokiej potężnej sośnie sporządzono wygodne gniazdo bocianie do obserwacji frontu. W wolnej chwili wydrapałem się tam, by się trochę pogapić. Widać było całą nową linię. Ciekawość moja została ukarana, gdyż właśnie wtenczas jakieś лихо naniosło rosyjski aeroplan; dostałem się skutkiem tego w gwałtowny krzyżowy ogień karabinowy, gdyż z jednej strony linja bojowa, a z drugiej różni taboryci używali sobie na strzelaniu do aeroplanu. Naturalnie zmykałem czempredzej na dół, co mi się zresztą całkiem szczęśliwie udało.

Rosjanie odrzuciwszy honwedów zajęli Polską Górę, która po przeniesieniu II. Brygady została obsadzona przez węgierskie pułki.

Ponieważ 5 pp. I. Bryg. nie miał wówczas kapelana, w nocy udałem się do tego pułku.

Pozycję znałem bardzo dobrze, bo to są dawne pozycje 3 pp., jednak w nocy nie mogłem się mimo silnego światła księżyca zorientować w sytuacji, gdyż cały wygląd tej okolicy rosyjskie zmieniły granaty. Kaplica zaraz w pierwszym dniu ognia huraganowego została rozniesiona na strzępy. Kawałki pięknie rzeź-

'bionych belek leżały w odległości kilkuset kroków. Cmentarz zrujnowany doszczętnie; granaty wykopały tu olbrzymie doły, rozrzucając dookoła ciała nieboszczyków i krzyże.

Z brzaskiem dnia zabrałem się do zaopatrzenia rannych i pogrzebu poległych. Szczególnie to ostatnie było bardzo trudne do przeprowadzenia, gdyż kule karabinowe szły tak gęsto, że trudno było wystawić nawet nos z ziemianki. Koło godziny 10 uderzył granat w ziemiankę, w której znajdowała się centrala telefoniczna 5 pp. i zabił od razu dziewięciu telefonistów. Ogień rosyjski był tak silny, że od wybuchu granatów i szrapneli, dym i błotnista kurzawa zakrywa całą okolicę. Fontanny błota, ziemi i piasku powstające przy wybuchu granatów osiągnęły olbrzymią wysokość kilkudziesięciu metrów. Wobec potęgi i grozy tych wyśłanników śmierci wydaje się małym nie tylko człowiek, lecz nawet potężne stuletnie sosny, które tuzinami rozlatują się na drzazgi.

Oddziały I. Brygady i III. Brygady dostały rozkaz przeprowadzenia kontrataku na Polską Górę. W wieczorem rozpoczęły się przygotowania. Do ziemianki pułkowej przybył major Wyrwa, który miał prowadzić atak, aby się naradzić z komendantem pułku podpułk. Berbeckim.

Koło godziny 10 front uspokoił się prawie zupełnie. Przy pomocy żołnierzy pochowałem kilku poległych, a później ułożyłem się na ziemi pod ścianą ziemianki, kołysany do półsnu piszczeniem telefonu. Berbecki i Wyrwa ciągle jeszcze rozmawiali przez telefon i przysyłali do kompanji rozkazy i instrukcje. Co chwila też wydają rozkazy i uryguje ich wykonanie brygadjer Piłsudski, który ze swoim sztabem był kilka kilometrów za frontem.

Koło godz. 1 w nocy nadszedł batalion Wyrwy, przygotowany do kontrataku. Wszyscy oczekiwali niecierpliwie nadejścia bataljonu 6 pp., który miał ró-

wnieź wziąć udział w kontrataku. Ze swego stanowiska już dawno wyszli; być może, iż gdzieś zblądzili, a tu każda chwila może rozstrzygnąć o życiu wielu ludzi, bo noc lipcowa jest krótka i zdradliwa. Bataljon 6 pp. spóźnił się o trzy kwadranse, ponieważ nie mógł znaleźć komendy 5 pp. Mimo to, że zaczynało świtać, kontratak się odbył, bo tego bezwzględnie żądał Brygadier Piłsudski.

Poszli o godzinie 2.30 rano. Zrazu kilka strzałów, słyhać głośnie legionowe: „Hurra!“ to nasi idą do ataku, dzieje się to w niewielkiej odległości od pułkowej ziemianki. Jak psy nad ranem odezwały się gwałtownie rosyjskie karabiny maszynowe i zaczynają ujadać, a w parę chwil cała sfera rosyjskiej artylerji, zasypuje nas granatami ognia i żelaza. Robi się zupełnie jasno, bo z brzaskiem pochmurnego dnia walczy o lepsze tysiące świetlnych rakiet, które we wszystkich kierunkach przeszywają nieboskłon. Legionowa patrol przyprowadza kilku jeńców rosyjskich, którzy, jak się okazało, byli Tatarami i sami zbiegli na naszą stronę. Jakiś rosyjski kulomiot gwałtownie i gęsto siecze kulami naszą ziemiankę, wszyscy tulą się jak najniżej, bo kule przechodzą przez górną część ścian, wystającą ponad ziemią. Nauczyć się dobrze się modlić można nie tylko na morzu, lecz także przy bliskim terkocie nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego, który bardziej denerwuje ludzi, aniżeli nawet wybuchy ciężkich granatów. Łęgiem biegnącym od Polskiej Góry ku Garbachowi wymyka się kilka postaci, a później kilkanaście; koło naszej ziemianki przebiega także kilku żołnierzy, z widmem przerażenia i popłochu w oczach. Po chwili wpada do ziemianki Wyrwa, z płaczem pada na ziemię; wszyscyśmy zrozumieli: kontratak się nie udał, a Rosjanie przechodzą znowu do ataku.

Po chwili uspokoił się major Wyrwa, ale znów wybuchnął płaczem, mówiąc: „Wszyscy oficerzy szli naprzód. Dostali się pod ogień maszynowy i padli.

To tak przeraziło chłopców, że pierzchli, mimo nawoływania, zostałem sam na polu; widocznie wnet mi zgiąć przyjdzie, bo mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło, by mnie moi chłopcy zawiedli!“

Kontratak ten kosztował zabitych 4 oficerów i 20 żołnierzy, tudzież kilkudziesięciu rannych. Te 36 godzin spędzone wśród ognia huraganowego wbiją się z pewnością w moją pamięć na całe życie. Ogień podczas bitwy pod Mołotkowem w 1914 r., czy pod Jastkowem w 1915 r., wydaje się zabawką wobec tej strasznej burzy. Przez dwa lata wojny system mordowania ludzi zrobił olbrzymie postępy.

Po zaopatrzeniu rannych w zakładzie sanitarnym, wybrałem się znowu na front z chorążym Heilmannem, który ma za zadanie budować nową linię obronną przed błotami Garbachu.

5 p. piechoty, po otrzymanych krwawych stratach, przeszedł do rezerwy.

Rosjanie wyważyli 6 lipca front koło Bielgowa, a nasze oddziały zajęły pozycje odwrotowe o bardzo złym położeniu.

Wczesnym rankiem, 7 lipca, udałem się do zakładu sanitarnego, który odjeżdżał i do 5 pp., który stał w rezerwie w barakach, zwanych Jastkowem. Podp. Berbecki i major Wyrwa po strasznych przejściach ostatnich dni nie zdołali jeszcze przyjść do siebie. Major Wyrwa wspominając straszny ogień, jaki przeszliśmy 4 i 5 bm., powiedział do mnie: „Nie jest to wprawdzie chrześcijańskie uczucie, ale życzę Moskałom, takiej samej łaźni, jaką oni nam sprawili“. Widać było, że Wyrwa tylko z wielkim trudem utrzymywał się przy równowadze fizycznej i duchowej, przeczuwając od kilku dni śmierć, która go zaskoczyła tegoż dnia wieczorem od rewolwerowej kuli kozackiej.

Koło mostu nad Garbachem, mostu Brzozy, tudzież wzdłuż błot ciągnących się lizjerą lasu na zachód od Wólczeka, patrolował 1 pułk ułanów; kilka szwadro-

nów stało koło mostu przy drodze Wołczek-Legjono-
wo, ale wkrótce gdzieś znikły. Przed mostem, koło
wsi, okopała się kompanja techniczna kap. Hellmanna,
przygotowując materiały wybuchowe do niszczenia mo-
stów. Przywiązałem swego konia „Babę“ do sosny
i udałem się do kompanji technicznej, która stała
w ogniu nieprzyjacielskim. „Babie“, która szalenie bała
się huków strzałów, sprzykrzyło się samotne czekanie
u sosny, bo zerwawszy uzdiennicę, przybiegła za mną.
Naturalnie musiałem cofnąć się razem z koniem do
lasu, bo teren okopów był zupełnie widoczny dla nie-
przyjaciela. Po drodze znalazłem kilka pogubionych
woreczków owsa i skórę na zelówki, rzucone przez
ułanów. Schowałem je na cięższe czasy. Koło połu-
dnia cała dolina Wołczeka zaroila się od rosyjskiej
kawalerji, która w galopie rzuciła się do ataku. Był
to wspaniały widok, przypominający naszą szarżę pod
Rokitną i skutek ten sam, bo nasze karabiny maszynowe
wnet ostudziły impet nieprzyjaciela, zaścielając ziemię
setkami ludzkich i końskich trupów. Za kawalerją na-
deszła ława piechoty; nasz odwrót był już zadecydo-
wany i rozpoczął się spokojnie na całej linii.

Koło godz. 4 po południu sztab Legjonów z żalem
opuszczał piękne Legjonowo; wsiadanie na koń odbyło
się w dość pospiesznem tempie, gdyż Rosjanie po prze-
jściu Garbachu byli w odległości kilkuset kroków.

Na chutorze Końskie zatrzymaliśmy się kilka minut
i wśród ulewy podążyliśmy dalej do wsi Maniewiczze,
gdzie zebrała się wielka ilość furgonów. Już przy prze-
prawie przez błota Maniawki przedstawiało to trudno-
ści nie lada, zwłaszcza, że koło Gorodka znajdował się
stromy pagórek, na który ciężko naładowane wozy nie
łatwo mogły się wydostać.

Istna Sodoma i Gomora zapanowała w nocy wśród
furgonów nagromadzonych na wąziutkiej grobli wśród
bagien z Gorodka do Nowej Rudy. Koło północy, nasi
ułani Beliniacy dostawszy się na czoło austriackich ko-

kolumn koło Nowej Rudy przez „omyłkę“ dali kilka strzałów, co wywołało taką panikę, że wielu woźniców austriackich odciawszy postronki uciekło z końmi, a pozostawione wozy zatarasowały do reszty groble. Oczywiście musiały następne kolumny wrzucić te wozy w bagna, przechodzące rano oddziały zabrały resztę różnych drogocennych zapasów z porzuconych furgonów, a pułk Beliny mimo gorąca, cały paradował w nowiucienkich kożuszkach austriackich huzarów. W sprawie tej toczyło się długie śledztwo, ale przy odwrotnym rozgardjaszu trudno komuś udowodnić winę, czy złą wolę.

8 lipca. Przed południem przybyliśmy do Obziry, przez most już nasycony ropą i obstawiony landszturmistami, uzbrojonymi w pakuły do podpalania. Nasz sztab operacyjny z gen. Puchałskim pozostał jeszcze w Nowej Rudzie, aby kierować akcją odwrotową. O godzinie 11.30 przyszedł rozkaz, aby 2 p. ułanów cofnął się na prawy brzeg Stochodu i wykonał marsz odwrotowy przez Trojanówkę-Czersk, a już o godzinie 1 nadeszła wiadomość, że Nowa Ruda zajęta, a Rosjanie zbliżają się do mostu. Wobec tego ułani pozostali na lewym brzegu. Ponieważ zaś według wszelkiego prawdopodobieństwa nasz sztab został odcięty, więc komendę oddziałów Legionów objął pułk. Haller, który świeżo przybył na front, po dłuższej kuracji. Postanowił on obsadzić przy pomocy oddziałów znajdujących się na lewym brzegu Stochodu, wszystkie przejścia przez Stochód od Obziry aż po linię kolejową, to jest około 20 km. Całą tę linię znałem doskonale, zarówno z kampanji w r. 1915 jak z czasów moich robót koło grobów wykonanych w maju ub. r. Ofiarowałem więc pułkownikowi swoje usługi, zwłaszcza, że nikt z obecnych nie znał tego terenu, bo druga Brygada przyszła prosto z Bukowiny na linię Styru. Z patrolem 4 ułanów popędziłem galopem wzdłuż linii, pokazując oddziałom legionowym dobrze mi znane miejsca, nadające

się do przejścia, zwłaszcza w Bereźnicy t. zw. spalony most Napoleona. Gdy przejścia zostały obsadzone, wysłałem przez ułana pisemny meldunek, a sam przez most w Smolarach, gdzie spotkałem majora Fabrycego z garstką rozbitków, dostałem się na prawy brzeg Stochodu i popędziłem w stronę Czerska, aby uzyskać połączenie z I. Brygadą, co mi się też udało, bo spotkałem Bryg. Piłsudskiego koło pagórka 164, gdzie mu zameldowałem rozkazy wydane przez Komendę Korpusu. W ciągu 2 i pół godzin mimo kilkakrotnego zatrzymywania się i pisania meldunków, zrobiłem koło 30 km. W Smolarach spotkałem furi wiozące ciężko rannych. Podpułk. Berbecki ciężko ranny w płuca i nogę, ledwie oddycha, a jednak poznał mnie zaraz. Kapitan Zając również bardzo ciężko ranny, a wszyscy i zdrowi i ranni zabłoceni, zakurzeni i pomęczeni nie do poznania.

Dnia 9 lipca Rosjanie zatrzymali się na linii Stochodu, gdyż jego bagna, chociaż wskutek długiej posuchy, mocno podeschnięte, stanowią jednak pewną zaporę.

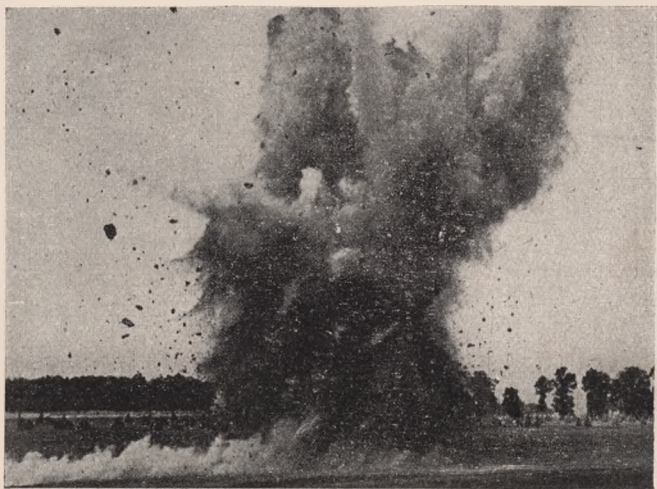
Rozpoczęło się z gwałtowną szybkością budowanie rowów i pozycji, gdyż wybudowane poprzednio, nie wszędzie nadawały się do obrony. Naszą kwaterę w Stobychwie Rosjanie gwałtownie ostrzeliwali granatami i szrapnelami; dwu ułanów zostało zabitych; musieliśmy cofać się do Lubarki.

Nasze oddziały zostały ściągnięte do Cerkówki i Czeremoszna. Wszystkim przyświecała po tych strasznych tarapatach nadzieja kilkudniowego odpoczynku, a prawe skrzydło optymistów twierdziło z całą pewnością, że za kilka dni pójdziemy do Warszawy.

Austrjackie i niemieckie komunikaty prasowe ogłosiły, że odwrót z nad Styru udał się dzięki ofiarnemu trzymaniu frontu przez polskich Legionistów.



Komunja wielkanocna w Legionowie



Wybuch granatu pod Polską Górą

Odpoczynek w Czeremosznie minął szybko a oddziały nasze zostały odesłane znowu na dobrze nam znany z walk w roku 1915 odcinek Hulewicze-Sitowicze.

Humanitarna patrol.

Wyczytałem w gazetach, że międzypaństwowa konferencja sztokholmska uchwaliła szereg rezolucyj, mających nieco złagodzić grozę obecnej wojny prowadzonej wszystkimi najstraszliwszymi środkami, jakie tylko ludzkość na swoje nieszczęście wymyślić zdołała. Między innymi poleca konferencja sztokholmska ze względu na rodziny poległych i na skutki prawne, stwierdzenia śmierci dokładne prowadzenie metryk poległych nieprzyjaciół, których zwłoki zostały na terenie walki i naturalnie pochowanie tychże zwłok. Nie jest to nowość, bo nie tylko przepisy regulaminów wojskowych, ale nawet najpierwotniejsze uczucia ludzkości, mówią to samo, że nieprzyjaciół ranny, czy zabity, przedstawia być nieprzyjacielem.

Przed kilku dniami urządzili Rosjanie na odcinek obsadzony obecnie przez naszych Legionistów, nocny masowy atak. Było to właściwie wysłanie ludzi na rzeź, gdyż Rosjanie mogli się posuwać wśród olbrzymich bagien S. tylko groblą, albo też trzymać się najbliższego jej sąsiedztwa. Atak został odparty, a na bagnach przed naszymi okopami zostały setki trupów, które przy panującym upale, natychmiast zaczęły się rozkładać. Trzeba było koniecznie je pogrzebać. Zgłosiłem się u komendanta najbliższego odcinka, kapitana Olszyny z prośbą o przydzielenie mi niezbędnej patroli.

Za chwilę zjawili się trzech chłopców, prawie że dzieci, bo najstarszy sekcyny miał może 17 lat. Zaraz ruszyliśmy. Mieliliśmy dwie drogi: jedna prowadziła ową nieszczęsną groblą, która jednak jest doskonale widoczna dla nieprzyjaciela, a druga raczej bezdroże, prosto przez środek bagna. Wybraliśmy się bagnem.

Po opuszczeniu okopów przyszedliśmy do zasieków drucianych; „obywatel“ sekcyjny poprowadził do tajemniczego przejścia w siatce w różne strony rozciągających się drutów kolczastych, w które ludzie łapią się jak muchy w siatkę pajęczą. Znaleźliśmy się na przedpolu. Siedemnastoletni przewodnik, który tę drogę zrobił już kilka razy, ze zręcznością kota przeskakiwał z kępy na kępę, ale mnie to skakanie nie zawsze do brze udawało się, trzeba jednak było przypomnieć sobie młodsze lata, bo wpadnięcie w oparzelisko, groziło utopieniem się w bagnie. Co chwila musieliśmy przystawać i chować się w szuwarach, aby zniknąć nieprzyjacielskiemu obserwatorowi.

Po przykrej woni poznaliśmy, że gdzieś w szuwarach znajdują się zwłoki. Na kępce koło szuwarów znajdujemy rosyjski karabin, płaszcz, buty i różne pokrwawione części ubrania. Widocznie ranny żołnierz zrzucił z siebie przemoczone w bagnie ubranie, aby z większą łatwością mógł wrócić do swoich. Niestety, zobaczyliśmy go w najbliższem oparzelisku. Jeszcze znać było ślady, kędy pełzał między szuwarami, lecz z bagna widać było tylko boleśnie przekreconą głowę. Rzuciliśmy na tę głowę kilka garści błota, aby mu oddać ostatnią posługę.

Posuwamy się dalej. Woń staje się coraz przykrzejszą, co krok spotykamy trupy, znajdujące się w tak strasznym rozkładzie, że bez środków dezynfekcyjnych niepodobna się zbliżyć. Znowu na wpół potopione trupy rzucamy błoto, aby je ochronić od kruków, płazów wodnych i zasłonić przykry widok, na który potrafi patrzeć tylko człowiek, którego nerwy przez czas 2-letniej wojny zostały mocno przytępione.

Nagle posłyszeliśmy trzask i plusk kul szrapnelowych, wpadających obok nas do błota. Strzał był celny, otoczyła nas chmura dymu. W oka mgnieniu leżeliśmy wszyscy w błocie. Byliśmy odkryci, praca nasza skończona. Wojna uczy człowieka lisiego sprytu.

Na brzuchach poczołgaliśmy się naprzód na suchsze miejsce koło grobli, gdzie natrafiliśmy na rosyjski okop, sporządzony podczas ataku. To nas uratowało, bo nieprzyjaciel rzucił na poprzednie miejsce jeszcze dwa granaty, aby nas z całą pewnością wystraszyć, a potem zaczął ostrzeliwać szrapnelami naszą poprzednią drogę, myśląc, że szybkim krokiem zmykamy do okopów, a tymczasem w rosyjskim okopie zacieraliśmy ręce z naiwności rosyjskiego obserwatora.

Strzelanina ustała. Zaczęliśmy się oglądać naokoło. Na grobli leżały całe stosy trupów nieprzyjacielskich, ale do nich niepodobna się zbliżyć bez narażenia się na pewną śmierć, gdyż widocznie nieprzyjaciel ma dokładnie pomierzone odległości, a ruiny kościoła, stojącego tuż nad bagnem, dają mu bardzo dobry punkt orientacyjny.

Przypatrzyłem się bliżej kościołowi. Ze ślicznego kościoła, wybudowanego z końcem XVI. wieku, w stylu renesansowym, ozdobionego wspaniałymi freskami, które mimo wieków i przemiany na cerkiew prawosławną, były doskonale utrzymane, zostały tylko smutne szczątki, kupa bielejących się gruzów.

Przed 10 miesiącami, ku wielkiej radości miejscowej polskiej ludności, odprawiłem w tym kościele pierwsze po 40 latach nabożeństwo. Kościół ten bowiem został skonfiskowany w r. 1875 i starsi ludzie doskonale pamiętali ostatniego administratora tejże parafji, który obecnie jest proboszczem w Kowlu. Rosjanie uszanowali starożytność kościoła i wysoką wartość artystyczną fresków; z wyjątkiem trójjramiennego krzyża na wieży i carskich wrót, nie porobili w kościele żadnych zmian.

Dziś ludność ewakuowana, wszystkie domy — zbudowanego na pagórkach, otoczonego bagnami miasteczka — spalone, kościół w gruzach, a pomiędzy obu linjami okopów włóczą się zdziczałe psy i koty, jedyni

świadkowie, że tu niegdyś kwitło życie ze swoją zwyczajną radością i bólami.

Czas było myśleć o powrocie do okopów, zwłaszcza, że zauważyła nas znowu placówka piechoty, stojąca zdaje się wśród gruzów kościoła i zaczęła nas ostrzeliwać. Grozy wojny nie usuną żadne uchwały sztokholmskie, czy konwencje genewskie, bo one wyglądają bardzo ładnie na papierze lub przy zielonym stoliku, a w rzeczywistości nie można oddać biednym bohaterom czy też ofiarom nawet ostatniej przysługi.

W czasach, gdy etyka i moralność obowiązywała nie tylko w życiu prywatnym, ale publicznym, chociaż namiętności ludzkie, które zawsze są jednakie, wybuchają z równą może gwałtownością, łagodził je „pokój boży“. Na polu bitwy, przy opatrywaniu rannych, czy grzebaniu poległych, nabiera się dopiero pojęcia, o wartości wystąpienia Forstera, o etykę w życiu publicznym, do czego chrystjanizm od wieków nawołuje.

Europa podobno dla nas nigdy nie miała litości, nie możemy jednak za Japończykiem powiedzieć, „poczekajmy, aż Europa dokona swego harakiri“, bo „harakiri“ przede wszystkim godzi w nasze wnętrza, więc powinniśmy stanąć nie tylko w szeregu bojowników o nasz byt narodowy, ale także w szeregu szermierzy zaprowadzenia etyki chrześcijańskiej także do życia politycznego i do stosunków międzypaństwowych, bo niestety i u nas maksyma „polityka nie powinna uznawać etyki“, jest dość rozpowszechniona.

Odbiegłem od tematu, którego epilog jest zresztą mniej zajmującym, bo po godzinnej pełzaniu, kryciu się w szuwarach, w pośród gnijących zwłok, wróciliśmy szczęśliwie do swoich okopów, a olbrzymia większość zwłok została na bagnach, nie podobna nawet wyjąć legitymacyj, by zawiadomić rodzinę, bo w dzień nie pozwala nieprzyjaciel, a w nocy bagno czyhające co krok ze swą nienasyconą gardzielią.

Walki nad Stochodem.

W okolicy Pasieczna, Sitowicz, Mielnicy, znajdowała się spora ilość zboża, stojącego na prniu tuż w pobliżu pozycji. Drgnęła wnet we mnie żyłka gospodarska, zwłaszcza, że w okolicznych lasach kryło się wiele rodzin wyewakuowanych z nad Stochodu, które żyły przeważnie trawą i resztkami zabranej żywności.

Po długich perswazjach udało mi się pozyskać zaufanie tych prawdziwych męczenników losu i sformowałem z nich oddział żniwiarów, który rąbał się do pracy. Wymłócone zboże oddaliśmy tym biedakom, a słomę wzięliśmy dla wojska. Za tym przykładem wszystko wyruszyło do pracy, a szczególnie resztki tutejszych mieszkańców, która pozostała w domu. Legioniści wozili z wielkiem zadowoleniem, zamiast amunicji, ciężkie wołyńskie snopy i po kilku dniach żniwa były ukończone.

Zmarnowało się tylko to zboże, które było bezpośrednio na pozycjach, tam bowiem nie można było w dniu dostąpić. Leśne obozowiska uchodźców w lasach Krywna, Szkuratu i Skulina przedstawiały dantejskie piekło nędzy, głodu i rozpaczliwych ludzi, którzy przed kilku dniami mieli własne zamożne gospodarstwa, a dziś są nędzaczami, bez dachu nad głową, bez kawałka chleba. Byli to przeważnie Polacy-katolicy. Ludność ta żywiła się resztkami wyrzucanymi z kuchni wojskowych. Małutkie dzieci obgryzały jak szszenięta porzucane przez żołnierzy kości. Z naszego urzędu prowiantowego wyprosiłem kilka razy różne remanenty wiktualii i zawiozłem do lasu. To też do mojego wózka zawsze zbiegała się chmara dzieci.

Wojsko rosyjskie przerwało 4 sierpnia naszą linię na austriackim odcinku koło Podryża i dotarło aż do Rudki miryńskiej, zagrażając naszym tyłom. Trzeba było sytuację na gwałt ratować. Wysłano tam 2 pułk ułanów, który zostawiając konie wśród cudownego

łanu pszenicy za miryńskim folwarkiem, pieszo uderzył wśród kłębow dymu i huraganowego ognia na palącą się Rudkę miryńską. Za kawalerją pospieszyła piechota, mianowicie po 1 baonie z 2, 3 i 4 pp. Konno udałem się na plac boju. Rannych było nie wielu, zabitych tylko kilku. Bataljon 4 pp. został wprawdzie rozbity przy ataku, ale gdy się zebrał z powrotem, okazało się, że strat miał nie wiele.

Sukces pod Rudką miryńską miał bardzo ważne znaczenie dla całego frontu, jak się to okazało z pochlebnych dla nas rozkazów wyższych komend wojskowych. Drugi pułk ułanów tak się tem cieszył, jakby mu się udało zdobyć sto koni, które w pobliżu kawalerji w zatrważający sposób znikają.

W Legionach zaczyna się w sierpniu znowu wrzenie bardzo silne. Nastąpiły również dwie zmiany, bo komendanci II. i III. Brygady pułk. Kuttner i gen. Grzesicki ustąpili. II. Brygadę objął pułk. Haller, a III. świeżo przydzielony pułkownik sztabu generaln. Szeptycki.

Ustępujących Brygadjerów żegnano dość zimno, chociaż nawet i Kuttner, człowiek obcej narodowości, bo Niemiec, przez kilkanaście miesięcy pobytu wśród nas całkiem zlegumiał i opuszczał Brygadę ze łzami w oczach, co się z pewnością w innem wojsku rzadko zdarza. Generał Grzesicki poszedł na stanowisko zastępcy gubernatora lubelskiego. Jako oficer łącznikowy armji niemieckiej został do nas przydzielony rotmistrz Maciej hr. Mielżyński, b. poseł do parlamentu berlińskiego, ogólnie znany ze swego sławnego procesu.

Pozycje nad Stochodem już się ustaliły z końcem sierpnia, a walki pozycyjne przybrały nudny charakter jednostajności. Z dużem zacięciem walczyły obie strony o posiadanie wzgórza 182, które panowało nad naszymi pozycjami. Legjoniści odrzucali z łatwością wszelkie ataki rosyjskie. Z kraju dochodzą nas wiadomości o różnych projektach rozwiązania sprawy polskiej. I. Brygada krytykowała bardzo złośliwie wszel-

kie zarządzenia „c. i k. Komendy“, dochodziło nawet nietylko do biernego oporu, ale wprost do odmówienia posłuszeństwa jak np. w sprawie przeniesienia 1 p. ułanów do Koźlenicz.

Na ręce Komendanta Leg. gen. Puchalskiego nadesłał brygadjer Piłsudski prośbę do Naczelnej Komendy Armji austr. o uwolnienie go z Legionów, gdyż został obrażony przez gen. Puchalskiego. — Rozmawiając o tem z Dr. Liebermanem, który uchodził za doradcę prawnego bryg. Piłsudskiego, zapytałem dlaczego Piłsudski nie podał jako motywu prośby o zwolnienie, braku należytego rozwiązania sprawy polskiej przez państwa centralne, a wtenczas zdobyłby sobie ogólną miłość legionów i narodu.

„Piłsudski jest za wielkim człowiekiem — odparł Lieberman, aby mógł stawiać swoją osobę na jedną kartę.“

„Kto naraża tysiące ludzi na śmierć — odpowiedziałem mu, ten powinien umieć zaryzykować także swoją osobę.“

Po odjeździe Piłsudskiego w Legionach nastąpiła cisza zwiastująca nową burzę. Rozchodzą się znowu różne pogłoski o mającem wkrótce nastąpić rozwiązaniu sprawy polskiej, przyczem Galicja nie ma być przyłączona do Polski, ale ma być wyodrębnioną z Austrii, jako osobne państwo związkowe.

We wrześniu nadchodziły do nas od kilku dni różne wiadomości o losach Piłsudskiego, jedni mówili, że został przez władze austriackie aresztowany za odważne wystąpienie za rozwiązaniem sprawy polskiej, inni opowiadają, że w naczelnej Komendzie armji austriackiej został bardzo przychylnie przyjęty i że polecono mu wypracowanie projektu utworzenia nowej polskiej dywizji, która ma być od Komendy Leg. Polskich niezależną. Sprawą Piłsudskiego zajmowali się bardzo żywo także Niemcy, gdyż generała Puchalskiego wzywano do ko-

niendanta frontu wschodniego arcyk. Leopolda. Rotmistrz hr. Mielżyński również często wyjeżdżał w różne strony.

Aż tu wreszcie nadeszła wiadomość, że Piłsudski otrzymał dymisję.

Wiadomość ta sprawiła silne wrażenie na wszystkich, a miarą tego jest okoliczność, że I. pułk ułanów przybrał się w paradne mundury, olbrzymie czaka ze sznurami i w pełnym rynsztunku na koniach urządził zbrojną demonstrację przeciw Komendzie Legionów. Według krążących pogłosek demonstranci mieli zamiar aresztować cały sztab, lecz widocznie przestraszano się ewentualnych następstw.

Pierwsza Brygada znowu, jak i przed rokiem weszła w stan likwidacji, który stał się już stanem chronicznym. Przeprowadzenie tej likwidacji było bardzo trudne i nie wszystkim się uśmiechało rzucanie karabinu do błota i wianie chyłkiem do Królestwa do P. O. W. (Polska Org. Wojsk.). Żołnierze I. Brygady kpili ze wszystkich ze wszystkiego i z siebie samych, a optymistom żołnierzy II. Brygady, którzy nie chcieli rzucać karabinów, przeciwstawiali złośliwo - pesymistyczną gadkę: „Ni z tego, ni z owego będzie Polska na pierwszego“. Za wzorem Piłsudskiego prawie wszyscy oficerowie I. Brygady wnieśli podanie o zwolnienie z Legionów.

Na prośbę ks. prob. z Hołob, Maciejskiego, który został przemocą przez Niemców usunięty z parafji, udałem się konno w tamte strony. Z daleka zauważyłem, że z przepięknego kościoła zostały gruzy. Bardzo wysoka wieża kościelna została umyślnie przez Prusaków rozsadzona dynamitem, gdyż jak mnie objaśniano, stanowiła cel orientacyjny dla rosyjskiej artylerji. Waląca się wieża zrujnowała także znaczną część kościoła, a zniszczenia wewnątrz dokonali żołnierze niemieccy mimo iluzorycznej opieki niemieckiego kapelana wojkowego.

Po długich staraniach zdołałem dostać się także na plebanję zajętą przez niemieckich oficerów i do kancelarii parafjalnej, której nie pozwolono ks. Maciejowskiemu wywieźć. Jakiś mrukliwy lajtnant pruski wyraził przy tem mocno swoje zdziwienie, skąd mnie mogą obchodzić jakieś *russische Standesakten* i pilnie uważał, bym jakichś podejrzanych aktów potajemnie nie zabrał. Mieszkanie proboszcza, tak dobrze mi znane z przed paru miesięcy przedstawiało także obraz wandalskiego zniszczenia.

Część parafjan hołobskich pozostała jeszcze w domu, mianowicie we wsiach Radoszynie, Wólce radoszyńskiej, Chobocie, Mielnicy i t. d., chciałem więc i tych odwiedzić. W Wólce radoszyńskiej zajechałem do dworu, gdyż znałem dobrze właściciela hr. Walewskiego, z którym spotykałem się kilka razy na plebanji w Hołobach. — Wspaniały niegdyś pałac przedstawiał obraz zupełnej ruiny. Większość szyb wybita, a po dawnych klombach walają się resztki kanap i foteli. Jakiś Prusak objaśnia mnie, że Graf Walewski jest wprowadzie we wsi, ale mieszka w chłopskiej chacie, gdyż dwór zajęty przez wojsko. Po długiem szukaniu odnalazłem właściciela niegdyś wspaniałych majątków na Wołyniu i na Litwie w malutkiej komorze, zgoła niepobielonej i bez pieca, wynajętej od polskiego kolonisty. „Gdyście tu, opowiadał mi stary hrabia, przyszli poprzedniego roku mimo kilku bitew, wszystko zostało nietknięte. Także władze austriackie obchodziły się tak z dworami jak i włościanami jako tako, a nawet dawano nam konie do uprawy roli. Dopiero, gdy przyszli Prusacy po klęsce pod Łuckiem zaczęło się istne piekło. Pruski generał Bernardi mówił do mnie po francusku bardzo pięknie, ale mnie starego z chorą żoną wyrzucił bez litości ze dworu, nie pozwalając zamieszkać nawet w najmniejszym pokoju oficyn naszego pałacu. Zarekwirowano mi kilka tysięcy kóp pszenicy i żyta, wszystko siano, wszystkie ziemniaki, wszystkie krowy, resztę koni, wszystkie sprzęty gospodarcze, a dla mnie,

dla żony i dwojga starych sług wyznaczono 400 klg. żyta, 200 klg. pszenicy i 400 klg. ziemniaków. Po wyprowadzeniu się generała Bernardiego z pałacu, żołdactwo zniszczyło mi wszystko, nie wyłączając biblioteki i dzisiaj jestem żebrakiem“. Pytałem tego siwego staruszka, mówiącego drżącym głosem, dlaczego nie wyjedzie do Lublina, albo gdzieś w głąb kraju? „Dzisiaj nie mam zupełnie za co wyjechać. Gdyby mi zapłacono przynajmniej część zarekwirowanych płodów, tobym miał za co żyć przez czas dłuższy. A tak to muszę zostać przy 4 workach ziemniaków“.

Przyszło mi na myśl, że przecież u nas jest niemiecki rotmistrz hr. Mielżyński, ze sławnej poznańskiej rodziny, który zna się doskonale z tym samym generałem Bernardim. Hr. Walewskiemu, więc przyrzekłem, że poproszę rotmistrza Mielżyńskiego o zajęcie się tą sprawą, która z pewnością musi być przecież jakoś załatwiona. Gdy się okazało, że hr. Mielżyński jest dawnym znajomym, a nawet dalszym kuzynem Walewskiego, byłem pewny, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Wizytę moją zakończyło niespodziewane dla mnie zjawienie się chorej umysłowo hr. Walewskiej; przyznam się, że tej kobiety obłąkanej wśród nieszczęść prawie do furji, tak się przestraszyłem, że czempredzej umknąłem nie chcąc być świadkiem scen przykrych.

Po drodze odwiedziłem jeszcze kilka rodzin polskich. Wszędzie rozległ się jeden jęk skargi na ucisk i nadużycia wojsk niemieckich. To też wróciwszy do Komendy Legionów, pośpieszyłem natychmiast do rotmistrza Mielżyńskiego, aby mu przedstawić grozę położenia. Zostałem oblany zimną wodą.

— Proszę księdza — powiedział mi pruski rotmistrz, chociaż mówiący po polsku i noszący polskie nazwisko i właściciel obszernych włości w Poznańskim, ja się tą sprawą zająć nie mogę i nic nie poradzę, bo *Krieg ist Krieg*.

Chyba należałoby to przetłumaczyć, że „Kruk krukowi oka nie wykole“. W niemieckim bowiem wojsku

podobno także istnieją jakieś prawa i przepisy rekwizycyjne.

Wstyd mi było przyjechać do Wólki radoszyńskiej z taką odpowiedzią od naszego rodaka, zwłaszcza, że szło tu o piękne polskie nazwisko, ale przy sposobności starałem się przesłać w tamte strony trochę cukru i herbaty.

Korzystając z tego, że na nabożeństwo zjawiły się deputacje wszystkich odcinków Legionowych wygłosiłem kazanie o karności żołnierskiej. Za podstawę wziąłem przypowieść ewangelji o budowaniu domu na skale i na piasku, przyrównawszy Legiony i groby legionowe rozrzucone na pograniczu Polski do wykopanego już fundamentu dla nowej Ojczyzny. Kto ten fundament lekkomyślnie burzy i niszczy, a chce zacząć nową budowę na lotnym piasku jednostkowego widzimi się, ten nie jest dobrym budowniczym.

Wspominając, według danego mi przez gen. Pu-chalskiego rozkazu o cesarzu z okazji nakazanej gallowki imieninowej, powiedziałem tak: Swojego króla nie mamy, zostaliśmy za pokutę poddani pod obce panowanie, a od 120 lat cesarz Fr. Józef jest pierwszym panującym, który nam żadnej krzywdy nie wyrządził i pozwolił rozwijać się pomyślnie naszemu narodowi, a przy wybuchu wojny dał broń w rękę naszą, abyśmy to, co obca przemoc wzięła, mocą odebrali. Więc pamiętajmy dobrze o tem, aby tej broni, którąśmy wzięli do rąk w świętej walce o wolność Ojczyzny, lekkomyślnie nie porzucać, ale trwać w żołnierskiej karności, jak długo świeci nam nadzieja lepszej przyszłości.

Zwołałem również w mieszkaniu ks. Żytkiewicza, kap. 5 p. p. konferencję kapelanów, celem dania wszystkim kapelanom wskazówek, aby bezwzględnie wystąpili przeciw agitacji za tłumnem opuszczaniem szeregów legionowych, tym zaś kapelanom, którzy wnieśli demonstracyjne podanie o dymisję, oświadczyłem, że uważam to podanie za niebyłe, gdyż uczynione pod wpływem agitacji. Gdyby jednak ktoś obstawał przy

podaniu, a zwłaszcza gdyby brał udział w agitacji za opuszczeniem szeregów legionowych, to ma to jeszcze raz oświadczyć pisemnie, a ja podanie wówczas odeszłę do Wikarjatu Apostolskiego. Po konferencji udałem się do jadalni 5 p. p., gdzie mnie otoczyło kilku zapalczywych polityków, żądając wyjaśnień co do mego sposobu postępowania. Tłumaczyłem im długo i szeroko swoje przekonania o konieczności istnienia kadr wojska polskiego, najpotrzebniejszych właśnie przy końcu wojny, gdy się będą decydować losy narodu polskiego oraz oświadczyłem, że robię tylko to, co jest mojem prawem i obowiązkiem jako proboszcza Legionów, a komu się moje postępowanie nie podoba, może mnie skarżyć do władz wyższych. W obronie mojej stanął komendant pułku Bērbecki, mówiąc: „Panowie, szanujcie cudze przekonania“.

Przesilenie dochodziło wreszcie do zenitu. W pułkach I. i III. Brygady odbywały się narady, wiece, głosowania. Pierwszy pułk piechoty oświadczył, że nie może brać odpowiedzialności za utrzymanie odcinka, bo żołnierze są tak rozgorzyczeni dymisją komendanta Piłsudskiego, że zupełnie na nich liczyć nie można, a odpowiedzią było zarządzone przez komendę armji obstawieniem pułku Niemcami. Na wiecach I. i III. Brygady, większością głosów zapadło postanowienie, aby iść „do mamy“, wykonanie zaś tej demobilizacji przeprowadzono w rozmaity sposób. Większość zgłaszała się jako chorzy i próbowali przez szpitale lub wprost pociągami sanitarnymi dostać się do Królestwa, gdzie na zbiegów czekały schroniska Ligi kobiet i P. O. W. Gorętsi żądali od żołnierzy wprost rzucenia karabinów i przedzierania się przez kordon wojskowy nad Bugiem do Królestwa. Było to wprawdzie więcej ideowe, zawsze jednak nierozumne, bo narażało ludzi na stryczek lub przymusowe roboty w karnych bataljonach, a w żadnym razie bierna demonstracja przez rzucanie karabinu pod nogi swego wroga nieda się pogodzić z honorem żołnierskim.

General Puchalski pojechał na urlop. Mówią, że już nie powróci. Komendę Legjonów objął tymczasowo pułkownik Szeptycki. Nadeszły wiadomości, że za kilka dni mamy opuszczać Wołyń.

Ciekawość dokąd nas łaskawe losy zanoszą?

Optymiści twierdzą, że do Warszawy, a pesymiści wołają, że na San Domingo nie powinniśmy się dać wywozić.

XIV.

Na Litwie.

Wątpliwości zostały rozwiązane. Setka pociągów przewiozła nas w ciągu kilku dni przez Brześć Litewski na drugą stronę pińskich błot do Mickiewiczowskiego powiatu Nowogródka, do Baranowicz, dokąd przybyliśmy 10 października. Olbrzymi obóz rosyjski, do niedawna mieszczący główną kwaterę rosyjską z Mikołajem Mikołajewiczem, pomieścił wygodnie wszystkie pułki piechoty. Konnicę, artylerję i tabory rozrzuciono po wsiach sąsiednich. Nadzieje zawiodły tak optymistów, jak i pesymistów, bo przecież ziemi, na której żył, działał i którą tak cudownie opisał Mickiewicz San Domingiem nazwać nie można. Zawiodły także gadania o internowaniu wszystkich Legionistów, odebraniu broni i t. p., więc też u nas nastąpiło pewne zdumienie i uspokojenie zarazem.

18 października byłem, jako członek komisji kasowej z por. Sidorowiczem w Żyrowicach, aby pobrać pieniądze dla naszych oddziałów w głównej kasie armji.

Pospieszny pociąg z Baranowicz mknął w zachodnią stronę z szybkością pokojową i oto w krótkim czasie ukazały się nam mury i liczne wieże Słoniwa. Zdaje się, że pierwszych dwu Legionistów znalazło się na bruku tego miasta, w którym niegdyś przez dłuższy czas bawili Legioniści Dąbrowskiego.

Położenie miasta jest piękne; pośród pagórków leśnych, pośród łąk zielonych, wznoszą się charakterystyczne barokowe kościoły, grupa kamienic i domów przeważnie żydowskich i oto charakterystyka zwyczajnego polskiego miasta.

W przeciwieństwie do miast na Wołyniu, znajdujących się pod okupacją austriacką, na wszystkich sklepach i budynkach rządowych, znajdują się stare napisy rosyjskie, kilka polskich i parę nowych niemieckich „Kaffeehaus“, „Bier“, „Wein“ albo też „Wascherei“.

Na rogach ulic ogłoszono różne rozporządzenia władz wojskowych w języku niemieckim, rosyjskim i żargonie. Zaledwie na najważniejszych ogłoszeniach widać także i kilka polskich słów u dołu. Wchodzimy do pierwszego sklepu, na którym spotkaliśmy polski napis „Rutkowski“. No... nareszcie zasiągniemy języka! Niestety, zawód był dość duży, gdyż wprowadzie pan Rutkowski ma krótko obcięte pejsy, ale z polskością nie wiele ma wspólnego. Otrzymaliśmy jednak informacje przynajmniej te, że istnieje w Słonimiu jadalnia, w której czasem coś można dostać do jedzenia.

W odszukanej restauracji, językiem towarzyskim okazał się język rosyjski; młodsze pokolenia „gaworilo pa ruski“, a starsze normalnym żargonem.

Nagle nastąpiła cudowna zmiana.

Skądś nadeszła wiadomość, że te dwa „sałaty“, to z polskiego wojska, które ma przyjść od Warszawy do Słonima i tam ćwiczyć się. Dekoracja w tej chwili się zmieniła; usłużna gospodyni, mówiąc zupełnie dobrze po polsku, wymawia się, że nie umie dobrze po polsku, bo w Słonimiu mówi się tylko po rosyjsku i po niemiecku. Litwaki zaś, czując pewną polityczną kompromitację, zrobili przegrupowanie, zabierając się do innego pokoju.

W dalszym ciągu dowiedzieliśmy się przyczyny tak gwałtownych zmian; oto w Słonimiu rozbiegła się pogłoska, że tam ma przyjść aż 10.000 polskiego wojska, a dla interesu, czego to się nie robi na świecie?

Trzeba jednak poszukać w Słonimiu prawdziwej polskości! Idziemy więc, jak w dym, w stronę najbliższego kościoła.

Jest to stary kościół PP. Bernardynek, z olbrzymim klasztorem i wielkim ogrodem owocowym. Na murze klasztoru uderza nas duży napis „Szkoła polska“.

Więc nie zblądziliśmy. Od rektora kościoła ks. Kłamma, dowiedzieliśmy się, że do parafji Słonimskiej należy przeszło 12.000 Polaków-katolików, a w powiecie tworzą obecnie katolicy 65 proc., prawosławni około 4 proc., mahometanie około 3 proc., żydzi resztę. Ponieważ jednak prawosławni prawie bez wyjątku przynoszą dzieci do chrztu i uczęszczają stale do kościoła i dają dzieci do polskiej szkoły, mahometanie zaś uważają się za Polaków, więc panujący obecnie niemieckorosyjski charakter, nadają miastu tylko żydzi, których liczba jednak dochodzi 30 proc.

Mimo małego, początkowego rozczarowania, przekonaliśmy się, że polskość w Słonimiu jest i bije silnem tętnem, chociaż zamalowana rosyjsko-niemieckim pokostem.

Polskość nie straciła tu nawet dawnej swej siły atrakcyjnej, czego dowodem są polscy Tatarzy mahometańskiego wyznania. Mieszkają oni w Słonimiu przy ul. Tatarskiej i tam mają swój skromny meczet i duchownego, zwanego mułłą. W okolicy jest osad mahometańskich dość pokaźna liczba; stąd też pochodziła rodzina ś. p. Aleksandra Murzy bey Sułkiewicza, sierżanta Leg. pol., który nie doczekał przybycia do stron rodzinnych, ale padł przed dwoma tygodniami nad Stochodem.

Chociaż już Mickiewicz wspomina, że polskie żydki wiedzą wszystko, jednak tym razem nie mieli dobrych informacji co do Polskiego Wojska z Warszawy, więc musieliśmy po paru godzinach opuścić Słoniń i ciągnąć dalej. Wszędzie znać gospodarkę wojskową. Na polach niemieccy żołnierze kopią konną kopaczką ziemniaki i zwożą wielkimi furgonami do magazynów. Obok

ciężkich koni holenderskich, jakżeż nikle wygląda szkapina polskiego chłopca, który orze skibę rodzinną, aby rzucić ziarno na niepewne jutro.

Koło drogi spotykamy stary dworek polski otoczony dookoła wysokim i silnym ostrokołem, jakby „pan brat“ był jeszcze każdej chwili gotów odeprzeć „ostatni zajazd na Litwie“. W oddali widać cały zaścianek, pełen pięknych i czystych dworów, w których Brzytewki, Bartki i Macieje, jak ongiś, tak i teraz łamią sobie nad tem głowę, jak przetrwać biedę, jak nareszcie z kraju wyrzucić śmiecie raz na zawsze.

Gdy jeszcze człowiek przegłębnie mocno już nadzarpnięte i do Prus i Anglii wywiezione puszcze litewskie, gdy zobaczymy na mapie specjalnej, że do Tuchanowicz jest bardzo blisko, że Swież i Płużany można zwiedzić podczas jednodniowej konnej wycieczki, że przez Mickiewicze zapewne wypadnie jechać do Nowogródka, wówczas przemocą cisnąć się do myśli słowa:

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy...

Tak nas kiedyś powrócisz na Ojczyzny łono...

Tymczasem przenieś moją duszę utęsknioną,

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,

Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych.

Po godzinnej jeździe gościńcem, świeżo przez wojsko zbudowanym z granitowych „kocich łbów“, wybieranych na roli, zbliżamy się do sławnego centrum unji i polskości na Białorusi, do klasztoru Żyrowickiego. Jest to białoruska Częstochowa. Zabudowania klasztorne i kościoły tworzą całe miasteczko, do którego się tuli szereg domków przeważnie służby kościelnej i handlarzy dewocjonalji.

Kościół główny, założony, jak świadczy napis w r. 1470, zbudowany w stylu odrodzenia, z potężnymi kolumnami przy fasadzie. Przy przemianie na cerkiew, został również oszpecony przez nasadzenie nowych kopuł i wysmarowanie zieloną farbą. Inne kościółki, których jest trzy, zachowały swój barokowy charakter,

tak, że nawet mimo zielonego dachu, niczem nie przypominają cerkwi. Na wysokim pagórku stoi przepiękny kościół Grobu Chrystusowego, urządzony wewnątrz na wzór kościoła „Scala Sancta“ w Rzymie.

Cały kościół jest wypełniony właściwie schodami, którymi lud w Wielki Piątek na klęczkach dochodzi do krucyfiksu, a następnie odchodzi bocznymi klatkami schodowymi. Dziwna rzecz, że chociaż ten rytuał sprzeciwia się obrządkowi Cerkwi prawosławnej, został zachowany; widocznie prawosławni nie mieli odwagi go usunąć.

Drugi kościółek w podobnym stylu, wystawiono na pamiątkę zjawienia się N. M. P. W kościele tym, oprócz wywiezionego obrazu Matki Boskiej, znajduje się bardzo duży kamień, zdaje się pochodzenia meteorologicznego, o którym lud tutejszy opowiada różne dziwy. Podobny kościół M. Boskiej znajduje się poza murami klasztoru.

W obszernym klasztorze obecnie znajduje bardzo wygodne pomieszczenie wojskowy szpital. Jest to wprost sanatorium, które rozporządza wszystkim — od olbrzymiego ogrodu, tarasów na leżaki — do światła elektrycznego.

Marzeniem mojem było przeglądnąć archiwum tego tak pamiętnego dla nas klasztoru. Niestety dawne stare akta z czasów polskich, spalono umyślnie jeszcze przy konfiskacie klasztoru.

20 października. Baranowicze-Rozwadowo. Dziś dopiero mogłem rozpatrzyć się po tem dużem, brudnem mieścisku, powstałem, jak grzyby po deszczu, systemem żydowsko-amerykańskim w chwili powstania ważnego węzła kolejowego. Wszystkie ulice wyznaczone są pod linję i kątomierz. Jedynie tylko olbrzymie łachy wodnistego i śmierdzącego błota nie dały się ująć w kazienne formy geometryczne, drewniane zaś chodniki ze swemi dziurami, znakomicie się nadają do łatwego łamania nóg.

Polski kościółek znajduje się na krańcu miasta; jest to zwyczajny, ubożuchny barak drewniany, ale tuż obok są materiały i fundamenta na budowę nowego kościoła. W tym ubogim baraku tuli się z księdzem Ejsymontem polska parafia, wyjątkowo nieliczna, bo Baranowicze, to nowotwór rosyjsko-żydowskiego ducha.

Uroczyste poświęcenie polskiej szkoły odbyło się 24. X. Całe urządzenie: ławki, tablicę, stół, krzesła wykonał 4 p. p. za staraniem por. Stankiewicza. Dzieci zebrało się około 80; nauczycielem był Legionista również z 4 p. p. Dzieci dostawały co dnia bezpłatnie w południe posiłek, a nadto wszystkie pułki przyrzekły oddawać różne nieużytki, pozostałe z prowiantury, by choć ochłapami nakarmić biedną, wyrobniczą ludność polską.

Po poświęceniu przedstawiłem krótko dzieciom i starszym jak świętym jest dla każdego Polaka ten zakątek nowogródzkiej ziemi i zachęciłem do pilnego uczęszczania do szkoły. Odbyłem także z dziećmi początkową lekcję czytania i rachunków. Na poświęceniu szkoły był również pułkownik Szeptycki.

Duże kłopoty mieliśmy z porucznikiem Sidorowiczem, jako główna komisja kasowa, gdyż rachunki prowadziliśmy w koronach, a połowę gaży i żołdu wypłacaliśmy w markach. Przy przerachowaniach większych sum dla pułków i zakładów można było łatwo zasypać się na dużą kwotę, co mi się wczoraj o mało nie przydarzyło. Trafiłem jednak na sumiennego i skrupulatnego człowieka, który pomyłkę zauważył i nadwyżkę marek zwrócił.

Najbliższą parafią polską była Nowa Mysz, gdzie stoją również nasze oddziały. Wybrałem się tam więc, aby z okazji popołudniowego nabożeństwa zobaczyć, jak się przedstawia polska parafia na Litwie. Ks. proboszcz, sympatyczny staruszek przywitał mnie bardzo uprzejmie. Duży murowany kościół w stylu barokowym z XVII. wieku, plebanja otoczona starym sadem,

podobna do tysiąca innych polskich parafji. W porozumieniu z proboszczem wziąłem się zaraz przy pomocy miejscowej polskiej komendy do założenia polskiej szkółki. Ludność modli się po polsku, czyta i pisze po polsku, ale między sobą używa gwary białoruskiej, którą uważa za mowę na codzień, a gdy w sąsiedniej parafji, jeden z księży zaczął w kościele mówić po białorusku, to wszyscy ludzie demonstracyjnie opuścili kościół i żądali kategorycznie od proboszcza, aby zaprzestał prawosławnej agitacji.

Dnia 1 listopada nadszedł do komendy rozkaz śledzenia, względnie aresztowania majora Fleszara. Wyłapani przez Austriaków Legjoniści zbiegli stosownie do otrzymanych poleceń z I. Brygady, zeznali w śledztwie, że opuścili front i swój oddział na rozkaz majora Fleszara. Sprawa nadzwyczaj powikłana i przykra.

Nadeszły również wiadomości, że państwa centralne mają w najbliższych dniach ogłosić niepodległość Polski.

Być na Litwie, a nie widzieć Wilna, to być w Rzymie, a nie widzieć papieża, więc też wystarałem się o marszrutę do Wilna.

Stolica Jagiellonów, Wilno, została dotknięta przez niemieckiego korespondenta z „*Vossische Ztg.*“ zarzutem utraty swej własnej duszy, zarzutem lekkomyślnego przybierania obcego ducha, obcych kolorów. Podróż do Wilna miała więc dla mnie tem więcej ponęty; stała się wprost duchową koniecznością.

Z okien pociągu trudno nabrać choćby najogólniejszego pojęcia o kraju, przez który nas pociąg szybko unosi. Dziwaczne nazwy stacyj kolejowych, jak np. „Samosche“, „Jasuky“, „Minriłyj“ robią wrażenie, że się jedzie gdzieś przez Sachalin, albo też koleją bagdadcką, a pamięć napróżno próbuje odgadnąć prawdziwe nazwy miejscowości. Jedynie typowe zaścianki polskie i wieżycy kościołów budowanych w stylu barokowym lub gotycko-nadwiślańskim rozpraszają owe domniewania.

Przejeżdżamy Niemen. Na miejsce wysadzonego przez ustępujących Moskali mostu, wznosi się już nowy żelazny most, który wkrótce będzie oddany do użytku. Narazie pociąg jedzie trwożliwie po niskim, drewnianym moście.

Kilkanaście km. za Niemnem leży miasto Lida. Na górze nad miastem sterczą mury zamku Giedymina, leżącego obecnie w gruzach. U stóp góry rozciąga się duże, brudne miasteczko. Droga z kolei do miasta błotnista i pełna wybojów, po bokach opatrzona drewnianymi chodnikami.

Ogólne wrażenie robi Lida przykre. Brudne kamienne bruki, jeszcze brudniejsze drewniane domy, opatrzone pretensjonalnymi ozdobami z desek malowanych w różne jaskrawe kolory.

Centrum miasta zajmują naturalnie namioty handlującego Izraela. Napisy tylko rosyjskie, a świeżo domalowane niemieckie i żargonowe.

Przygodnie o drogę zapytany żydek, zdziwiony tem, że ktoś mimo munduru wojskowego, mówi do niego po polsku, odpowiada: „Ech wajs nisz“.

A jednak Lida na 16 000 mieszkańców, ma przeszło 6 000 Polaków, a parafia katolicka w Lidzie liczy 20.000 Polaków-katolików.

Okolica Lidy jest zupełnie polską. 90 proc. własności ziemskiej w powiecie, i to tak wielkiej (prywatnej), jak i drobnej (nadziałowej) znajduje się w ręku polskim. Udałem się do kościoła. Właśnie odprawiało się nabożeństwo różańcowe. Chociaż był to powszedni dzień, w kościele panował wprost natłok, a gdy z tysiąca piersi zabrzmiało polskie: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny“, zaczęła wstępować otucha do serca, że każdej biedzie koniec przyjdzie.

Dzięki informacjom miejscowego duchowieństwa, dowiedziałem się, że procent prawosławnych był w tułtejszym powiecie bardzo mały, a obecnie zmalał do zera. — W samej Lidzie znajdują się dwie szkoły pol-

skie, a w powiecie jest zorganizowanych koło 60, mimo wielkich trudności i braku sił nauczycielskich.

Tajne szkoły polskie istniały tu z dawien dawna i lud przeważnie umie czytać. Z powodu trudności, jakie polska szkoła musi obecnie przechodzić, z powodu wprowadzenia języka niemieckiego jako urzędowego, a nawet częściowo i wykładowego — czynniki miejscowe mają zamiar skierować szkolnictwo polskie na dawno wypróbowane tory. Może jednak „szimel“ biurokratyczny zahamuje trochę swój pęd, bo to dla żadnej strony, żadnej korzyści przynieść nie może.

Kościół w Lidzie wybudowany w XVII. wieku w stylu barokowym, jest dość duży, ale olbrzymiej ilości parafjan pomieścić nie może.

Na dworcu w Lidzie zapytywał mnie oficer niemiecki, czy jadę do Wilna jako komisarz Rządu polskiego. — „Na razie nie“ — odpowiedziałem mu.

Olbrzymia ilość torów kolejowych, rzęsiście oświetlonych elektrycznem światłem upewnia mnie, że jestem u celu podróży i oto wkrótce odzywa się głos konduktora: „Wilna, alles aussteigen!“. Z pociągu, obok tłumu wojskowych, wysiada kilka osób cywilnych, które pośpiesznie znikają z dworca.

Równocześnie na dworzec zajechał z niemiecką werwą jakiś dworski pociąg. Do wagonu zbliżają się generałowie, by przywitać gościa, a muzyka wojskowa zaczyna „Heil dir im Siegerkranz!“. To król saski przyjeżdża odwiedzić litewską stolicę swoich przodków. Na Foksalnej ulicy zebrał się liczny tłum, zwabiony odgłosem muzyki wojskowej i widokiem w paradzie maszerującego honorowego oddziału wojska. Nad słuchuję rozmowy, by się dowiedzieć, jakim językiem rozmawiają pierwsi spotkani przezemnie Wilnianie. Niestety! — ani słowa polskiego nie usłyszałem; bo cały tłum rozmawiał i krzyczał żargonem. Widocznie nieć tradycji między konstytucyjnymi dziedzicami korony polskiej (Konstytucja 3 Maja) a społeczeństwem polskiem zaginęła zupełnie i oto tak, jak pocziwy Saksoń-

czyk nie wie co to za herb z Orłem i Pogonią znajduje się na katolickiej katedrze drezdeńskiej, tak Wilnianin jest obojętny dla ubranego w pikelhaubę dziedzica wielkoksiażęcej mitry.

Razem z tłumem spieszę przez Foksal ku Ostrej Bramie.

Od strony zewnętrznej nie zauważyłem jej zupełnie. Wśród huków, świstu i warczenia kolumny samochodowej, która sobie przemocą robi miejsce wśród tłumu, wchodzę pod jakąś arkadę i oto natknąłem się na klęczącą kobietę, kurczowo przylgniętą do muru. Mimo woli przeszedł mnie dreszcz: to Ostra Brama. Dalej klęczy cały szereg takich postaci, lecz nikt z płynącego falą tłumu nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

Zatrzymuję się i odwracam wstecz. Wysoko na piętrze starej obronnej bramy widać jaśniejący wśród rześkiego światła obraz Matki Boskiej i wśród huków, dolatuje zaledwie słyszalny głos księdza odprawiającego wieczorne nabożeństwo „Pocieszycielko utrapionych“, a niktłe postacie na dole odpowiadają „módl się za nami“.

Pierwsze wrażenia, odebrane w Wilnie, były bardzo przykre, bo mimowoli w duszy budziło się uczucie naszej słabości wobec zmilitaryzowanej i uprzemysłowionej ręki niemieckiej, którą z taką radością witają dawni rusyfikatory-litwacy, a dziś dla interesu niemieccy patryjoci-żydzi.

Po załatwieniu meldunkowych formalności, zbity i przygnębiony na duchu, udałem się do wyznaczonego mi przez komendę hotelu. Wprawdzie właściciel hotelu Polak i służba polska, ale otrząsnąć się nie mogłem z przykrych wrażeń pierwszego wieczoru i ciągle uporczywie wraca ta myśl, czy jednak autor „Duszy Wilna“ nie miał słuszności; wszak w Wilnie przeważnie słyszy się tylko żargon. Tem większa niespodzianka spotkała mnie rano. Wychodzę na ulicę i widzę chmarę dzieci, idącą do szkoły. Słucham: radosny szczebiot polski.

Patrzę, młodzież gimnazjalna przeważnie ubrana w rogatywki. Idę dalej i słucham: Wszyscy na ulicy, z wyjątkiem handlarzy, zachęcających do kupna krzykliwym głosem, mówią po polsku.

Wilno rano i przez dzień jest polskiem, a wieczorem staje się żargonowo-rosyjsko-niemieckim. Ostatni spis ludności, mimo, że został dokonany już po usunięciu z magistratu funkcjonariuszy-Polaków, których miejsce zajęli żydziaki, mimo agitacji przeprowadzonej przez żelazną rękę z żelazną konsekwencją, wykazał 52 proc. Polaków, 26 proc. Litwinów, 1,7 Rosjan i Białorusinów, 0,7 proc. Niemców i 43 proc. żydów.

A więc Wilno ma podobne stosunki wyznaniowe i narodowościowe jak Lwów i Kraków, a żydzi, którzy przed dwoma laty byli istinnoruskiej narodowości, a obecnie udają prastarych Germanów, koleją losów, gdy poczują naszą siłę, staną się z powrotem Polakami jak byli przed wiekiem.

Nieuprzedzony do nas badacz naukowy prof. dr. Clemon napisał w czasopiśmie „Velhagen et Klarings Monatshefte“. August. Lipsk 1916. Studium architektoniczne Wilna. Oprócz starych cennych murów, wspinających pomników architektury, którym nie łatwo znaleźć podobne, potrafił on także zaglądnąć w duszę nie bagnistego Wilenka, ale polskiego Wilna.

Oto, co o niem pisze: „Obcy wędrowiec nie łatwo zdoła odczuć tchnienie kraju, który chce odetchnąć pełną piersią, nie łatwo zauważy powalone na ziemię siły, które dążą do czynu i dźwięczne głosy młodzieży, która w poszarzałem wśród burz mieście, dąży do rozsądzenia starej skorupy więzów, które w niewidzialny sposób wciąż jeszcze krępują ducha, aby wejść na nowe tory życia.

Litauen, wie die Gesundheit bist du mein Vaterland...

„Tak brzmiącemi słowy rozpoczyna się ostatnie dzieło największego polskiego poety Adama Mickiewicza. Czy my czujemy tę falę zdrowej potęgi kraju i narodu?

Chętnie w to zechcemy wierzyć, a potwierdzenie tych słów musi przynieść przyszłość!”

Kto ma oczy do widzenia, niechaj patrzy! Clemon zobaczył duszę Wilna.

A teraz kwestja białoruska.

Przez długi czas byłem pilnem czytelnikiem „Homana“, który w dwu wydaniach, z których jedno drukowane grażdanką (dla żydów i prawosławnych), a drugie polską pisownią (dla katolików) jest silnie kolportowane przez „Deutsche Zeitungs-Verkaufsstelle“. Jest to obok „Wilnauer Zeitung“ urzędowy dziennik generalnego gubernjum wileńskiego. Według informacji, zasięgniętych od osób stojących bardzo blisko redakcji, „Homana“ redaguje się po niemiecku, a dopiero później panowie, którzy niedawno byli Polakami, tłumaczą go na język białoruski. Mimo to „Homan“ nie „idzie“. Nie pomogły mu nawet kary, nakładane na właścicieli kiosków, ani roznoszenie przez żołnierzy.

Kwestja litewska w Wilnie nie istniała, mimo istnienia kilku litwomianów, gdyż na 2.500 Litwinów w Wilnie, około 2.000 osób stanowi służba domowa, która musi rozmawiać językiem swoich państwa, bo po litewsku w Wilnie poza Litwinami nikt nic nie rozumie.

Losy, które nami miotają po wszystkich kątach polskiej ziemi, zdaje się mimowoli budzą tak w nas, jak i w mieszkaniach mrocznych kresów polskich potęgę poczucia jedności i siły narodu polskiego.

Proklamacja państw centralnych.

A więc pogłoski o bliskim rozwiązaniu sprawy polskiej sprawdzają się, a w czasie mojej nieobecności komendant Legionów Szeptycki i wielu oficerów, wyjechało na wezwanie do Warszawy i Lublina w celu uczestnictwa w mającej nastąpić uroczystości.

5. XI. odbył się w Słonimie pogrzeb zmarłego tragiczną śmiercią majora Fleszara. Był to nadzwyczaj zacny i szlachetny charakter, pełen poświęcenia dla

ideału Niepodległości, a przytem gorący aż do zaślepienia zwolennik Piłsudskiego. Szkoda tego młodego i szlachetnego życia, które padło ofiarą psychologicznej tragedji Legjonów. Mianowicie mjr. Fleszar przebywał jako więzień w szpitalu austriackim w Słonimie w związku z dokonaną przez niego likwidacją bataljonu. Na wiadomość o mającej nastąpić proklamacji niepodległości Królestwa polskiego, bryg. Piłsudski w liście, skierowanym do pułk. Berbeckiego cofnął swój rozkaz likwidacji I. Brygady. List ten przesłano Fleszarowi, który się niezmiernie ucieszył nowym obrotem sprawy, ale też wyciągnął konsekwencję zbyt gorliwego wypełnienia rozkazu i odebrał sobie życie, dokonywując japońskiego „harakiri“.

6 listopada. A więc czy dzisiejszy dzień jest dniem szczęścia czy zły — bo tyle nas już spotkało zawodów od Napoleona i Aleksandra do dzisiejszych czasów, że trudno wierzyć czemukolwiek, co się opiera na cudzej łasce, a nie na własnych siłach Narodu Polskiego. Na obszernym dziedzińcu koszarowym, gdzie niedawno odbywał przeglądy wojskowe Mikołaj Mikołajewicz ustawiono wspaniały ołtarz polowy. Po nabożeństwie, które odprawiłem w asystencji wszystkich kapelanów, na trybunę wstąpił pułkownik Haller i odczytał orędzie dwu cesarzy o uznaniu niepodległości Państwa Polskiego. Po odczytaniu orędzia pułk. Haller przemówił do żołnierzy, wzywając ich do wytężonej pracy nad budową Wojska Polskiego, które musi być podwaliną Państwa Polskiego. Po Hallerze przemawiał niemiecki generał Adams, gratulując Legjonistom szczęśliwego doczekania się celu swych marzeń.

Do pierwszej brygady przemówił osobno pułkownik Berbecki i odczytał list Piłsudskiego, wzywający wszystkich Legjonistów do pozostania w szeregach legjonowych, a więc list zawierał odwołanie poprzednich dyspozycji, które były powodem tylu nieporozumień w Legjonach.

List Piłsudskiego był treści następującej: *)

„Po raz pierwszy w tej wojnie światowej dzisiaj w miastach naszych publicznie z ust przedstawicieli wielkich armji narodów padają zapomniane poza Polską słowa:

Niepodległość Polski, Rząd polski, Wojsko polskie. Za te słowa umierali ongiś na polach bitew nasi ojcowie i dziadowie... Te same słowa próbowaliśmy wymówić w imieniu Polski pamiętnego dnia 6 sierpnia 1916 r.

Drogi kolego! W tej chwili myśl moja biegnie ku wam wszystkim towarzyszom broni. Z całego serca winszuję wam w tej chwili tryumfu idei naszej, a pisząc do Was, Kochany Pułkowniku, wiem, że piszę do wszystkich moich współpracowników i kolegów bez różnicy stopnia...

Kochany Pułkowniku! Sądzę, że teraz musicie wykazać uzasadnioną cierpliwość i ufność, że żołnierz polski w tej światowej wojnie znajdzie nareszcie Ojczyznę w postaci własnego rządu i własnego wojska. Zdaniem moim, dymisje wasze powinny być teraz cofnięte, a z tą chwilą żelazne prawa służby żołnierskiej powinny być w całej rozciągłości przez was stwierdzone. Przyjemnie mi jest, że w tej chwili po krótkiej rozmowie z pułk. Roją i Sosnkowskim przyszedliśmy do jednozgodnego w tej sprawie poglądu, któremu daliśmy wyraz w swojej depeszy do was...!

Serdeczne uściśnienie łączę

J. Piłsudski“.

Po paradzie odbyło się przyjęcie, na którym niemieccy oficerowie pod wodzą generała „Wojny“, który mimo polskiego nazwiska ani słowa po polsku nie umiał, dokazywali cudów w sztuce masowej konsumpcji spirytualjów. Był tam także oficer Bawarczyk, który widocznie miał do mnie pewną sympatję i zaufanie, bo

*) Podaję za broszurą. „Warszawa - Legionom“ Piotrków 1916.

wprawdzie już mocno tracony przyszedł do mnie i powiedział: „*Herr Pfarrer, ich werde Ihnen was sagen! „No was?“ „Tun sie diesem Schelmen nicht mal glauben“.*

— *Wieso?* — pytam dalej.

— *Wir sind Katholiken, sie sind Katholik, wir werden zusammen mal Ordnung machen mit dieser Bande, was sagen sie dazu?...*

— *Was glauben anbelangt, dass werden wir niemals tun, zum Ordnungmachen müssen wir die Gelegenheit abwarten, aber nehmen werden wir immer und von jedem, wenn etwas gutes zu nehmen ist.*

— *In vino veritas*, więc spodziewam się, że pocciwy Bawarczyk mówił szczerze, a jeżeli nie, to i tak na jedno wyjdzie, bo się nic ciekawego odemnie nie dowiedział.

Radość u nas z powodu rozszerzających się widnokręgów naszej nadziei jest powszechną, oby była i trwała.

Po ogłoszeniu proklamacji chodziły pogłoski, że nareszcie mamy być przeniesieni do Warszawy, względnie na teren Królestwa Polskiego, aby tworzyć kadry Wojska Polskiego.

Tymczasem jednak przygniatała nas i ta troska, że gdy opuścimy te strony polskie, szkoły założone przez Legionistów poupadają. W tym też celu w porozumieniu z ks. Ejsymontem zabrałem się do założenia seminarjum nauczycielskiego w Baranowiczach, którego otwarcie właśnie dziś się odbyło. Na wymieniony kurs seminarjalny zgłosiło się 8 panienek, wprawdzie nieposiadających pełnych kwalifikacji na przyszłe polskie nauczycielki, ale posiadają one zato dużo dobrej woli i inteligencji.

Na utrzymanie polskich szkółek i wymienionego seminarjum zebrałem wśród Legionistów blisko 10.000 koron, które złożyłem u miejscowego ks. Proboszcza.

Tuż nad frontem urządzają Niemcy techniczne kursy szturmowe, w których biorą udział także Legjoniści. Kursa te stanowiły chyba „clou“ wojny. Sprawa przedstawia się tak: Na podstawie wielokrotnych i najdokładniej robionych zdjęć fotograficznych, budowano dokładną kopję nieprzyjacielską fortu razem ze wszystkimi przeszkodami, minami i t. p., a następnie żołnierze w szeregu ćwiczeń dokonanych najprzód w dzień, później w nocy ćwiczyli się w ataku na ten fort, tak, że w końcu żołnierz znał na pamięć każdą przeszkodę, każdy krok, każdy swój ruch ręką, miejsce i moment do rzucania granatu ręcznego i t. d. i t. d., tak, że później prawdziwy atak odbywał się z mechaniczną dokładnością w przeciągu paru minut, a co najważniejsze z minimalnymi stratami. W ten sposób zdobyli Niemcy już cały szereg potężnych umocnień polowych.

XV. Warszawa.

Wjazd Legionów polskich do Warszawy odbył się 1 grudnia 1916 nadzwyczaj uroczyście. W uroczystości brał udział 3 pułk piechoty, który pozostał w Warszawie i 2 p. ułanów, tudzież artylerja i delegacje innych pułków. Na czele jechał konno komendant pułk. Szeptycki ze sztabem, do którego i ja należałem.

Warszawa witała nas naogół dość ciepło. Po przemowach przy bramie powitalnej na rogu Nowego Świata oddziały przemaszerowały ulicami na Saski plac, gdzie odbył się raport i rewja, po której sztab udał się do Zamku, gdzie w królewskich komnatach odbyło się powitalne przyjęcie. Na długie i pełne różnych frazesów przemówienia Besselera, który prosił o zaufanie dla siebie, bo przy wspólnej pracy i przy wspólnem zaufaniu łatwiej będzie można dojść do urzeczywistnienia aktu niepodległości — odpowiedział pułk. Szeptycki krótko a bardzo dobrze, podnosząc między innemi to, że w salach starego Zamku królewskiego jesteśmy na razie gośćmi, ale czujemy się tutaj gospodarzami. Obiad był jak na ciężkie czasy suty, rozmowa toczyła się przeważnie po niemiecku, bo byliśmy przy stole poprzegradzani Niemcami. Stary Hutten Czapski, Poznańczyk pełnił honory gospodarza czy też gospodyni domu.

Pierwsze nabożeństwo odprawiłem w kościele św. Krzyża dla polskiej załogi w Warszawie. Kościół był pełen Legionistów, a boczne nawy wypełniła szczelnie

publiczność. Wygłosiłem kazanie o miłości Ojczyzny i o przyczynach upadku Polski.

Ponieważ Legionistów było w Warszawie około 5.000, zwróciłem się do „Hochbauabteilung“, aby przydzielono nam jako kościół załogowy, dawny kościół piarski przy pl. Krasińskich, który Moskale po upadku powstania listopadowego zamienili na sobór prawosławny. Zażądałem również mieszkania w dawnym klasztorze, w którym mieściło się mieszkanie prawosławnego Arcybiskupa i różnych archirejów. Po długich staraniach kościół ten otrzymałem do dyspozycji.

Dnia 18 grudnia dostałem zawiadomienie, że mam wysłać dwu kapelanów do Niemiec, aby w czasie świąt Bożego Narodzenia zwiedzili obozy jeńców Polaków. Myśli tej przyklasnąłem szczerze. Razem też z ks. Antoszem udaliśmy się bezwzględnie w drogę.

Obozy jeńców w Niemczech.

Pociąg pospieszny Brześć litewski Berlin, przewiózł nas przez polską granicę do Torunia. Miasto niestety na zewnątrz zupełnie zniemczone, iż podobnie jak i na wszystkich innych dworcach Prus królewskich trudno dojrzeć cech polskości, bo i ten polski robotnik kolejowy, z którego twarzy mimo przyćmienia denkiem pruskiej czapki, bił blask prostej i szczerzej polskiej duszy, musiał pod karą utraty chleba mówić po niemiecku. Na stacjach obok pociągów lokalnych paradowały niemieckie konduktorki ubrane w spodnie. Minęliśmy Chojnicę (Konitz) i Piłę (Schneidemuhl), w którym trudno już odgadnąć polską „Piłę“ i przez piaski i błota brandenburskie zbliżyliśmy się do centrum „Mitteleuropy“ do ongiś słowiańskiego Berlina.

Na stacji „Friedrichsbahnhof“ zjawił się po nas reprezentant niemieckiego ministerstwa wojny por. Twardowski i zawiózł całą delegację legionową do wspaniałego hotelu Adlon. Po obiedzie w towarzystwie tegoż por. zwiedziliśmy „Siegesallee“ i wiele innych osobliwości Berlina, które z poprzednich bytności dobrze zna-

łem, nie mogłem jednak zobaczyć tego co mnie najbardziej interesowało, to jest dobrze mi znanej „Arbeiterzentrale“.

Rano 21 grudnia odprawiłem Mszę św. w kościele św. Jadwigi, pełnym polskich pamiątek a wolny od towarzyszy chciałem dotrzeć do centrali robotniczej, jednak znowu mi się to nie udało, gdyż zanim zdołałem ją odnaleźć był już najwyższy czas spieszyć do „Kriegsministerium“, gdzie por. Twardowski miał nam wyrobić przepustki do wszystkich obozów.

O godzinie 11-tej po niedługim czekaniu zostaliśmy w ministerstwie wojny przyjęci bardzo uprzejmie przez jakiegoś starego generała, który na zakończenie powiedział do nas: „Zanieście swoim rodakom radosną wieść, że w krótkim czasie wszyscy wrócą do swej Ojczyzny, a na początek poleciłem, aby pewną ilość oficerów i żołnierzy urlopowano na święta. Stary generał, Saksończyk, jak można było wnioskować z akcentu, mówił to widocznie zupełnie szczerze, bo z twarzy jego można było wyczytać dużo dobrej woli.

Po powrocie do hotelu, podzieliliśmy się z księdzem Antoszem pracą w ten sposób, że on wziął obozy leżące w Hannoverze i Osnabrück, a ja wybrałem się do Gardelegen i Helmstadt, aby po drodze odwiedzić księstwo Anhalt i okolicę znaną mi z misyj przedwojennych.

Na stacji kolejowej Gardelegen czekał już na mnie adjutant komendy obozu jeńców i zawiózł mnie na przeznaczoną kwaterę, a później do komendanta obozu, starego pułkownika, weterana z wojny francusko-pruskiej.

Dziwny splot wrażeń zjawił się w mojej duszy. Z jednej strony ta tak długo nie spotykana grzeczność Niemców względem nas, a z drugiej strony ta gęsta sieć drutów kolczastych, którymi otoczone są baraki, mieszczące koło 6.000 jeńców Polaków. Ponieważ miałem urządzić spowiedź, a kwaterę miałem w mieście daleko od obozu, więc poprosiłem komendanta, puł-



Wilno. Widok na Wilgę i Antakol.



Poznań. Książnica Raczyńskich

kownika Grunera, aby mi pozwolił zamieszkać za drutami wśród jeńców. Stary pułkownik nieco się zdziwił, ale po krótkim wahaniu zgodził się na to, a nawet zauważyłem, że łza zabłysła w jego oku.

W towarzystwie adjutanta komendy obozu, który pełnił równocześnie funkcje pastora wojskowego, udałem się zaraz do obozu, zacząłem zwiedzać baraki i rozmawiać z żołnierzami tak długo, że się to sprzykrzyło mojemu aniołowi stróżowi, więc mi ciągle przypominał, że już czas na kolację. Zapowiedziałem zatem, że w kaplicy obozowej odbędzie się następnego dnia Msza św. i spowiedź.

Na kolacji w menaży oficerskiej zjawili się wszyscy oficerowie z komendy obozu, wszyscy z wyjątkiem wymienionego adjutanta byli starcami powyżej 60 lat.

Na nabożeństwo zebrało się do kaplicy koło tysiąca jeńców, z którymi nareszcie mogę pogadać bez nazbyt grzecznego świadka w osobie adjutanta-pastora. Jeńcy wyglądali strasznie źle, skarżyli się na to, że jako pożywienie dostają przeważnie tylko brukiew, chleba nie widzieli nieraz całymi tygodniami. Skarżyli się dalej na to, że jeńcy z innych narodowości, jak Francuzi, Anglicy, otrzymują często przesyłki ze swej ojczyzny z ubraniem, bielizną i wiktuałami, że takie przesyłki dostają czasem nawet i Moskale, tylko o Polaków nikt nie dba. Wytłumaczyłem im, że w Warszawie zawiązało się już stowarzyszenie opieki nad jeńcami Polakami i w krótkim czasie będą mogli za jego pośrednictwem otrzymywać przesyłki od swych rodzin.

Wszyscy prosili o wiadomości z Polski i o informacje, czy mają się zgłaszać do Wojska Polskiego. Objąsniałem ich, że w Polsce jest nieco lepiej, ale jeszcze nie całkiem dobrze, a co do wstępowania do Wojska Polskiego to objąsniałem ich, że Wojsko Polskie musi istnieć i rość, choćby w najgorszych warunkach, a to w tym celu, aby przy danej okazji wywalczyć dla Polski pełną swobodę, a Niemcy i inne narody, które nie liczą się tylko z siłą, będą się z nami liczyły naprawdę do-

piero wtenczas, gdy będziemy przedstawiać poważną siłę wojskową.

— A co będzie proszę księdza — zagadnął mnie jeden z jeńców, — gdy my utworzymy wojsko, a Niemcy nas wyślą na front rosyjski albo francuski?

Pytaniem tem zabił mi interpelant silnego klina w głowę, zwłaszcza, że obawiałem się, że może być między żołnierzami jakiś szpieg, ale, że „śmiełków psi gryzą“, więc odpowiedziałem mu tak:

— Byliście kiedy na froncie?

— Ano byłem, bo inaczej nie byłbym w niewoli.

— Więc skoro byliście na froncie, więc przypuszczam, że mieliście okazję przekonać się, że zawsze lepiej mieć nieprzyjaciela z naprzeciwka, aniżeli z tyłu lub też z boku.

Interpelant nie zrozumiał moich intencji i pytał dalej „no i cóż nam z tego“.

— Z tego będziemy mieli ten pożytek, że na froncie rosyjskim Polskie Wojsko będzie pilnowało polskich granic, a w razie czego będzie miało dobrze uświadomione Polskie Wojsko, stojące na froncie dziesięć razy większe znaczenie, aniżeli w głębi kraju.

Rano odbyła się wspólna komunja św. Później obeszliśmy baraki, życząc wszystkim przy oplatku jak najszybszego powrotu na łono rodzin, do których tęsknią starsi, zostawiwszy w domu żony i dzieci, a także i młodszy, którym się niewola, praca w kopalniach, pobyt w mroźnych barakach już mocno uprzykrzył. Wieczorem urządziliśmy w jednym z baraków jodełkę i kolendowaliśmy „na sucho“ i „na głodno“, a mimo to, że na myśl przychodziło mi *quo modo cantabimus canticum nostrum in terra aliena*, śpiew polskich kolend, pełnych życia i radości podniósł nasze uczucia wysoko ponad rozpacz bezsilnego oczekiwania niepewnego jutra, które leży w cudzych rękach.

Tych kilka dni pobytu w obozie jeńców po za siatką drutu kolczastego przekonało mnie, że stokroć gorszem od zimna i głodu jest panujące tutaj poczucie bezna-

dziejnej bezsilności i nudy. Jej to przypisać należy, że wśród jeńców spotyka się częstokroć obłąkanych a prawie wszyscy więźniowie chorują na jakąś neurasteniczną apatię i abulję.

Pasterki o północy nie mogłem niestety odprawić ze względu na obowiązujący w obozach jeńców regulamin, ale Mszę św. odprawiłem dla jeńców o godz. 8-mej rano. Po Mszy św. udałem się do miejscowego proboszcza, a przy tej sposobności chciałem spotkać w kościele bodaj kilku polskich robotników. Nadzieja mnie nie zawiodła. Proboszcz ucieszył się mocno mojem przybyciem i poprosił mnie o polskie kazanie po sumie, które też wygłosiłem. Po nabożeństwie zebrała się koło mnie garstka Polaków i ze łzami w oczach dowiadывali się o wieści z kraju, od którego zostali przez wojnę odcięci, a obecnie przemocą zatrzymani na prawach jeńców wojennych. Ponieważ widziałem, że obecność proboszcza, który rozumiał trochę po polsku krępuje ich, więc zaproponowałem im, aby się zatrzymali na rynku, a ja po pożegnaniu się z proboszczem przyjdę do nich i jeszcze sobie pogadamy.

Po śniadaniu u proboszcza poszedłem na rynek i aby nie zwracać uwagi, wstąpiłem do jakiegoś szynku. Tam robotnicy oświadczyli mi, że położenie robotników polskich, pochodzących z Królestwa, jest wprost straszne. Ogłoszono ich jeńcami wojennymi, chociaż nigdy na wojnie nie byli, bo pracują w Prusach od lutego 1914 roku. Wskutek uznania za jeńca otrzymują jako jedyne wynagrodzenie 60 fenigów dziennie, chociaż przeciętna zapłata dziennego robotnika wynosi 7 marek. Nadto nie otrzymują wyznaczonego przez komendę korpusną deputatu żywnościowego, a to tygodniowo 7 kg. ziemniaków, 3 kg. mąki lub kaszy, 4 litry mleka. Zamiast tego wszystkiego dostają najwyżej kilka funtów brukwi tygodniowo, a za resztę dwie lub trzy marki tygodniowo, tak, że szczególnie w zimie, gdy pracodawcy niewiele zależy na sile robotnika, wielu robotników mrze poprostu z głodu. Kupić żywności nie mają za co przy

szalonej drożyźnie, a za kradzież brukwi lub ziemniaków z kopców, znajdujących się na polach, do których się nieraz dobierają robotnicy, przyduszeni głodem, Niemcy wymyślają najstraszniejsze kary.

Gehenna niewolniczego narodu polskiego była straszną.

Obiad świąteczny w menaży oficerskiej był bardzo skromny, bo tak w Gardelegen, jak wogóle w całych Niemczech panowała do najwyższego stopnia zaprowadzona oszczędność. Ale Niemcy powiadali sobie: *Man muss Maul halten und durchhalten.*

Przy obiedzie pułkownik Grüner po oficjalnych zdrowiach wznosił w serdecznych wyrazach toast na cześć Polski i wyraził życzenie, aby jak najwcześniej obozy jeńców Polaków zostały zlikwidowane. Ponieważ wiedziałem od jeńców, że Grüner jest wcale porządnym człowiekiem, że nawet cichaczem pozwala tym jeńcom, którzy mają cywilne ubrania, chodzić do miasta i do kościoła zupełnie bez straży, podziękowałem mu więc za złożone dla Polski życzenia i za serdeczne uczucia, któremi darzy nieszczęśliwych jeńców. Po kilku lampkach wina rozwiązały się oficerom języki i ci siwowłosi bojownicy z pod Sedanu z ciekawością dopytywali się o stan organizacji zmartwychwstałego Państwa Polskiego, którą sobie bardzo idealnie wyobrażali, nie mając pojęcia o tem, że na razie wszystko jest w rękach Besselera i Kuka.

Drugi dzień Świąt spędziłem w oficerskim obozie jeńców w Helmstadt. Jest to miejscowość kąpielowa, bardzo ładnie położona, a obóz znajdował się w zakładzie kąpielowym. Ponieważ nie był otoczony drutem kolczastym, a nawet bramy wcale się nie zamykały, oficerowie mogli w każdej porze swobodnie wchodzić i wychodzić. To też obóz ten nie robi tak fatalnego wrażenia jak w Gardelegen. — W sali jadalnej, zamiast prowizorycznie na kaplicę, zebrało się kilkudziesięciu oficerów jeńców z pułk. Babiańskim i Kaczyńskim. Zacząłem śpiewać kolendę „Wśród nocnej ciszy“,

ale niestety śpiew nie poszedł. Pomiedzy oficerami było wielu Polaków z głębi Rosji. Ci nietylko nie umieli śpiewać polskich kolend, ale zwłaszcza starsi mówili bardzo źle po polsku z obfitą domieszką rusycyzmów.

Przebywał tam stale nasz „cicerone“ berliński por. Twardowski, adjutant komendy obozu i prowadził ewidencję wszystkich oficerów jeńców narodowości polskiej. — Zapytałem go, co dzieje się z obietnicą puszczania jeńców na urlopy, którą kazał mi zawieźć ów generał z ministerstwa wojny, — „urlopy te na razie wstrzymane, bo się temu sprzeciwia gen. gubernatorstwo w Warszawie“.

Po południu odbyłem konferencję w czytelnicy obozowej w sprawie polskiej. Podczas tej konferencji przekonałem się, że mimo tego, iż w obozie oficerskim jest o całe niebo wygodniej i lepiej, panuje tutaj taka sama psychoza apatii i abulji jak w obozie jeńców żołnierzy, różnica była w tem, że w mieście i w alejach parku kąpielowego widać wielu oficerów jeńców, przechadzających się pod ramię z mieszkankami Helmstadtu.

W czasie drogi powrotnej wybrałem się do Gerbstadt. Miasteczko zmieniło zupełnie swój charakter, stało się jakieś posępne i ciche. Ulice, przez które mnie w sierpniu 1914 r. ciągnął tłum z krzykiem: „Spion! Aufhängen“, jakby nie te same. Zaszedłem na plebanję, pukam do znanej mi kancelarii parafjalnej, wychodzi jakiś inny ksiądz, zresztą bardzo sympatyczny, który został przeniesiony tutaj na początku wojny, bo poprzednika wygryźli hakatyści, za to, że razem z pastorem stawał w mojej obronie.

Nowy proboszcz ucieszył się nawet mojem przybyciem, bo znał mnie dobrze z opowiadania i podziwiał moją zimną krew w znanych przygodach. Wszystkie moje rzeczy, które wówczas zostawiłem, zastałem w największym porządku, a nawet dziekan Humpert w Strassfurcie, do którego raz pisałem z frontu, polecił mu, by uważał na te rzeczy.

Poszedłem również do szpitala, w którym byłem aresztowany, bo chciałem pokazać, że „Schwester Trude“ mimo swej nienawiści do Polaków, nic zrobić nie potrafi.

Spotkałem dalej swego wroga szynkarza, który mnie jednak zupełnie nie poznał, chociaż inni mnie poznali na ulicy.

Z dawnych znajomych, polskich robotników, nie mogłem mimo usilnych starań, spotkać nikogo, bo także wszystkich na początku wojny poprzeczali w inne strony, znając jednak dobrze drogi na folwarki, udałem się na najbliższy, aby wypytać robotników o stosunki. Wszyscy opowiadają to samo, — dostają 60 fen. dziennie i prawie nic do jedzenia.

Przy sposobności wstąpiłem do Halle, aby odwiedzić także dobrze mi znaną „Arbeiterzentrale“. Tutaj dowiedziałem się, że właściwie robotnikom z Królestwa Polskiego należy się płaca dzienna 5 marek i wikt, tak, jak wszystkim innym najemnikom, a uznanie robotników za jeńców wojennych jest bezprawiem, na które jednak władze patrzą przez palce. Byłem w kancelarii „Arbeiterzentrale“ i chciałem wydostać liczbę odpowiednich rozporządzeń ministerjalnych. Urzędnik już nawet wszczął poszukiwanie, później jednak kazał mi się wylegitymować, a nareszcie powiedział: *Was geht sie das an.*

Wieczorem 31 grudnia przybyłem do Poznania i stanąłem w hotelu Bazar. Po blisko dwutygodniowym głodzeniu się w Niemczech, zjadłem z wilczym apetytem wspaniałą kolację, która w dodatku kosztowała tylko 5 marek, co po cenach berlińskich (a także i warszawskich) wydaje się śmiesznie mało.

Rano byłem u arcybiskupa Dalbora, aby złożyć hold w imieniu wszystkich kapelanów L. p. jako prymasowi Polski, a za jego radą w Radzie narodowej i u posła Trąpczyńskiego, aby im przedstawić straszny i o pomstę do nieba wołający los robotników polskich w Niemczech.

Arcybiskup odpowiedział mi, że nic nie może uczynić dla tych biedaków, gdyż oni są z Królestwa, a rząd pruski nie zezwala zupełnie na jakąkolwiek akcję ze strony duchowieństwa poznańskiego.

Lepiej mi poszło u Trąmpczyńskiego, bo ten zapisał sobie zebrane przezemnie daty i przyobiecał sprawę poruszyć w parlamencie niemieckim.

Po południu udałem się do Biblioteki Raczyńskich. Poprosiłem o pozwolenie zwiedzenia całej biblioteki, a że mówiłem po polsku, więc jakiś urzędnik Niemiec zaprowadził mnie do p. Bederskiego. Gdy mu się przedstawiłem, zauważyłem, że ze złości zaciał zęby, ale mimo to poprosił mnie do Biblioteki na górę, a gdy się znaleźliśmy sam na sam, rzekł do mnie:

— Przepraszam, czy się przypadkiem nie pomyliłem, czy pan jest księdzem?

— Tak jest, kapelanem Legjonów Polskich.

— Jakto — rzekł z patosem — polski ksiądz wśród zdrajców?

— Przepraszam pana, takimi słowami nie szermuje się gołosłownie, dlaczego ja mam być zdrajcą?

— Bo ksiądz służy w Legjonach, które pomagają Niemcom, a proszę patrzeć, ta wspianiała ksiąznica jest ufundowana dla polskiej nauki przez polską rodzinę. Ja obecnie jestem tutaj jedynym i ostatnim Polakiem, gdy ja umrę, będzie to czysto niemiecka instytucja.

— Otóż proszę pana — odpowiedziałem — ja i wszyscy inni nie po to służyjemy w Legjonach, aby Niemcom pomagać, ale służyjemy właśnie po to, aby w tej ksiąznicy obok pana i po panu byli sami Polacy.

— Jakto? — pytał dalej.

— W ten sposób, że my stale a uparcie dążymy do utworzenia Wojska Polskiego w tym celu, aby kolejno przy nadarzającej się sposobności wyrzucić wszystkich zaborców z Polski, a więc i z Poznania.

Oblicze dyrektora wyjaśniło się nieco.

— A czy dacie radę?

— Musimy dać radę, a jeżeli my nie damy rady, to znajdą się obok nas czy po nas inni, którzy dadzą radę.

— Z taką pewnością ksiądz swoje maksymy wypowiada — remonstrował z trochę ironicznym uśmiechem staruszek, jakby ksiądz miał stosunki z Panem Bogiem.

— Coś na tem jest, panie dyrektorze. Ja przecież staram się mieć z Panem Bogiem nienajgorsze stosunki, ale mi to nie zawsze dobrze idzie.

Po kilkugodzinnem zwiedzaniu biblioteki, rozstał się staruszek ze „zdrajcą“ już bez zgrzytania zębami, a nawet, jak poczułem przez skórę, z odrobiną sympatji.



XVI.

Kościół załogi.

Starania moje o obecny kościół dla polskiej załogi Warszawy zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż otrzymałem do dyspozycji cerkiew przy placu Krasieńskich, tudzież mieszkanie protojereja w dawnym klasztorze pijarskim, a dziś — właśnie dokonałem z upoważnienia Konsystorza warszawskiego rekoncilacji kościoła.

Robota wrzała tu od kilku dni. Kompanja techniczna usunęła najprzód olbrzymie i wspaniałe carskie wrota projektowane przez samego cara Mikołaja I., tudzież boczne ikonostasy przedstawiające różnych narodoworosyjskich świętych z domu Romanowych. Następnie przy pomocy prymitywnych narzędzi jak piła, siekiera, młotek ustawiliśmy wielki ołtarz, wyzyskując olbrzymi, a bardzo ładny obraz św. Trójcy, który znajdował się za carskimi wrotami.

Ponieważ ofiarność publiczna na urządzenie tego kościoła była dość duża, więc w krótkim czasie potrafiłem kościół jako tako urządzić.

Pewnego dnia dostałem depeszę z Wilna, której nie zupełnie rozumiałem. *Kommen sie nach Wilno zum Gottesdienst für Legionäre wie früher.* Domyśliłem się jednak, że najważniejszą rzeczą w depeszy jest „wie früher“, bo poprzednim razem byłem w Wilnie bez ordynansa, a wyjechałem z ordynansem, za którego mi posłużył jeden z miejscowych polskich działaczy, który

w ten sposób uciekł przed grożącym mu aresztowaniem. Była to jednak sprawa bardzo ryzykowna.

Przecucie nie omyliło mnie, bo wezwany zostałem po to, aby znowu wywieźć poszukiwanego przez pruską żandarmerję pana, którego nazwiska nie byłem nawet ciekaw i wprawdzie go wzięłem i szczęśliwie zawiozłem do Warszawy, ale wytłumaczyłem p. Studnickiemu, archiwarjuszowi wileńskiemu, a bratu warszawskiego Studnickiego, że każdy powinien mieć tyle odwagi, aby mu przynajmniej wystarczyła do samodzielnej ucieczki przed żandarmem pruskim. Oświadczyłem też, że więcej takich przedsięwzięć nie mam zamiaru przeprowadzać.

Dnia 14 stycznia odbyła się wielka uroczystość otwarcia Rady Stanu. Po nabożeństwie w Katedrze pochód ruszył do pałacu Rzeczypospolitej przy placu Krasińskich, gdzie oprócz kompanji honorowej były ustawione delegacje wszystkich pułków Legionowych.

Gdy przed pałac nadeszli członkowie Rady Stanu, oddziały oddały im honory wojskowe, a komendant Legionów pułkownik Szeptycki w imieniu wszystkich oddziałów Legionowych złożył Radzie Stanu hołd jako prawowitej polskiej władzy i ślubowanie „bezwzględnego posłuszeństwa“ wobec Rady stanu.

Następnie członkowie Rady Stanu, tudzież reprezentanci władz niemieckich, austriackich i kilku oficerów ze sztabu Legionów weszło do pałacu, gdzie odbyło się właściwe otwarcie Rady Stanu. Zdarzył się przytem fakt ciekawy i charakterystyczny, a mianowicie reprezentant Niemiec, Lerchenfeld podszedł do polskiego sztandaru wiszącego na ścianie nad stołem marszałkowskim i zasłonił na tym sztandarze Pogoń litewską. Członkowie Rady Stanu złożyli ślubowanie że będą Ojczyźnie i narodowi polskiemu wiernie służyć i dobro narodowe i pożytek Państwa mieć zawsze przed oczyma.

Rada Stanu spotkała się od razu z dużą krytyką. Jedni przywiązywali do niej bardzo duże nadzieje i mó-

wili, że należy jej we wszystkim bezwzględnie słuchać jako prawowitej władzy polskiej, a drudzy nadali jej przezwisko — „Zdrady stanu“, a jej członków zwali sprzedawczykami. Podnoszono tę okoliczność, że koalicja w swojej nocie do Wilsona uznała sprawę polską, za sprawę całej koalicji, a zapomniano o tem, że w tejże nocie przyszłość sprawy polskiej czyni się zależną od zamiarów carskich.

Niemców znam doskonale, ich wyzysk, brutalność, podłość i t. d. obserwowałem długi czas, a jednak chłopski rozum radzi brać wszystko, co dają, a resztę trzeba im będzie z gardła wydrzeć. Musimy to sami zrobić, bo nikt dla nas palcem nie ruszy.

To też słusznie powiedział z okazji proklamacji 6 listopada rosyjski pisarz Amfiteatrów w czasopiśmie *Russka Wolja*, że rzeczą podłą i banalną byłoby powiedzieć, jakoby Polska rzuciła się w objęcia Niemców — Polska dąży wszystkimi środkami do niepodległości, a nie do autonomji w ramach Rosji.

W Płocku, z okazji rocznicy powstania styczniowego odprawiłem nabożeństwo i wygłosiłem kazanie, które zrobiło duże wrażenie. Na nabożeństwie był niemiecki gubernator, nie umiejący słowa po polsku, któremu jednak tonacja kazania tak się podobała, że zwrócił się do mnie z prośbą, czy bym nie był łaskaw powiedzieć kazanie na... urodziny cesarza Wilhelma. Ugryzłem wargi, aby nie buchnąć śmiechem wobec tej niemieckiej głupoty. Przypuszczam, że gdy się gubernator dowiedział o treści kazania, to mniej był zachwycony.

Pewnego dnia przybyła do mnie delegacja od miejscowej grupy Litwinów, aby w rocznicę ślubu Jadwigi z Jagiełłą, t. j. 18 lutego odprawić uroczyste nabożeństwo na intencję ponownej unji Polski z Litwą, przytem delegaci wyrazili życzenie, by kazanie wygłoszone było w obu językach. Ponieważ słowa po litewsku nie umiem, zaprosiłem więc z kazaniem proboszcza litewskiej parafji w Warszawie, który przyrzekł kazanie wygłosić, jednak przed samą uroczystością przysłał mi

zawiadomienie, że kazania nie może powiedzieć z powodu wyraźnego zakazu policji. Podobny zakaz otrzymałem i ja w sprawie odprawienia nabożeństwa. Ponieważ jednak była to niedziela i godzina zwyczajnego nabożeństwa dla załogi, więc co do nabożeństwa byłem najspokojniejszy w świecie, a kazanie również przygotowałem sobie sam. Jeden z Litwinów przetłumaczył mi niedługi ustęp na litewski język i partję tę w niezrozumiałym zupełnie języku wykułem na pamięć w ciągu kilku godzin. Widocznie to moje litewskie gadanie było zrozumiałe, bo zauważyłem, że kilka Litwinek płakało. Na ołtarzu powiewał sztandar Polski i Litwy. Publiczności były ogromne zastępy. Plac Krasińskich był już pół godziny przed nabożeństwem zapełniony. Członkowie Rady Stanu, Komenda Leg. nie mogła się przepchać przez tłum w kościele, a policja niemiecka patrzyła bezradnie na tę polsko-litewską manifestację, która była najlepszą odpowiedzią na znany postępek Lerchenfelda, który zasłonił w Radzie Stanu Pogoń Litewską.

W kazaniu podniosłem znaczenie kultury chrześcijańskiej, jaką Jadwiga zanosła na Litwę i zakończyłem parafrazą Pisma św. mówiąc, że co Bóg złączył, tego żaden zły człowiek rozłączyć nie potrafi.

Po nabożeństwie odbyła się duża manifestacja, gdyż publiczność gromadnie udała się przed pomnik Mickiewicza celem złożenia wieńców, przyczem przyszło do bójki z policją niemiecką.

Sprawa nabożeństwa stała się głośną. W moim mieszkaniu zjawił się urzędnik policji niemieckiej i zażądał wyjaśnienia, dlaczego polsko-litewskie nabożeństwo odbyło się mimo wyraźnego zakazu policji. Wy tłumaczyłem temu panu, że w kościele załogowym w każdą niedzielę o godz. 10 odbywa się nabożeństwo, wprawdzie nie polskie, ani też litewskie, ale po prostu katolickie, którego przecież policja zabronić niema prawa. Gorzej przedstawiała się sprawa kazania. Urzędnik zażądał przedłożenia tekstu litewskiego, bo polski tekst

miał zupełnie dosłowny na podstawie stenogramu, dokonanego przez jakiegoś szpiega. Tekstu nie przedłożyłem, oświadczając, że nie mam zwyczaju pisać swych kazań.

— Lepiejby ksiądz uczynił, gdyby pisał swoje kazania, bo pewnie wtenczas nie czyniłby wyraźnych aluzyj, wrogich dla państw centralnych.

— Ależ panie — mówię mu — jakie aluzje? Całe kazanie, które pan ma, jest o Polsce, Litwie i o znaczeniu chrześcijaństwa, ani zaś słowa w niem o Niemcach.

— Ksiądz nam głowy nie zawróci, przerwał interlokutor. Sam ekscelecja Bessler, który jeszcze wczoraj miał raport o kazaniu, powiedział: „der böse Mensch dass soll ich sein“.

— Skądże taki wniosek? — Przecież Bessler, jak sam słyszałem, zapewniał nas o swej życzliwości i prosił o pełne zaufanie, więc się dziwię, skąd mu przyszła ta myśl. Chyba, że wbrew temu, co mówi, ma inne zamiary.

Tutaj ów pan zaczął mi grozić aresztowaniem i prawić rozmaite nauczki mądrości życiowej. Ponieważ był urzędnikiem, odpowiedziałem mu krótko:

— Mój panie, jestem kapelanem wojskowym i mam być tak traktowany jak każdy inny oficer. Jeżeli coś zawiniłem, to proszę zrobić doniesienie do żandarmerji polowej i do sądu polowego Legionów, a ci zrobią ze mną porządek. Z panem nie mam nic więcej do mówienia.

Dnia 22 lutego odbyło się na polach grochowskich poświęcenie krzyża pamiątkowego na pobojowisku. Po poświęceniu krzyża miałem przemowę do tłumnie zebranej publiczności, zachęcając do skupiania sił własnych, bo tak jak Chrystus mocą własną wstał z grobu, również Polska tylko mocą własną zmartwychwstać może i my sami własnymi rękami musimy zerwać pęta niewoli.

Długie i zawiłe śledztwo w sprawie nabożeństwa o unji Litwy z Polską i treści kazania, tudzież w sprawie nabożeństwa na pobojoisku grochowskiem, mimo wniosku zupełnego uwolnienia mnie — jaki postawił pułk. Szeptycki, zakończyło się tem, że Beseler skazał mnie na trzydniowy areszt, który odbyłem pod kontrolą niemiecką w swoim pokoju. Przesiedziałem już zresztą jedną trzydniówkę w Gerbstaed na początku wojny. W braku innego zajęcia studjowałem stare gazety i przy tej sposobności przeczytałem dokładnie mowę Trąpczyńskiego, jaką miał w parlamencie niemieckim w odpowiedzi na antypolską mowę ministra Loebła. Ku wielkiej swojej radości zauważyłem, że Trąpczyński wykorzystał także i te daty w sprawie położenia polskich robotników w Niemczech, które mu przedstawiłem podczas mego ostatniego pobytu w Poznaniu.

W marcu wyjechałem na dłuższy czas z Warszawy, aby urządzić spowiedź wielkanocną dla oddziałów stacjonowanych na prowincji. We Włocławku dowiedziałem się o wybuchu rewolucji w Rosji.

W czasie mej nieobecności zmieniło się w Warszawie wiele rzeczy. Przez cały marzec i kwiecień trwały targi o tworzenie Wojska Polskiego i tekst przysięgi, jaką to wojsko ma składać. Władze niemieckie zaproponowały tekst przysięgi, zawierający posłuszeństwo i wierność dla Polskiej Ojczyzny, tudzież braterstwo broni na czas toczącej się wojny z Niemcami i Austrią. — Piłsudski początkowo zgodził się na tekst przysięgi. Polska Rada Stanu jeszcze przed wybuchem rewolucji rosyjskiej wydała do Legionów polskich orędzie oświadczając, że „odtąd władza państwowa polska stać będzie za polskim żołnierzem, na którym spocznie szczerwie obowiązek obrony i utrwalenia granic naszej Ojczyzny“. Odezwa ta była ogłoszona w rozkazie dziennym i sprawiła bardzo dobre wrażenie, bo żołnierz nareszcie nabierze przekonania, że jest ktoś, kto dla dobra Ojczyzny należycie sprawą pokieruje i weźmie na siebie odpowiedzialność polityczną. Z końcem marca

nadeszły wiadomości, że rewolucyjna Rosja również uznała niepodległość Polski, a więc przypuszczalnie i cała koalicja nareszcie się pogodzi z tą myślą, że Polska musi istnieć jako niepodległe Państwo.

Uroczystości Wielkanocne wypadły w kościele załogowym wprost wspaniale. W Wielki Czwartek odbyła się wspólna Komunia św. wszystkich oddziałów drobniejszych i sztabowych, bo trzeci pułk miał spowiedź Wielkanocną osobno. W Wielki Piątek urządziliśmy wspaniały Boży grób, przy którym honorową służbę pełnili Legjoniści 3 p. p.

Przy grobie urządziliśmy zbiórkę na fundusz wdów i sierót po Legjonistach. Zbiórka ta dała wspaniały wynik, gdyż prawie 8.000 marek.

W Wielką Sobotę wieczorem odbyła się w naszym kościele rezurekcja z nadzwyczajną paradą. Procesję poprowadzono wśród szpaleru wojska na placu Krasińskich. Po rezurekcji odbyło się w moim mieszkaniu święcone, na którym był komendant Legjonów Szepetycki z całym sztabem, pułkownik Haller i wielu dobrych znajomych z Karpackiej brygady; pogawędka w gronie dawnych towarzyszy trwała prawie do rana.

Dnia 12 kwietnia odbyło się oddanie Legjonów polskich Państwu Polskiemu. Nie miłą konsekwencją tego faktu jest ta okoliczność, że naszym naczelnym wodzem zostaje Beseler.

Po długich staraniach udało mi się uzyskać od władz niemieckich dawny kościółek na Woli, sławny śmiercią generała Sowińskiego i obroną reduty Ordona. Już miałem nawet klucze w swoim ręku i miało się odbyć w krótkim czasie poświęcenie, lecz niestety sławna „Polska Liga Kobiet“ z Małgorzatą Starzeńską na czele zepsuły mi wszystko przez zbyt wcześnie i zbyt głośno a nietaktowne reklamowanie sprawy. Obudziło to czujność niemiecko-rosyjską. Odebrano mi klucze od kościółka, tak że odbyło się tylko nabożeństwo na szafkach reduty Ordona tudzież poświęcenie pamiątkowego krzyża.

Uroczystość Trzeciego Maja święciliśmy nadwyzczaj uroczyście. Na stokach cytadeli pod krzyżem Traugutta ustawiłem ołtarz polowy. Na szerokim błoniu powstałem w r. 1832, po zburzeniu przez Rosjan całej dzielnicy warszawskiej zwanej Żolibóż (Piękny brzeg) ustawiły się pułki legionowe.

Kazanie wygłosił ks. Prałat Gnatowski. Po nabożeństwie odbyła się defilada wojskowa. Zachwyciła ona wszystkich, bo żołnierz polski potrafił w swych ruchach połączyć polską swobodę z prawdziwie niemiecką tressurą ruchów żołnierskich. Prawdziwie zachwycony byłem sprawnością piechoty. Zresztą był to mój ulubiony 3 p. Legionów.

Korzystając z pięknego czasu postanowiłem wyszukać, dokładnie oznaczyć i otoczyć opieką wszystkie groby Legionistów, poległych w dawniejszych walkach na terytorjum Królestwa. W tym też celu wybrałem się przeważnie pieszo tą samą drogą, którą szły Legiony polskie w r. 1915 i począwszy od Józefowa i Tarłowa, przez Urzędów, Niedowicę, Lublin, Jastków, Kamionkę i t. d. W ciągu 3 tygodni przeszedłem wzdłuż i wszerz wszystkie nasze pobojowiska i odnalazłem kilkaset grobów w zupełnem zaniedbaniu przeważnie już bez żadnych znaków. W niektórych miejscach jak n. p. pod Kamionką groby były już rozorane, a według opowiadania miejscowej ludności, szczątki naszych najdroższych towarzyszy rozciągały psy po polach. Dziwne to sprawy! — wszak polska ludność tak gorąco nas witała w r. 1915 i tylko dzięki temu, że gwałtownie parliśmy naprzód, Moskale nie mogli wypalić wszystkich wsi, ni zabrać wszystkich ludności z całym dobytkiem. Obecnie skąpi się temu rodakowi, który walczył i umierał dla świętej sprawy, dwu łokci ziemi, bo „zawadza w łanie pszenicy“.

O ile tylko mogłem, wszędzie na grobach dałem krzyże i napisy. Część grobów z pól przeniosła żandarmerja za mojem staraniem na cmentarze miejscowe. Dla przeprowadzenia dokładnej ewidencji grobów legio-



Pobojowisko Rarańczy z pamiątkowym krzyżem



Widok z celi więzienia w Marmarosz - Sziget.

nowych porobiłem sobie szkice sytuacyjne, według których będzie można zawsze groby te odnaleźć.

Oddanie Legionów Polskich Państwu Polskiemu, a do dyspozycji gen. Beselera, miało ten skutek, że zaprowadzono w Legionach sądownictwo według norm niemieckich, ale tylko dla Królewaków (Nationalpolen), bo Galicjan w razie jakiegokolwiek oskarżenia, natychmiast z Legionów usuwano i wydawano sądom austriackim. Okoliczność ta naturalnie była fatalną, bo dzieliło nas na Polaków różnych kategorii. Nadto krążyły ciągle wieści, że AOK wyda rozkaz wycofania wszystkich Galicjan z Legionów, a na Legionach położyć swą ciężką łapę Prusacy tworząc t. zw. „Polnische Wehrmacht“ jako główną komendę i obozy ćwiczeń, w których komendantami będą oficerowie niemieccy. Werbunek ze swoim bardzo wielkim aparatem dał niezmiernie słaby wynik, ów aparat miał większe znaczenie przez to, że był głównym i jedynym organem wykonawczym dla władz polskich. Trzeba też przyznać, że Legjoniści rozmieszczeni po wszystkich miasteczkach i gminach w bardzo szybkim tempie wypełniali polecenia Rady Stanu i zawsze bronili polskiej ludności przed nadużyciami Niemców.

Na zaproszenie komitetu urządzającego uroczystość poświęcenia pomnika na pobojuwisku z r. 1863 w Sompólnie nad poznańską granicą, niedaleko Gopła, udałem się bardzo ochotnie mimo to, że prezydium policji w Warszawie zakazało mi brania udziału w jakichkolwiek cywilnych uroczystościach. Z Włocławka pojechałem kolejką polową, wlokącą się strasznie pomału w stronę Gopła. Na jednej ze stacyjek przyszedł do mnie podoficer dyżurny i zapytał, czy ja jestem „Pfarrer Banesz“, naturalnie odpowiedziałem, że nim nie jestem ale to mi zwróciło uwagę, że jestem śledzony, a może już wydano nawet rozkaz aresztowania. Do Sompólna przyjechałem wieczorem i ku swemu zdziwieniu zobaczyłem na tej stacyjce cały kordon wojskowy; więc też nie wiele badając, dałem drapaką na drugą

stronę pociągu. Spotkawszy tam kolejarza Polaka zasięgnąłem od niego języka, że to wcale nie są Prusacy, ale P. O. W. (Polska Organizacja Wojskowa) oczekujące przyjazdu jakiegoś księdza wojskowego z Warszawy. A więc obawy moje były płonne. Przeszedłem z powrotem na peron no i poszukawszy ks. proboszcza przedstawiłem się jako ten, który miał przyjechać z Warszawy. Uroczystość odbyła się nadzwyczaj wspaniale. Na cmentarzysku 63-go roku ustawiłem nasz legionowy ołtarz polowy i odprawiłem Mszę św., tudzież wygłosiłem kazanie, wzywające do jedności i silnej organizacji, bo tylko moc własna może nas zbawić, a nie cudza pomoc czy łaska. Podczas uroczystości w miasteczku a podobnie i na pobojożyku żaden Niemiec nawet zdaleka się nie pokazał, a po cichu chodziły zresztą na razie fałszywe wiadomości, że się wnet zacznie powstanie przeciw Niemcom. Ludu było całe morze, a osobliwie dużo młodzieży dobrze zorganizowanej przyprowadził ks. wikary Ostrowski z Koła.

Dnia 2 lipca Piłsudski wraz z całą lewicą wystąpił z Rady Stanu, oświadczając, że nie widzi możliwości w obecnych warunkach dalszego budowania Państwa Polskiego.

Na czele departamentu wojskowego R. S. miejsce Piłsudskiego zajął Ludwik Górski. Rada Stanu uchwaliła w najkrótszym czasie odebrać od wszystkich pułków legionowych przysięgę według tekstu przyjętego przez R. S. za zgodą Piłsudskiego, jeszcze przed rewolucją rosyjską na propozycję depart. wojsk. i wydała odezwę w tej sprawie do wszystkich pułków.

8 lipca. Większość pułków legionowych, a mianowicie pułki I. i III. Brygady oświadczyły, że nakazanej przez Radę Stanu przysięgi Królowi Polskiemu czy rządowi polskiemu nie złożą, bo te rzeczy są jeszcze fikcją, a na samo braterstwo broni z Niemcami przysięgać nie chcą i nie mogą. Wobec tego powstała w Radzie Stanu pewna konsternacja, ale większość chce przysięgi.

Ponieważ w Legionach był ogólny nastrój przeciw przysiędze, poszedłem więc w tej sprawie do członka Rady Stanu ks. prałata Przeździeckiego i zapytałem, czyby się przysięga nie dała odłożyć aż do uspokojenia umysłów, gdyż w niektórych pułkach powstały Rady żołnierskie, które usuwają oficerów, i biorą rządy w swoje ręce.

Ks. Przeździecki przychylił się także do tej myśli odłożenia przysięgi i upoważnił mnie, aby we własnem i jego imieniu uczynić odpowiednie przedstawienie, by przysięgę odłożono przynajmniej na dni kilka, jednakże pułk. Zieliński, Komendant Legionów odpowiedział, że przysięga się odbędzie w terminie wyznaczonym, choćby miał tylko 1 żołnierz przysięgać.

A więc przysięga odbyła się. Złożyła ją karpacka brygada to jest 2 i 3 pułk piechoty w swej przeważnej liczbie. Reszta na rozkaz Piłsudskiego odmówiła przysięgi. Rozkaz komendy Legionów ogłasza, że wszyscy, którzy odmówili przysięgi, zostaną puszczeni do domu, a ci z Galicjan, którzy się z przysięgą nie solidaryzują, chociaż jej na razie składać nie mają, zostaną z Legionów zwolnieni.

Dnia 12 lipca byłem z dyrektorem departamentu wojskowego Górskim i podp. Berbeckim w Górze Kalwarii, gdzie cała artylerja na z góry oznaczoną komendę odmówiła przysięgi.¹⁾ Z prowincji nadeszły

¹⁾ Ażeby wyjaśnić sprawę przysięgi, jaką miały oddziały legionowe złożyć Radzie Stanu Królestwa Polskiego, przytaczam wyjątki z pamiętników oficera I. Brygady ś. p. Mjr. Tadeusza Zwiłockiego, drukowane w „Słowie Tarnowskim“, dnia 27. II. 1929; Nr. 9 i w następnych numerach:

„Przysięga żołnierzy spelzła na na niczem. — Duch podoficerów, tej warstwy, która najwięcej dźwigała codziennej pracy i trudów, mając najmniej za to nagrody był niezłomny... Nie przysięgał nikt. Był to wspaniały widok tych szeregów zamartwych we wzorowej postawie żołnierskiej, a niezłomnych wobec fałszywej sugestji karności. Misja delegatów Komendy Legionów spelzła na niczem. Wierni polskim obyczajom, pragnęliśmy jednak ugościć tych, z którymi spędziliśmy kilka godzin na naszym terenie. Przez dziwne nieporozumienie, największe potępiene spot-

wiadomości, że w niektórych garnizonach przyszło z okazji przysięgi wprost do rozruchów, aresztowania oficerów i t. p. W dużych opałach znaleźli się major Ryłski i ks. Konopka w Dęblinie, gdzie się utworzyła Rada żołnierska. Podobne wypadki były w Łomży, Modlinie, Jabłonnej i t. d.

Najprzykrzejszym momentem w całej historii przysięgowej jest to, że z polecenia władz niemieckich, Legionistów, którzy odmówili przysięgi, oddziały miały odstawić do Szczypiórnej, skąd mieli być wywiezieni do miejsc przynależności. Jednakże rozkaz ten był tylko podstępem niemieckim, bo wszystkich Legionistów przewieziono do obozu jeńców. Przed kilku dniami był u mnie ks. Ciepichałł, by zapytać, czy ma składać przysięgę, do której jest zobowiązany jako Królewiać, czy też nie. Zostawiłem mu zupełnie wolną rękę z uwagą, że jednak mojem zdaniem Wojsko Polskie musi istnieć choćby w najcięższych warunkach, aby doczekać czy też dobić się lepszych warunków. Ks. Ciepichałł razem z 1 p. p. odmówił przysięgi i został wywieziony do Benjaminowa razem z innymi oficerami Królewiaćami. (Jednakże oficerowie i żołnierze I. Brygady po parumiesięcznym pobycie w Szczypiórnie i Benjaminowie załamali się i wbrew woli Rady Regencyjnej i Kanc. ks.

kało ks. Panasia, najbardziej zaślepiętego, ale kierującego się najszanowniejszymi motywami. Zbojkotowaliśmy go, zostawiając go głodnego w samochodzie przed kasynem, w którym podejmowaliśmy p. Górskiego i po pewnem wahanu pułk. B. (Berbeckiego przyp. autora)... Wysłaniec Rady Stanu p. Ludwik Górski z wielką przykrością, ale i z przekonaniem płynącym z jego linii politycznej usiłował nas pchnąć na drogę kompromisu... W gorszym o wiele położeniu był pułk. B. (Berbecki). Musiał w tej chwili pamiętać o swem własnem powiedzeniu: „Niech ostatni z ostatnich plunie mi w twarz, jeżeli kiedykolwiek zdradzę komendanta“. Z twarzą całą w czerwonych plamach usiłował daremnie trafić w ton prostoty żołnierskiego posłuszeństwa, nie możliwy tutaj do zastosowania, gdyż i my byliśmy posłuszni, ale temu tylko, którego mogliśmy uważać za wodza polskiego żołnierza“.

Chełmickiego złożyli wymaganą przez Prusaków przysięgę, aby z powrotem dostać się do Wehrmachtu czy też na wolność. — Jedyńm wyjątkiem był ks. Ciepichał).

23 lipca. Aresztowanie i wywiezienie do Niemiec Piłsudskiego i Sosnkowskiego zrobiło w Warszawie bardzo silne wrażenie i wywołało demonstracje przeciwniemieckie. Niektórzy, jak Studnicki, Małgorzata Starańska pochwalają jednak ten czyn, bądź co bądź, gwałtu i brutalności pruskiej. Aresztowanie Piłsudskiego wywoła nowe wrzenie w I. i III. Brygadzie, której większość jeszcze istniała, bo Legjony wogóle składały się z 70 proc. Galicjan, którym nowej przysięgi nie wolno było składać.

Rada Stanu zaprotestowała przeciw aresztowaniu Piłsudskiego.

Z niewoli rosyjskiej powrócił 6 sierpnia komendant 3 p. p. pułk. Minkiewicz, który dostał się do niewoli na Wołyniu w bitwie pod Wołczeckiem dnia 6 lipca 1916. Powitanie Minkiewicza, który złożył przepisana przysięgę, odbyło się nadzwyczaj uroczyście na głównym dworcu w Warszawie.

W Legjonach zapanowała jednak strasznie ciężka i przykra atmosfera i nikt nie wiedział co będzie jutro.

Jedne pułki, t. j. II. Brygada, uważając, że nie mają prawa do prowadzenia polityki, bo za nią jest odpowiedzialna Rada Stanu, poświęcają się bezwzględnie wyszkoleniu wojskowemu, które już chyba dryllem nazwać można — inne pułki znów mają Rady żołnierskie, zebrania, głosowania i t. d., słowem, jedni do lasa, drudzy do sasa.

Gdy wracałem z urlopu do Warszawy dnia 1-go września, po drodze dowiedziałem się, że już właściwie niema tam co jechać, bo Legjony zostały przeniesione do Przemyśla i użyte na froncie wschodnim. Po powrocie do Warszawy, dowiedziałem się bliższych szczegółów.

Rada Stanu rozwiązała się z powodu zabrania Legionów do Galicji i ustanowiła komisję likwidacyjną tudzież desygnowała Radę Regencyjną. Większość transportów wojskowych już odeszła podobnie jak i moja kancelarja, która należy do Komendy Legionów Polskich, doręczono mi tylko jako superiorowi rozkaz z Polnische Wehrmacht, że mam na terytorjum Królestwa zostawić dwu kapelanów dla obsługi duchownej, pozostałych w Królestwie oddziałów, z wyraźnem zastrzeżeniem, że wykluczonem jest pozostanie „des Militarpfarrers Panas“. Naturalnie przyjąłem to jako wyraźny komplement pod swoim adresem. W Królestwie pozostawiłem ks. Kwapińskiego i Wiszniewskiego.

Po zapakowaniu swych rzeczy, odjechałem do Przemyśla. Najbardziej żał mi kościoła załogowego, który przeważnie mojem staraniem został przerobiony z cerkwi i już był wewnątrz zupełnie urządzony. Dla dalszego utrzymania kościoła załogowego, który na razie ma być zamknięty, zostawiłem kilkaset marek na ręce mego kancelaryjnego sierżanta, Lejczaka, który pozostał w Warszawie.

XVII.

Przemyśl.

W Przemyślu i w okolicy zostały umieszczone wszystkie pułki legionowe, składające się poza 2 i 3 pułkiem piechoty, wyłącznie z Galicjan, którzy zresztą podali się o zwolnienie z Legionów celem wstąpienia do armji austriackiej, gdyż jako poddani austriaccy podlegali obowiązkowi służby wojskowej. Dla załatwienia likwidacyj tych pułków, które w całości podały się o zwolnienie i dla przeprowadzenia „sanacji“ Legionów został przez austriacką naczelną komendę wyznaczony gen. Schilling, syn niemieckiego kolonisty z pod Śacza. — Schilling ze swoim szefem sztabu i pułk. Zielińskim obchodził wszystkie oddziały i przeprowadzał śledztwo w sprawie zejść w Legionach. Ponieważ legioniści nie zawsze salutowali swoich oficerów, a zaś nigdy austriackich, więc z gen. Schillingiem były ciągle awantury o salutowanie.

Z powodu zejść przysięgowych rozpoczął się przeciw kilku oficerom i żołnierzom proces o brak subordynacji i niewykonywanie rozkazów, względnie bunt wojskowy. Głównymi oskarżonymi byli kap. Sikorski i porucznik Klarsfeld z 4 pp., tudzież rotmistrz Zaruski z 1 p. u. Oskarżeni zasłaniali się austriackim regulaminem wojskowym, który powiadał, że wolno nie wy-

konać rozkazu przełożonej władzy wojskowej, jeżeli ten rozkaz jest szkodliwy dla dobra państwa. Ponieważ rozkazy Komendy Legionów sprzeciwiały się widocznie zdaniem okarszonych interesom Państwa Polskiego, więc jako polscy żołnierze mieli prawo tych rozkazów nie słuchać.

Dla zupełnego załatwienia zatargów legionowych został tutaj przysłany przez Radę Regencyjną, która już jest *in fieri*, hr. Tarnowski, dawny austriacki ambasador w Waszyngtonie, a obecnie kandydat na pierwszego polskiego премьера. Tarnowski odczytał nam w me-
naży list członka Rady Regencyjnej ks. Lubomirskiego, list wzywający Legjony do chwilowej cierpliwości i ewentualnego przyjęcia rozkazu marszu na front, z tem, że Rada Regencyjna postara się o jak najwcześniejsze ściągnięcie z powrotem Legionów do Królestwa, celem dalszego tworzenia Wojska Polskiego pod rozkazami Rządu polskiego.

General Schilling zarządził 15 września na podstawie swoich dochodzeń rozwiązanie 1, 4, 5, 6 pp., tudzież 1 p. artylerji i 1 p. ułanów, ustanowił dla nich komisje likwidacyjne i w najbliższych dniach oficerowie i żołnierze tych pułków stosownie do zgłoszonego życzenia zostaną przeniesieni do armji austriackiej. Legjoniści wymienionych pułków złożyli broń, a chodzą po mieście z dużymi kijami — od czasu do czasu przychodzi nawet do bitek między tymi, co wolą iść pod cudzy sztandar, niż zostać w dawnych warunkach. Rzucenie broni czy też pozwolenie na rozbrojenie się, a ujęcie w ręce kija mojem zdaniem jednak nie odpowiada powadze Żołnierza Polskiego.

16 września. Żołnierze rozwiązanych pułków w tych dniach przeciągali przez miasto z kijami w ręce i z polską pieśnią na ustach; na twarzach mimo uśmiechu, mimo ironicznego szyderstwa, którym żołnierz I. brygady umie chlostać nietylko drugich, ale i samego sie-

bie — widać powszechnie boleść i żal za czemś, co się przedwcześnie a niebaczenie rozbiło.¹⁾

Jeżeli się przejrzy statystykę Legionów, to coż w niej zobaczymy? Na 40 000 ludzi, którzy przez okres przeszło 3-letni przewinęli się przez Legjony, było 75 proc. Galicjan, 5 proc. Ślązaków cieszyńskich, 15 proc. Królewaków, a 5 proc. różnej zbieraniny z całego świata. Dziwić się trzeba, w jaki sposób ta garstka ludzi wypełniała przez 3 lata sześć pułków piechoty, 2 kawalerji i 1 pułk artylerji, podczas gdy je-

¹⁾ Dla porównania zapatrywań na likwidację I. i III. Brygady, przytaczam wyjątek z pamiętników por. I. Brygady Zwisłockiego. („Słowo Tarnowskie“ z 6. III. 1924).

„Zaczęły się teraz ciężkie dni. Nerwy nasze, szarpane niezwykle dla psychologii żołnierskiej decyzjami, obciążone świadomością, że grozi nam nieubłagany wojenny los zdeklarowanych buntowników, musiały wytrzymać brzemień bezczynności i ciężar walki z własnymi towarzyszami broni. drogimi nam nieraz jak bracia. Pod wpływem niecofającej się przed żadną represją i przed żadnem kłamstwem polityki kpt. Zagórskiego, naszego ówczesnego szefa sztabu, szereg słabszych jednostek zaczął się chwiać i ustępować. Odpowiadając terrorem, na terror, ogłosiliśmy bojkot towarzyski tych oficerów, którzy się do naszych kroków nie przyłączyli lub później zmienili stanowisko...

„Przypuszczaliśmy (po przyjeździe do Radzimina), że przyjdzie czekać nie długo. — W istocie wszystko było już powiedziane i akty buntu doprowadzone do tego stopnia, że tylko ci mogli zostać w Legionach, którzyby wyraźniej dezawuowali poczynione kroki. Przed tymi, którzy tego nie uczynią, otwierały się wszystkie możliwości, które czekają żołnierza buntownika w czasie wojny, ale zamknięta była droga do pozostania w Legionach. — W ten sposób mieliśmy nadzieję rozbić własne dzieło, czyli, gdy dokonawszy swego zadania, stało się już Narodowi niepotrzebnem, a nawet może szkodliwem. Zanim jednak nadszedł ten ostatni akt, trzeba było podjąć małą operację. Przyjechał do nas generał-porucznik Schilling, wyznaczony do saracji Legionów wraz z gen. Zielińskim. Zarządzono zbiórke. — Wszyscy przechodzili przed prowadzącym protokół, który zapisywał przy każdym nazwisko, jedno tylko słowo: „zostać“, albo „odejść“. Zostać znaczyło, zostać w Legionach, odejść — przejść do armji austriackiej, przyznając się do buntu“.

den jedyny krakowski pułk piechoty austriackiej nr. 13 zjadł taką samą liczbę rekruta w tym samym czasie co dziewięć wspomnianych pułków legionowych.

Wszystkie austriackie pułki piechoty rekrutujące się z Galicji, a więc nie bardzo oszczędzane, mają po 4000 ludzi zabitych na froncie, natomiast list strat legionowych wakażuje dla wszystkich pułków, oddziałów, zakładów o połowę mniejszą liczbę (1979) zmarłych, licząc w to poległych na froncie, tudzież zmarłych w szpitalach. Zawdzięczać ową pomyślną okoliczność należy przede wszystkim tej okoliczności, że oficera i żołnierza łączyła w Legionach miłość i szacunek, który każe oficerowi cenić życie żołnierza podobnie jak swoje. Ponadto przy inteligentnym materiale legionowym nie trzeba było u nas nigdy nawet w najcięższych chwilach operować masami, które stanowią łatwy żer dla armat, a nie dorównują nigdy śmiałości i zręcznemu manewrowi kilku jednostek pod sprężystą i zdolną komendą. Niesłuszne są więc w każdym razie narzekania niektórych polityków, że Legjony — to marnowanie krwi polskiej. Przeciwnie — po odtrąceniu nawet jakiegokolwiek ideowości — Legjony były — jak wynika ze statystyki — oszczędzaniem krwi polskiej.

Słowem szkoda Legjonów — a największa szkoda artylerji, która była wprost świetną, nie da się zaś łatwo na nowo utworzyć.

W Przemyśle i okolicy szaleje epidemia czerwonki i tyfusu; olbrzymi wojskowy szpital przemyski jest wypełniony przeważnie Legionistami, więc też większość dnia przepędzam stale w szpitalu, gdzie przynajmniej niema zupełnie swarów między oboma stronnictwami legionowemi.

Zaledwie wszystkie rozwiane pułki legionowe rozjechały się do swych kadr legionowych, zaczęły napływać masowo podania tak oficerów, jak i żołnierzy o powrót do Legjonów. Widocznie była to tylko ma-

nifestacja, ale żołnierz powinien manifestować tylko z bronią w rękę i to dobrze nabita. Ponieważ Koło polskie upominało się również o powrót wszystkich Legionistów z wojska austriackiego, była więc nadzieja, że Legiony w całym swoim składzie powstaną znowu jak feniks z popiołów. Bardzo wielu Legionistów z rozwiązanych pułków wogóle nie odeszło do wojska austriackiego, tylko wstąpiło do 2 lub 3 pułku piechoty, względnie do artylerji, którą formował major Zagórski.

Na placu ćwiczebnym Błonie odbyła się 30. września uroczystość z okazji trzeciej rocznicy wymarszu drugiej brygady w pole. Był to zarazem przegląd pozostałych sił legionowych. Bogu dzięki wyglądamy jeszcze nie najgorzej.

Podczas nabożeństwa wygłosiłem kazanie, podnosząc myśl, że tylko konsolidacja własnych sił społeczeństwa, a nie liczenie na czyjąkolwiek łaskę lub pomoc doprowadzi nas do wolności i wezwałem żołnierzy żelaznej brygady, aby wytrwali na stanowisku, choćby im przyszło zęby ze złości czy z bólu zacinać, bo żołnierz musi z karabinem u nogi stać i czekać na odpowiednią chwilę.

9. X. dostałem rozkaz od generała Schillinga, że mam stawić się u niego w kancelarji o godzinie 2.30 po południu. Przyszedłem o kilka minut później, licząc na to, że w Legionach obowiązuje kwadrans akademicki. To jednak nie spodobało się Schillingowi, który mnie już znał, bo przed kilku dniami referowałem mu sprawy duszpasterskie w Legionach. Schilling zaczął mnie od razu po feldfeblowsku wymyślać, co na mnie jednak żadnego nie sprawiło wrażenia. Gdy się Schilling nieco uspokoił, zamknął drzwi, poprosił mnie siadać i zaczął indagację:

— Czy ksiądz wie, co to znaczy A. O. K.?

— Tak, trochę miarkuję — rzekłem.

— Otóż ciągnie dalej Schilling, c. i k. Naczelną Komenda wojskowa przysłała mi 12 pytań, które księdzu mam postawić, i póty księdza stąd nie puszczę, póki ksiądz jasno i szczerze na wszystkie pytania nie odpowie. — Czy będzie ksiądz odpowiadał?

— Najprzód muszę znać pytania, a dopiero później mogę dać wyjaśnienie.

— Dobrze — rzekł Schilling — tylko niech się ksiądz nie próbuje wykręcać sianem, bo to się nie uda.

Postawione 12 pytań, któremi chciał mnie Schilling tak bardzo zastraszyć, dotyczyły wyłącznie zdarzeń politycznych w obrębie samej Komendy Legionów i to w przeważnej części tylko w odniesieniu do majora Zagórskiego i innych przydzielonych oficerów, którzy się nigdy zbyt mocno w polityce, zwłaszcza anty-austriackiej nie angażowali. Nie potrzebowałem więc nawet Schillingowi mydlić oczu, w końcu jednak przyznał, że dopiero teraz właściwie nic nie wie, że długie moje opowiadanie nie daje żadnego objaśnienia zamikłanych stosunków.

— Panie generale — odpowiedziałem — jakie pytanie, taka odpowiedź.

Podczas tej kilka godzin trwającej indagacji Schilling zrobił kilka aluzji do mojego kazania wygłoszonego w czasie obchodu rocznicy 2 Brygady, widać, że mu się nie bardzo podobało i dlatego je dobrze zapamiętał.

Z końcem października otrzymaliśmy zaproszenie na uroczystość intronizacji Rady Regencyjnej w Warszawie. Ponieważ pułki piechoty już odjechały na front rosyjski, zestawiono więc czempredziej reprezentacyjny oddział i załadowano go w Przemyśle celem transportu do Warszawy. Chłopcy nie posiadali się z radości, tem większa była za to złość i rozczarowanie, gdy Niemcy wspomnianego transportu legionowego nie chcieli puścić po za granicę okupacji austriackiej. Mimo to, oprócz urzędowej deputacji sztabu Legionów

zjawilo się zupełnie na czas mnóstwo Legionistów, którzy opuścili pociąg transportowy, przemocą wsiedli do pociągów osobowych i mimo pruskiego sprzeciwu szczęśliwie dojechali do Warszawy.

Uroczystość intronizacji czy raczej wprowadzenia Rady Regencyjnej zaczęła się nabożeństwem w katedrze. Po nabożeństwie cały orszak udał się na Zamek. W czasie pochodu często było słyhać głosy: „Oddajcie Piłsudskiego“, „Niech żyją Legjony“ i t. d. Na dziedzińcu ustawiony był baon honorowy złożony z tż. „Wehrmachtowców“, to jest Legionistów, którzy zostali w Warszawie pod komendą Beselera. Główna uroczystość odbyła się w sali tronowej, gdzie ubrany w purpurę Arcybiskup Kakowski odczytał przygotowaną odezwę Rady Regencyjnej. Po nim przemówił bardzo rozumnie i wielce gorąco Lubomirski. Oficjalne przemowy okupantów zakończyły uroczystość.

Na drugi dzień, t. j. 28 października była nasza delegacja P. K. P. na pierwszym posiedzeniu u Rady Regencyjnej. Gen. Zieliński złożył w naszym imieniu Radzie Regencyjnej hołd, jako „Majestatowi władzy polskiej“ i ślubował bezwzględne posłuszeństwo. Był aż do łez wzruszony.

Odpowiedział mu arcyb. Kakowski zapewniając, że Rada Regencyjna uważa znajdującą się obecnie na froncie część Legionów, nazwanych korpusem posiłkowym, za właściwy trzon Legionów i wyteży wszystkie siły, aby ów trzon odebrać do swojej wyłącznej dyspozycji. Radził nam trochę ciepłowości, a wszystko będzie dobrze.

Okupanci tak są hojni w słowach i obietnicach, lecz i w tak homeopatycznych dawkach oddają władzę w polskie ręce, że utworzenia Rady Regencyjnej i Rządu Polskiego nie wielkie w Warszawie robi wrażenie. Większość jednak jest tego zresztą rozsądnego zdania, że należy brać co dają a resztę sami z gardła wydrzemy.

Po powrocie z Warszawy, nastrój w Legjonach podniósł się znacznie. Druga Brygada znajduje się już na froncie bukowińskim, dobrze jej znanym z roku 1915. Pułk artylerji, formowanej na nowo przez majora Zagórskiego, jest już zupełnie wyszkolony i udaje się na front, podobnie jak i Komenda Legjonów, która jedzie w najbliższych dniach.

Doszły do nas ku wielkiemu oburzeniu gen. Zielińskiego słuchy, że Legjoniści po zawarciu rozejmu z Rosją, nawiązali zbyt żywe stosunki z bolszewikami, a nawet puszczali się po kilkanaście kilometrów za front rosyjski, celem zakupu różnych specjalów, szczególnie tytoniu. Zajścia te były powodem wycofania Drugiej Brygady z frontu do rezerwy.

Ponieważ na terytorjum Galicji nie było kapelanów legjonowych, a Legjoniści rozrzućeni byli w 30 różnych szpitalach austriackich, wybrałem się więc na tournée szpitalowe po Galicji, aby Legjonistów przygnębionych nie tylko chorobą, ale pobytem wśród zupełnie obcych ideowo ludzi, odwiedzić, pocieszyć i przynieść im wiadomości o naszych stosunkach.

Zwiedziłem szpital w Jarosławiu, w Rzeszowie i Tarnowie. W Krakowie Legjoniści rozrzućeni byli po 7 różnych szpitalach, było ich tutaj około 500 ze wszystkich dawnych pułków i oddziałów. Chłopcy „markierują“ jak mogą, aby tylko nie pójść do austriackiego wojska.

Najsmutniejszy widok przedstawia szkoła Inwalidów, gdzie znajdowało się także kilkudziesięciu Legjonistów kalek, którzy bądźto czekali na protezy, bądź też uczyli się przy pomocy protez wykonywać różne czynności, które im mają zapewnić utrzymanie czy też umożliwienie dalszego wegetowania na świecie.

Legjoniści jednak nigdy nie tracili humoru. W domu uzdrowieńców w Suchej opowiadał mi lekarz, że zawsze mniej kłopotu ma z 10 austriackimi żołnierzami, niż z jednym Legjonistą. I tak ostatniej zimy było

w zakładzie dwu naszych chłopców posiadających razem tylko półtorej nogi i trzy ręce. Mimo to potrafili się dostać do strychu sąsiedniej kamienicy, skąd zabrali sanki sportowe i pojechali na wycieczkę, która byłaby się dobrze skończyła, gdyby nie to, że gdzieś w karczmie podchmielili sobie nieco i podczas powrotu wjechali z sankami do rowu. Tutaj stało się nieszczęście, bo wszystkie 4 protezy uległy nadwyrężeniu. Nie umiając dać sobie z nimi rady, musieli w rowie czekać na litościwą pomoc.

Taka to już natura leguńska.

XVIII.

Bitwa pod Rarańczą.

Krwawa bitwa drugiej Brygady Legionów z wojskiem austriackim pod Rarańczą, jako jedynie właściwy i honorowy protest polskiego żołnierza przeciw oszukaństwu i matactwom ukoronowanym przez pokój brzeski, zawarty przez państwa centralne z bolszewikami, to jeden z najpiękniejszych momentów historii powstającej Polski.

Przez ten czyn, legionista śmiało uderzył w gliniane nogi stojącego u szczytu potęgi potwora niemieckiego militarizmu. Nie przestraszył się on ani stryczka ani kajdan, grożących mu za „zdradę stanu“, ale śmiało przed całym światem ogłosił, że jedynym celem jego życia i jedyną racją istnienia legionów jest dążenie do wolnej i niepodległej Polski. To też zdumiał się świat cały, gdy garstka straceńców porwała się na niezwykciężone dotąd potęgi i podziwiał ich bohaterską tułaczkę, gdy przez Murmań, Sybir czy Kaukaz, dążyli śladami napoleońskich legionistów, choć w stokroć cięższych warunkach z ziemi obcej do Polski.

Więzienia węgierskie, austriackie i pruskie, obozy jeńców zappełniły się „zdrajcami stanu“, a legionista przed trybunałem, złożonym z wrogich oficerów-żołdaków, śmiało podnosił do góry dumne czoło i bronił nie siebie, ale bronił honoru żołnierza polskiego.

To też skutki krwawego czynu w tym bardzo ważnym momencie historycznym nie dały na siebie długo czekać. Pułkownik Haller w kilka dni po bitwie pod Rarańczą, wysłał, jako przedstawiciela II Brygady, kap. Gniadego do Jass, gdzie bawił król rumuński Ferdynand, tudzież pełnomocni przedstawiciele państw Ententy. Król rumuński przyjął wysłannika II Brygady bardzo uprzejmie i ułatwił delegacji polskiej składającej się z kap. Gniadego i p. Emila Rońskiego, Lwowian na, delegata Nacz. Kom. wojsk pol. w Rosji, pertraktacje z pełnomocnymi ministrami Ententy. Owocem tych konferencji była pierwsza proklamacja Ententy do narodu polskiego z dnia 6 marca 1918 — Proklamacja ta stwierdziła uroczyście, że jednym z celów dla których Ententa prowadzi wojnę jest uzyskanie niepodległości Polski, złożonej z trzech zaborów z dostępem do morza. Krwawe bitwy II Brygady z Austriakami pod Rarańczą i Prusakami pod Kaniowem, ani też cierpienia legionistów w Huszt i Marmaros-Sziget nie były daremne, bo znacznie przybliżyły chwilę zmartwychwstania Polski.

Ale wróćmy do pamiętników:

Celem odciążenia umysłów oficerów i żołnierzy, od palących ich mózgi spraw narodowych, nakazał sztab austriacki — posiłkując się wypróbowaną pruską metodą — przeprowadzenie, jak najenergiczniejszego szkolenia oddziałów legionowych na oddziały szturmowe. Każdy legionista frontowy (bo łazików pomijam), był już dawno dobrym żołnierzem, a nawet doskonałym weteranem, ale trening sprężystości i siły nigdy nie zawadzi, więc też ćwiczenia odbywały się z zapalem, co znacznie uspokoiło podejrzenia A. O. K. (Naczelnej Komendy austriackiej).

Korzystając z wolnego czasu zająłem się dawnymi mogiłami legionowemi, które pozostały w kilkunastu miejscowościach, po dawnych bojach drugiej Brygady w r. 1915. Aby zdobyć jakieś fundusze na ten cel, po-

stanowiłem urządzić wieczorek w Czerniowcach, których ludność tak polska, jak i wszystkich innych narodowości z nami bardzo sympatyzowała.

Moja wycieczka do Czerniowiec, celem zorganizowania wieczoru, miała także i inne skutki, bo spotkałem tam przypadkowo kilku żołnierzy Korpusu gen. Michaelisa, który właśnie rozpoczął się tworzyć w Mohilewie nad Dniestrem, a więc około 150 klm. od naszego stanowiska. Opowiadali mi, że armia rosyjska jest w zupełnej rozsypce, każdy idzie tam, gdzie mu się żywnie podoba. Artylerzyści, których spotkałem byłem rodem z gubernji radomskiej, a należeli do baterji rosyjskiej, która stała koło Benderu. Gdy sowjet baterji uchwalił demobilizację, żołnierze podzielili między siebie majątek baterji, konie, wozy itd., Rosjanie poszli do domów, a Polacy z końmi i armatami powędrowali do Michaelisa, jednakże nie wszyscy tam doszli, bo część ich, to jest moi interlokutorzy, stęsknieni za domem rodzinnym przywędrowali na front austriacki, tutaj sprzedali za bezcen Austriakom konie i wozy, w nadzieji, że Austriacy w myśl przyrzeczenia odeszłą ich do domów rodzinnych. (Niestety mocno się zawiedli i powędrowali do obozów jeńców wojennych).

Gdy o tem opowiadałem w naszym sztabie podczas kolacji, nie chciano mi wierzyć, gdyż gazety podają wiadomości, że wojsko polskie tworzy się w Rosji pod komendą Dowbora Muśnickiego, ale w Mohilewie nad Dnieprem odległym od nas o kilkaset km. Namawiałem pół żartem gen. Zielińskiego, aby wysłał oficera na zwiady, czy i nad Dniestrem tworzą się rzeczywiście oddziały polskie, ale generał wprawdzie był mocno tą całą sprawą zaintrygowany, a nawet zgorszony tem, że rak dezercji już toczy nowo tworzące się oddziały polskie, jednak o łączności nie chciał słyszeć, chociaż się do tego zgłosił bardzo chętnie por. Ocetkiewicz. Zakazał nawet powtarzać tę wiadomość, że w niewielkiej od nas odległości tworzy się korpus polski z dawnej

armji rosyjskiej: „bo naprawdę gotów jakiś warjat na własną rękę tam się wybrać, a legjony i tak są już skompromitowane przez kontakt z bolszewikami na froncie“.

3. II. 1918 r. Wieczorek legjonowy w Czerniowcach miał bardzo wielkie powodzenie, bo zebrała się nietylko cała polska inteligencja Czerniowiec, ale przybyło również bardzo wielu Rumunów i Niemców. Olbrzymia sala domu niemieckiego nie mogła pomieścić gości tłoczących się do kasy i bardzo wiele osób musiało odejść bez biletów.

Duże wrażenie zrobił koncert symfoniczny orkiestry 2 p. p. legjonów, a przede wszystkim jeden z utworów fanfarowych, który wywołał wprost entuzjazm.

Produkcje wokalne i przedstawienie teatralne wypadły także niezłe, a „dziadek“ Zieliński odbierał liczne gratulacje od austriackich generałów.

Po wieczorku zebrało się grono starych legunów ze wszystkich pułków legjonowych na koleżańską pogawendkę w jednej ze sal niemieckiego domu. Przy kieliszku panował mimo kipiącej wprost serdeczności koleżańskiej nastrój bardzo poważny, bo wszystkich myśli były skierowane na wschód, skąd dla leguna błyskało nowe światło. Na sali znalazło się także kilku oficerów Polaków z austriackiego krakowskiego pułku Nr. 13, który stał właśnie w Czerniowcach. Po paru kieliszkach oficerowie ci wyrazili żal, że legjoniści potrafią mieć do oficerów Polaków tak mało zaufania, przysięgali, że w razie potrzeby nie dadzą się zawstydzić, ale pójdą razem z legionistami. Komitet opieki nad grobami legjonowemi otrzymał na ręce pań Gramskiej i Łukawieckiej 2000 koron, na wybudowanie pomnika dla legjoistów poległych pod Rarańczą w r. 1915. Drugi pomnik miano postawić na cmentarzu w Czerniowcach. (Pieniądze te jednak zostały użyte po bitwie z Austriakami na zaopatrzenie legionistów rannych i zbiegłych z austriackiej niewoli).

XIX.

Pokój brzeski.

13. II. Stało — Popielec przyniósł nam straszną wieść, która spadła na nas, jak grom z nieba ciężko zachmurzonego. A jednak ten grom przewyższał wszystko, czegośmy się obawiali i dlatego wielu nie chciało wierzyć wiadomości, którą do nas przyniósł „Wiek Nowy“. Zdradliwie do nas uśmiechnięta Austria i brutalne Prusy za zboże ukraińskie sprzedawały hajdamakom nasze męczeńskie Podlasie, a rana zrobiona na ciele Królestwa polskiego groziła samem swoim zjawiskiem, że nastąpi dalsze rozdarcie ziem polskich, przez które Wschodnia Galicja i Lwów znajdują się poza granicami Polski. Ha trudno!! Jeśli tak rzeczywiście jest, to jest to goły fakt ordynarnej zdrady, dokonanej na nas przez połączone mocarstwa Perfidji i Gwałtu, ale ten fakt będzie ostatnią zdradą względem nas dokonaną.

W Dowództwie Korpusu od rana bardzo duży ruch. Zieliński chodził, jak struty, a gdy przy kolacji porucznik Ocetkiewicz powiedział, że już chyba najwyższy czas, abyśmy pomaszerowali na Wschód, bo tu nie mamy na co czekać — staruszek nie domyślał się nawet o co chodzi — ale robiąc wzmiankę, o zupełnej rozsypaności armji rosyjskiej twierdził, że przy pomocy 40.000 porządnego wojska podjąłby się zająć Moskwę.

Swoją drogą mózg jego zajęty był zupełnie czem innem. Oto, jak dowiedziałem się od chorążego Gumiń-

skiego, pełniącego służbę przy tajnej poczcie, A. O. K., wydało rozkaz przerzucenia legionów na front rumuński. Rozkaz ten był ściśle tajny i nikomu poza gen. Zielińskim nie był znany. Gen. Zieliński czynił do tego pewne aluzje, gdym w celu wybadania sytuacji udał się do niego, w sprawie nabożeństwa za ś. p. mjr. Mężyńskiego. Kazał mi wówczas sprawę grobów legionowych natychmiast zlikwidować, gdyż za parę dni zupełnie opuszczamy Łużany i okolicę. A więc było to potwierdzenie wiadomości o froncie rumuńskim.

Ponieważ ze swemi myślami nie mogłem sobie dać rady, wybrałem się późnym wieczorem z porucznikiem Wasserabem do dawnych kolegów z 3 p. p. stojącego w Mamajowcach. Długi pieszy marsz nie otrzeźwił naszych myśli. W Mamajowcach wszystko spało, chodziliśmy od domu do domu, budząc oficerów, zapytaniem, jak można spać w taki czas. W ciasnej chłopskiej chałupie zebrało się kilkunastu z 3 i 2 pp., przeważnie młodych oficerów i gawędziliśmy w długą lutową noc, co nam czynić wypada, bo zaszłym faktom przeczyć nie podobna, a honor żołnierski i ideologia naszej drugiej Brygady zwanej „żelazną“, wymaga bezwzględnie, nie jakiegoś biernego protestu, ale czynu, choćby pełnego rozpacznej krwi. Wspólna pogawędka przyniosła wiele nowych wiadomości. Opowiedziałem wszystkim o tajnym rozkazie przerzucenia nas na front rumuński. Wszyscy tę wiadomość, a raczej rozkaz wyśmiali, bo przecież n'ema ludzkiej siły, któraby kazała legioniście strzelać do Rumuna, Włocha czy Francuza.

Jeden z oficerów przywiózł wiadomość, że dnia 18. lutego w całej Polsce a szczególnie w Galicji, będzie powszechna manifestacja, protestująca przeciw gwałtowi Mocarstw centralnych dokonanemu w Brześciu.

Wiadomości te, alarmujące każdy polski umysł, dostawały się naturalnie także do sztabu Korpusu, złożonego, w przeważnej części z austriackich oficerów

Polaków, przydzielonych do służby w Legionach. — Szef sztabu Nieniewski był nieobecny — przeto około gen. Zielińskiego skupiła się reszta tego sztabu: Dr. Rogalski, audytor Ganczarski, kap. Pomażański i Czech weterynarz Postółka, a szczególnie ten ostatni razem z pocztmistrzem Bierem ciągle wokoło biegali, bacząc na zamierzenia legionistów.

Na nabożeństwie żałobnem dnia 14 lutego za duszę śp. mjr. Mężyńskiego, który zmarł na udar serca w Krakowie podobno po otrzymaniu wieści o traktacie brzeskim, zebrała się w cerkwi w Mamajowcach prawie cała druga brygada legionów, gdyż oprócz obu pułków piechoty, które były w komplecie, wszystkie oddziały i zakłady przysłały bardzo liczne delegacje. Bez rozkazów, bez mów, bez wieców — każdego legionistę pchała na ten punkt koncentracji fatalistyczna siła idei legionowej.

W pośrodku cerkwi stała trumna jako znak pogrzebanych nadziei, a na niej kolekcja wszystkich wysokich i niskich orderów austriackich i pruskich, które legionista ze względów oportunistycznych, dotychczas musiał przyjmować. Gen. Zieliński ze swym sztabem stanął w presbyterjum, brygadjer Haller za katafalkiem.

W kościele pod wpływem napiętych do najwyższego stopnia uczuć narodowych, skombinowanych z poczuciem bezbrzeżnej krzywdy i nowego gwałtu, panowała wśród zwartego tłumu starych polskich żołnierzy ogólna psychoza rozpacz, ale nie tej, która bezpłodnie dąży do samozniszczenia, ale tej, która śmiertelnie ranego lwa rzuca do walki z wrogiem, choćby ta walka miała być ostatnią. Mimo rozpacz, że wszystkich licjaśniała pewność, że coś wielkiego stać się musi. Byłem również pod panowaniem ogólnej psychozy, tak że tylko z wielką trudnością potrafiłem zdobyć się na jaką taką uwagę podczas Mszy św. bo do mózgu z fatalistyczną siłą pchał się ból.

My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku niebu błagalna dłoń. .

Po Mszy św. miałem do żołnierzy krótką przemowę następującej treści:

„Bracia! stoimy u trumny kochanego i serdecznego kolegi, który razem z nami przeżył tyle trudów i znoju, głodu i zimna, przeżył mroźne Karpaty, stepy bessarabskie, błota wołyńskie, przeżył razem z nami wszystkie smutne i radosne chwile rozpaczy i złudzeń, które zdawały się błyskać światłem nadziei, a były tylko zwodniczą uludą. A oto pękło jego serce pod wpływem okropnych gromów, walących w naszą Ojczyznę. Pan Bóg oszczędził mu chwil rozpaczy, które my przeżywamy. Ale nie czas myśleć o naszych czy cudzych zasługach, bo dzisiaj one nic nie znaczą, nie czas roztkliwiać się nad grobem choćby najdroższego kolegi, ale oto Bracia podnieśmy serca nasze do Boga i wszyscy razem przy tej trumnie złożmy świętą przysięgę bezwzględnie wiernej służby dla naszej polskiej Ojczyzny i niechaj dziś ze wszystkich piersi rozbrzmi ona pieśnią przysięgi, która jest na ustach całego narodu polskiego:

Nie damy ziemi skąd nasz ród

— — — — — tak nam dopomóż Bóg...“

Mury świątyni zatrzęsły się od potężnych słów przysięgi;

Pójdziem, gdy zabrzmiał złoty róg

— — — — — tak nam dopomóż Bóg.

Ogólna psychoza doszła do szczytu swego napięcia. zdawało się, że cały kościół — to tylko jedna jedyna polska dusza. We wszystkich oczach błysły łzy, bo zrozumieli wszyscy, że to przysięga na wojnę z Austrią i Prusami, a gdy zerwałem z katafalku i podeptałem pruskie i austriackie orderzy, w tejże chwili znikły one z piersi wszystkich c. i k. oficerów, przydzielonych do służby w legionach.

Po nabożeństwie generał Zieliński usiłował zatrzeć wrażenie złożonej przysięgi przez przemowę, którą miał do zebranych pod cerkwią oficerów, a w której jakiegokolwiek przedsięwzięcie z naszej strony nazwał głupstwem i nakazywał czekać na rozkazy Rady Regencyjnej, zapewniając wszystkich, że on, jako odpowiedzialny dowódca, postara się o honorowe rozwiązanie legionów.

Przemowa wywołała głośnie protesty ze strony młodszych oficerów, lecz gen. Zieliński udał, że nic nie słyszy.

Gdy zniknął sztab, prawie wszyscy oficerowie zebrali się w szkole w Mamajowcach, gdzie było dowództwo 2 pp., leg. Z dowództwa korpusu było nas dwu: kpt. Górecki i ja; pułki bowiem nie bardzo miały zaufanie do sztabów, złożonych przeważnie z c. i k. oficerów.

To zebranie oficerskie pod przewodnictwem pułkown. Żymierskiego trwało kilka godzin. Wszyscy oficerowie oświadczyli się jednomyślnie za natychmiastową akcją celem przebicia się przez front austriacki i bolszewicki do oddziałów Muśnickiego. Nie brakło jednak i innych zdań — tak np. gorętsze głowy z 3 p. p. legionów z majorem Zajacem, proponowały marsz do Galicji i wzniesienie powstania w kraju przeciw Austrii, tudzież działanie na tyłach wojsk austriackich. Nie brakło także „liberum veto“, które postawił chorąży Hartleb, ze sztabu II Brygady, radząc wnieść pisemny protest przeciw pokojowi brzeskiemu na ręce cesarza Karola.

Papierowy protest wywołał śmiech i oburzenie, a chor. H. wyjechał natychmiast do Warszawy. Dyskusja była dość długa, między innymi zabrałem również głos, przedstawiając zebrany wiadomości o korpusie gen. Michaelisa, formującym się w Mohilowie nad Dniestrem w odległości 120 km. od Czerniowiec.

Na podstawie schematyzmu djecezji łucko-żytomirskiej, który miałem w rękach, przedstawiłem zebrany

tę okoliczność, że do Michaelisa będziemy maszerować wśród wsi o dużym procencie Polaków, a nieraz czysto polskich, gdzie polskie dwory i kościoły będą dla nas silnem oparciem.

Wystąpiłem natomiast przeciw projektowi mjr. Zająca, maszerowania do Galicji celem wywołania rewolucji, gdyż nie wolno nam bez porozumienia się z krajem, narażać ludności polskiej na morze cierpień i klęsk tudzież ryzykować całą przyszłość kraju z małą perspektywą dobrego wyniku, gdy natomiast marsz na Ukrainę, przy ryzyku tylko naszych własnych głów, przedstawia piękne horoskopy udaremnienia pokoju brzeskiego przez odcięcie Niemcom ukraińskiego zboża, za które nas zaprzędali hajdamakom. Psuś Niemcom dostawy, wywołać na Ukrainie rewolucję przeciwniemiecką, oto nasz cel, który możemy łatwo osiągnąć.

Bardzo energiczną, wprost zapalną mowę wygłosił młodzieutki podpor. Boruta Spiechowicz. Nie czas, wołał on, na narady, odezwy i papierowe protesty, ale męskim czynem musimy dowieść, że jesteśmy żołnierzami polskimi — na nas patrzy historia! — Chodźmy chodźby dzisiaj! bo jutro czy pojutrze może być zapóźno!

Na te słowa zerwali się wszyscy, wołając: chodźmy natychmiast! a pułkownik Żymiński zakonkludował: a więc i d z i e m y j u t r o !

Przy końcu zebrania nadszedł brygadjer Haller i oświadczył, że wybiera się do gen. Zielińskiego, aby podpisał dwie odezwy: jedną do narodu polskiego, a drugą do cesarza Karola z protestem przeciwko traktatowi brzeskiemu. Ta wzmianka o odezwach, wywołała niezadowolenie. To też pułk. Haller dość wzburzonym głosem zawołał: „co, wy do mnie nie macie zaufania! ja wiem co robię i nie cofnę się przed żadną konsekwencją, lecz planów nie chcę ogłaszać w zbyt szerokiem gronie, a gdy przyjdzie czas wydam odpowiednie rozkazy“. — Na sali zapanowała cisza; wszyscy zrozumieli, że Haller będzie naszym wodzem. bo stoi całą

duszą po naszej stronie, nie, tak jak przydzieleni oficerowie, którzy się ciągle oglądają wstecz. Na końcu zebrania pułk. Żymierski ogłosił, że tak samo zebranie, jak i jego treść są ścisłą tajemnicą.

A więc idziemy — alea iacta esto...

Dalsze plany faktycznej rewolucji i przejścia układał sztab II. Brygady pod przewodnictwem brygadiera Hallera a z współudziałem wszystkich dowódców pułków.

Po południu odbył się u gen. Zielińskiego raport wszystkich dowódców oddziałów i samodzielnych referentów. Na tę odprawę, widocznie ze względu na moje kazanie w Mamajowcach nie zostałem zaproszony — poszedłem mimo to. Na odprawie gen. Zieliński wezwał wszystkich do uspakajania żołnierzy i kazał czekać na dyspozycje, które przywiezie Nieniewski od Rady regencyjnej. Z pośród obecnych wystąpił kpt. Górecki i zapytał gen. Zielińskiego, jak sobie generał przedstawia honorowe rozwiązanie naszej sytuacji, bo tylko ten może drugich uspokajać, kto jest sam spokojny, co do szlachetności swego postępowania. Wszak rozbicie i rozwiązanie legionów przez Austrię, za honorowe rozwiązanie naszego położenia uważać dzisiaj nie można.

Pułk. Żymierski, stwierdził, że żołnierzy nie można wobec dokonanych faktów utrzymać w ryzach karności, i jeżeli oficerowie nie będą nic robić, to żołnierze zrobią przeciw nim rewolucję i zaczną działać na własną rękę.

Mjr. Zagórski zapewnił generała, że on ma swój pułk artylerji silnie w rękach i może gwarantować za porządek.

Wieczór tego dnia spędziłem w zakładzie sanitarnym, uprzedzając Dra Tatkovskiego, zastępcę nieobecnego Dra Korolewicza, aby miał najniezbędniejsze rzeczy w pogotowiu, gdyż mamy odmaszerować.

Rozmowę prowadziłem szeptem w osobnej kajucie, a tu wpadła jedna ze siostr i krzyczy, „iż ukrywać na nic się nie przyda, bo my się nie damy zostawić, choćby trzeba było iść tysiąc km.“

Ukryć tajemnicę, która w tej samej chwili rodzi się we wszystkich mózgach, nastrojonych na ten sam ton, na tę samą długość fali, jest rzeczą niemożliwą, bo tajemnicę tę odkryją swemi nerwami odrazu wszyscy, którzy dążą do tego samego celu.

Piętnastego rano, panował bezwzględny spokój.

Rano odprawiłem Mszę św., myśląc, że to może ostatnia, a w każdym razie ostatnia na długi czas.

Żołnierze spotykają mnie na ulicy i z tajemniczą miną pytają: Czy to dziś?

Cóż, powiadam, ma być dziś, to co i jutro!

„Ja wiem, że to tajemnica, powiada stary legun, ale my się przecież od Karpat znamy, to mnie można ufać“.

Dziś, czy jutro — powiadam — wszystko jedno, każdy żołnierz powinien być zawsze gotów na wypełnienie rozkazu.

A więc dziś wnioskuje legun i zaciera ręce z radości.

Jeżeli inicjatywę, jakiegoś ważnego czynu można przypisać masie ludzkiej, to z pewnością odnosi się do krwawego czynu drugiej brygady 15. II. 1918, który to czyn stanowi punkt szczytowy w historii II. żelaznej Brygady. Czyn ten powstał wprost z fizyczną koniecznością w duszy polskiego żołnierza i nie było żadnej siły, któraby ten czyn odwrócić mogła. Legjonista, obok instynktu samozachowawczego dyktującego mu, że żołnierz polski istnieć powinien, nawet w najcięższych warunkach, choćby trzeba było wargi z bólu i uczucia zemsty przegryzać, byle doczekać pomyślnej chwili, ten sam żołnierz miał także silne poczucie honoru, które mu mówiło jasno drugą zasadę, że broni wziętej do ręki, celem walki o wolność narodu bez sromoty złożyć nie można, że jedyną żołnierską odpowiedzią na wschodnie czy zachodnie matactwa jest ostrze bagnetu i strzał karabinu.

XX.

Przebojem.

Dla zachowania ścisłej tajemnicy i zmylenia władz austriackich, na wypadek, gdyby się o akcji dowiedziano, przygotowano pisemny rozkaz o nocnych ćwiczeniach II. Brygady w połączeniu z artylerją i kompanjami saperskimi.

W południe 15. II. ukazał się definitywny rozkaz wymarszu. Piechota, która miała wykonać ten demonstracyjny marsz ćwiczebny, wymaszerowała ze swoich stanowisk o godzinie 6 po poł. O 3 godziny wcześniej miała wymaszerować artylerja z Kocmania, a inne oddziały z Łużan, Mamajowic i Sadogóry, które miały maszerować szosą, wymaszerowały o godzinie 8 wiecz. Według rozkazu wszystkie oddziały miały zająć swe zasadnicze pozycje do wykonania ataku na austriaków na linii Rarańcza Mahala o godzinie 10.45 wieczorem.

Po ogłoszeniu rozkazu zaczęło się pakowanie trenu, może trochę zagłośnie, bo nawet baby wiejskie zaczęły się dopytywać dokądto Legioniści, tak nagle odchodzą.

Najdzielniejszego wojownika żydowskiego, przyprowadziła niegdyś do zguby niewiasta, wydostawszy od niego za pośrednictwem pieszczot tajemnicę jego potęgi.

Ta historia niestety często się powtarza. Tak było i w naszym wypadku, bo jak się później pokazało, władze austriackie miały wiadomości o gotującej się rewolucji za pośrednictwem kobiet i żandarmerji, już o godzinie 2 po południu. Na szczęście austriacki kome-

dant żandarmerji w Czerniowcach nie dał wiary bab-
skim plotkom.

Przed wymarszem trzeba było koniecznie opróżnić szpital legjonowy, bo chorych nie można było, ani brać ze sobą, ani zostawiać na łasce losu. Główna trudność była w tem, że dokumenty podróży były dobrze zamknięte w skrzyni, a klucze do niej były wprawdzie w polskich, ale nieświadomych c. i k. rękach. Spróbowałem jednak dostać się do tej skrzyni za pośrednictwem chorążego Gumińskiego, który wprawdzie zrobił wielkie oczy, gdy mu zaproponowałem wykradzenie większej ilości tych drogocennych papierków, ale gdy go zapewniłem kapłańskiem słowem honoru, że ich na złe nie użyję, ani jego na nieprzyjemności nie narażę, postarał się o klucz. W Dowództwie korpusu była pustka. Gen. Zieliński wyjechał do pułku artylerji w Kocmaniu, aby z mjr. Zagórskim ułożyć plan ćwiczeń artylerji. Zastępca szefa sztabu kap. Pomazański nie wiedział o niczem, zdziwił go tylko nadesłany z 2 brygady szkic do ćwiczeń, gdyż był wykonany bez porozumienia się ze sztabem, a jeszcze bardziej wiadomości, które przynieśli mu dwaj przydzieleni do Legjonów Cześci: weterynarz Postolka i poczmistrz Bier. Opowiadali oni, że wszyscy Legjoniści i ich własni podwładni, a nawet ordynansi robią bunt, „Marschbereitschaft“, pakują się i mają zamiar maszerować do Rosji.

Była to bardzo poważna chwila, bo kilku ludzi nie-uświadomionych lub obcych nam duchem, mogło nas wpędzić w matnię nie do wyjścia. To też dla ratowania sytuacji zacząłem się śmiać do rozpuku z naiwności panów „sim-czechów“, a zastępcy szefa sztabu powiedziałem, że się bardzo dziwię, że nawet i on dał się wziąć na legjonowy kawał i wierzy w jakiś bunt, czy rewolucję, podczas, gdy już wszystkie baby od dwóch dni wiedzą w Łużanach i okolicy, że z rozkazu A. O. K. mamy w najbliższych dniach maszerować do Kołomyji, gdzie nas mają zawagonować i odwieść z powrotem do Królestwa.

Dla kpt. Pomazańskiego to tłumaczenie wystarczyło, bo znał widocznie tajny rozkaz translokacji na front rumuński, ale zaciężni Czechowie nie chcieli w to wierzyć. Jakto pytali dalej — wracamy do Warszawy, a po co najlepsze konie z uprzężą, a bez wozów maszerują do artylerji w Kocmaniu?

„No, prosta rzecz, że do artylerji, która ma mieć wkrótce popisowe ćwiczenia, na które zapowiedział przyjazd excellencja komendant 7 armji“. Czulem, że jednak moje argumenta nie zupełnie mają moc przekonującą, więc musiałem Czechów pilnować, by się coś złego nie stało, dopóki nie zostanie zadecydowane, co robić z tymi panami, którzy się z nami nie solidaryzują. Aby sobie ułatwić zadanie, sprowadziłem sprawę na tory typowo-wojskowe. „Proszę panów dziś wieczór na małą bibę, którą urządzam razem z Dr. Tatkowskim“. „No, co takiego?“.

„Założyłem się z doktorem, że puszcze tak sprytnie zbudowaną plotkę, że za 24 godzin obleci całe legjony i wszystkie dziewięć wsi, gdzie są rozlokowani — a widzę, że zakład wygrałem, skoro takie grube ryby dały się wziąć na fałszywy alarm“.

Nadzieja wieczornej zabawy rozbroiła i uspokoiła umysły — na czas wystarczający.

Pomazański poprosił mnie do kancelarii operacyjnej, gdzie jeszcze wszystko funkcjonowało w porządku. Na stole leżał rozkaz II brygady o ćwiczeniach, które się miały odbyć 16. II. o godzinie 6 rano. Do rozkazu był dołączony szkic sytuacji własnej i nieprzyjacielskiej. Zasada ćwiczeń była następująca: nieprzyjaciela rozbić tego na linii Cecine Roch—Mamajesti ścigać w kierunku wschodnim.

Sytuacja w sztabie była jednak ciągle jeszcze niewyraźną, bo wprawdzie podoficerowie wszyscy byli już wtajemniczeni i byli bezwzględnie pewni — mimo to jednak połączenie telefoniczne z Komendą 7 armji było dla nas denerwującym. Na szczęście zjawił się w Łużanach podplk. Żymierski równocześnie z kpt. Górec-

kim, któremu oddał komendę nad całym sztabem korpusu legionów i polecił wszystkich opornych aresztować. Gen. Zielińskiego jeszcze nie było. Chcąc mu zaoszczędzić przykrości aresztowania, po porozumieniu z Góreckim, zaproponowałem sfingowanie depeszy, wzywającej gen. Zielińskiego na konferencję do sztabu 7 armji w Kołomyji — gdzie go miał odwiedzić kpt. Lewartowski, który jednak odmówił wykonania tej propozycji, motywując tem, że to wyglądałoby na chęć wystrychnięcia generała na dudka, a na to nasz kochany Zieliński mimo wszystko przecież nie zasługuje.

Nie pozostało więc nic innego, jak dać generałowi wóz i przewóz.

To też gdy po jego powrocie zbiegli się do niego wszyscy przydzieleni c. k. oficerowie, zadanie kpt. Góreckiego było ułatwione. Wziął pluton żołnierzy z kompanji alarmowej 2 p. piechoty, pełniacej pod dowództwem por. Marka służbę inspekcyjną, otoczył sztab i wszedł do kancelarji gen. Zielińskiego. Tutaj oświadczył generałowi, że na rozkaz Komitetu narodowego wszystkie oddziały polskie mają się połączyć pod komendą gen. Dowbora-Muśnickiego, wobec tego legiony polskie w dniu dzisiejszym przekroczą front austriacko-rosyjski, aby podążyć do Muśnickiego. „Wobec tego zapytuję pana generała, czy się z nami solidaryzuje, czy nie“. Gdy gen. Zieliński kategorycznie oświadczył, że nie, kpt. Górecki wziął go pod przymus wojskowy, stawiając obok niego żołnierza z najeżonym bagnetem. To samo pytanie postawił kpt. Górecki Dr. Rogalskiemu, mjr. Ganczarskiemu, kpt. Pomazańskiemu, Czechom Postolce i Bierowi, a gdy wszyscy oświadczyli swoją solidarność z gen. Zielińskim, zostali wszyscy aresztowani.

Dziwna to była chwila. — Nie ulega wątpliwości, że tak gen. Zieliński, jak Dr. Rogalski i inni, chociaż byli c. k. oficerami, żyli się z ideą niepodległości Polski — kochali legiony nad życie, — a jednak czuli się związanymi przysięgą wierności dla cesarza i gdy jednego z nich, dawno już zupełnie zleguniałego, zacząłem

po przyjacielsku przekonywać o konieczności rewolucji, posłyszałem epitet: „zdrajca“.

Nic dziwnego. Długoletnia służba, jak obroża wżera się w ciało człowieka i niełatwo jest pozbyć się tej obroży.

Ogłoszony areszt nie był zresztą srogi, bo jednak wszyscy nie wyłączając Czechów, Rusinów — a nawet i Niemców, którzy przydzieleni do legionów powoli legunieli — wszyscy w gruncie rzeczy uznawali ciężką krzywdę, jaką nam wyrządzono, sympatyzowali z naszym rycerskim odruchem. Wszak nawet robotnicy piekarni polowej, wśród których była istna mozaika narodowości — a względna większość tworzyli Rusini — pomaszerowali solidarnie z legionistami.

To też po paru kwadransach cały sztab po za generałem i Czechami został zwolniony z aresztu, gdyż Dr. Rogalski, mjr. Ganczarski i kpt. Pomazański oświadczyli, że pójdą z nami, jeżeli dla zabezpieczenia bytu ich rodzin otrzymają poświadczenie, że zostali przez legionistów aresztowani i zabrani pod przymusem. Poświadczenie takie wystawił im kpt. Górecki.

Straż nad jedynie naprawdę aresztowanym gen. Zielińskim, który w przystępie melancholji usiłował sobie życie odebrać — objął rotmistrz żandarmerji Okołowicz.

O godzinie 7.30 wśród ciemności bezksiężycowej nocy zaczął się w Łużanach silny ruch. — Od mostu wzdłuż wsi ustawiły się na szosie kolumny trenowe, niestety zbyt obciążone i ociężałe. Wieś jakby wymiótł, tu i ówdzie tylko błyska lampka elektryczna. W domach pogaszono światła, stacja kolejowa głucha, zwrotnice zupełnie ciemne. — Gdy się żegnałem z gospodarzem — prawosławnym rusinem, usłyszałem od niego na drogę: „My znamy panoczku szo idete wojuwaty z nimciamy i madyarami — Boh z wami“.

Przed szkołą wsiadłem na konia, który jeszcze na Wołyniu musiał mnie dźwigać na swoim grzbiecie i ruszyłem w Imię Boże razem z oddziałem sanitarnym.

Kasa główna znajdowała się w szkole, ale coś tam koło niej długo marudzono, więc kolumna pomaszzerowała naprzód, a ja z por. Barzykowskim pozostałem, aby przypilnować mamony, która się bardzo może przydać w tak dalekiej drodze. Byliśmy na tyle naiwni, że zabieraliśmy całą ciężką kasę zaprzęgając do wozu cztery konie — zamiast poprostu zabrać samą rhamonę i szybko ruszać w świat.

Marsz odbywał się cicho i spokojnie aż do wschodniego wylotu wsi Mamajowce.

Tu spotkał nas pierwszy patrol austriacki, jadący w automobilach pod komendą kapitana sztabu general. Baleanu. Ponieważ właśnie u wylotu wsi był posterunek austriackiej żandarmerji, więc Baleanu licząc na pomoc posterunku zatrzymał swój patrol i wyskoczywszy z auta zaczął pytać legionistów o cel marszu. Gdy się dowiedział prawdy, wezwał swój oddział do rozbrojenia legionistów, a sam wyciągnawszy rewolwer, krzyczał: *„Verräter, Schutte! — Waffen abgeben! —* Na ten moment właśnie nadjechałem, a widząc, że jakiś legun, prawdopodobnie piekarz lub inny treniarz oddaje broń, wpadłem w złość i z całej siły uderzyłem kap. Baleanu w twarz szpicrutą. — *Was ist denn das, sehen Sie nicht die Generalstabskappe?* Nie szukałem zbyt długo w niemieckim słowniku odpowiedzi na ten argument, ale używszy pierwszego z brzegu, zawołałem: chłopcy, rozbroić tę bandę! — a następnie zażądałem od Baleanu wydania broni, co natychmiast wykonał. Podobnie poddał się natychmiast cały patrol w dwu automobilach, składając rewolwery, karabiny i karabin maszynowy.

Kapitanowi Baleanu jednak po tem wszystkiem nie mogła wyjść z głowy jego „Generalstabskappe“, więc, gdy się już nieco uspokoił — zapytał mnie znowu ale już grzeczniej: *„Sagen Sie mir, was für ein Recht haben Sie, mich zu verhaften, ich bin ja ein Generalstabs-hauptmann“*. Prawem wojny odpowiedziałem mu po

polsku, dodając dalej: „*Wir führen Krieg mit Oesterreich und Preussen*“.

Konia kuja — żaba nogę nastawia — ale takie to właśnie nieformalne było wypowiedzenie wojny Austrii i Prusom.

W dalszej drodze austriaccy jeńcy pod eskortą chorążego Charzewskiego zachowywali się całkiem spokojnie, jedynie tylko szofer przez skrytą manipulację usiłował zepsuć motor przez wyjęcie świec magnetycznych, natomiast kpt. Baleanu w łaskawości swej ofiarował auto na własność eskortującemu go chorążemu.

Według planu operacyjnego, miała kompanja techniczna pod komendą kpt. Hellmana wysadzić o godzinie 9 most pod Czerniowcami, aby uniemożliwić atak z tamtej strony Prutu, tymczasem to się nie stało, gdyż patrol automobilowy napadł na nas od strony Czerniowiec.

W dalszej drodze mieliśmy spokój, jedynie tylko jedno z aut, bardzo ciężko obciążonych musieliśmy zostawić na skrócie drogi prowadzącej do Czerniowiec z powodu defektu motoru, którego w nocy nie można było naprawić — a czas naglił, bo o godz. 10.45 mieliśmy się stawić na oznaczonym punkcie.

Minęliśmy Żuczkę, która dla nas stanowiła duże niebezpieczeństwo — bo kwaterowała tu 2 dywizja kawalerji, złożona przeważnie z honwed-huzarów. Obserwowaliśmy spokój madjarów grających sobie najspokojniej w świetle w karty w jasno oświetlonych chłopskich chatach. Przy magazynach stały austriackie posterunki — na skrzyżowaniu dróg posterunki alarmowe, które mijaliśmy spokojnie nie przeszkadzając im w ich zadumie. Tak doszliśmy aż do toru linii kolejowej idącej z Czerniowiec na Besarabję. Rampa była zamknięta.

W tej samej chwili nadjechał autem od strony Czerniowiec gen. Schilling, wysłany przez austriackiego gen. Kosaka, który się niepokoił nieobecnością patroli

kpt. Baleanu i zupełnym brakiem realnych wiadomości o legionistach.

Ponieważ Schilling mówił dobrze po polsku, legjoniści myśląc, że to swój, puszczała auto wzdłuż kolumny, dopiero ja go poznałem po głosie i kazałem go w tej chwili rozbroić i aresztować. Chłopcy wpadli w doskonały humor skoro dowiedzieli się, że mają przed sobą Schillinga, którego każdy legionista nienawidził za ustawiczne szykany, jakimi dawał się nam ciągle we znaki, gdyż był on austriackim kontrolerem prawomyślności drugiej brygady. To też jeden z podoficerów, któremu oddałem eskortę, zaproponował półżartem, że właściwie należałoby go jako „starego osła“ powiesić.

To wprawiło ozdobionego licznymi orderami generała w taki paniczny strach, że zaczął drżącym głosem wołać, że chce mówić z dowódcą oddziału. Nie dał się pocieszyć i chorążemu Misiakowi, którego posłałem na ratunek „Kontrolsorganu“, ale wciąż wrzeszczał, że chce mówić z komendantem oddziału. Legjoniści zaczęli mnie głośno wołać po nazwisku. Naturalnie nie zjawilem się, bo nie tylko nie miałem przyjemności rozmawiać z Schillingiem, który mi już dość wlał za skórę jeszcze w Przemyślu, ale ponadto zjawilo się nowe niebezpieczeństwo. Na torze kolejowym zjawił się nagle jak potwór wyłaniający się z otchłani nocy pociąg pancerny i po porozumieniu z obsadą kolejową budki zamienionej na blokhaus, rozpoczął na nas ogień z karabinów maszynowych.

„Karabiny naprzód“ zawołałem na naszą trenjarско-sanitarną hołotę i z aptekarzem Homme wpadliśmy na czele kilku żołnierzy pod pociąg pancerny, który w ciemnościach nocy nie odróżniał swoich od obcych. Kilka strzałów, tudzież parę granatów ręcznych, jakie rzucił ppor. Marek, wystarczyły do usunięcia molocha, który cofnął się w tył, a my wywaliwszy rampę kolejową posunęliśmy się naprzód. Za nami poturkotały treny. Godzina 10,45 nadeszła. Czekaliśmy gorącz-

kowo odgłosu naszej artylerji, która miała rozpocząć akcję przeciw austriakom. Niestety tego radosnego huku armat nie doczekaliśmy się wcale, a zato nasze biedne tabory zalał potok światła z przeklętych rakiet i grad kul z karabinów maszynowych, któremi zasypał nas od tyłu wspomniany pociąg pancerny.

Parę minut tej burzy błyskawic i piorunów, a nasze tabory zostały obrócone w perzynę. Koni połowa zabitych, reszta ranne lub oszalałe, ludzie pokuleni we fosach i za drzewami, za trupami końskimi lub barykadami z bagaży i wozów.

Widząc niemożliwość przeprowadzenia koni i wozów, oficerowie zbierają przestraszonych, bo nieprzyzwyczajonych do bitwy treniarzy, aby się przedzierać piechotą do pułków, które w tej chwili, jak można to wywnioskować z gęstych strzałów karabinowych łamiał front austriacki i otwierają drogę do wolności. Zorganizowane oddziały natrafiają na nowe przeszkody, bo zaalarmowana strzałami 2 dywizja kawalerji wysyła swe szwadrony, a komenda grupy Kosak coraz to nowe pułki piechoty w ogólny zamęt, w którym wśród ciemności nocy nikt nie wiedział kogo ma przed sobą — swojego czy wroga.

Oddziały nasze natrafiając na coraz to nowe przeszkody wracały na szosę, aby drugą stroną przedostać się do swoich. Pluton por. Marka, złożony z prawdziwych żołnierzy przedziera się aż poza Mahalę ku Rarańczy, kapitan Przepiliński dotarł aż prawie do okopów pluton telegraficzny chor. Wallnera cofnął się do Sado-góry, inne oddziały błądziły po polach Żuczki — jak dziki, otoczone zewsząd mnogą ilością nagonki.

Nasza beznadziejna walka i próby zebrania sił trwały przeszło 3 godziny — a te trzy godziny wydały się wiekiem. Około północy usiłowałem jeszcze zebraną koło siebie grupę ludzi ukryć w wąwozie i przeprowadzić brzegiem strumienia Mahali, ale przejście okazało się zamknięte, a przed nami ukazały się kolo-

rowe rakiety, znak, że II. Brygada już na drugiej stronie frontu na wolnej ziemi.

Widok ten budził w nas dwa uczucia: radości, że sprawa się udała i rozpacz, że padliśmy ofiarą wśród zawodu, bo na nas biednych zawałidrogów spadła cała austriacka burza, a pułki piechoty przełamały front austriacki bardzo łatwo i szczęśliwie.

Pod naporem austriackiej tyraljery cofnąłem się znowu na szosę, gdzie był rozbity nasz nieszczęśliwy tren i tutaj napadł na nas austriacki patrol. Na czele patrolu szedł jakiś chorąży Czech, który oświadczył, że bierze mnie i wszystkich legionistów do niewoli. Po trzygodzinnej walce — powiadam mu — zdobywajcie trupy końskie kolumny sanitarnej, paru rannych sanitariuszy, paru piekarzy, a nadto księdza, sanitariuszkę i pół miliona koron, które znajdują się gdzieś tutaj w kasie. — Żołnierze austriaccy, rzucili się natychmiast do rabunku taborów, a ja korzystając z nieuwagi, umknąłem im i razem z kilku legionistami i siostrą Kossowską usiłowałem uciekać samochodem gen. Schillinga przez Żuczkę w stronę Sadogóry, a później przez Okno nad Dniestrem w szeroki świat. Niestety prawie już nad świtem zatrzymał nas patrol 13-tego krakowskiego pułku piechoty i odstawił jako jeńców do 2 dywizji kawalerji w Żuczce. Nasza treniarska bitwa nie była jednak bez celu — bo na biednych łapiduchów, piekarzy, treniarzy, zwała się cała potęga austriacka: 40 batalionów piechoty. Biednego kpt. Przepilińskiego, który prowadził tren 3 pułku, atakowali Austriacy do białego dnia, zasypując sąsiednie pola gradem granatów i szrapneli. Pułki piechoty przełamały front austriacki i przeszły tak niepostrzeżenie, że Austriacy atakując tabory myśleli, że mają do czynienia z całym korpusem legionów.

Austriacka patrol odstawiła mnie do 2 dywizji kawalerji w Żuczce, dopiero o godzinie 9 rano. To było także dużym moim szczęściem, bo jak się dowie-

działem od żołnierzy legjonowych, generał Schilling gwałtownie mnie od paru godzin poszukiwał, a podobnie poszukiwano także bardzo energicznie jakiegoś kapitana w świtce, jako sprawcę rozbrojenia pierwszych austriackich patroli. Natychmiast też jeden z legjonistów ściągnął ze mnie świtkę i zaofiarował mi swój płaszcz, okrywając się tymczasowo kocem.

XXI.

Doraźny sąd wojenny i więzienie w Huszt.

Na dziedzińcu komendy 2 K. T. D. zastałem wszystkich naszych oficerów jeńców z podwójnym jeńcem gen. Zielińskim na czele. Żandarmerja polowa właśnie kończyła pierwotkowe śledztwo — mnie przedstawiono również jakiemuś oficerowi żandarmerji, który na wiadomość, że jestem „Feldkurat“ zaczął się długo po żandarmsku we mnie wpatrywać, ale widocznie niczego szczególnego nie zauważył, ani w mej zmęczonej twarzy, ani w mej brudnej „beselerce“.

O głodzie i chłodzie na rozmokłym lutowem błocie staliśmy prawie cały dzień, czekając na sąd doraźny, czy też dziesiątkowanie, gdyż Austriacy, których w czasie bitwy padło koło 250, żądali głowę za głowę. (Legjonistów poległo 20 razy mniej, gdyż mieliśmy dokładnie ułożony plan akcji, natomiast oddziały austriackie błakając się wśród ciemnej nocy sami siebie gęsto ostrzeliwali). Największą męczarnią były przechwałki austriackie, że wszystkie pułki dostały się do niewoli. — Pocieszałem swoich współwięźniów, że to nieprawda, gdyż widziałem kolorowe rakiety nad linią frontu, a był to przecież umówiony sygnał, że przedsięwzięcie idzie szczęśliwie.

Koło godziny 3 popołudniu rzucono nam trochę ochłapów i pod silną eskortą zaprowadzono do Nowej Zuczki. Tu czekała nas pewna niespodzianka. Cztery w żelazo zakute pełne szturmowe bataljony otoczyły nas żelaznym łańcuchem. Oficerów wzięto w czworobok czterech kompanji. Ponieważ równocześnie ktoś

zauważył, że nadeszli saperzy z łopatami do kopania grobów, więc powszechnie zapanowało przekonanie, że wszyscy oficerzy zostaną na miejscu rozstrzelani, a żołnierze zdziesiątkowani. Wśród wielu zapanowało przygnębienie, gdyż każdy człowiek jest wprost w zwierzęcy sposób przywiązany do życia, a szczególnie nie lubi być powieszonym, lub rozstrzelanym, jakby to była gorsza śmierć od śmierci na polu bitwy lub na puszystym łożu.

W tym groźnie nastrojonym momencie, wyszedł rozkaz: „die Offiziere sollen ihre Namen anmelden“. Zostałem wpisany jako pierwszy — drugi był kapitan Górecki, trzeci zdaje mi się chorąży Załęski, czy ktoś inny.

Bałem się, czy podczas tego apelu śmierci nie zdrży komuś głos w sposób nieodpowiadający godności oficera polskiego. Ale nie! Pierwsze przygnębiające wrażenie minęło i wszyscy wobec wroga stali hardo i spokojnie, a gdyby przyszło płacić głową, czyniliby to z prawdziwą pogardą życia.

Ta mroźna godzina, wśród żelaznych szeregów szturmowych, wśród twarzy ziejących żądzą zemsty i dzikiej zawziętości, wśród zewnętrznych przygotowań do krwawego sądu — gdy wszyscy byli pewni, że egzekucja nastąpi za kilka chwil, stanowi chwilę, która się najgłębiej wryła w moją duszę, a był to moment tak podniosły, tak pełen poczucia honoru i dumy narodowej, że wart jest połowę mego życia. Był w tej podniosłej chwili mały dyssonans, wywołany brakiem silnego systemu nerwowego u jednego z kolegów, ale dyssonans ten w tej chwili przyciszono. Na zewnątrz staliśmy jak jeden mur, nie wyłączając 3 sanitariuszek, dla których zachowania się należy mieć pełne uznanie.

Po dłuższym postoju na mrozie odprowadziły nas te żelazne zastępy, rzeczywiście imponujące doborem silnych ludzi i wspaniałym rynsztunkiem do Mamajowiec, a po długim znowu postoju na mrozie, umieszczo-

no nas w leśniczówce, po kilkudziesięciu oficerów w jednej izbie.

17. II. koło godziny 10 nadjechało kilku audytorów i rozpoczął się sąd doraźny. Do przesłuchania wezwano najprzód Góreckiego i Zagórskiego. Po wczorajszym przygnębieniu wśród oficerów panował gwar. niektórzy wzięli się nawet do kart, które gdzieś w kieszeni znaleziono, a wszyscy strasznie zmęczeni, zziębnięci i zgłodniałi szukali, co by się tu dało zjeść. Po chwili poza szeregiem straży wojskowych, zjawily się kobiety z Mamajowiec, przeważnie ruskie i prawosławne, które przynosiły chleb i dopytywały się o swoich znajomych. Niestety w Mamajowcach stała piechota, która szczęśliwie przeszła, a pierwszym szczęśliwym zjadaczem chleba był chorąży Józwa z 2 p. p., który razem z nami treniarzami wpadł w błoto. Mamajowczanki nie znalazłszy swoich znajomych, na końcu zdecydowały się pożywić trochę i innych legunów, za co niech im Bóg stokrotnie zapłaci. Straże jakoś trochę złagodniały zwłaszcza, że żołnierze sami patrzyli łapczywie na chleb nam przynoszony, a gdy wniesiono gremjelne żądanie, że jednak by bez względu na to, co się z nami w niedługim czasie stanie, musimy coś jeść, komendant warty zgodził się na to, że nasze sanitariuszki Zofja Germanowa, Antonina Krzymuska i Jadwiga Kossowska pod strażą poszły na wieś i kupiły trochę mamałygi i innych przysmaków, celem ratowania nas od śmierci głodowej.

Wieczorem nadszedł kpt. Górecki i opowiedział nam o swoim zeznaniu.

Wszyscy się dziwili, dlaczego mnie nie wezwano do przesłuchania — wszak moja sprawa jasna i wszyscy o tem wiedzieli, że Schilling mnie poznał. Widocznie Schilling po starej znajomości, upatrując we mnie szcwanego lisa, chciał naprzód mieć przeciwko mnie wszystkie dowody w ręce, potem chce zrobić krótki proceder.

18. II. Zagórskiego i Góreckiego niema. Chodzą wieści, że ich przewieziono do Kołomyji, gdzie się ma nad nimi odbyć sąd doraźny. Nas spisują znowu, a tajemne wieści głoszą, że wszyscy zostaniemy gdzieś wywiezieni. Przypomniałem współwięźniom, że dziś w całej Polsce odbywa się uroczysty protest przeciwko gwałtowi brzeskiemu, więc i my musimy to jakoś zaznaczyć. Wszyscy natychmiast powstałi z miejsc i zaśpiewaliśmy rotę: „Nie damy ziemi skąd nasz ród“. Myśli nasze przenosiły się do Kołomyji, gdzie według naszego przypuszczenia Zagórski i Górecki już prawdopodobnie wisieli na szubienicy austriackiej, jako najwspanialszy polski protest wobec Boga i historii.

19. II. po południu otoczono nas, znowu bataljonami szturmowymi i poprowadzono na stację kolejową do Łużan. Szedłem w pierwszej czwórce, więc mieszkańcy Łużan, tak Polacy, jak i Rusini, natychmiast mnie poznali, a kobiety zaczęły płakać. Przerwały nawet kordony austriackie, przynosząc nam chleb i słoninę. Nie lubię łez i nie znoszę uczucia litości, odnoszącego się do mej własnej osoby, a jednak ta pamięć o nas i narażanie się na szturchańce i obelgi u ludzi dla nas przeważnie obcych religją, językiem i kulturą, była prawdziwie rozrzewniająca. Naturalnie, że przodowały we wszystkim Polki, których wiele pracuje w cukrowni w Łużanach. Naczelnik stacji, z którym udało mi się zamienić kilka słów oświadczył, że pociągi są zadysponowane na Węgry przez Kőrëszmöze prawdopodobnie do Huszt. Załadowano nas do wagonów, do każdego przedziału dodano wartę i pociąg ruszył dość szybko w stronę Kołomyji. Na stacji w Kołomyji zebrał się olbrzymi tłum ludzi, którzy witali nas owacyjnie, rzucając poprzez kordon żołnierzy gazety i chleb. Mnie udało się porozumieć z ks. Wójcikiem, którego prosiłem o przesłanie wiadomości o mnie mojej matce. Wobec coraz tłumniej tłoczącej się publiczności umocniono kordony wojskowe i odesłano jaknajspieszniej pociąg z więźniami wśród potężnego śpiewu „Nie damy ziemi“,

który zabrzmiał zarówno z wagonów, jak i z piersi zgromadzonej publiczności. Gdy znaleźliśmy się na węgierskiej ziemi, komendant transportu groźnie zapowiedział: „teraz mam was w garści, jak kto usta otworzy, dostanie kulą w łeb“.

Wieczorem 20. II. przyjechaliśmy na miejsce przeznaczenia do Huszt, które nam doskonale było znane z walk w r. 1914, gdy to oswobodziliśmy Marmaros Sziget i całą okolicę od najazdu rosyjskiego. Marmaros Sziget, które niegdyś tak gorąco witało zastępy legionowe — przywitało nas zimno. Tu i ówdzie semicka twarz wyglądała z poza kordonu wojskowego, a w każdej twarzy malowała się otwarta nienawiść „verraterische Legionare“. W Huszt wyladowano nas poza dworcem, na wielkim kokurudzianem polu, otoczonym kilkoma kompanjami wojska. Komendant transportu oddał nas nowemu komendantowi płk. Körnerowi, który w otoczeniu sztabu, paradował na wspaniałym koniu. Nakazano nam oddać wszystkie rzeczy i zaczęła się długa i przykra rewizja, a kilkugodzinne stanie na gołym rozmokłym polu było wprost męczarnią dla przeziębionych i wynędzniałych Legionistów. Zabrano wszystkim resztki chleba, tytoń, a następnie otoczono najpierw oficerów dwiema kompanjami wojska i poprowadzono przez miasto do więzienia. Podczas marszu przez miasto ludność żydowska odnosiła się do nas z nienawiścią — natomiast ludność ruska z pewną sympatią. Ponieważ więzienie było przepełnione, więc większość więźniów umieszczono w barakach. W barakach rozpoczęła się znowu szczegółowa rewizja, odebrano nie tylko pieniądze, ale także brzytwy i noże, aby nikt nie mógł popełnić samobójstwa. Mnie udało się ukryć większość posiadanych pieniędzy i zachować przy sobie. Po rewizji zostałem umieszczony w brudnej i wilgotnej celi, pełnej błota i śniegu. Byłem zamknięty sam jeden. Zziębnięty i głodny rzuciłem się na ziemię w najsuchszym kącie celi, ażeby we śnie poszukać ukojenia. Po chwili wszedł do celi kaprał, węgierski nie-

miec; ustawił piecok połowy i zapaliwszy trochę wiór — zagrzał konserwę i potraktował mnie, dodając kawałek chleba. Mimo szalenie dokuczającego mi głodu, gościny tej nie przyjąłem, ale odwróciłem się do ściany. Gdy kapral wyszedł, zbliżyłem się do piecyka, aby się trochę ogrzać i tu zobaczyłem, że ów gościnny biesiadnik, zostawił skórkę chleba i puszkę z konserwy. Wykorzystując tę okoliczność ugotowałem sobie w blaszance zupę z pozostawionej spalonej skórki, a zupa ta smakowała mi znakomicie. Przy zmianie służby znowu zjawił się u mnie ów dobroczynny kapral i korzystając z ciszy nocnej, zaczął mi perswadować, że mój upór, co do nieprzyjmowania od niego jedzenia jest niewłaściwy. „Ich weiss — mówił mi dalej — dass sie kein Geld haben — aber ich werde schreiben zu ihrer Familie und diese wird Geld schicken...“ „Skoro jesteś taki życzliwy panie kapral, to jakoś może poradzimy“, odparłem mu i wyciągnąłem ze swej skrytki kilkadziesiąt koron, które wręczyłem temu tak cennemu przyjacielowi z prośbą o zakupienie prowiantów. Nie minęło dziesięć minut, a w celi zjawił się stos bułek i innych smakołyków, które pożerałem z wielką łapczywością nie zapomniawszy jednak o sąsiadach, którzy byli w gorszym położeniu, bo byli na tyle niemądry, że oddali wszystkie pieniądze.

Po skonsumowaniu kilkunastu bułek zacząłem znowu odczuwać przywiązanie do życia. Dobrze myślę sobie, że mnie zaraz w Czerniowcach, względnie w Łużanach, nie powiesili — jak tego pragnął kapitan Boleanu, który w Czerniowcach powiedział do pułk. Rogalskiego: „Wenn ich diesen Schelm ertappe, der mich arretiert und so mishandelt hat, wird er sofort — gehängt hier, vor der Kaserne“.

Teraz musi być sąd, a więc w każdym razie będę się mógł przynajmniej wygadać do woli.

21. II. do swej celi dostałem 2-ch towarzyszy, chorążego sanitarnego Czyżewicza i dyrygenta chóru 2 pp. Obaj panowie, a szczególnie ostatni, bardzo przygnę-

bieni i zgryźliwi, nie nadają się zupełnie na towarzyszy niedoli, więc też mimo czujnej warty zacząłem się rozglądać na prawo i lewo, czyby w jaki sposób nie można się było dostać „na pogadankę“ do sąsiedniej celi. A że do odważnych świat należy, więc gdy wracałem pod strażą z najeżonym bagnetem z pewnego lokalu, z którego i więźniowie korzystać muszą, przez „pomyłkę“ zaszedłem zamiast do swej — do sąsiedniej celi, sprawiając tam dużo radości i niepotrzebnego hałasu. Wieść o tem, że potrafiłem ocalić znaczną część swych pieniędzy, wzbudziła wprost entuzjazm i nadwyrężyła znacznie moją kasę, która w tych stosunkach, gdy więcej nikt z oficerów nie ma pieniędzy, nie mogłaby nam wystarczyć na bardzo długi czas. Podróż do swej celi musiałem znowu upozorować odwiedzinami w 00., ale już w drodze strażnik, Słowak zwrócił mi uwagę, że to robię zupełnie niepotrzebnie, bo on dobrze wie, że ja jestem z innej celi, ale skoro żaden oficer nie widzi, więc mogę śmiało swoich kolegów odwiedzać, bo jemu to nic, a nic nie przeszkadza, a prosi tylko, aby nie uciekać, bo w razie ucieczki jednego z więźniów, grozi mu oddanie pod sąd doraźny. A więc pierwsze lody już przełamane, a austriacka ścisła separacja więźniów w czasie śledztwa staje się czczą formalnością.

Ponieważ obóz żołnierski znajdował się o jakie 500 kroków od naszych cel, więc w drugą niedzielę, spędzoną w niewoli, wyszedłem na chwilę z celi, dałem im niespostrzeżenie znak i zaśpiewałem: „Nie damy ziemi skąd nasz ród“. — Pieśń podjęli oficerowie z sąsiednich cel i ku wielkiemu zdziwieniu straży — w jednej chwili wszystkie cele i baraki żołnierskie zabrzmiały jedną pieśnią. Ponieważ żołnierze mieli większą swobodę ruchu niż oficerowie, więc koło baraków zebrała się duża grupa, która zaśpiewała także i inne religijne pieśni. Tak się odbyło pierwsze nasze więzienne nabożeństwo.

25. II. sąd śledczy został zestawiony i zaczęły się przesłuchania. Wśród audytorów było kilku Polaków,

k którzy się życzliwie odnosili do naszej sprawy. Baliśmy się jednak, czy podczas śledztwa wszyscy oficerowie i żołnierze znajdą odpowiedni hart ducha, potrzebny do zeznawania w poczuciu honoru żołnierza polskiego, bo w obliczu śmierci, człowiek zwyczajnie traci odwagę.

27. II. mieliśmy dużą awanturę z komendantem obozu, który podczas oddawania nam rzeczy zabranych przy rewizji w Huszcie, pozwolił sobie na nieodpowiednie traktowanie i wyrażenie się do porucznika Z. z celi, która nosiła Nr. 12.

Napisałem w tej chwili kartę służbową przez Komendanta obozu jeńców, do Sądu honorowego Komendy „Ausbildungsgruppe“, na której czele stał pułkownik Körner, żądając honorowej satysfakcji od Komendanta obozu, który w sposób nieodpowiadający godności oficera — wykorzystuje swoją sytuację komendanta więzienia do uwięzionych oficerów i dopuszcza się zniewag wobec oficerów, jacy z powodu znajdowania się w więzieniu nie mogą natychmiast zażądać czynnej satysfakcji. Wymienioną kartę do Sądu honorowego podpisali wszyscy więźniowie z celi Nr. 12, skutkiem czego cała cela pozyskała sobie opinię najbardziej czerwonej i została otoczona specjalną opieką, która jednak mimo wszystko była illuzoryczną, gdyż otrzymaliśmy znakomitego ordynansa, Saksończyka z Siedmiogrodu Józefa, który za paczkę tytoniu i parę koron chętnieby i duszę swoją sprzedał.

28. II., ponieważ już wszystkim oddano z pieniędzy prywatnych po 300 K., więc humory znacznie się poprawiły, bo Polak, gdy głodny to zły, a jak sobie trochę podje, to wpada w lepszy humor. Ten dobry humor najlepiej się okazał podczas wizytacji obozu jeńców przez gen. Schillinga w towarzystwie pułkownika z A. O. K. (Austriackiej Naczelnej Komendy) i wielu innych dygnitarzy. Sprowadzono nas wszystkich na duże podwórze. Gen. Schilling oświadczył nam: „nieśluszenie się skarżycie na zły wikt, bo jesteście jeńcami

wojennymi i jako tacy musicie być zaprowiantowani według IV. tabeli żywności, przeznaczonej dla jeńców wojennych“. Równocześnie zaś oświadczył nam, że będziemy oddani pod sąd polowy, który się odbędzie w niedługim czasie. Jeden z obecnych przy tej wizytacji, zdaje się, reprezentant rządu węgierskiego, zauważył przy tem, że jedno sprzeciwia się drugiemu, bo „Kriegsgefangener“ nie może być postawiony przed „Feldgericht“, ale jego uwaga minęła bez echa. Gen. Schilling zaczął dalej prawić kazanie o tem, że Legjoniści mieli ładne pensje i wysokie stanowiska i t. d. na co więźniowie zareagowali — rozmawiając między sobą głośno o innych rzeczach, a kapitan Helman wyciągnął rękę do góry i wskazał na przelatujące nad głowami stado dzikich gęsi, za którymi wszyscy z nudów zaczęli śledzić. To przyprowadziło generała do wściekłości, oświadczył też, że nie jest kaznodzieją, aby głosić do ptaków, czy do gór i skoro nie chcemy go słuchać, to pocujemy jego ciężką rękę. Tupiąc nogami kazał nas z powrotem zaprowadzić do cel więziennych, przyczem ciągle odkazywał w sandeckiem narzeczu: „przyjdzie koza do woza i powie me“. Awanturna z gen. Schillingiem wszystkich wprawiła w znakomity humor tak, że przez parę chwil zapomnieliśmy o tem, że siedzimy w kozie.

2. III., dzięki nieostrożności chorążego Charzewskiego, czy też skutek wygadania się któregoś z Legjonistów wykryto, że rozbrojonych przezemnie oficerów austriackich eskortował chorąży Charzewski, który do tego się również sam przyznał, podając na swą obronę tę okoliczność, że stał pod przymusem rozkazu, wydanego przez kapitana II. Brygady L. P. Za owym kapitanem zaczęto gwałtownie śledzić, tak wśród oficerów, jak i żołnierzy, dopytując się ciągle o świtkę „Sportpelz“, którą niestety musiałem dotychczas nosić, bo wypożyczony w pierwszej chwili beselerowski płaszcz musiałem oddać właścicielowi. Jednakże w końcu zdecydowałem się raczej marznąć i zapako-

wawszy świtkę do worka, postanowiłem się jej koniecznie pozbyć. Ażeby się zorientować w sprawie mego śledztwa poprosiłem porucznika Zacharskiego, aby ten wyrobił mi wezwanie do sędziego śledczego por. Persa, który z nami bardzo sympatyzował. Zostałem rzeczywiście wezwany do sądu, gdzie spotkałem się z oficerami legionowymi, więzionymi w Szeklencze, od których dowiedziałem się, że wykrycie mego współnika Charzewskiego dokonano wskutek zeznań kierownika piekarni polowej p. Płatka, który złożył zasypujące nas zeznania. Ponieważ eskortujący mnie jednorocznik nie był zbyt mocno przejęty swoją rolą, więc wstąpiliśmy razem na kawę i ciastka do „Cukraszdy“, gdzie spotkałem znowu nasze sanitariuszki, znajdujące się na wolnej stopie. Dzięki uprzejmości eskorty zaglądnąłem nawet do kancelarii, w której mieściły się akta dowództwa legionów i poprosiłem dyskretnie feldwebła, aby wyszukał akta superjoratu polowego Legionów, a szczególnie metryki śmierci, chrztów i ślubów, tudzież kataster grobów legionowych, za co przyobiecałem mu odpowiednie „znależne“.

5. III. koło 10-ej godziny zjawił się w naszej celi audytor Ustjanowicz z kapitanem Baleanu, aby wyszukać sprawcę rozbrojenia austriackiej patroli automobilowej. Mnie na szczęście nie było w celi, gdyż byłem w nielegalnych odwiedzinach u sąsiadów. Dano mi znać, że muszę wrócić, odczytują nazwiska uwięzionych i sprawdzają obecnych. Wróciłem do celi, nie spiesząc się jednak zbyt, że przybyłem dopiero do rachunku, a już po dokładnej konfrontacji, jaką Beleanu przeprowadził, przyczem wskazał na porucznika Szwajkowskiego i chorążego Misiaka, jako prawdopodobnych sprawców rozbrojenia automobilowej patroli, a na mnie zmienionego zresztą zupełnie skutkiem noszenia brody nie zwrócił uwagi. Poznał natomiast chorążego Charzewskiego, na którego wskazał natychmiast, skoro go tylko zobaczył w celi. Ponieważ wszystkie austriackie baony, jakie brały udział

w polowaniu na Legionistów pod Rarańczą nadesłały swoje raporty bojowe, z których wynikało, że nikt z tych Legionistów, którzy brali udział w bitwie pod Żuczka nie mógł się przedostać do reszty polskiego korpusu, więc też władze austriackie były poirytowane, że nie mogły rozpoznać oficera „Im Sportpelz, mittelhoch, mit markanter Adlersnase, nerwös, mit kurtzgestutztem Schnurbart - Reitpeitsch“ i t. d.

13. III. Szarzyznę więziennego życia przerwało nam zjawienie się dwóch reprezentantów oficerskiego sądu honorowego w sprawie zniewagi, jakiej dopuścił się komendant obozu jeńców względem por. Zacharowskiego i całej celi Nr. 12. Komendant wymawiał się zdenerwowaniem, spowodowanem wskutek nadmiaru pracy i chciał nam dać słowną satysfakcję wobec dwóch świadków. Więźniowie zażądali jednak pisemnej deklaracji ze względu na swoje przymusowe położenie, a zastępcy kapitana zgodzili się na to. Po podpisaniu protokołu przez kapitana i jego zastępców o pożałowania godnem zajściu, za które komendant obozu uwięzionych oficerów przeprasza — sprawa została skończona.

17. III. Ponieważ wielu oficerów skarżyło się na niewłaściwe traktowanie ich i na obrzydliwy wikt, jakim nas karmiono, Dr. Lieberman, który pierwszy się zgłosił jako nasz obrońca, wniósł odpowiednią skargę do A. O. K., które zarządziło w naszym obozie raport, na który przybył Polak c. k. pułk. Serda, by wysłuchać naszych żalów i pretensji. Korzystając z okazji zwróciłem się do płk. Serdy o pozwolenie na odprawianie mszy św. na ołtarzyku polowym, który udało mi się ocalić. Pułkownik Serda zgodził się chętnie na moją prośbę i widać było, że u niego pod mundurem austriackim, bije szczerze polskie serce.

19. III. Pierwszą mszę św. odprawiłem w uroczystość św. Józefa, na podwórzu na tle naszej celi więziennej. Był to dzień imienin naszego dowódcy pułk. Hallera. Gdy legioniści, zamknięci w żołnierskim obo-

zie zobaczyli z daleka rozwinięty, a tak dobrze im znany sztandar ołtarza polowego, wyszli gromadnie z baraków i śpiewając pieśni słuchali z odległości półkilometrowej mszy św. Po nabożeństwie poczęli krzyżować: niech żyją nasze Józefy. Bardzo miłą niespodziankę sprawili mi koledzy z 12. celi, ofiarując w dzień imienin piękny karton, ozdobiony rysunkiem Legjonisty, wiszącego na szubienicy, na tle murów więzennych, z poza których wśród promieni wschodzącego słońca wolności, wznosił się orzeł biały.

Nareszcie dnia 20. III. sprawa mego przesłuchania w śledztwie została załatwiona. Sędzia śledczy kapitan Ustjanowicz, zebrał cały materiał przeciwko mnie i przy śledztwie oświadczył, że nie spodziewa się zupełnie dowiedzieć się odemnie czegokolwiek nowego, bo wszystko już wie, z zeznań Legjonistów — tudzież z listów, pisanych przez uczestników nabożeństwa z dnia 14. lutego, na którym „jak opisują“, ks. Panaś rzucił na ziemię ordery austriackie i pruskie i zaprzysiął całą brygadę do połączenia się z wojskiem Dowbora-Muśnickiego.

Jeden z listów, mianowicie leg. z 2 pp. Michała Tymkiewicza, nadzwyczaj barwnie i poetycko opisujący znane nabożeństwo, Ustjanowicz odczytał mi dosłownie.

Następnie zapytał się mnie, co ja myślę o tych listach. A no — odpowiedziałem — myślę to, że są napisane z prawdziwie poetycką fantazją. „Ale treść! treść!“ — ciągnie dalej Ustjanowicz. — Za treść odpowiada zawsze autor — odpowiedziałem, — proszę go tutaj przedstawić, a dowiemy się, co jest „Dichtung“, a co „Wahrheit“!

Następnie zaczął mnie Ustjanowicz zasypywać całą masą krzyżowych pytań, ale mu zaraz poradziłem, ażeby się nie trudził daremnie, bo ja jestem stary wróbel i powiem mu tylko to, co zechcę, a ani pół słowa więcej, — a na wygadanie się, będę miał czas

podczas rozprawy sądowej. Na takie dictum, Ustjanowicz zamknął śledztwo i powiedział, a no zobaczymy, co dalej będzie z tego, w każdym razie zbyt wielki wpływ księdza nic nie pomoże, a ja muszę jakiś protokół napisać. Proszę więc pisać, co się kapitanowi podoba, a ja, jak uznam za stosowne, to go podpiszę. Krakowskim więc targiem zakończyliśmy sprawę. Ustjanowicz spisał parę, zresztą nic nie znaczących szczegółów, znanych mu ze zeznań Legionistów i z wymienionych listów, a ja protokół podpisałem.

Ponieważ większość wśród oficerów śledczych stanowią ze względu na znajomość języka polskiego, audytorzy Polacy, a mimo to, właściwe śledztwo idzie po torach dla nas jaknajgorszych, bo audytorzy Pers, Cybulski, namawiają po cichu Legionistów, aby każdy z nich zeznał, że nic nie wiedział, nic nie widział i tylko szedł na ćwiczenia stosownie do otrzymanego rozkazu. — A więc w ten sposób usiłują ratować jednostkowo całe setki Legionistów, ale naturalnie z szkodą dla sprawy ogólnej, bo gdyby wszyscy zeznali, że szli świadomie do Muśnickiego, toby powaga sprawy na ogół wiele zyskała.

To też nie bez słuszności, zauważył przybyły do nas przysły obrońca Dr. Lieberman, że właściwie Polacy audytorzy, mimowolnie pracują jednak w myśl rządu austriackiego, któremu zupełnie nie należy na trzymanie we więzieniu setek Legionistów, gdyż pragnie wybrać tylko głównych sprawców i z tymi zrobić porządek.

Nabożeństwo w palmową niedzielę odbyło się jak zwykle na podwórzu obok mojej celi. Po południu przyszedł do nas komendant obozu, przedstawiając mnie nowemu komendantowi, zaczął go po madiarsku przestrzegać przedemną, jako głównym prowodyrem wszystkich niepokojów. Po chwili nowy komendant wrócił sam do celi i powiedział nam wyraźnie, że jest oficerem, a nie profosem, więc będzie się starał żyć z nami jaknajlepiej. To też w obozie, mimo straży, kon-

troli i t. p., zapanowała dość duża swoboda i zaczęliśmy chodzić prawie zupełnie swobodnie z celi do celi, a nawet zaprowadzono wielką nowość, to jest przechadzki w stronę sąsiedniej wsi Izy — naturalnie pod czułą strażą bagnetów.

Dzięki interwencji Arcybiskupa lwowskiego przybyło dnia 28. III. do nas kilku księży ze Lwowa, pod wodzą ks. Górnisiewicza, Dominikanina, celem urzędzenia spowiedzi wielkanocnej w więzieniu i obozach jeńców w Huszt, Szeklecze, Taraczkös, Taleborfalva. Po przybyciu i zameldowaniu się u gen. Schillinga, który przybyłym udzielił kilka odpowiednich nauk, księży, a to ks. Górnisiewicz, ks. Masny i inni zjawili się w mojej celi, aby ułożyć plan spowiedzi wielkanocnej.

Księżom wypożyczyłem chętnie mój ołtarzyk polowy, który w przeciągu kilku dni przewędrował wszystkie obozy jeńców legjonowych. Miałem także drugą niespodziankę, mianowicie przyjechał tu z mojej wsi Urbanek do swego syna, bawiącego również w obozie jeńców i przywiózł mi od matki święconę, a nadto co ważniejsze, zabrał dobrze zapakowaną moją świtkę — ów tak poszukiwany „Sportpelz“, której się bardzo bałem, by nie służyła jako dowód przeciwko mnie, a żał mi trochę było spalić ją.

30. III. Niespodzianki następują jedna za drugą, bo przyjechał znowu do mnie mój brat Stanisław, sędzia z Mszany Dolnej. Jako prawnik chciał w prawny sposób uzyskać pozwolenie na widzenie się z bratem, czego zresztą żaden kodeks karny w Europie nie zabrania. Niestety sąd wojskowy odmówił widzenia się ze mną, nawet w obecności audytora, a gen. Schilling, do którego się brat odwołał, decyzję tę zatwierdził. Na szczęście ktoś powiedział bratu, że właśnie mnie zaprowadzono do wojskowej odwszalni, celem przeprowadzenia wielkanocnej dezynfekcji, więc gdy mnie będą prowadzić z powrotem, będzie mnie mógł zobaczyć na ulicy. Po kilkogodzinnem czekaniu, udało mu się rzeczywiście na ulicy zamienić ze mną parę słów, w któ-

rych go pouczyłem, że paczka tytoniu i kawałek kiełbasy zupełnie wystarczą na to, by rozerwać kordon straży i dostać się do mojej celi, a naturalnie i z powrotem na wolność. Brat poszedł za dobrą radą, za pośrednictwem „embera“ Józefa straż dostała przynależne „gebuhry“, a ja się dowolnie i bez żadnych świadków nagadałem z bratem. W dodatku wniosłem przeciw Schillingowi i przeciw sądowi zażalenie w sprawie odmówienia mojej rodzinie prawa widzenia się ze mną, czego się nawet zwykłym rozbójnikom i pospolitym zbrodniarzom nie odmawia.

Wielkanoc, dzięki uprzejmości nowego Komendanta obozu Chorwata, który sobie z nakazów Schillinga i sądu niewiele robi, ale stara się nam przykre strony więzienia złagodzić, spędziliśmy wesoło. Ponieważ Schilling zezwolił na odprawienie nabożeństwa w obozie żołnierskim ks. Górnisiewiczowi, a tenże przyszedł do mnie po ołtarz, więc ja nie wiele myśląc, udałem się z nim do obozu żołnierskiego. Strażnik celi, widząc mnie w rewerendzie zdurniał i wypuścił mnie na ulicę. Najspokojniej w świecie doszedłem do obozu żołnierskiego i udając, że stawiam ołtarz, zacząłem żołnierzy pouczać, jak mają się zachowywać, co zeznawać i t. d. Moje niespodziewane zjawienie się wywołało wprost entuzjastyczną radość u żołnierzy, którzy cisnęli się do mnie i przysięgali się, że nie wydadzą tego, kto rozbroił automobilową patrol i aresztował gen. Schillinga, a przy tem każdy zaczął mi opowiadać swoje kawałki z bitwy 15. II. No., a ten legun, co eskortował Schillinga o mało nie podskoczył z radości, gdy go poznałem i przypomniałem, że mu poleciłem go uspokoić, zapewnieniem, że Polacy nigdy bezbronnym ludzi nie mordują, ani nie wieszają bez sądu. To wszystko jednak było trochę za głośne i zwróciło uwagę, nawet głupich embrów węgierskich. To też zarządzono alarm i skonsygnowano pluton wojska, który mnie przemocą z wielką paradą wyprowadził z obozu żołnierskiego, a dyżurny oficer, przestraszony i zdenerwowany, pytał

się mnie, jak mogłem coś podobnego zrobić, bo jeżeli się o tej mojej ekspadzie dowie generał Schilling, to będzie straszna hryja. A trudno odpowiedziałem, więzień jest na to, by robił to, co mu się uda, a straż na to, by go pilnowała.

Po południu wśród baraków oficerskich zjawiły się nasze trzy sanitariuszki, a nawet i komendant obozu i urządziliśmy sobie w 12. celi, zwanej także „plebanją“ dość sute, jak na stosunki więzienne święcone. Nie brakło też i spirytualjów, tak, że strażnicy, aczkolwiek nieco podchmieleni, musieli jednak niektórych panów odprowadzić do ich właściwych cel, aby było „alles in Ordnung“. Wspólne święcone zostało uwidocznione na wspólnej naszej fotografii.

1. IV. Niestety poczciwy Chorwat, który oświadczył, że umie być tylko oficerem, a nie profosem więziennym, zdaje się wskutek tego, że Schilling zauważył jego ludzkość w postępowaniu z nami, po tygodniu urzędowania został przeniesiony na inne stanowisko, a komendantem obozu jeńców zostałznaczony Serb, por. Zivkovic, który mimo słodkiej miny, jaką do nas zaczął robić, wyglądał na c. i k. gończego psa.

Dnia 2. IV. Zivkovic zażądał od nas, abyśmy, gdy przychodzi do celi wizytować, stawali przed nim na baczność. Niektóre cele to zrobiły. Ja oświadczyłem z góry, że tego nie zrobię nie tylko dlatego, że mam wyższą szarżę od Zivkovica, ale w ogóle jako więzień nie mam żadnych obowiązków względem profosa no i zbuntowałem całą celę. Gdy przyszedł do nas pierwszy raz i nie przedstawił się wcale, ani nie pozdrowił nas, wszyscy zignorowali go zupełnie, a ja się najspokojniej w świecie myłem w dalszym ciągu na środku celi. Zivkovic wpadł w pasję, jednak wobec drwiących min więźniów i tej okoliczności, że to było w 12 „bolszewickiej celi“ pohamował się i gdy jeden z oficerów zapytał go, kto on jest i co tu robi, przedstawił się jako komendant obozu i zaczął nam opowiadać, że legioni-

stów wogóle bardzo szanuje, jako dobrych oficerów i żołnierzy i sam się nawet w swoim czasie zgłaszał do Legionów, ale musi od nas, jako od więźniów żądać odpowiedniego rygoru i szacunku. Całkiem nie spiesząc się do kompletowania kostjumu, odpowiedziałem mu, że my pana porucznika bardzo szanujemy, jak wogóle profosów i strażników więziennych, ale się nie uważamy za jego podkomendnych, tylko za więźniów, więc też nasze stosunki osobiste chcemy uregulować na tej podstawie, a nie na innej.

Nauka odebrana w naszej celi nie poszła w las, bo już w sąsiedniej celi nie próbował zachowywać się po kaprałsku, chociaż udawanie „kulturalnego człowieka” szło mu bardzo ciężko.

Ponieważ w barakach żołnierskich, a także w oficerskiej celi Nr. 11 pokazał się tyfus plamisty, przeto na żądanie jeszcze poprzedniego komendanta obozu, zjawiła się u nas komisja sanitarna z jakimś „General-arztem” na czele, która stwierdziła, że stosunki sanitarne w celach oficerskich, gdzie na jednym małym tapczanie dusiło się po 12 oficerów, są wprost straszne i w razie dalszego rozwoju epidemji, grozi śmierć wszystkim bez wyjątku, więc też komisja ta poleciła nam przebywanie jak najdłuższe na malutkich podwórkach obok cel naturalnie pod gęstą strażą.

Jest to dla nas znaczna ulga, bo Zivkovic zabronił nam wychodzić z cel i tylko w pewnych godzinach poszczególne cele mogły wychodzić na podwórkę.

Dnia 5. IV. była straszna awantura.

Korzystając z polecenia komisji sanitarnej siedzieliśmy we trójkę na przyzbie naszej celi grzejąc się do słońca — ja odmawiałem brewiarz. — Nagle zjawił się oficer inspekcyjny lejtnant Tokacs i wymachując mi przed nosem szpicrutą nakazał natychmiast wejść do celi. Zapytałem go, co go upoważnia do nieoficerskiego zachowania się względem nas i dlaczego zmienia polecenia komisji sanitarnej VII. armji. To doprowadziło

go do wściekłości, wezwał natychmiast pogotowie alarmowe, ustawił rzędem pod celą i wydał rozkaz „Kös“ to jest „gotów“. Sześć rur karabinowych skierowano do nas. Stałem nieustraszony pod ścianą — towarzysze moi wrócili do celi — nie wiedziałem co robić, ustąpić, czy nie, ale uległem w końcu namowie żołnierza cygana, który umiał po polsku i powiedział mi, że wprawdzie oni mimo rozkazu strzelać nie będą, ale dla ich dobra lepiejby było iść do celi. Tokacs tymczasem się zreflektował, czuł, że postąpił bezprawnie, że się ośmieszył, bo żołnierze nawet wydanego rozkazu nie wypełnili, a tembardziej byliby bez powodu na rozkaz zwarzowanego oficera nie strzelali — więc też prędko się ulotnił.

Awantura ta miała dzisiaj swój epilog. Pułkownik Körner przeprosił nas za niewłaściwe zachowanie się oficera inspekcyjnego, tłumacząc jego zachowanie się zdenerwowaniem i gorączką, a celem uniknięcia dalszych podobnych wypadków, razem z całą komisją sądową unormował, kiedy i jak daleko z poszczególnych cel mogą więźniowie wychodzić, aby się między sobą nie mogli komunikować.

A więc wtenczas, gdy my właściwie już prawie dwa miesiące byliśmy razem i gdy już nawet ślepy i głuchy obserwując nas, powinien się chyba domyśleć, że między sobą mamy doskonałą komunikację i najściślejsze porozumienie, austriacki szimel marzył jeszcze o uniemożliwieniu nam rozmawiania pomiędzy sobą no i postanowił, że jeżeli więzień z jednej celi chce rozmawiać z więźniem z drugiej celi, to musi to zrobić w obecności sędziego śledczego.

Tokacs został usunięty ze swego stanowiska i przeniesiony do obozu ćwiczeń w Izie. A więc to już drugi oficer, który na naszej celi połamał sobie zęby. Przeniesienie to wywołało wielki entuzjazm wśród żołnierzy strażników, dla których był katem.

Jakoś mnie prześladował jednak zły los. Dnia 14. IV. znowu i to przy niedzieli miałem strasznie przy-

kre zajście. Korzystając ze zezwolenia odprawiania Mszy św., odprawiłem ją obok naszej celi we wszystkie niedziele i święta. Ołtarz budowaliśmy kilka kroków przed celą w obrębie wyznaczonego dla naszej celi podwórka, tak jednak, że oficerowie z innych cel mogli widzieć ołtarz, uczestniczyć we Mszy Świętej i śpiewać wspólnie pieśni, mimo pewnej odległości między poszczególnymi celami. Tak było i dziś. Ustawiłem ołtarz, ubrałem się w szaty liturgiczne i zacząłem Mszę św., do której służył choraży Misiak. Nagle zjawił się nowy oficer inspekcyjny lejtnant Sachsinger i uchwyciwszy mnie za rękę, zaczął ciągnąć od ołtarza. Onieamiałem — resztkiem przytomności oświadczyłem mu, że do mnie jako wojskowego może strzelać z odległości trzech kroków, ale dotykać się nie wolno, a tembardziej jako kapelana przy Mszy św. Mimo wszystko nie chciał mnie zrozumieć. A gdy zebrawszy wszystkie siły duchowne i fizyczne dalej odprawiałem Mszę św., po pewnym czasie znowu zaczął mnie szarpać za rękaw i dopiero, gdy zobaczył, że więźniowie z 12. celi oburzeni do najwyższego stopnia niesłychaną zbrodnią obraży religii z zaciśniętymi pięściami zmierzają ku niemu, dał za wygraną i nerwowo machając rewolwerem zwał poza obręb obozu. Mimo szalonego zdenerwowania potrafiłem mniej więcej przytomny dokończyć Mszy św., ale zaraz po Mszy zrobiło mi się słabo i zemdlałem — pierwszy raz w życiu.

Ponieważ to zajście, które wzburzyło do najwyższego stopnia wszystkie nasze uczucia religijne i narodowe, austriacy chcieli zatuszować, bo kom. Zivkovic i inni pilnie biegali i śledzili na miejscu, czy ja miałem prawo w owym czasie na owym podwórku się znajdować i t. p., więc na przekór im postanowiłem sprawę rozgłosić i nie tylko zrobiłem w drodze służbowej doniesienie o zbrodnię obraży religii, popełnioną przez Sachsingera, ale całą rzecz opisałem dokładnie i po dodaniu innych zajść, które zaszły w obozie, postanowiłem ogłosić drukiem. Najtrudniejszą rzeczą było wy-

słanie tego memorjału, gdyż strzeżono mnie bardzo pilnie, ale i na to znalazła się rada. Zażądałem lekarza celem dokładnego zbadania mego stanu zdrowia po ciężkich przejściach psychicznych. Sprowadzono Dra Korolewicza, który podobnie, jak generał Zieliński znajdował się na wolnej stopie. Poprosiłem Korolewicza o dokładne zbadanie mnie, a gdy tenże kazał mi się rozebrać, oświadczyłem, że tego nie uczynię wobec osób trzecich i zażądałem, aby pilnujący mnie oficer inspekcyjny wyszedł z celi. Dr. Korolewicz uznał słusność mojego żądania i oświadczył, że jeżeli oficer inspekcyjny i wartownik nie wyjdą z celi, to on według zasad lekarskich badać mnie nie może. Wobec tego argumentu niepożądani c. i k. świadkowie wyszli, a ja dałem Dr. Korolewiczowi wspomniany memorjał z oryginalną fotografią gwałtu w czasie Mszy św., zdjętą przez chorążego Czyżewicza „In flangranti“ brutalnego zachowania się Sachsingera podczas wczorajszej Mszy św.

Badanie lekarskie stanowiło naturalnie uboczny cel, ale przyniosło mi jedną korzyść, bo Dr. Korolewicz skonstatował u mnie oprócz ogólnego osłabienia, nerwicę serca i zażądał odstawienia mnie do szpitala.

Kilkudniowy pobyt w szpitalu wojskowym w Huszcie, mimo specjalnej straży jaką mnie otoczono, podziałał dobrze na moje zdrowie i nerwy. Przedewszystkiem spotkałem tu trochę nowych ludzi i nie byłem zmuszony codziennie patrzeć na postać Zivkova i słuchać jego wrzasków. Spotykałem tu często naszego starego kapelana legionowego Ks. Kapucyna Lenczowskiego, który w obszernych, a różnorodnych schowkach swego habita szwarcował dla nas listy, gazety i rozmaite smakołyki. Dużą niespodziankę sprawił mi pułkownik Serda, który na polecenie AOK. przeprowadził śledztwo w sprawie zajścia na Mszy św. i przeprosił mnie za doznane przykrości oraz zapewnił, że winowajca będzie ukarany.

Przyznam się, że kryminał już mi się znudził i z zadowoleniem marzyłem ciągle o drugiej Brygadzie, która wśród ciężkich walk i znojów, jednak we wolności i chwale buja sobie po Ukrainie, a my nad miską brukwi czy też innych buraków musimy łykać gorzkie łyzy niewoli. Przywieziono tu nawet jakąś drogą tajemną list od Hallera, który nam sprawił wielką radość i dodał otuchy na lepszą przyszłość. Pod wpływem tego listu postanowiłem uciec z więzienia, mimo dużych wątpliwości, czy mi się to godzi, zwłaszcza, że jestem jednym z głównych „sprawców „zbrodni“ i wyjątkowo obciążony także różnemi grawaminami.

Aby więc opuszczenie towarzyszy niedoli w celu dalszej służby dla Ojczyzny na Ukrainie nie wydało się komuś, jakto już były wypadki, brakiem osobistej odwagi do odpowiadania przed sądem za swe czyny — zwróciłem się do polskiego Komitetu w Huszt z prośbą o wypowiedzenie swej opinii, czy mogę ze względu na swe stanowisko w procesie uciekać z więzienia, zwłaszcza, że na wolności uśmiecha się owocna praca dla Polski. Jeżeli tak, to poprosiłem o ułatwienie mi podobnie jak innym tejże ucieczki przez dostarczenie fałszywych dokumentów.

Niestety, „Polski Komitet w Huszt“ dał mi odpowiedź odmowną. A więc pozostałem w więzieniu, a dnia 26. IV. wróciłem do swojej celi i znalazłem się znowu wśród starych towarzyszy więziennych. W całym obozie stosunki były bardzo naprężone. Przyszło nawet do poważnej sprawy honorowej między ppor. Józwą, który przedsięwziął, zresztą bardzo nieudolną, próbę ucieczki — a majorem Zagórskim. Józwa odpłacił się zarzucając Zagórskiemu winę tego, że artylerja spóźniła się dnia 15. II. i nie starała się o uzyskanie kontaktu z piechotą.

Przy pomocy rysownika ppor. Szwejkowskiego utworzyłem dziennik humorystyczny, który budził salwy śmiechu. Dotknięci, nieraz lubieli się na mnie także zawzięcie gniewać, jak to było n. p. za pętlę melowy

obrazek z wierszykami ofiarowany p. Zofji Germanowej, którym poczuł się dotknięty jeden z oficerów za to, że jako posążek bogini Nike został umieszczony w ręku Ateny, która miała przedstawiać naszą dzielną sanitariuszkę p. Germanową, depczącą głowę smoka Schillinga.

3. V. Narodowe święto Trzeciego Maja, obchodziliśmy nadzwyczaj uroczyście. Odprawiłem jak zwykle Mszę św. tym razem już bez najmniejszych przeszkód, a Zivkovic sam dozorował, by wszystko było w porządku. Mimo to, że poszczególne cele i obóz żołnierski dzieliły zasieki z drutu kolczastego i kordon bagnetów wszyscy, chociaż z daleka brali udział w nabożeństwie i całą piersią śpiewali rotę „Nie damy ziemi skąd nasz ród“, co mocno zaniepokoiło prokuratora Ustjanowicza, który właśnie przyszedł do nas na dalsze śledztwo.

8. V. Ponieważ zapowiedziane przez płk. Serdę, śledztwo w sprawie obrazy religii przez ppor. Sachsingera, obróciło się wskutek zarządzenia gen. Schillinga na cały szereg szykan przeciwko mnie i więźniom z celi Nr. 12., przeto postanowiłem osobiście porozmawiać z gen. Schillingiem i stanąłem do raportu. Schilling wiedział doskonale o moich skargach przeciwko niemu do A. O. K. a między innymi i o ostatniej, w której zarzuciłem mu brak uczuć ludzkich i publiczne bluźnierstwo — popełnione przez to, że do matki kapitana Wyspiańskiego — chorego na tyfus plamisty, która zaklinała generała w imię Boga o pozwolenie zobaczenia umierającego syna — powiedział tak: „ja gwiżdżę na Pana Boga“. Mimo to starał się Schilling, przyzwyczajony do austriackiego krzyku i wrzasku, panować nad sobą i w czasie raportu stał niemy jak posąg. — Dopiero, gdy mu oświadczyłem, że przyszedłem poskarżyć się na szykany, jakich z jego rozkazu doznaję wbrew regulaminowi więziennemu — zaczął się wściekać i krzyczyć: „Książd mi cały obóz rozbija, wszystkich buntuje, z austriackich posterunków robi sobie

sztelarz do fotografii — przesyła te fotografie do Warszawy tajną drogą, a potem jeszcze narzeka; tego nie pojmuję — bo to przechodzi wszelkie granice“.

Żądam tylko zachowania względem mnie i towarzyszy przepisów c. i k. ustaw wojskowych o postępowaniu z więźniami wojskowymi“, odrzekłem.

Co ksiądz może jeszcze na mnie narzekać?

— Tak — my wszyscy wiemy — odpowiedziałem mu — że pan generał jest doskonałym profosem“. To doprowadziło Schillinga do pasji, więc też uznałem za stosowne samowolnie przerwać raport i pod strażą posterunku odszedłem do swej celi.

Obóz żołnierski został zlikwidowany już przed paru tygodniami. A legjoniści, których nie zatrzymano jako świadków, względnie jako oskarżonych zostali odstawieni na front włoski. Za to tem silniejsze kordony otaczały cele, w których więzieni byli oficerowie, a którzy prawie bez wyjątku mają stanąć przed sądem polowym.



XXII.

Marmaros Sziget.

Dnia 2. VI. znalazłem się w Marmaros Sziget w prawdziwym kryminale, z żelaznymi kratami z małeńkimi oknami, gęsto okratowanymi a umieszczonymi pod sufitem.

Do celek umieszczonych rzędem na parterze i dwu piętrach przedzielonych siatką z drutu stalowego prowadzą żelazne drzwi, zaopatrzone w małe otwory do podawania więźniowi żywności, tudzież małe okrągłe oczka służące do obserwowania więźnia. Powiadają, że nasze więzienie jest na wzór paryskiego więzienia Sante, tak doskonale wybudowane i zabezpieczone, że ucieczka stąd wykluczona. Chociaż już nieraz, jako kapelan wojskowy byłem w więzieniu, jednakże teraz te wilgotne, ciemne mury odcięte od reszty świata żelaznymi kratami, zgrzyt żelaznych drzwi zamykających się z trzaskiem za więźniami, zrobił na mnie bardzo przykre wrażenie. Transport nasz z Husztu odbył się nocą. Pod strażą kilku kompanji wojskowych, wyprowadzono nas z dotychczas zajmowanych cel i załadowano na stacji do pilnie strzeżonego pociągu. Na stacji pociąg stał prawie do rana. Dopiero ze świtaniem wyjechaliśmy w stronę Marmaros Sziget. Na najbliższej stacji dołączono do naszego pociągu drugą partję więźniów — oficerów z Szeklencze. Powitanie było bardzo serdeczne. Mnie nawet starzy dobrzy znajomi zu-

pełnie nie poznali, bo wygląd mój zupełnie zmieniły wasy i broda, które zapuściłem w Huszcie. Powiadało mi, że wyglądam z brodą przynajmniej na 50-cio letniego starca. Po przybyciu do Marmaros Sziget zostaliśmy znowu otoczeni kordonem dwóch batalionów austriackich i sprowadzeni do więzienia. Regulamin więzienny był bardzo ciężki, a najprzykrzejsze jest to, że wyprowadzono nas tylko na półgodzinną przechadzkę po dziedzińcu więziennym, na którym panował straszny smród, gdyż więzienie nie miało kanalizacji, a wszystkie ustępy więzienia i sądu otaczały dziedzińce, na którym mieliśmy przez pół godziny oddychać „świeżem powietrzem“.

Dnia 2. VI. odczytano i doręczono nam akt oskarżenia, a ponieważ dotychczas adwokatów naszych nie było, więc wyznaczono nam obrońców z urzędu. W akcie oskarżenia figurował jako pierwszy kapitan Górecki, a główna zbrodnia, którą mu zarzucano, było aresztowanie gen. Schillinga. Drugim był rotmistrz Okołowicz, który aresztowanego gen. Zielińskiego eskortował. Mnie umieszczono na trzecim miejscu i oskarżono o 9 różnych zbrodni, z których główną było aresztowanie gen. Schilinga i rozbrojenie patroli samochodowej z kapitanem Baleanu na czele, tudzież usiłowanie przeprowadzenia wojska do Dowbora Muśnickiego. Z pośród zarzuconych mi zbrodni trzy były kwalifikowane na rozstrzelanie, trzy na powieszenie, a reszta na dożywotnie więzienie. Prokurator Ustjanowicz był tak łaskaw, że mimo wielu karnych paragrafów, grożących śmiercią proponował tylko jednorazowe powieszenie. Akt oskarżenia obejmował na 46 stronach maszynowego pisma 115 oskarżonych, którym stereotypowo, przeważnie bez przytoczenia jakichkolwiek faktów, zarzucał zbrodnie z najrozmaitszych paragrafów.

Studjowanie aktów procesowych dotyczących mojej osoby poszło mi dość gładko. Kierownik rozprawy Bartak powiedział, że mimo to, że studjuje akta proce-

sowe od samego początku śledztwa, mimo szeregu indeksów zaledwie jest zorientowany w tym olbrzymim materiale, który zebrano przeciw nam. Całe szczęście, że akta te stanowią właściwie samą sieczkę. Według indeksu w mojej sprawie było przesłuchanych około 600 świadków, z których olbrzymia większość wogóle nic ciekawego, ani ważnego nie zeznała. Ważne i obciążające dla mnie były tylko zeznania gen. Schillinga, majora weterynarza Postolki, kapitana austriackiego Pawliska, tudzież częściowe zeznania generała Zielińskiego, kap. Pomazańskiego.

Gen. Schilling złożył dnia 16. II. 1919 w czasie śledztwa w mojej sprawie następujące zeznania, które podaje w skróceniu: „Gdy po aresztowaniu mnie zażądałem energicznie, że chcę rozmawiać z komendantem i zapytałem, gdzie on jest, usłyszałem głos wołający głośno „Panaś“. Gdy powiedziałem „tak“?! — to ksiądz jest waszym komendantem?!“ jeden z legionistów powiedział „czegoż by nie — u nas każdy robi, na czym się zna“. Ponieważ znowu zażądałem rozmowy z komendantem, zawołano jeszcze kilka razy „Panaś“, ale ks. Panaś się nie zjawił. Teraz przypominam sobie, że z Panasiem miałem kilka razy do czynienia w Przemyślu i przysłuchiwałem się jego kazaniom, które miały charakter wybitnie polski. Człowiek ten nie podobał mi się bardzo — według mego wewnętrznego przekonania, grał główną polityczną rolę w Legionach (Spielte im Hilfskorps die politischfuhrende Rolle“) i dlatego pytałem się w cztery oczy gen. Zielińskiego, co on o tym człowieku myśli i czy jest on „Politisch verlasslich“. Zieliński wyrażał zdanie, że jest „verlasslich“, ale to w żaden sposób nie mogło zmienić mego zdania o Panasiu, który w moich oczach był nadal agitátorem odgrywającym główną rolę polityczną. Że tak było najlepszym dowodem jest to, że gdy żądałem komendanta, zawołano „Panaś“.

A więc dowiedziałem się, że gen. Schilling już od dawna śledził moją działalność w Legionach, a swoim zeznaniem, które złożył w tym czasie, gdy nam groziły sądy doraźne, chciał mnie koniecznie jako „Hauptredelsführera“ czyli głównego sprawcę buntu podciągnąć wysoko, bo aż na szubienicę. Drugi świadek ka-



Ks. Józef Panas przed austriackim sądem wojennym

pitan Pawliska zeznał, że według opowiadania majora Postolki i innych legionistów — generała Schillinga aresztował z wyciągniętym rewolwerem w ręce kapełan ks. Panas, który też był głównym podżegaczem buntu.

Kapitan Pomazański (c-33) w zeznaniu swoim, w którym starał się usprawiedliwić tę okoliczność, że mimo pełnienia funkcji szefa sztabu nic nie wiedział o przygotowanym przewrocie, powołał się na mnie, że jego podejrzenia i podejrzenia poczmistrza Biera uspokoiłem podając, że wszystko to żarty za starego poczmistrza.

Dziwnem mi się wydawała jedna rzecz, a mianowicie to, że w całych aktach procesowych nie ma najmniejszego śladu, któryby prowadził do przypuszczenia, że ja rozbroiłem austriacką patrol automobilową z kapitanem Baleanu na czele, a mimo to jestem o to oskarżony. — Widocznie sąd ma jakieś poufne, w aktach nie uwzględnione informacje.

Kapitan Baleanu (Nr. c. 16) podał w swoim zeznaniu, że został rozbrojony i aresztowany przez kapitana, średniego wzrostu w świtce, bruneta z krótko przyszczyżonym wąsem, który nerwowo biegał wzdłuż oddziałów i wydawał rozkazy, a jemu zagroził, że skoro się tylko poruszy, to go zaraz zastrzeli.

Nareszcie dnia 7. VI. przyjechali nasi obrońcy, a to najpierw Dr. Kwieciński, Dr. Tadeusz Dwernicki i Przeworski, a następnie Ostrowski, Terman Lieberman i Natan Löwenstein. Z ich przyjazdem zaczęły się gromadne narady nad metodą obrony i nad sposobem rozwikłania sytuacji wskutek fatalnie nierozsądnych zeznań paru jednostek. Co do metody obrony, była duża różnica zdań pomiędzy artylerją, a resztą oskarżonych, tudzież pomiędzy adwokatami Kwiecińskim i Dwernickim, którzy trzymali się metody artylerzyskiej „niewiedzenia“ i „niewidzenia“ niczego z wyjąt-

kiem ćwiczeń nocnych (prima regula juris: nega), a resztą ławy obrońców, która chciała zająć więcej ofenzywne stanowisko. Na ogół jednak panowało zdanie, że naszym celem w procesie przy możliwie daleko idącej obronie jednostek, jest przeprowadzenie dowodu wobec całego świata, który na nas patrzył, że nie my wobec Austrii, ale Austria wobec nas popełniła zdradę. Zrozumiała i konieczna obrona poszczególnych jednostek nie powinna nigdy iść poza granicę żołnierskiego honoru, a także nie może być połączona ze szkodą innym towarzyszom, którzy są, albo którzy mogą być jeszcze oskarżeni. O moją obronę zaszła mała sprzeczka między Dr. Przeworskim i Dr. Liebermanem przy podziale „grubszych ryb” pomiędzy poszczególnych obrońców. Lieberman pocieszał nas ciągle nadzieją, że w krótkim czasie wskutek rewolucji Austria się rozleci, a my może przed końcem procesu znajdziemy się na wolności.

8. VI. Nadszedł długo i niecierpliwie oczekiwany nawet przez tych, którym grozi zupełnie pewny wyrok śmierci, dzień publicznej rozprawy sądowej. Raniutko odprawiłem Mszę św., która mimo wczesnej pory zgromadziła pełno oskarżonych, którzy za protekcją uzyskaną u p. profosa zjawili się w kaplicy więziennej. Rozprawa była wyznaczoną na 8-go rano, a już prawie godzinę naprzód zarządzono pogotowie i zebrano nas pod silną strażą na dolnym korytarzu więziennym. Wszyscy byli wystrojeni i wygoleni i ja także zgoliłem swą poważną już brodę i przywdziałem rewerendę. Na wniosek majora Zagórskiego, którego bardzo silnie poparli obrońcy, większość oskarżonych przypięła odznaczenia wojskowe. Na korytarzu czuć było pewne zdenerwowanie z powodu długiego czekania. Aby je skrócić odczytałem głośno swój okolicznościowy wierszyk:

„W okno więzienne na północ zwrócone,
Nie zajrzy nigdy promień słońca złoty,

Ni księżyc blady; a jednak w tę stronę
Rwą się me oczy ze łzami tęsknoty
Na północ! Kędy szczyt Howerli białej
Wznosi się ponad zielonawe góry,
To kraj nasz drogi! Polski naród cały
Z nami współczuje... Tu więzienne mury
Chłodne, wilgotne — tutaj obce twarze
Zimne lub wrogie, ciekawie nas śledzą,
Czekając rychło pójdziem na cmentarze,
Gdzie czarne kruki kości nasze zjedzą.
Biała Howerlo! mów tatrzańskim szczytom,
A te niech polskim ogłoszą błękitom,
Że my tu stoim, dumni, nieugięci,
Bo honor Polski mamy na pamięci“.

Wiersz zrobił na więźniach bardzo dobre wrażenie i właśnie gdy skończyłem czytać, otwarły się z trzaskiem, żelazne wrzeciędzie więzienia, a na korytarz więzienny wmaszerowały dwa sznury zakutych w stalowe hełmy „szturmaków“, którzy otoczyli nas silnem pierścieniem i zawiedli do sali sądowej.

Sala sądowa przedstawia się wspaniale. Usiedliśmy mniej więcej według bieżącego numeru aktu oskarżenia. Po chwili zjawili się nasi obrońcy w czarnych adwokackich togach i biretach, a za nimi sąd polowy pod przewodnictwem generała Retticha.

W skład sądu wchodzi same niemiecko - austriackie figury, a to pułkownik Kraus Antoni, płk. Panzer, major Terzer i kierownik rozprawy kap. audytor Bartak, podobno zniemczony Ślązak, zawięty wróg Polaków.

Jako oskarżyciel wojskowy funkcjonuje rusin Włodzimierz Ustjanowicz. Tłumaczem jest również rusin.

Jako rzeczoznawca wojskowy zasiadł pułkownik sztabu gen. Riemer.

Początek rozprawy był tajny, dopiero po załatwieniu formalności wstępnych i odrzuceniu już po raz

drugi ponownego wniosku naszej obrony o przeprowadzenie rozprawy w języku polskim, trybunał uznał rozprawę za jawną i na sali ukazali się reprezentanci społeczeństwa polskiego, dziennikarze i znaczna ilość austriackich oficerów.

Długie i nudne czytanie oskarżenia trwało kilka godzin, a wskutek tego w sądzie panowała pewna nuda i dopiero po pauzie, gdy Górecki wystąpił na środek sali — zapanowała głucha cisza, bo wszyscy sędziowie, podobnie jak oskarżeni i reszta audytorjum byli nadzwyczaj zaciekawieni samą postacią Góreckiego i jego impulsywnością przy prostej kryształowej naturze.

Wspaniałą jego obronę przyćmił nieco przedługi wstęp wyjaśniający wiarygodność jego zeznań. Na ogół obrona Góreckiego zrobiła duże wrażenie.

Warto było obserwować miny Trybunału, gdy Górecki przedstawiał proste i pełne zaufanie Legionów i społeczeństwa polskiego do solennych obietnic, nie tylko rządu austriackiego, ale i obu monarchów Franciszka Józefa i Karola, tudzież sprzeniewierzenie się tegoż rządu i sprzedanie naszych uroczyście nam gwarantowanych interesów za wątpliwej wartości obietnicę kawałka chleba. Sędzia płk. Kraus zgrzytał zębami, a przedstawiciel A. O. K. narysował nerwowo na pulcie cały szereg znaków paragrafowych, które jako haki do wieszania poumieszczał na szubienicy. Widać, że my tu na sali jesteśmy jednakże górami i raczej sędziami, niż podsądnymi. Po odroczeniu rozprawy obrońcy, tudzież cały szereg oskarżonych zbliżyli się do Góreckiego. Korzystając z zamieszania podszedłem do ławy dziennikarskiej, aby się przywitać ze znajomymi, wśród których byli Jaworski i Głabiński. Zapytałem się Jaworskiego, jak mu się podoba obrona Góreckiego. „Tak, tak — powiedział mi — to bardzo ładne, nawet idealne, ale z ich punktu widzenia, to zawsze „zbrodnia“.

„Ekscelencjo, odpowiedziałem, jednak dziwny los zrządził, że tu w tej sali reprezentanci AOK. siedzą na ławie przeznaczonych dla oskarżonych, a my oskarżeni siedzimy na ławach przeznaczonych z reguły dla widzów procesowych. Ta, z konieczności zaprowadzona zamiana miejsc, ma jednak swoje znaczenie, bo właściwie nie my, ale kto inny powinien w tej sprawie zasiąść na ławie oskarżonych“. (Nadmieniam, że z powodu wielkiej ilości oskarżonych, umieszczono nas na amfiteatralnie ustawionych ławach, przeznaczonych dla publiczności przysłuchującej się rozprawom sądowym, a reprezentantów władz, przedstawicieli społeczeństwa i prasę umieszczono w ławach przeznaczonych dla oskarżonych).

11. VI. Zeznania Góreckiego trwały trzy dni. Najciekawszym momentem było opowiadanie Góreckiego o aresztowaniu generała Zielińskiego i przydzielonych c. i k. oficerów i o walce wewnętrznej, jaką musiał Górecki stoczyć ze sobą, aby podnieść rękę na starca, którego osobiście kochał i szanował. Przy tem Terzer wyciągnął gwałtownie rękę, robiąc ruch, który dawał do poznania, że gdyby był na miejscu Zielińskiego, byłby odrazu zastrzelił Góreckiego.

W dalszym opowiadaniu skreślił Górecki motywa, jakie spowodowały przejście Legjonów przez front austriacki i połączenie się z oddziałem Dowbora Muśnickiego. Z mapą w ręce skreślił on bardzo szczegółowo cały nasz marsz bitewny z dnia 15. II. Tę część mowy studjowali bardzo pilnie eksperci wojskowi i cały sąd, znacząc sobie na specjalnych mapach szczegóły z różnych momentów marszu. Dalszy ciąg obrony wypełniony był sprawą zarzuconych mu jako intendantowi Legjonów, kradzieży mundurów wojskowych, tudzież żywności i pieniędzy, które w ostatniej chwili przed naszym wymarszem pobrał z austriackich magazynów i kas, gdyż żołnierzy na tak długą drogę musiało się naturalnie dobrze wyekwipować. Przed zarzutem zbrodni sprzeniewierzenia tych rzeczy na szkodę skarbu austriackiego, bronił się Górecki stwierdzeniem tego faktu, że przedmioty te z chwilą pokwitowania ich odbioru z magazynów

austrjackich stały się własnością rządu polskiego, na którego konto prowadzono wszystkie rachunki legjonowe, a więc nie może być mowy o sprzeniewierzeniu tych rzeczy, bo zostały one użyte na wyekwipowanie wojska polskiego i rozdzielone zostały sumiennie między poszczególne oddziały.

Po przerwie o godzinie 10-tej zarządzono przesłuchanie drugiego oskarżonego, to jest rotmistrza Okołowicza, który ekstorwał aresztowanego, z całym sztabem gen. Zielińskiego. Ponieważ Okołowicz zeznawał po polsku i każde jego zdanie tłumaczył bardzo powoli tłumacz sądowy Dudykiewicz, więc przesłuchanie to, aczkolwiek nie długie było dla wszystkich strasznie nużące i znowu wywołało już trzecią z rzędu dyskusję o prowadzenie rozprawy w języku polskim, gdyż większość oskarżonych języka niemieckiego nie rozumie. Ponieważ wojskowa procedura austriacka dopuszcza prowadzenie rozprawy w języku nie niemieckim, ale w innym języku krajowym, więc też prokurator Ustjanowicz i cały trybunał sądowy nie chcąc dopuścić do tego, aby rozprawa odbyła się po polsku, chwycili się tego pozoru, że rozprawa odbywa się na Węgrzech, gdzie język polski nie jest „krajowym“, a więc rozprawa może odbyć się tylko w językach madjarskim, rumuńskim lub chorwackim, które są dla oskarżonych jeszcze mniej dostępne, niż niemiecki, a zatem rozprawa musi być po niemiecku. Nie pomogło też zupełnie odwoływanie się w tej sprawie do cesarza Karola. Z kancelarii gabinetowej przyszła odpowiedź, że tę sprawę ma zadecydować Komendant 7 armji, który ją już naprzód przesądził, wyznaczając trybunał sądowy złożony z samych Niemców.

Przy końcu rozprawy adwokat Dr. Löwenstein wniósł w imieniu ławy obrońców protest przeciw szynkanom, jakie policja węgierska stosuje mimo jawności rozprawy do sprawozdawców dziennikarskich, a nawet do obrońców, którym przez cenzurę listów, a nawet przez rewizję i osobisty nadzór uniemożliwia wypełnienie swych obowiązków.

Dnia 12. VI. po kilku pytaniach postawionych przez Bartaka Okołowiczowi zostałem wywołany do przesłuchania. Gdy zjawiłem się na środku sali, widać było na twarzach duże zaniepokojenie, zwłaszcza, że w śledztwie trzymając się zasady, że milczenie jest złotem, właściwie nie złożyłem żadnego zeznania i pominąłem całą masę zarzutów zupełnem milczeniem.

Po wstępnych pytaniach, dotyczących rodowodu i austriackiej przysięgi wojskowej, od której dwa razy zdołałem się szczęśliwie wykręcić, wygłosiłem swoją obronę następującej treści:

Do winy nie poczuwam się wogóle, bo robiłem to, co mi nakazywał obowiązek polskiego obywatela i kapelana. Jeszcze przed wybuchem wojny marzyłem zawsze, jak zresztą każdy Polak, o powstaniu wolnej Polski i byłem przekonania, że powstająca katolicka Polska musi szukać oparcia o również katolicką Austrię. Dlatego też na początku wojny wstąpiłem do Legjonu wschodniego, który wśród wojennej zawieruchy formował się w Galicji wschodniej. Po klęsce wojsk austriackich pod Lwowem powstało w Legjonie wschodnim silne wrzenie polityczne i wielu polityków wyjawiało przekonanie, że naród polski nie powinien się wiązać z losem pokonanej Austrii, natomiast drobna garstka ludzi z pułk. Hallerem oświadczyła, że byłoby czym niegodnym opuszczać sojusznika w chwili tak ciężkiej, ale owszem, że celem naszym i obowiązkiem jest wyteńczyć wszystkie siły, aby wypędzić z kraju Rosjan, naszych odwiecznych wrogów. To też mimo zupełnej klęski wojsk austriackich i zajęcia Galicji aż po Kraków większość legjonistów wytrwała na swem stanowisku, utworzywszy nowe formacje wojskowe.

We wrześniu r. 1914 zostałem przydzielony do grupy pułk. Hallera, który mimo to, że Rosjanie byli daleko na Węgrzech, trzymał się bohatercko w zapomnianem prawie gnieździe górskim w Galicji wschodniej i utrzymał w swych rękach aż do wiosennej ofensywy ostatnią górską przełęcz, prowadzącą do Galicji wschodniej i zagrażającą tyłom rosyjskim. To też pułk. Haller stał się bożyszczem żołnierzy, którzy podziwiali jego męstwo i żelazną wytrwałość. Z 3 pp. legjonów zostałem następnie przydzielony do grupy Komendy Legjonów, z którą przeszedłem ofensywę w r. 1915, tudzież następne walki na Wołyniu. Gdy byliśmy na Litwie w r. 1916 przysłała do nas radosna wieść, że cesarze Austrii

i Niemiec postanowili uznać Polskę, jako państwo suwerenne, niepodległe. Był to dla nas ważny moment psychologiczny, więc też mimo pewnych budzących się wątpliwości, całem sercem śpiewaliśmy dziękczynne „Te Deum“. Z początkiem r. 1917 byłem świadkiem, jak ówczesny komendant Legjonów pułk. Szeptycki w obecności przedstawicieli c. i k. władz, tudzież władz niemieckich, złożył Radzie Stanu Królestwa polskiego w imieniu wszystkich pułków uroczyste ślubowanie bezwzględnego posłuszeństwa i nikt w imieniu c. i k. władz przeciw temu ślubowaniu nie zaprotestował, chociaż wówczas złożono inne protesty, a mianowicie złożono protest ze strony władz niemieckich przeciw Pogoni, umieszczonej obok Orła na sztandarze, który zdobił frontową ścianę sali.

Ponieważ jako Superior Legjonów byłem zarazem rektorem Kościoła popijarskiego, to jest kościoła polskiego załogi i miałem zamiar w Warszawie pozostać, przeto **wniosłem do Cesarza prośbę o zwolnienie mnie z obywatelstwa austriackiego, a równocześnie wniosłem podanie do Rady Stanu, o nadanie mi polskiego obywatelstwa.** Na obie prośby otrzymałem tylko pośrednią odpowiedź, a to dlatego, że podobnych podań były całe tysiące i trudno było każdemu petentowi osobno odpowiadać. A mianowicie w kwietniu 1917, ogłoszono nam w rozkazie dziennym rozkaz cesarski o oddaniu Legjonów polskich Królestwu polskiemu, tudzież ogłoszono nam również w rozkazie uchwałę Rady Stanu Królestwa polskiego, mocą której zostaliśmy uznani za obywateli tegoż Królestwa. Od tego też czasu uważałem się za kapelana wojsk polskich i w tym duchu napisałem meldunek do c. i k. Wikarjatu Apostolskiego polowego we Wiedniu, zawiadamiając go, że **ze względów prawnych już więcej temuż Wikarjatu nie podlegam, ale podlegam Arcybiskupowi warszawskiemu, od którego też otrzymałem jurysdykcję duchowną.** Na dowód, że sprawa tak się prawnie przedstawia, a nie inaczej, przedkładałem egzemplarz obowiązującego w Legjonach regulaminu służby duszpasterskiej, który równocześnie z innymi regulaminami W. P. został zatwierdzony w maju 1917. Wiedziałem wprawdzie, że naczelnym wodzem wojsk polskich został generał niemiecki, ale wiem także i o tem, że w czasie ostatniej wojny polsko - rosyjskiej tj. w r. 1863 rząd polski postanowił powołać na naczelnego wodza W. P. austriackiego generała Radeckiego, co jednak do skutku nie doszło. Jeżeli więc austriacki generał mógł być wodzem wojsk polskich, więc nie jest wykluczone, że może nim być i niemiecki generał,

naturalnie za zgodą rządu polskiego. Tenże komendant wojska polskiego, część wojska, za wymuszoną zresztą zgodą Rady Stanu, oddał do dyspozycji Naczelnej Komendy austriackiej, co jednak nie zmieniło w niczem naszego położenia prawnego — ja zaś w dalszym ciągu byłem superiorem całego wojska polskiego i do mnie, gdy byłem już w Przemyśle, zwracano się z Warszawy o przydział kapelanów dla oddziałów stojących w Królestwie. W tej też sprawie zwracałem się do gen. Schillinga, który wyraził wprawdzie zdanie, że komenda wojska polskiego w Warszawie i rząd polski nie mają mu nic do gadania, ale na moje usilne przedstawienia zgodził się na odkomenderowanie do Warszawy ks. Antosza, który dotychczas tam przebywa.

Z Przemyśla z delegacją legionową byłem zaproszony na uroczystość intronizacji Rady Regencyjnej i tu znowu byłem świadkiem, jak dowódca P. K. P. gen. **Zieliński podczas udzielonej nam audjencji złożył w naszym imieniu uroczyste ślubowanie wierności i bezwzględnego posłuszeństwa dla Rady Regencyjnej**, na co usłyszeliśmy odpowiedź, że Rada Regencyjna uważa tę część Legionów, którą pod nazwą Polskiego Korpusu Posiłkowego oddano do chwilowej dyspozycji A. O. K. za trzon wojska polskiego i w jak najkrótszym czasie zażąda zwrotu tych oddziałów. Gdy na wieść o naszym odmarszu z Przemyśla na front powstało we wrześniu 1917 wielkie wrzenie w korpusie legionowym, zjawił się u nas wysłannik Rady Regencyjnej b. ambasador austriacki w Waszyngtonie, a wówczas kandydat na polskiego premiera hr. Tarnowski, który nam odczytał list Rady Regencyjnej zapewniający nas, że Rada poczyni wszelkie kroki aby nas w jak najkrótszym czasie ściągnąć z frontu do Królestwa polskiego dla stworzenia kadr armii polskiej.

W listopadzie 1917 r. znaleźliśmy się na Bukowinie na fonce bessarabskim, jednak i tam także nie zaszło nic takiego, coby zbijało cały szereg naprowadzonych faktów, dowodzących, że **P. K. P. był częścią wojska polskiego, a nie organizacją wojskową austriacką, jak twierdzi akt oskarżenia.**

Dnia 12. II. dowiedziałem się o pokoju brzeskim“.

Tu przerwał mi przewodniczący rozprawy, mimo to, że była dopiero godzina 12., gdyż szereg gołych faktów — działających, druzgocąco na sąd, a wykazujących niekonsekwencje i dwulicowe postępowanie Austrii i jej funkcjonariuszy wobec Polski i legionów,

które uważano i pozwalano im się uważać za wojsko polskie — wymagało głębszego zastanowienia się Sądu nad swą własną kompetencją. Przecież sąd austriacki nie powinien sądzić żołnierzy obcego choćby sprzymierzonego państwa za czyny, które ci żołnierze w interesie tego Państwa zdziałali“. Wrażenie mej mowy tak na sędzie, jak i na oskarżonych i słuchaczach było bardzo duże. Sąd był zasłuchany, a ponieważ celowo mówiłem dość cicho i bardzo spokojnym głosem, więc przystarsi już sędziowie pilnie wyciągali swoje uszy. Miarą sukcesu było może to, że gdy wyszedłem ze sali zbliżył się do mnie na korytarzu prokurator wojskowy Ustjanowicz i gratulując mi sukcesu wspomniał o tem, że zabiłem sądowi klin w głowę przez naprowadzenie całego szeregu faktów mających znaczenie polityczno - prawne — a dotychczas sądowi zupełnie nieznanym. Wszyscy także podziwiali moją biegłość w języku niemieckim, co podniosła „Neue freu Presse“.

13. VI. Na początku rozprawy Kap. Bartak wywołał znowu rotmistrza Okołowicza i zadał mu parę pytań w sprawie listu pisanego do Dłужиńskiego, a następnie przystąpił do dalszego przesłuchania mnie.

Mowę tę podaję dosłownie według stenogramu sądowego.

Dnia 12. II. — ciągnęłem dalej swoją obronę — przyniesiono polskie gazety ogłaszające warunki pokoju brzeskiego. W otrzymane wiadomości nie chciałem wierzyć, bo te się sprzeciwiały tokowi mych myśli. Dopiero, gdy na drugi dzień czasopisma przyniosły dokładne wiadomości, wśród których pomieszczona była także, przez c. i k. władze wojskowe opracowana statystyka, wykazująca, jak olbrzymi procent ludności stanowią Polacy na Chełmszczyźnie oderwanej przez c. i k. władze od Polski i sprzedanej obcemu państwu, dopiero wówczas uwierzyłem, że c. i k. władze uczyniły na Polsce gwałt z całą świadomością (tu wręczyłem urzędową okupacyjną statystykę gub. chełmskiej, wykazującą na Chełmszczyźnie w poszczególnych powiatach od 88—98% Polaków). Sprawą tą poniekąd byłem osobiście zainteresowany, gdyż w czasie prześladowania Unji i przymusowego zaprowadzenia prawosławia przez Rosjan na Chełmszczyźnie kilku księży „Panasiów“ za wierność dla

Unji i polskości cierpiało prześladowanie i zostało wywiezionych na Sybir. Z Chełmszczyzny pochodzi także bardzo wielu Legionistów.

To nie są frazesy. Przypomnijmy sobie fakta, to jest czerwiec i lipiec r. 1916, gdy to tylko 20.000 bagnetów liczące Legjony polskie, po przełamaniu austriackiego frontu pod Łuckiem, mimo bezustannych ataków i gwałtownego ognia rosyjskiego zdołały podtrzymać linję frontu przeciwrosyjskiego. Nie chcę przesadzać — dlatego powołam się na rozkaz niemieckiego komendanta Korpusu Gerocka, w którym ogłosił taki komunikat: „Ofiarnej wytrzymałości Legjonów polskich należy zawdzięczyć to, że udało się nam sparaliżować rosyjski atak po dokonanych przez nich przełomie (Durchbruch) a Legjony polskie odznaczyły się i tem, że w tych dwumiesięcznych walkach nie miały „zaginionych“, których sąsiadujące oddziały wykazują olbrzymią ilość“.

Ówczesny zaś komunikat austriacki głosił: „Legjom polskim należy zawdzięczać, to, że udało się nam odwrót z nad Styru uporządkować i zająć nowe pozycje nad Stochodem“.

Jest więc faktem, że Legjoniści wprost z bohaterstwem, zębami i pazurami trzymali front, a czynili to dlatego, że wiedzieli, iż się rozchodzi o obronę męczeńskiego Podlasia, bo wiedzieli, że Rosjanie w dalszym ataku dotrą do granic Królestwa na Chełmszczyźnie, którą uporczywie chcieliśmy obronić. Dlatego też pokój brzeski przywiódł nas do rozpacz. Moja wśród ciężkich i długich trudów powstała ideologia, uświęcona krwią polskich żołnierzy, została w brutalny sposób zdruzgotana. Dlatego też udałem się natychmiast do zastępcy szefa sztabu Pomazańskiego z oświadczeniem, że idę do gen. Zielińskiego celem zwolnienia mnie z Legjonów, przyczem mam zamiar złożyć wszystkie odznaczenia. Kap. Pomazański widząc mnie w wysokim stopniu zdenerwowanego poradził mi, aby się uspokoić i namyślić się, co też uczyniłem. — Po pewnym namyśle przyszedłem do przekonania, że złą rzeczą byłoby, gdybym w tej ciężkiej godzinie opuścił Legionistów, których tysiące własnymi rękami pochowałem, z którymi przeżyłem tyle ciężkich i tyle złudnych chwil naszej historii.

Podczas objadu jeden z oficerów 3 pp., który wracając z urlopu przybył po drodze do nas, rzekł mi: „Czy przypomina sobie ksiądz swoje kazania, w których głosiłeś, że powinniśmy mieć zaufanie do obietnic i zobowiązań cesarza i rządu austriackiego? Ksiądz był fałszywym prorokiem!“ Nieprawdaż? Na te słowa nie mogłem nic odpowiedzieć. Tenże oficer opowiadał, że wraca do pułku przed końcem

urlopu, bo w Krakowie został przez publiczność znieważony (nazwiska tego oficera — nie mogę powiedzieć ze względów koleżeńskich, bo musiałyby tenże zasiąść na ławie oskarżonych). Podczas obiadu gen. Zieliński usiłował uspokoić wzburzonych oficerów oświadczeniem, że za parę dni wróci z Warszawy szef sztabu major Nieniewski i przywiezie z pewnością od Rady Regencyjnej dyspozycję, dotyczącą stanowiska w tej sprawie, a w każdym razie c. i k. władze znajdą dla nas jakieś honorowe wyjście z przykrew sytuacji. Podobnie przemawiał Zieliński na zebraniu referentów. Po południu znowu czasopisma przyniosły wiadomość, że **Rada Regencyjna podniosła uroczysty protest przeciw gwałtowi popełnionemu w Brześciu**. Protest wobec Boga — wobec ludów Austrii i Niemiec i wszystkich narodów świata. Też czasopisma przyniosły wiadomość, że pomiędzy Polską a Austrią przyszło do zerwania stosunków, a austriacki pełnomocnik już opuścił Warszawę. Dalej przyszły prywatne wiadomości, że major Meżyński zmarł nagle na apopleksję serca, gdy się dowiedział o pokoju brzeskim, a major Eydziałowicz, i rotm. Kordecki mieli popełnić samobójstwo, zaś generał gubernator lubelski hr. Szeptycki złożył urządowanie. Wśród tych okoliczności i dla mnie życie stało cię ciężarem.

Gdy dnia 14. II. przybyłem do Mamajowiec na nabożeństwo za śp. majora Meżyńskiego, zastałem już generała Zielińskiego i oficerów zebranych w kościele. Jako Polak wiem dobrze, że u nas uczucia narodowe i religijne są silnie skojarzone, więc też nic dziwnego, że w kościele w czasie nabożeństwa panowała ogólna psychoza (Massenpsychose) rozpacz. Ponieważ ks. Łuszczkiego musiałem poprzedniego dnia wysłać do Bolechowa, więc sam odprawiłem mszę św. i wygłosiłem kazanie. Byłem jednak tak głęboko wzruszony, że chociaż jestem już dawno kapłanem, tylko z trudem i wieloma błędami potrafiłem odprawić nabożeństwo. W przemowie podniosłem zasługi zmarłego i powiedziałem, że jest szczęśliwy, bo nie musi przeżywać naszych zawodów i naszej rozpacz, z której powinniśmy się otrząść i zwrócić się z ufnością do Boga, na końcu zaśpiewałem „Nie damy ziemi skąd nasz ród“. O zrzuceniu i znieważeniu krzyża podczas nabożeństwa niema mowy, bo to nie godziłoby się z moim charakterem kapłana, a różne na ten temat wersje, które chodzą o znieważeniu przezemnie orderów pruskich i austriackich, są poezją (Dichtung), powstała wśród gorącego nastroju patriotycznego. Po nabożeństwie Zieliński jeszcze raz zwołał oficerów, celem uspokoi-

jenia ich zapewnieniem, że Nieniewski przywiezie dyspozycje od Rady Regencyjnej, a rząd austriacki znajdzie honorowe rozwiązanie sprawy Legionów, co jednak nikogo uspokoić nie zdołało. Ogólnie znanem było w Legionach, że generał Dowbór Muśnicki, za zgodą Rady Regencyjnej przed paru tygodniami zawarł był układ z państwami centralnemi, celem wspólnej walki z bolszewikami. Przed paru dniami czytaliśmy w gazetach lwowskich wezwanie Komitetu organizacyjnego Wojsk Polskich z rozkazem do wszystkich oddziałów polskich, gdziekolwiek się znajdują, aby się koncentrowały i łączyły z oddziałami Dowbora Muśnickiego, dlatego też wszyscy myśleliśmy, że to właśnie będzie honorowym rozwiązaniem sprawy Legionów, jeżeli się połączymy z Dowborem Muśnickim. Wszak w Austrii nie mamy nic do szukania, skoro austro-polskie rozwiązanie w tak brutalny sposób zostało porzucone. Byliśmy też wszyscy pewni, że za wieloletnie trudy, za głód, chłód, znoje i krew tak obficie przelaną — władze austriackie po dokonaniu na nas strasznej krzywdy, zostawią nam przynajmniej wolną drogę do oddziałów polskich, tę wolną drogę, która po stracie wszystkiego, co dla nas było wielkie i święte, a co nam brutalnie wydarto, była dla nas konieczną dla ocalenia przynajmniej honoru żołnierskiego.

Tej myśli chwycili się wszyscy, jak tonący deski ratunkowej. Tegoż dnia chorąży Gumiński przywiózł od władz austriackich tajne rozkazy, na podstawie których zarządzono ogólne pogotowie. Rozkaz pogotowia wydawał mi się logicznym także z tego powodu, że poprzedniego dnia gen. Zieliński polecił mi jak najwcześniej zakończyć sprawę opieki nad grobami legionowymi, gdyż wkrótce Łużany i okolice, jak twierdził, opuścimy". (Na zapytanie rzeczoznawcy wojskowego, czy wiedziałem o zarządzeniach A. O. K. na froncie rumuńskim) „O jakichkolwiek przedsięwzięciach Austrii przeciw Rumunii nic nie wiedziałem i takie zarządzenia nie mogły obchodzić legionistów, bo my mogliśmy być użyci do walki tylko na froncie rosyjskim".

Przyszła dzień 15. II. Po mszy św. przeprowadziłem ekshumację legionisty, który jeszcze roku 1915 był pochowany koło studni. Koło godz. 11 przyniósł mi żołnierz kartę służbową od szefa II. Brygady, w której otrzymałem polecenie, że mam pozostać w Łużanach razem z kancelarią i aktami, celem roztoczenia opieki nad chorymi, których mamy zostawić. Na odwrotnej stronie tejże karty odpisałem, że jestem samodzielnym referentem i sam wiem, co mam robić w czasie marszu. Obiad jadłem w zakładzie sanitar-

nym, gdzie około 4 dowiedziałem się o zarządzeniu pogotowia do odmarszu, który nastąpi o godz. 8-ej wieczorem. Udałem się przeto na swoją kwaterę, gdzie kazałem ordynansowi spakować swoje rzeczy i oddać na tren. Stosownie do rozkazu stawiłem się na placu alarmowym koło szkoły, gdzie spotkałem już zebranych oficerów sztabu Dowództwa i razem z nimi pomaszerowałem w kierunku Marmajowiec. Po drodze zauważyłem w samochodzie gen. Zielińskiego z rotm. Okołowiczem, przyczem jeden z oficerów zauważył, że Zieliński został zmuszony do oddania dowództwa w ręce Hallera, na co mu drugi odpowiedział, że jednak i gen. Zieliński nie może się sprzeciwić głosowi polskiej krwi, która płynie w jego żyłach. Towarzystwo rotm. Okołowicza nie robiło zupełnie wrażenia, że gen. Zieliński jest aresztowany. Dalej maszerowaliśmy do Żuczki, gdzie zatrzymał nas gwałtowny ogień karabinów maszynowych. Tam też zostało rannych kilku żołnierzy, których opatrzył Dr. Tatkowski, ja zaś udzieliłem im ostatnich Sakramentów. — Gdy ogień coraz gwałtowniej się wzmacniał, schroniłem się za grube drzewo, żołnierze trenowi powoli rozprószyli się, a gdy ogień ustał, nadeszła patrol austriacka, która mnie wzięła do niewoli. Komendantowi tej patroli zwróciłem uwagę na wóz z kasą Dowództwa; zawierającą 500.000 kor. Żołnierze austriaccy rozbiegli się wśród wozów trenowych i zaczęli przeszukiwać i rabować pozostawione bagaże oficerskie tak, że dopiero nad ranem po ukończeniu roboty, odstawili mnie do c. i k. Komendy 2. Dywizji kawalerji“.

Następnie po kilku drobniejszych pytaniach zadał mi Bartak następujące pytanie: „General Zieliński w swoich zeznaniach oświadczył, że polecił ks. Pana-siowi podczas wspomnianej Mszy żałobnej działać uspokajająco, a ks. Panaś przeciwnie działał podniecająco i nastrój wśród legionistów stał się jeszcze groźniejszy“.

Oskarżony: Czytałem te zeznania w aktach i nie chcę gen. Zielińskiemu zarzucać, jakoby chciał mówić nieprawdę w sprawie udzielonego mi polecenia, jednakże mylił się w tym względzie, gdyż na wspomnianej przez niego odprawie referentów zupełnie nie byłem, o czem generał, jako starszy człowiek, mógł łatwo zapomnieć. Nie mogłem nawet otrzymać w tej sprawie polecenia, bo jak zresztą o tem zawiadomiłem gen. Zielińskiego, kazanie na nabożeństwie miał wygłosić ks. Łuszczka, który dopiero w ostatniej chwili wyjechał do Bolechowa. Pomijając zupełnie kwestję udzielonego czy nieudzielonego mi polecenia, nie mogłem w rzeczywisto-

ści doznalać uspokajająco na umysły, gdyż w tym momencie jakiegokolwiek uspokajanie z mej strony, byłoby najwyższem podrażnieniem, gdyż ja właśnie nieraz głosiłem zaufanie w szczerość c. i k. władz, które nas tak strasznie zawiodły. W przemówieniu swoim wypowiedziałem to, co wówczas czułem.

Kierownik rozprawy: Kiedy się ksiądz dowiedział o zamiarze przejścia do Muśnickiego?

Oskarżony: Były różne przypuszczenia, o których sobie opowiadano, o skrytalizowanym zamiarze przebicia się przez front austriacki nie mówiono wcale. Sprawę przedstawialiśmy sobie w następujący sposób: ponieważ rozwiązanie austro-polskie zostało zarzucone, przeto za 4-letnią służbę, Austria zostawia nam przynajmniej wolną drogę do Muśnickiego. Wnioskowałem to także z tej okoliczności, że władze austriackie zarządziły pogotowie marszowe, a więc mogło istnieć przypuszczenie, że nasz marsz do Muśnickiego odbędzie się za nieoficjalną zgodą Austrii.

Kierownik rozprawy: Jeżeli marsz do Muśnickiego był za nieoficjalną zgodą Austrii — to zachowanie się Legionistów wobec c. i k. oficerów powinnyby być bierne, a akt oskarżenia zarzuca księdzu aresztowanie generała Schillinga i innych oficerów.

Oskarżony: W tej sprawie właściwie nie potrzebuję się usprawiedliwiać, gdyż generał Schilling, który jak sam zaznaje, nie tylko zna mnie osobiście, ale zna i mój głos, sam opowiada, że mnie w krytycznym momencie bitwy nie było zupełnie, co do innych oficerów, o których aresztowanie jestem oskarżony, nie znam ich zupełnie, a nawet z aktów procesowych nie zdołałem się dowiedzieć, skąd się wzięła ta pogłoska.

Kierownik rozprawy: Dlaczego przejście do Muśnickiego miałoby być jedynem, honorowem wyjściem z sytuacji.

Oskarżony: Dlatego, że nie było żadnego innego wyjścia, bo pozostawałoby jeszcze tylko rozbrojenie spokojne, czy też gwałtowne, które w pierwszym wypadku nie mogło być honorowe, a w drugim mogło mieć straszne i krwawe konsekwencje.

Kierownik rozprawy: Czy aresztowanie gen. Zielińskiego było tylko formalnością?

Oskarżony: Generał Zieliński wzbraniał się iść do Muśnickiego, więc został wzięty przemocą, ale na zewnątrz nie było żadnych widocznych znaków aresztowania.

Kierownik: Czy gen. Zieliński mógł opuścić auto i gdzieś się przecisnąć na bok, gdyby miał taki zamiar?

Oskarżony: Mocno wątpię, aby stary człowiek mógł wyskoczyć z jadącego auta.

Kierownik: W którym momencie dowiedział się ksiądz że maszerujecie do Muśnickiego?

Oskarżony: Jak wspomniałem, o marszu do Muśnickiego, jako o przypuszczeniu, mówiono powszechnie, nie było to jednak ogłoszone w rozkazie, a wszyscy przypuszczali, że Austria po wyrządzeniu nam tak ciężkiej krzywdy, zostawi nam przynajmniej wolną drogę do Muśnickiego.

Kierownik: Rzeczywistość pouczyła was o czym innym.

Oskarżony: Tak jest, ogień austriackich karabinów maszynowych, skierowany na szpital polowy i bezbronne treny pouczył nas o czym innym.

Kierownik: Czy nie byłoby lepiej działać z rozwagą?

Oskarżony: W tej chwili, gdy nasze uczucia zostały brutalnie zdeptane nogami, trudno było o rozwagę.

Kierownik: Przecież przypuszcza się, że duchowny powinien zachować spokojny rozsądek, a właśnie ksiądz wierzy w różne przypuszczenia.

Oskarżony: Tak! To jest prawda, że duchowny nie powinien tracić równowagi umysłowej, ale wśród takich zdarzeń staje się tak samo człowiekiem jak i inni.

Kierownik: Dlaczego ksiądz przypuszcza, że rozbrojenie spokojne było niemożliwe?

Oskarżony: Dlatego, że znam doskonale nastrój Legjonistów. Wszak między nimi wśród bitew i trudów przebyłem cztery lata i wielu ich pogrzebałem własnymi rękoma, a jaki wśród nich był nastrój, niech świadczy fakt, że młody umierający Legjonista nie prosił mnie o napisanie listu z ostatniem pozdrowieniem dla matki, ale zapytał: „Księżu, ja umieram, ale proszę mi powiedzieć, czy będzie Polska? Taki to był nastrój żołnierzy, którzy przez cztery lata marzyli o Polsce i krwawili się dla niej, więc jest wykluczone, aby dobrowolnie porzucili broń, którą wzięli do ręki w walce o jej wolność.

Po kilku drobniejszych krzyżowych pytaniach ze strony kierownika rozprawy, dotyczących marszu do Muśnickiego, tudzież mego zachowania się w stosunku do szefa sztabu Pomazańskiego i Biera, postawił mi pytanie prokurator Ustjanowicz, dlaczego w śledztwie, które on osobiście przeprowadzał, nie podałem do wia-

domości tej okoliczności, że wśród oficerów panowało przekonanie, że marsz do Muśnickiego odbywa się za zgodą c. i k. władz.

„Prosta rzecz — odpowiedziałem mu — ponieważ oskarżony musi się bronić i usprawiedliwiać, ale nie wobec sędziego śledczego lecz wobec wysokiego sądu polowego, co właśnie obecnie czynię“.

Po skończeniu rozprawy sądowej kap. Ustjanowicz przesłuchał mnie w sprawie wiersza napisanego w pierwszym dniu rozprawy, który został umieszczony w kilku polskich gazetach z lukami cenzuralnymi. Ponieważ oświadczyłem, że nie wyjawię, jaką drogą wysłałem ten wiersz do kraju z pominięciem cenzury więziennej, więc audytor swoje dochodzenie zakończył oświadczeniem, że on jako prokurator nie może zgodzić się na gloryfikowanie „czynów zbrodniczych“ i gdybym jeszcze raz popełnił coś podobnego, to zastosuje wobec mnie jak najsurowsze środki, które mi absolutnie uniemożliwią tego rodzaju postępowanie.

Dnia 14. VI. nastąpiło przesłuchanie majora Zagórskiego, którego zeznania także w pośród nas budziło wielkie zainteresowanie. — Położenie Zagórskiego było nader trudne, bo z jednej strony wielu więźniów odnosiło się do niego niechętnie, ze względu na przeszło dwugodzinne spóźnienie się artylerji dnia 15. II., a z drugiej strony c. i k. Naczelna Komenda uważała go wprost za zdrajcę z tego powodu, iż był c. i k. kapitanem sztabu generalnego i jak sądzono pewnego rodzaju mężem zaufania Austrii w Legjonach, a mimo to nie doniósł władzom austriackim o gotującym się w Legjonach zamachu, o którym przecież, jako bardzo sprytny oficer musiał wiedzieć.

Po przedstawieniu swojego „curriculum vitae“ Zagórski skreślił swoją ideologję austriackiego oficera, który wierzył z razu, że polskie interesy dadzą się uzgodnić z interesami Austrii, i przez to stanowisko stał się przedmiotem niechęci Legjonistów, gdyż widzieli w nim austriackiego delegata, przysłanego przez Austrię celem rozbicia Legjonów. „Jeżeli dla każdego Polaka“, — mówił Zagórski: ten dzień (pokój

brzeski) był dniem ciężkiego smutku — to dla mnie stał się dniem głębokiej żałoby, dniem pogrzebu moich marzeń i wytycznej życia. Trzydzieści pięć lat życia straconych na fałszywych drogach i szerzeniu fałszywego programu dla siebie samego i dla innych. **Grunt mi wyrwano z pod nóg, pozbawiono ideologii, wypieszczoną w najtajniejszych zakamarkach mojego mózgu**“.

Z okazji pytania postawionego przez Bartaka, czy Zagórski uważa się za obywatela polskiego“, adwokat Dr. Löwenstein wyjaśnił kwestię uznanego przez prawo podwójnego obywatelstwa, które w prawie międzynarodowym znanem jest pod terminem „sujet mixte“.

W dalszym ciągu zeznań, wyjaśniał Zagórski swoją rolę w dniach 14 i 15 lutego, przyczem wyraził zdanie, że marsz do Muśnickiego uważał za rzecz fizycznie niemożliwą, a osobiście był tego mniemania, że należy cierpliwie czekać na dalsze dyspozycje Rady Regencyjnej. O aresztowaniu generała Zielińskiego i przydzielonych ze sztabu oficerów nie wiedział i był pewny, że Komendę Korpusu objął zupełnie prawnie pułk. Haller z powodu choroby gen. Zielińskiego, to też wykonał rozkaz Hallera dotyczący ćwiczeń nocnych.

Dnia 15. II. istniały jednak przypuszczenia, że owe ćwiczenia nocne mają inne znaczenie, mianowicie, że są albo demonstracją przeciw pokojowi brzeskiemu, albo też mają za cel przejście do Muśnickiego. „Stałem“ — mówił Zagórski — „wobec bolesnego dylematu albo z przypuszczeń i domysłów zrobić użytek, przeszkodzić akcji, przeciwstawić się rozkazowi mego komendanta i na wieki być wykreślonym z liczby uczciwych Polaków, albo też bez względu na konsekwencje wykonać rozkaz. — Wybrałem to ostatnie „Konsekwentnie“ — oświadcza Zagórski, — „bierze na siebie winę wydania odpowiednich rozkazów podwładnym oddziałom, cofa jednak swoje zeznanie złożone pod wrażeniem sądu doraźnego, że wydał rozkaz do stawiania oddziałom austriackim oporu, i rozkaz strzelania do nich, tudzież zniszczenia dróg i sieci telefonicznych. Zeznanie to złożył w tym celu, aby osłonić innych, teraz jednak gdy się ze śledztwa przekonał, iż artylerja faktycznie nie oddała ani jednego strzału i na jego rozkaz złożyła broń zupełnie bez oporu, musi podkreślić w interesie prawdy, że faktycznie rozkazu do strzelania i do niszczenia dróg i sieci telefonicznej nigdy nikomu nie wydawał.

Clou przesłuchania Zagórskiego stanowiło patetyczne pytanie, zadane mu przez jego obrońcę Loewensteina. „Sta-

wiam panu jedno tylko pytanie; proszę mi odpowiedzieć celem uniknięcia wszelkiej niejasności i nieдомówień: — **pytam pana, jako oficera i szlachcica: gdyby pan wiedział dokładnie, że w grę wchodzi przemarsz do Muśnickiego, nie za zgodą Austrii, ale wbrew jej woli, gdyby pan wiedział, że tylko głos Ojczyzny pana woła wraz z innymi, czyby pan został w tym wypadku w domu?**

Na co Zagórski głosem pełnym patosu:

„Nie, musiałbym pójść — nie mógłbym pozostać“.

Przesłuchanie Zagórskiego było właściwie ostatniem „programowem“ przesłuchaniem, gdyż dalsze mają być krótsze i dotyczyć tylko faktów z dnia 15. II.

Dużo życia na salę sądową wniosło przesłuchanie oskarżonego c. i k. porucznika artylerji Bogdanowicza, który krótki czas przed przełomem z dnia 15. II. został przydzielony do Legionów, jako instruktor i mimo to krytycznego wieczora — nie idąc za przykładem innych c. i k. instruktorów, którzy się pochowali — ubrał mundur legjonowy i wziął udział w naszym marszu na „ćwiczenia nocne“. Sąd już oddawna odnosi się do Bogdanowicza ze specjalną nienawiścią dlatego, iż jako „sztandowy“ oficer dopuścił się tak strasznego czynu, bo dla Legionistów ma sąd lub też usiłuje mieć pewne wyrozumienie. To też w czasie śledztwa trzymano Bogdanowicza w więzieniu pod specjalną strażą i tylko dzięki temu, że porucznik Bold ofiarował się ze względów koleżeńskich siedzieć razem z nim w więzieniu w jednej celi, która mieściła również zwykłych zbrodniarzy — miał Bogdanowicz pewną ulgę w swem cierpieniu, zwłaszcza, że uchodził on także za jednego z pewnych kandydatów do stryczka, właśnie i jedynie dlatego, że jest c. i k. oficerem.

Bogdanowicz musiał zeznawać, że o niczem nie wiedział poza nocnymi ćwiczeniami, ale właśnie zrzućcie w ostatniej chwili austriackiego munduru mocno osłabiało wiarygodność jego zeznań.

Przy końcu przesłuchania Bogdanowicza, Ustjanowicz, który dotychczas w czasie rozprawy dość kulturalnie się zachowywał, posunął się stanowczo za daleko,

bo aż do brutalnego i niehumanitarnego wymuszenia, stawiając Bogdanowiczowi następujące dylematyczne pytanie:

„Jeżeli pan o niczem poza nocnymi ćwiczeniami nie wiedział, w takim razie został pan przez Legionistów i oficerów legionowych w sposób wstrętny oszukany i wciągnięty do haniebnego czynu — czy tak?”

Przeciw temu pytaniu i przeciw użytym słowom obraźliwym zaprotestował natychmiast bardzo ostro Dr. Lieberman, a następnie inni obrońcy, którzy zażądali cofnięcia przez prokuratora obelżywych słów i całego pytania.

Kapitan Ustjanowicz po kilku minutach namysłu cofnął te słowa, jako istotnie zbyt silne i niesłuszne.

Kapralowi Pyzikiewiczowi i plut. Grodzickiemu akt oskarżenia zarzucał to, że na rozkaz ch. Kusionowicza zniszczyli połączenia telefoniczne. Pyzikiewicz zeznawał nadzwyczaj rezolutnie i orjentował się szybko w krzyżowych pytaniach, któremi zarzucał go kierownik rozprawy i prokurator. Ponieważ jeden z austriackich żołnierzy w śledztwie zeznał, że poznaje Pyzikiewicza, jako tego, który niszczył połączenia telefoniczne z Kocmania do Walawy, był Pyzikiewicz w bardzo trudnem położeniu.

Na początku rozprawy dnia 18. VI. zażądał głosu Dr. Lieberman i wygłosił wspaniałą mowę, której treść podaje:

„Wysoki Sądzie wojenny. Jawność i dostępność rozpraw sądowych jest podstawowym fundamentem nowoczesnego prawodawstwa. Organizacja państwowa, która tego zasadniczego momentu nie uznaje, nie może należeć do rodziny kulturalnych państw. Austria, jako tej kulturalnej rodziny świadomy członek, uwzględniła ową zasadę w swych ustawach i dała jej temsamem w całym państwie moc obowiązującą. Jawność jest normalnie przyjętą przy zwykłym wojskowem postępowaniu sądowem, przy polowem zaś z reguły stosuje się tajność. W wypadku specjalnie nas dotyczącym w procesie masowym przeciw 115 członkom P. K. P. obrona zwróciła się do autorytatywnych czynników

z prośbą o dopuszczenie w interesie państwa, sprawy, sprawiedliwości i oskarżonych — jawności rozprawy.

Chcieliśmy wobec całego świata, wobec całej opinii publicznej dać możność oskarżonym wyjaśnienia, jakie były pobudki ich czynu, gdy podrażnieni do żywego strasznym krzywdzącym czynem, jakim był dla całego polskiego narodu pokój brzeski, zerwali się, uniesieni szczytnem uczuciem miłości Ojczyzny, do protestu przeciw bezprawnemu gwałtowi.

Chcieliśmy szczerą i całą prawdę wydostać na jaw i pokazać opinii publicznej, co czuła młodzież polska i jakim był bezmiar jej cierpień po traktacie brzeskim. Komendant wojskowy uznał słuszość naszych motywów i wbrew regule zarządził w postępowaniu polowem jawność rozpraw. Co ten rycerski gest miał oznaczać, jest dla wszystkich jasnem; nie chciano krępować prawdy i rozumiano sprawiedliwość w myśl intencji i wymogów najbardziej nowoczesnego poglądu w ustawodawstwie.

Ale ten niewątpliwy gest i mądry już na samym wstępie rozprawy sądowej usiłowano w sposób najbardziej bezwzględny i stanowczy osłabić i sprowadzić do karykatury.

Już przed paru dniami mieliśmy sposobność apelować do czcigodnego pana Prezydenta sądu polowego z prośbą, by nas wzięto w obronę przed krzywdzącem bezprawiem, przed pogwałceniem jawności rozprawy i przed wkradaniem się policji do naszych zawodowych i czysto osobistych tajemnic — nas obrońców w procesie.

Czcigodny Pan Prezydent uznał nasze słuszne żale i protesty i starał się u miejscowych władz wojskowych i cywilnych interwenjować. Zakomunikował nam p. Prezydent, że przyrzeczono mu natychmiast usunąć wszystkie niewłaściwości i uszanować w pełni nasze prawa. Ale wszystkie bezprawia trwają dalej; do chwili, gdy to mówię, szynkany nie tylko nie ustały, ale z godziny na godzinę wzmacniają się i zbliżają do granic, których najbardziej spokojne i zrównoważone indywiduum w interesie państwa znieść nie może. Wystawiają nas na próby, których żaden austriacki obywatel tolerować nie może. Proszę pamiętać, że tylko ziemia, na której przypadkiem znaleźliśmy się, jest węgierską, że oskarżeni, sąd, obrona i ustawa nie należą do praw i władz tej ziemi i że wszyscy mamy prawo żądania ochrony przed zamachem obcych władz, które godzą w nasze prawa ustawami austriackimi zagwarantowane.

Przyjeśliśmy swego czasu oświadczenie p. Prezesa Sądu i jesteśmy pewni, że mówił jak prawy człowiek i żół-

nierz, cóż więc powoduje stan nienormalny? Muszą być siły poza sądem, które zorganizowały poprostu akcję, stosując ją na każdym kroku. Ich ręka sięga i tej sali, która powinna i musi stać poza ich wpływem, gdyż niepodzielnym panem tego przybytku jest czcigodny p. Prezydent Sądu i tylko on w myśl prawa może ludzi postronnych tutaj dopuszczać lub ich usuwać. — Zarządzenia jednak, które wydano poza sądem, godzą w prawa i autorytet sądu, albowiem władza postronna wkroczyła w kompetencję sądu i wydała zakaz przebywania na tej sali więcej niż 4-em obywatelom polskiej narodowości. W myśl ustawy przy jawnem postępowaniu tylko sąd ma prawo w braku miejsca ograniczyć galerję, a tutaj siły pozasądowe zdeptały prawo i ustanowiły maksymalną ilość obecnych Polaków.

Wybitnemu przedstawicielowi narodu polskiego i członkowi N. K. N. nakazano natychmiast opuścić to miasto, a wszystkim tym, którzy raz byli na tej sali, a zostali zmuszeni do wyjazdu na pewien czas, powtórny przyjazd i wstęp na galerję jest bezwzględnie wzbroniony. Jednocześnie ruchy całej obrony aż do ostateczności skrupowano i związano, pozbawiono nas swobody i możności porozumiewania się w interesie skarżonych, oraz poddano perlustracji wszystkie nasze akta i papiery, dochodzące do nas z kraju, a pozostające w ścisłym związku z procesem.

A więc z uświęconej prawem zasady naszej niezależności; tajemnicy zawodowej i swobody ruchów, uczyniono przedmiot samowoli władz administracyjnych.

Wysoki Sadzie! Proces niniejszy jest wypadkiem wielkiej wagi i historycznej doniosłości — policyjnemi sztuczkami nie obniży się jego znaczenia w świecie. Czy tak „czy owak“, dostanie się on z całym aparatem mu towarzyszącym przed sąd historii, przed trybunał świata, który śledzi i omawia jego przebieg.

Powrócę jeszcze do ograniczenia swobody obrońców. Wczoraj doniesiono mi pośrednio, że miejscowa policja graniczna nakazała mnie i kolegom zgłosić się i wykazać dokumentami. Zagrożono mi jednocześnie, że gdybym nie usłuchał tego wezwania, sprowadzą mnie żandarmi i odpowiednio postąpią.

W tych warunkach nie jestem pewien tego, co najbliższe dnie mi przyniosą i gdzie się znajdę — tu wszystko możliwe i oczekiwane.

Wysoki Sadzie! Jestem zmuszony uprzedzić, że przyjdzie dzień, w którym trzeba będzie zdać sprawę z tych wszystkich krzywd, jakie nam obrońcom i oskarżonym na tej dziwnie niegościnniej węgierskiej ziemi wyrządzono.

Wysoki Sądzie! — Czas najwyższy położyć kres nie-
wczesnym żartom i podwójnej grze, której świadkami jeste-
my od kilku dni. W waszym ręku sędziowie jest moc zga-
szenia 115 kwitnących żyć ludzkich¹, niechże tedy sąd ma
także moc zawarowania tym oskarżonym prawa niezależnej
obrony przeciw tragicznemu losowi, który im grozi, by
obowiązek i prawo nie stały w rażącej sprzeczności.
W imieniu obrony stawiam wniosek, by Wysoki Sąd złożył
służbowy meldunek właściwemu komendantowi o tem, co
się tutaj dzieje, wyjednał rozkaz uszanowania konstytucją
zagwarantowanych praw i nie pozwolił obniżyć autorytetu
sądu i sprawiedliwości“.

Słowa Dra Liebermana, wytrawnego mówcy i do-
skonatego psychologa, zrobiły bardzo wielkie wrażenie,
zwłaszcza, że mówca z zimnym spokojem smagał
austriacką dwulicowość, a swą głęboką ironją zdzierał
maskę z obłudnych sędziów, którzy udawali, że na za-
rządzenia policyjne władz węgierskich nie mają wpływu,
a wraz z referentem 7 armji Hanelem właśnie te zarzą-
dzenia inspirowali.

To też sąd przez cały czas tej mowy pełnej, zręcz-
nie pod¹liściami ironji, ukrytych ostrych kolców — cią-
gle się rumienił i zieleniał, a typowi austriaccy pra-
wnicy Bartak i Hanel przytkali sobie dłonią oczy, bo
nie mogli znieść piętnującego ich wzroku Liebermana.
Następnie wystąpił z mową Dr. Löwenstein, który pod-
kreśliwszy tę okoliczność, że występuje również, jako
poseł, jako zastępca ludu przyłączył się w całości do
wywodów poprzedniego mówcy, a nadto wystąpił, jako
oskarżyciel o gwałcenie zagwarantowanych Konstytu-
cją praw obywatelskich i zaznaczył, że jeżeli szykany
nie ustana, to ława obrońców będzie musiała ustąpić,
bo zadania swego wypełnić nie może.

Była to bardzo poważna groźba, gdyż porzucenie
przez adwokatów rozpoczętej obrony wywołałoby roz-
głos w całym świecie.

To też sąd udał się na naradę i po chwili oświad-
czył, że wnioski obrońców, z którymi sąd się także soli-
daryzuje, prześle właściwemu komendantowi. Jesteśmy
pewni, że to wszystko jednak niewiele nam pomoże,

a ciekawsze jest to, jak długo sąd będzie wobec nas odgrywał tę dwulicową komedję.

Następnie zaczął się bardzo nudny okres procesowy, trwający kilkanaście dni, powtarzania tego samego w kółko, bo Legjoniści opowiadali zdarzenia z 15. II. prawie identycznie, a kierownik rozprawy, prokurator i sędziowie wysilali sobie głowy, jakieby jeszcze wymyśleć nowe podchwytliwe pytania. To też w miarę tego zainteresowanie wśród słuchaczy procesowych słabło, a nawet i ława obrońców czasami była prawie pusta i tylko Dr. Kwieciński ciągle siedział na niej, nie zabierając głosu.

Ponieważ dowiedzieliśmy się, że szef II. Brygady, kap. Gniady zmarł tragicznie w Warszawie, gdyż w czasie audjencji u Kanclerza Rady Regen. został napiętnowany jako „zdrajca“ postanowiliśmy dla zmarnięcia Bartaka i wyręczenia mnie w aresztowaniu Schillinga i kap. Baleanu wciągnąć jego osobę na scenę procesową. Najprzód wspomniał o nim bezimiennie Charzewski, a wspianiale wprost wprowadził go na scenę por. Bełdowski, opowiadając, że na krzywiźnie szosy w Mamajowcach zbeształ go szef Sztabu II. Brygady, kap. Gniady za to, że prowadzi tren „jak zdechłe krowy“. Ponieważ wiadomość ta była Bartakowi nie na rękę, gdyż i on również wiedział o śmierci kap. Gniadego, więc to zeznanie wprowadziło go wprost we wściekłość. Gdy się trochę uspokoił, skarżył się przed nami, że całe noce siedzi nad aktami i zeznaniami i nie może się w nich wyznać, a zapytany, poco się tak trzodzi, skoro my osobiście zainteresowani, łatwiej dajemy sobie radę — odpowiedział, zresztą zupełnie słusznie, alludując do wprowadzenia na scenę kap. Gniadego: „wy znacie dokładnie sprawy i możecie ją, postępując solidarnie, dowolnie wikłać, a ja muszę po ciemku szukać prawdy“. W zeznaniach por. Sidorowicza dostało się trochę Ustjanowiczowi za wykrętne prowadzenie śledztwa, a zaś z okazji przesłuchania chorążego Imielskiego, zasypał się znowu Ustjanowicz oświadczeniem,

że oskarżył tego ostatniego o kradzież jedynie tylko na wyraźny rozkaz właściwego komendanta, a więc bezpodstawnie.

Pierwszym nieprzyjemnym zgrzytem w procesie były zeznania chorążego piekarza Płatka, który na samym wstępie zaznaczyć musiał, że wszystko, co zeznawał w protokóle śledczym jest nieprawdziwe, a zeznawał fałszywie dlatego, że myślał, iż się przez to od oskarżenia uwolni. Były to zmyślenia nielada, bo Płatek plótł w śledztwie, jak Piekarski na mękach, nie wahał się zasypywać i obciążać swych kolegów, j. np. Charzewskiego przez opowiadanie różnych przekręconych wiadomości, które gdzieś fałszywie posłyszał. To też na sali panował pomruk i wszyscy pytali, dlaczego czeladnika piekarskiego zrobiono oficerem, czy dlatego, że ma złote zęby, czy też na to, by nam hańbę przynosił? Adwokaci musieli się wiele natrudzić, aby przynajmniej obecne zeznania Płatka przyprowadzić do możliwego stanu.

Zeznanie oficerów z plutonu telefonicznego podpor. Wallnera i Stefana Popiela, oskarżonych o przerwanie połączeń telefonicznych, było formalną torturą dla oskarżonych, gdyż kapitan Bartak, korzystając z niezbyt wielkiej obrotności językowej por. Wallnera miał nadzieję, że wydusi z niego jakie ważniejsze rewelacje; trudy te jednak były bezskuteczne.

Zeznania podpor. Mitscheina, komendanta kompanii szturmowej w Oberscheroutz, miały tę nieprzyjemną okoliczność, że Mitschein po rozbiciu oddziału, idąc za namową swego kolegi por. austriackiego, który go wziął do niewoli, zgłosił się 16. II. u komendanta placu w Sadowgorze z oświadczeniem, że wraca do służby, gdyż nic nie wiedział o marszu do Muśnickiego, na który się nie godzi. Mitschein następnie oświadczenia tego bardzo żałował, ale w procesie nie mógł go cofnąć, bez zasypywania swego kolegi, to też tak się zmartwił swoim położeniem, że po przesłuchaniu ciężko się rozchoro-

wał, a w niedługim czasie — jednak po zakończeniu procesu — zmarł.

Zeznania sierżanta Pocześniaka.

Do rozprawy naszej dołączono nową sprawę kryminalną sierżanta Pocześniaka, uczestnika bitwy pod Kaniowem. Zeznania Pocześniaka zaczęły być interesujące od chwili opowiadania o przebicciu się Brygady przez front austriacki.:

Po przełamaniu frontu oddziały zatrzymały się na krótki odpoczynek pod Rokitną, gdzie wszystkim oznajmiono, że maszerują do Muśnickiego. Z nastaniem poranka 16. II. artyleria austriacka zaczęła Brygadę ostrzeliwać, więc mimo zmęczenia, Brygada pomaszzerowała dalej. Mimo strasznych przejść, duch u żołnierzy był bardzo ochoczy, narzekano tylko powszechnie na artylerję, że nie tylko sama nie przeszła, ale przez swoje spóźnienie się była przyczyną tego, że znaczna część oddziałów legionowych dostała się do niewoli. W Chocimiu spotkała Brygada pierwsze oddziały bolszewików, które wyminęła bez walki i podażyła przez niestrzeżony most na Dniestrze w stronę Kamieńca Podolskiego. Po przejściu most został wysadzony, a przez to uniemożliwiono Austriakom dalszy pościg. Polska ludność Kamieńca Podolskiego witała Legionistów z entuzjazmem, a polskie komitety zaopatrzyły ich w bieliznę i inne przybory, których był wielki brak, ponieważ cały tren przepadł pod Rarańczą. Pod Kamieńcem Podolskim zaopatrzyła się też Brygada w tabory i artylerję, którą bolszewicy chętnie i bez walki oddawali. Ponieważ kasy pułkowe również przepadły, przeto wyszedł rozkaz, że wszyscy mają prywatne pieniądze oddać do kas pułkowych, które wypłacały żołd oficerom po 2 korony a żołnierzom 1 koronę na dzień. Ponieważ brakowało austriackiej amunicji, więc Brygada rzuciła manlichery, a uzbroiła się w rosyjskie karabiny, których podobnie jak i naboju było podostatkiem. W Kamieńcu nadeszła do II. Brygady wieść o aresztowaniu gen. Schillinga, tudzież o aresztowaniu legionistów i wzięciu w Huszt na Węgrzech — pojawiły się także fałszywe pogłoski, że krakowski pułk austriackiej niechoty Nr. 13 również przeszedł front i II. Brygada czekała na ten pułk, ale daremnie. Z Kamieńca Podolskiego wyruszyła Brygada w kierunku Mohylowa nad Dniestrem i po długim marszu połączyła się w Sorokach na terenie zajętem przez woiska rumuńskie z polskim korpusem Stankiewicza, liczącym 8000

ludzi. Przy tej okazji odbyła się radosna uroczystość połączenia się wojsk i defilada. Ponieważ mundury legionowe były w długich marszach zniszczone, cała Brygada przywdziała nowe mundury rosyjskie, dostarczone przez korpus Stankiewicza. Gdy korpus przyszedł nad Boh, objął komendę gen. Haller, gdyż gen. Stankiewicz zachorował. Wówczas też rozdzielono Brygadę między poszczególne pułki korpusu.

Tu prokurator zapytał oskarżonego, czy wówczas także nastąpiła zmiana nazwisk. „Nie — odpowiedział oskarżony — dopiero po przyjeździe do Humania. W Humaniu stał bataljon niemiecki i wzbraniał nam wejścia do miasta, ale później zezwolił na marsz. W mieście odbyła się defilada. Następnie pomaszerowaliśmy w kierunku Kaniowa. Po drodze przyłączyli się do nas ludzie nibyto Polacy, „korzy nie chcą wracać do domu, lecz chcą służyć w armji polskiej“. Jak się później okazało, byli to nasłani austriacy i niemieccy szpiegzy, którzy chcieli się o II. Brygadzie dowiedzieć, gdzie się znajduje i wydostać nazwiska oficerów. Pod Kaniów przybyliśmy z końcem kwietnia. Szliśmy zaś w kierunku Kaniowa dlatego, że tam był most na Dnieprze, przez który mieliśmy przejść na lewy brzeg rzeki, a następnie przez gubernję czernichowską do mohylewskiej, by się połączyć z pierwszym polskim korpusem Dowbora Muśnickiego. Jednakże most ten został spalony i musieliśmy się tam zatrzymać. Wówczas gen. niemiecki Einhorn zażądał od komendy korpusu wydania Galicjan z Brygady Legionów i materiałów, które II. Brygada zabrała 4 austriackiej armji, gdyż tylko pod tym warunkiem godzi się na dalszy marsz. Odpowiedziano mu, że w II. korpusie zupełnie niema galicyjskich legionistów ani żadnych materiałów 4. armji. Zaczęły się rokowania, podczas których komenda korpusu orzekła, że podlega Radzie Regencyjnej w Warszawie i we wszelkich sprawach do niej należy się zwracać. Wysłano więc delegację do Warszawy (z kap. Gniadym na czele) a my czekaliśmy decyzji Rady Regencyjnej. Z Niemcami był tymczasowy rozejm.

11. maja zaalarmowano nas, że Niemcy atakują, ujrzelśmy też naszych cofających się ułanów. Wtenczas komendant pułku rozsypał pułk w tyraljerę przed wsią Kozinem. Oskarżony został wysłany z 8 ludźmi na lewe skrzydło jako ubezpieczenie, gdzie został przez Niemców otoczony i ranny od ręcznego granatu. Nasi zaczęli cofać się w stronę Kaniowa. Niemcy zabrali oskarżonego i innych jeńców do wsi i umieścili ich w szkole. Po krótkiej ciszy nagle padły dwa nasze granaty tuż obok szkoły i trafiły w niemiecki bataljon manewrujący w zwartej kolumnie. Gdy nasz ogień się spo-

tegołał, powstała wśród Niemców panika i wielu jeńców zdołało uciec — oskarżony jednak, jako ranny, nie mógł zręcznie uciekać i został znowu ujęty i odesłany do szpitala najprzód do Kijowa, a później do Kowła, gdzie jakaś siostra wyludziła od niego zeznanie, że jest legionistą II. Brygady i stąd dostał się do więzienia. W czasie przesłuchania zasypywano oskarżonego całym gradem pytań, między innymi, czy gen. Haller przybrał nazwisko Mazowiecki, co się z nim stało itd. Ważne ze względu na plan przejścia z dnia 15. II. 1918 było jego zeznanie, że kompanje techniczne miały poprzecinać połączenia telefoniczne i wysadzić most pod Czerniowcami, aby uniemożliwić atak wojsk austriackich, stojących w Czerniowcach.

Po zeznaniach Pacześniaka zaczęto przesłuchiwać tych oficerów i żołnierzy, którzy brali udział w samem przełamaniu się Brygady przez front, a więc podpor. St. Graffa, plut. Florjana Wardasa. Dalej Brzezoń Józef, st. żołn. Józef Fijak i st. żołn. St. Kless, sekcyjny Cholewa i Tadeusz Wilk, Kazimierz Różycki i Stanisław Pic zgodnie zeznawali, że brali udział w bitwie i na ogień karabinów austriackich odpowiedzieli ogniem, stosownie do rozkazu swych oficerów. Różycki opowiadał swe nieszczęśliwe przygody z karabinem maszynowym, który uporczywie nie chciał funkcjonować. Kapitan Bartak wdał się także z nim w dyskusję, pytając, czyby posłuchał rozkazu, nakazującego mu bombardowanie budynku Rady Regencyjnej? Tegoby oskarżony nie zrobił, bo to nie wolno, a gdy go Bartak zapytał, czy wolno mu było strzelać do Austriaków, odpowiedział, że to było wolno, bośmy przecież już raz na rozkaz strzelali do austriackiego bataljonu czeskiego, który się poddał Moskalom, a nawet braliśmy z tego baonu jeńców.

Postępowanie dowodowe.

Po przesłuchaniu wszystkich 115 oskarżonych i kilkudniowej pauzie rozpoczęto dnia 7 lipca przesłuchanie świadków. Pierwszym i najważniejszym był feldmarszał-lejtnant Schilling. Przy wejściu na salę trybunału sądowego wszyscy oskarżeni powstali z miejsc jak

zwykle — natomiast, gdy wszedł na salę gen. Schilling, nikt się z miejsca nawet nie ruszył, co Schillinga przyprowadziło o wściekłość, którą jednak na sali sądowej pohamować musiał. Przy przesłuchaniu opowiadał Schilling swe przeżycia przy Legionach — uderzał nawet w strunę polskiego patriotyzmu — mówiąc:

„Przeżyłem rok 1863 (mając lat 5) a czem skorupka za młodu nawrze, tem na starość trąci“.

Twierdził, że legioniści przywieźli z Królestwa do Przemysła broń i wiele materiałów, charakteryzując zaś Legionistów, mówił, że są to tegie zuchy, ale zapalone, zwarjowane głowy — gotowe się porwać z motyką na słońce. Trudno było dać sobie z nimi radę, bo mieli najrozmaitsze pseudonimy i nie można było dojść, kto jest czyj poddany. Byli np. Królewiaczy, którzy podawali się za poddanych austriackich. Tu Loewenstein wtrącił ironicznie: „Zapewne po to, aby na włoskim froncie walczyć za Austrię“. „Ależ gdzie tam — odrzekł Schilling — po to tylko, aby zbiedz z najbliższego transportu, idącego na front“. Zeznania swoje ułożył sobie Schilling na piśmie; obrona sprzeciwia się czytany zeznaniom, a Dr. Lieberman zapytał, co to za akta ma świadek w ręce — Schilling odpowiedział, że to jest memoriał oficera legionowego o stosunkach w legionach, który poszedł do A. O. K.

Całe salwy śmiechu wywołało opowiadanie generała Schillinga o jego osobistych przejściach w czasie trenerskiej bitwy pod Żuczka. Schilling opowiadał zająście zresztą zgodnie z rzeczywistością, znane czytelnikom z początków pamiętnika — ale własne przyznanie się generała do kpin, jakie z niego stroili Legioniści z racji jego obawy przed powieszeniem — wprowadzało wszystkich w dobry humor. Schilling powylizował wszystkie epitety, jakie mu się dostały, jak np. ty stary ośle, ty stary durniu austriacki, należałoby cię zaraz powiesić i t. d. Zresztą świadek zajmował się bardzo wiele swoją osobą, usiłując mnie przedstawić jako politycznego burzyciela w Legionach i faktycznego dowódcę w bitwie pod Żuczka. — Kapitalnym był opis ucieczki gen. Schillinga z pola walki w towarzystwie jakiegoś legionowego treniarza, który na tyle był bezczelny, że kazał ekselencji-feldmarszałkowi poruczni-

kowi iść naprzód przez nieznany nawpół zamarznięty potok, a sam korzystał z generalskich upadków w kałużę, aby się mniej umoczyć w bagnie i zwiać w odpowiednim momencie.

Wnioski prokuratora i obrońców.

Po przesłuchaniu gen. Schillinga prokurator Ustjanowicz postawił wniosek na przesłuchanie w charakterze świadka byłego legionisty Jagury false Zagórskiego z Tarnowa, który ma zeznać, że wśród Legionistów było ogólne przekonanie, że gen. Schillinga i innych oficerów austriackich rozbroił i aresztował ks. Panaś, natomiast nasz obrońca Dr. Lieberman postawił wniosek, aby powołać na świadka:

1) Gen. Szeptyckiego na tę okoliczność, iż on jako komendant Legionów w styczniu 1917 r. oddał Legjony do dyspozycji Rady stanu i uroczyście złożył ślub posłuszeństwa Rządowi Królestwa Polskiego wobec przedstawicieli Rady Stanu, korpusu oficerskiego legionów i reprezentacji władz austriackich, które na tę przysięgę udzieliły swego zezwolenia.

2) Powołać na świadka Dr. Ludwika Górskiego, dyrektora kancelarii wojskowej przy Radzie Stanu w Warszawie, pułkownika M. Januszajtisa, mjr. Dr. M. Wyrostka, ministra polskiego Dr. Mikułowskiego-Pomorskiego na okoliczność, że zarówno w Radzie Stanu jak i we wszystkich formacjach legionowych i w Komendzie polskiej siły zbrojnej panowało przekonanie, że żołnierze i oficerowie byłych legionów po złożeniu wspomnianej przysięgi stali się obywatelami Królestwa Polskiego, co również zawsze we wszystkich rozmowach podkreślali reprezentanci władz austriackich, tudzież o przesłuchanie świadków na tę okoliczność, że po wysłaniu polskiego Korpusu na Bukowinę, reprezentanci austriackiego rządu przy Radzie Stanu eksc. Konopka i eksc. Ugron najwyraźniej oświadczyli w imieniu swego rządu na posiedzeniu Rady Stanu dnia 30 sierpnia 1917, że przeniesienie części legionów na Bukowinę jest tylko czasowe i że stosunek prawny II. Brygady zupełnie się niezmienił, ale nadal II. Brygada jest uważana jako część składowa armii polskiej.

3) Przesłuchać ministra polskiego Dr. Mikułowskiego-Pomorskiego na tę okoliczność, że polska Rada Regencyjna nie przyjęła do wiadomości rozwiązania polskiego Korpusu dokonanego przez c. i k. Naczelną Komendę, ale złożyła w tej sprawie protest na ręce cesarza.

Następnie Dr. Liebermann wnosił o odczytanie publiczno-prawnych dokumentów, wyjaśniających stosunki prawno-państwowe w Legjonach, a więc noty rządu polskiego do rządu austriackiego w sprawie obywatelstwa legionistów z dnia 24. VI. 1918, manifestu cesarzy z 5. XI. 1916 rozkazu A. O. K. dotyczącego utworzenia polskiego Korpusu, tudzież zarządzenia tegoż A. O. K. po sprawie zniesienia guberni chełmskiej, a przyłączenia jej powiatów do guberni lubelskiej.

Dr. Löwenstein postawił wniosek, aby przesłuchać jako świadka Adama hr. Tarnowskiego, b. ambasadora w Waszyngtonie i posła Ignacego Daszyńskiego na okoliczność, że hr. Czernin, jako austriacki minister spraw zagranicznych wymienionym osobom już w czasie toczących się w Brześciu rokowań pokojowych oświadczył, iż niema mowy o zniekształceniu Polski i że jeszcze na kilka dni przed zawarciem, stanowczo o tem zapewniał hr. Tarnowskiego w drodze telegraficznej, tudzież, że te autorytatywne zapewnienia dotarły do szerokich kół.

Dalej zażądał Dr. Löwenstein przesłuchania całego szeregu świadków — jak ministra Leona Bilińskiego, Agenora hr. Gołuchowskiego — namiestnika Huyna, gen. Rozwadowskiego, posła Win. Witosa na dowód, że warunki pokoju brzeskiego zrobiły jaknajfatalniejsze wrażenie na całym polskim społeczeństwie i że wrażenie to było silne, że było zdolne wywołać wśród Legionistów, będących bardzo czułą częścią polskiego społeczeństwa, nawet najbardziej rozpaczliwe akty protestu.

Prawie wszystkie te wnioski o przesłuchania świadków w sprawach politycznych Legjonów zostały po kilku dniach przez trybunał sądowy odrzucone, rzekomo dlatego, że polityczne stanowisko Legjonów jako całości, stworzonej na czas wojny, nie może być pomieszczane z właściwością stosunków prawnych poszczególnych jednostek, odpowiedzialnych za swoje czyny osobiście. Nie zgodził się również trybunał na odczy-

tanie noty rządu polskiego do rządu austriackiego z dnia 24. VI. 1918, gdyż trybunał skonstatował już z pewnego odczytanego zdania, że treść tej noty, mogłaby w sposób niedopuszczalny nadać pogładowi sądu pewien właściwy kierunek (Sąd musiałby się uznać za niekompetentny i kilkunastu oficerów austriackich, którym się nieźle powodziło z racji procesu musiałoby iść na front włoski).

Przesłuchanie gen. Zielińskiego i przydzielonych do Legjonów oficerów.

Gdy na sali sądowej zjawił się generał Zieliński, wszyscy oskarżeni stanęli na baczność, co oznaczało zupełny kontrast w zachowaniu się wobec niego, a wobec gen. Schillinga, którego oskarżeni wogóle nie przywitali.

Gen. Zieliński zgodnie z prawdą wyjaśnił prawne stosunki w Leg. pol. — wydał jaknajchlubniejsze świadectwo sprawności i dzielności wszystkich pułków legjonowych — Legionistów uważał za obywateli Królestwa polskiego, sam jednak o to poddaństwo się nie ubiegał, bo mając wiele lat służby, miał prawo do emerytury i niedawno został zamianowany c. i k. generałem.

Przed wypadkami z dnia 15. II. wskutek zmiany sytuacji na froncie przeciwrumuńskim, otrzymał rozkaz, który polski Korpus wyciągał z rezerwy i przerzucał na front antyrumuński, jednakże generał postarał się o zmianę tego rozkazu. Zmiana stanowisk miała nastąpić za kilka dni. W łączności z tą sprawą, wydał dnia 12. II. rozkaz pułkownikowi Hallerowi patrolowania linii Prut—Dniestr i wspomniał mu o mającym wkrótce nastąpić zajęciu tego odcinka — jednakże szczegółowo tej sprawy nie omawiano.¹⁾

Następnie posypał się na gen. Zielińskiego cały szereg podstępnych pytań, na które generał odpowia-

¹⁾ Generał Haller zapoznał się z tem odcinkiem i miał zamiar po zajęciu pozycji frontowej bez żadnych przeszkód przejść przez front. Krewkość legionistów uprzedziła wypadki i naraziła Brygadę na duże szkody.

dał z ogromną ostrożnością, wyężdżając wszystkie siły, aby zeznaniami swojemi nietylko nikomu nie zaszkodzić, ale raczej dopomódz do ewentualnego uwolnienia oskarżonych. Bardzo pięknem było zachowanie się c. i k. kapitana Pomazańskiego, przydzielonego do sztabu Legionów, który jednakże w śledztwie musiał zeznać dla ratowania się niektóre szczegóły, obciążające szczególnie mnie. Były to zresztą szczegóły, do których sam się przyznałem, natomiast w czasie przesłuchania dnia 24. VIII. oświadczył, że wogóle zeznać nie będzie, mimo to, że grożono mu bardzo przykreimi konsekwencjami. — W rezultacie sąd wojenny przyznał, że jako uczestnik zdarzeń 15. II. mogący być również oskarżonym, może odmówić zeznań jako świadek. — Kap. Pomazański został oddany pod austriacki sąd honorowy, który go może pozbawić stopnia oficerskiego i zmusić do służby w stopniu szeregowca. Mj. audytor Gonczarski, jako biegły prawnik, wykręcał się przy swoich zeznaniach jak mógł i mimo wszelkich wysiłków prokuratora nie powiedział nic takiego, co by nam mogło szkodzić, podniósł natomiast na naszą obronę wiele nieporuszonych dotychczas polityczno-prawnych szczegółów. Dużo życia na sądową scenę wniosło przesłuchanie Czecha weterynarza Rajmunda Postolki, który wprawdzie w śledztwie dla ratowania siebie trochę nas sypał, ale teraz robiąc z głupia franta usiłował, i to dość skutecznie, wylać całą swoją zawiść narodową na przedstawicieli c. i k. Ojczyzny. — To też zeznaniom jego, składanym z pełnym humorem, a które nie zawierały żadnych ważniejszych szczegółów — towarzyszyły stale salwy śmiechu całej galerji oskarżonych.

Zeznania kapitana Baleanu — dr. Zarnowicza — mjr. Knoppa.

Najwięcej interesującemi nietylko dla mnie osobście, ale i dla całego sądu i audytorjum były zeznania kapitana Baleanu, religji prawosławnej, rodem z Sied-

miogrodu. — Przybył on do Marmaros Sziget kilka dni przed przesłuchaniem — przyglądał mi się, jak zauważyłem z korytarza sądowego przez otwarte drzwi, a jak się dowiedziałem od pewnego ordynansa Chorwata, w menaży oficerskiej odgrażał się w obecności całego sądu, że mi się publicznie odplaci za zniewagę, doznaną dn. 15. II.

W czasie zeznań oświadczył, że otrzymał rozkaz od gen. Kossaka, ażeby wraz z por. Żarnowiczem i kilku żandarmami udał się w dwu samochodach do Mamajowiec, celem wybadania co się z Legionistami dzieje. — Na szosie spotkał maszerujące już w kierunku wschodnim kolumny. — Na postawione pytanie otrzymał odpowiedź, że to nocne ćwiczenia, czemu przeczył widok poprzecinanych słupów telegraficznych. — Gdy w Mamajowicach zatrzymał się obok posterunku żandarmerji, został przez legionistów obkoczony i rozbrojony, a gdy zapytał o powód tego postępowania, jakiś oficer szczupły z charakterystycznym nosem (markanter Nase) oświadczył mu, że legjony znajdują się w stanie wojennym z Austrią — że oficerowie austro-węgierscy są nieprzyjaciółmi Polski, a on jest jeńcem wojennym. — Zresztą cały przebieg bitwy znany z poprzedniego opisu opowiedział p. Beleanu zgodnie z prawdą.

Na żądanie kapitana Bartaka zwrócił się kap. Beleanu do sali oskarżonych i wskazał na mnie twierdząc, że z całą pewnością poznaje we mnie sprawcę rozbrojenia. — Ponieważ mnie zupełnie nie uśmiechała się szubienica, a każdemu oskarżonemu wolno się bronić wszelkimi środkami, więc oświadczyłem, że „niestety rozbrojenia patroli automobilowej“ nie ja dokonałem. Wobec tego sąd zarządził konfrontację. — Wezwano mnie na środek sali i postawiono naprzeciw kapitana Beleanu, który rozpoczął mnie fiksować swoim wzrokiem — jednakże spotkawszy się ze stanowczym psychicznym oporem, dał spokój sztuczkom magnetyzer-skim i usiłował wymusić na mnie przyznanie się opowiadaniem drobiazgów, połączonych z jego aresztowaniem. Ja zaś wykorzystałem jego pomyłki w zeznaniu, złożonym w śledztwie, gdzie twierdził, że aresztujący go kapitan miał krótko strzyżone wasy, których prze-

cież nie nosiłem i to, że Baleanu już kilkakrotnie wskazywał na innych Legjonistów jako sprawców aresztowania. — Stwierdziłem nadto, że Baleanu składa zeznanie przeciwko mnie na podstawie uprzedzenia jakiego do mnie nabrał pod wpływem gen. Schillinga.

Baleanu, chcąc się bronić przeciwko zarzutowi, że jest do mnie uprzedzony oświadczył, że nazwisko Panaś usłyszał dopiero dziś po raz pierwszy na sali sądowej, a więc nie mógł być uprzedzony. — To małe kłamstwo dało mi pełną przewagę nad przeciwnikiem, bo wiedząc o tem, że odgrażał mi się imiennie wobec całego sądu, zażądałem zaprzysiężenia świadka także i na tę okoliczność, że po raz pierwszy słyszy moje nazwisko, a więc podkreśliłem wobec całego sądu jego kłamliwość.

To też po tej konfrontacji odszedłem zupełnie spokojnie na swoje miejsce, a kap. Baleanu był cały spocyny i zdenerwowany zwłaszcza, że skompromitował się również tem, iż twierdził, że przy aresztowaniu go oświadczone mu po polsku „prawa wojna“ (Kriegsrecht) z czego sprytny Dr. Przeworski zrobił bardzo łatwo treniarski okrzyk „prawa wolna“. Ostateczne jednak zeznanie kap. Baleanu bardzo silnie mnie obciążyło, gdyż zapytany po raz drugi, czy mnie z całą pewnością poznaje, oświadczył, że mnie poznaje z całą pewnością po całym wyglądzie, a nawet i głosie. — Niewiele też pomogła kilkugodzinna komedia z porównaniem nosów, a mianowicie mojego „markantnego“ nosa, z nosem kap. Kończackiego i innych oskarżonych.

Towarzysz kap. Baleanu w wyprawie przeciw Legjonistom por. Dr. Szymon Żarnowicz, narodow. niemieckiej, a religji mojżeszowej, zeznawał bardzo ostrożnie. Niewiele widział, bo było bardzo ciemno, a ma krótki wzrok, nie zauważył także wydatnego nosa. Niewiele słyszał, bo był wielki hałas, w każdym razie nie słyszał, by wołano na jakiegoś księdza kapelana i nie mógłby zupełnie po 6 miesiącach przypomnieć sobie głosu tego oficera, który go aresztował.

Bardzo interesującymi były znowu zeznania austriackiego mjr. H. Knappa, który był w krytycznym czasie przydzielony do szkoły artylerji i stał w bardzo bliskim stosunku z pułkiem legjonowej artylerji. Gdy się dowiedział o buncie Legjonów, zaalarmował pogotowie i obsadzał drogę, aby pułk artylerji legjonowej zatrzymać pod Kocmaniem. — Zatrzymany przez niego por. Gliniecki oświadczył mu, że to tylko demonstracje przeciw pokojowi brzeskiemu, a cały pułk artylerji na rozkaz mjr. Zagórskiego poddał się bez walki.

W obozie żołnierskim w Huszt i Szeklencze mówiono powszechnie o mojej roli w czasie bitwy pod Rarańczą, a gen. Schilling obiecał, że temu Legjoniście, który tę sprawę dokładnie opisze, natychmiast da nagrodę w formie pieniężnej i zwolnienie z niewoli, a ponadto zachowa jego nazwisko w tajemnicy.

Jak zwykle wśród wielkiej masy ludzi, znalazł się jeden zdrajca i to, jak się dowiedziałem, student 6 kl. gimnaz. z Tarnowa J. Jednakże żadnego z Legionistów-świadków nie można było zmusić do zeznania tego w sądzie, ani groźbą, ani zamykaniem do ciemnicy. Sierżanta Firka tak maltretowano z tego powodu, że zemdlał na sali sądowej.

Tak samo usiłowano teroryzować legj. Drożdża i wspomnianego legj. Jagurę, jednak mimo siedzenia w ciemnicy, zmienili swoje zeznania, złożone wobec gen. Schillinga, twierdząc, że właśnie od gen. Schillinga słyszeli tę pogłoskę, iż generał został aresztowany przez ks. Panasia.

Szczególnie skruszony był legionista J., który za pośrednictwem Liebermana prosił mnie, abym pod pozorem rwania zęba przybył do dentysty i pouczył go, jak ma naprawić swoje zeznania. Gdy rzeczywiście pod eskortą dwu landszturmistów Czechów przybyłem do dentysty J., na mnie oczekiwał i ze łzami w oczach przeproszał za brak solidarności. Oświadczył, że zrobi wszystko, co mu każę, lecz wycieczka do dentysty

kosztowała mnie jednego zdrowego zęba — gdyż musiałem wskazać dentyście, który mnie boli.

Zakończenie procesu.

Po przesłuchaniu tych świadków proces stracił dla mnie zainteresowanie, a ponieważ od dłuższego czasu chorowałem na katar kiszek, rozpocząłem się starać o umieszczenie mnie w szpitalu, przyczem podpisałem deklarację, że godzę się na prowadzenie postępowania dowodowego przeciw mnie w mojej nieobecności.

Były to już czasy, gdy nadchodziły do nas wieści o wrzeniu w całej armii austriackiej i niemieckiej, tudzież o masowej dezercji na froncie bałkańskim. Dr. Lieberman zapewniał nas, że rozpoczyna się dzika demobilizacja, która kolejno obejmie wszystkie fronty, gdyż ludzie już mają dość wojny. Mimo to, że już było widać wyraźnie znaki na niebie i ziemi, że się ma pod koniec „starożytnemu światu“, umieszczono mnie samotnie w osobnym, podwójnie odrutowanym baraku szpitalnym, a stałą straż nademną objął cały pluton żołnierzy pod komendą chorążego. Pluton wystawiał 3 posterunki, z których jeden stale przebywał ze mną i wszędzie mi towarzyszył. Ażebym nie mógł komunikować się ze służbą szpitalną, wyznaczono mi osobną posługaczkę, a była nią żydówka-akuszerka. Ponieważ nie było mi wolno rozmawiać z posterunkami, więc mogłem jedynie rozmawiać z marmaroską „madame“.

Nadzwyczajna ostrożność, jak mi wytłumaczono, została zarządzona z tego powodu, że przebywający poprzednio w tymże baraku więzień ppor. Józwa, mimo, że miał dwa posterunki i nie posiadał ubrania, ani dolnej bielizny, zdołał skutecznie z baraku umknąć, mimo, że dał gen. Schillingowi słowo, iż nie będzie uciekał.

Pobyt mój w szpitalu nie trwał jednak długo, bo w ostatnich dniach września nadeszły wiadomości, że z powodu poddania się Bułgarji na łaskę i niełaskę Ententy front bałkański został objęty przez rewolucję, która spowodowała bardzo szybkie zlikwidowanie na-

szej sprawy. Mianowicie w trzy dni po poddaniu się Bułgarji, cesarz Karol zaprosił do siebie przedstawicieli Koła polskiego we Wiedniu i oświadczył im, „że wprawdzie czyn Legjonistów z dnia 15. II., ze stanowiska karnego nie był wolny od odpowiedzialności, jednakże ze względu na wierność i poświęcenie się Polaków, wstrzymuje zupełnie postępowanie sądowe w procesie w Marmaros-Sziget“.

Z wielką wdzięcznością także wspomnieć muszę, iż, gdy w czasie mego pobytu w więzieniu rozeszły się w Warszawie pogłoski o tem, że mam być wkrótce rozstrzelanym, legat papieski ks. Ratti, obecny Ojciec św. Pius XI. interwenjował w mojej sprawie u cesarza Karola.

Mimo abolicji trzymano nas w więzieniu jeszcze przez dziewięć dni. Ja przebywałem dalej w szpitalu i tu spotkał mnie zaszczyt nielada, bo sam pan generał Schilling przysłał po mnie swoje auto z tym samym szoferem, który był pod Rarańczą (Polak, który mnie natychmiast poznał) i na odbytej ze mną konferencji usiłował mnie przekonać, że jest jaknajlepszym przyjacielem Polaków i prosił, abym nie występował w kraju przeciwko niemu. Następnie usiłował mi dawać rady, aby nigdy głową nie bić o mur, bo „głową muru nie przebije“.

„Panie generale“ — odpowiedziałem mu — „od czterech lat tłukę głową o mur, a mimo to moja głowa cała, a mur się wali“. — Po załatwieniu wszystkich formalności zostaliśmy dnia 10. X. odesłani pociągiem do Lwowa, gdzie ku wielkiej radości odczytaliśmy proklamację Rady Regencyjnej, ogłaszającej złączenie wszystkich trzech zaborów w jedno ciało Polski.

Lwów, a podobnie później Kraków i wszystkie miasta po drodze witały nas z entuzjazmem. Więźniowie jednak po długich cierpieniach nie spoczęli na laurach, nie zaznali nawet kilkudniowego spoczynku, ale stanęli natychmiast do pracy, bo oto zjawiała się chwila pełnego zmartwychwstania Ojczyzny w krwawych dniach listopada 1918 r.

XXIII.

Upadek Austrii.

Gdym po powrocie z Marmarosz Sziget był u ks. arcyb. Bilczewskiego, ks. arcybiskup zwrócił uwagę na rewolucyjne przygotowanie ukraińców i wyraził życzenie, aby ze względu na niebezpieczeństwo grożące Galicji wschodniej, legjoniści zaniechali zamiaru wyjazdu do Francji, natomiast tutaj w kraju przystąpili do zorganizowania wojska polskiego. Pomny tego polecenia, pośpieszyłem niezwłocznie, by w Przemyśle, jako podstawie operacyjnej dla wszelkich działań wojskowych w Galicji wschodniej, rozpocząć pośpiesznie prace organizacyjne.

Właśnie wówczas c. i k. komenda zamianowała gen. Puchalskiego dowódcą przemyskiego korpusu; generał ten, jak wiadomo, pełnił przez kilka miesięcy funkcje komendanta Legjonów. Do niego też, jako do dawnego znajomego, znającego z praktyki środowisko polskiego czynu, który według wiadomości z Warszawy był teraz także przez Radę Regencyjną przeznaczony na polskiego komendanta Galicji, skierowałem pierwsze kroki w celu porozumienia się w sprawie organizowania polskich sił. Chcąc zachować w obopólnym interesie wszelkie środki ostrożności, włożyłem na rewerendę cywilny płaszcz (noszenie munduru legjonowego było mi zresztą zakazane pod karą 4 tysięcy koron) i w prywatnem mieszkaniu gen. Puchalskiego przedstawiłem mu prośbę, aby mi pozwolił wśród oficerów Polaków

przemyskiego garnizonu utworzyć polską organizację wojskową (P. O. W.).

Wobec planowanej z całą pewnością na listopad rewolucji ruskiej, organizacja ta mogłaby zapoczątkować należyty opór i stanowić ośrodek obronnych działań naszych.

W odpowiedzi na moją prośbę, generał zauważył, że on i wszyscy Polacy na włoskim froncie bardzo wiele ucierpieli, wskutek co najmniej nierozsądnego czynu Legjonów z dnia 15-go lutego 1918 i że dopiero wytrwałem męstwem na włoskim froncie udało im się udowodnić, że się nie solidaryzują z naszym postępowaniem.

W dalszym ciągu gen. Puchalski zapewniał stanowczo, że z chwilą objęcia „Militär - Komando — Przemyśl“ będzie miał do dyspozycji 125.000 wojska, złożonego przeważnie z Niemców i Madziarów, których będzie się starał stopniowo zastąpić Polakami, jednakże wszelki ruch, z jakiegokolwiekby pochodził strony, zdusi siłą.

Przypomniałem mu i zwróciłem uwagę na okoliczność, że jest przeznaczony przez Radę Regencyjną na Naczelnego dowódcę Galicji. Generał P. zapewnił mnie, że wie o tem dobrze, nadto ma także rozkaz z c. i k. ministerstwa wojny przeprowadzić likwidację austriackich spraw wojskowych, a więc wszystko będzie w porządku.

Nie podzielałem optymizmu gen. Puchalskiego, zaś jego 125.000 austriackiego żołnierza, bynajmniej mi nie zaimponowało, na wszelki jednak wypadek odszedłem dość pośpiesznie, by po raz drugi nie znaleźć się za austriacką kratą.

28-go października.

Opanowanie składów broni i amunicji.

Dowiedziałem się poufnie, że w Przemyśle na Zasaniu istnieje główny skład broni i amunicji, pozostały przy likwidacji całego frontu antyrosyjskiego; amunicji

było tam około 2000 wagonów, tudzież kilkanaście tysięcy karabinów i 250 armat.

Składy obszedłem dookoła z wielkim respektem, snując radosne myśli zużycowania zapasów dla naszych celów; jednocześnie wyszukałem sobie w najbliższym sąsiedztwie mieszkanie, by tę cenną całość mieć wciąż na oku. Dowiedziawszy się, że major Matczyński, oficer legionowy z II. Brygady, który poszukiwany przez sądy niemieckie za organizację ucieczki polskich oficerów z obozu jeńców w Brześciu Litewskim, krył się w Przemyśle, usiłowałem porozumieć się z nim w celu natychmiastowego przystąpienia do pilnych prac.

Okazało się, że wiadomości maj. Matczyńskiego o bliskim wybuchu powstania ruskiego i t. zw. militarnej wierności Przemyśla, kryły się najzupełniej z moimi informacjami w tym samym kierunku.

Major Matczyński wysłał też natychmiast legionistów po granaty ręczne do Krakowa i miał się porozumieć z oficerami legionowymi w celu wciągnięcia za wszelką cenę do P. O. W. także austriackich oficerów Polaków.

W razie wybuchu rewolucji ruskiej, mieliśmy się zająć zorganizowaniem wojskowem Przemyśla i Borysławia; tą ostatnią miejscowość major Matczyński znał aż do najtajniejszych kątów.

Zgodnie z przewidywaniami, rewolucja ruska wybuchła we Lwowie 1-go listopada, i — jak hiobowa wieść niesie — ze skutkiem dla nas fatalnym.

W Przemyśle panuje dziwne bezhołowie, wszyscy uciekali w rozmaite strony, koleje i wszystkie drogi przepełnione były żołnierzami, którzy w panicznym strachu, zbici w bezładne masy, pędzili bez celu.

W Żurawicy, gdzie załuguje kadra 9. stryjskiego pp., zorganizowały się jeszcze bardzo silne oddziały ukraińskie, które dla nas stanowią groźne niebezpieczeństwo; jest ich podobno kilka tysięcy i mogą łatwo, prawie bez strzału, zająć Przemyśl i składy amunicji na Zasaniu, będące tuż pod ich nosem.

Jedyną naszą nadzieją, że pułk stryjski rozlezie się we wszystkie strony, jak rozeszły się inne oddziały. Pociąg, idący z Przemyśla do Stryja, jest już szczelnie wypełniony uciekinierami — prognostyk dobry. Im mniej ich tutaj, tem większe nasze szanse.

Pierwsza patrol polska.

Kolega mój z kryminału ppor. Marek, wraz z oficerami leg. Huraganem, Buckim, Tatacą, Osestowiczem i oficerami P. O. W. z wojska austriackiego Kazubskim, Hozerem i Auerem, zorganizowali z legionistów i studentów VII. i VIII. klasy gimnazjalnej pierwszą patrol, która kolejno rozbrajała wszystkie posterunki austriackie i obsadziła główne obiekty i magazyny.

Na pierwszy ogień poszły: dworzec główny i skład broni i amunicji na Zasaniu.

Wraz z młodzieżą pospieszył z karabinem w rękę prof. Sykała, dając piękny przykład młodzieży, że nastąpił czas czynu, a nie radzenia.

Posterunki austriackie, o ile jeszcze w jakiś niewytłumaczony sposób pozostały na miejscu, poddawały się z wielką radością, podobnie postąpili wszyscy oficerowie z komendy placu i Militarkomando. Wyjątek jedynie stanowił szef sztabu Janda, który oświadczył, że dostęp do jego kancelarii będzie możliwy tylko po jego trupie; po tchórzliwej ucieczce wieszatiela, tutejszego generała Niegowana, ten pewien rycerski rys Jandy, z resztą także wielkiego Polakożercy, miał cechy rycerskiego postępowania i dlatego rozkazałem chłopcom, aby go zostawili w spokoju, dopóki się sam nie ulotni, co zresztą wcześniej czy później nastąpić musiało.

Wojskowa organizacja obrony Przemyśla.

W kancelarii, mieszczącej aparaty systemu Hughesa, zaprzysięgłem przerażonego telegrafistę na wier-

ność Państwu Polskiemu i bezzwłocznie nadałem do Krakowa depeszę o zajęciu Przemyśla i tragicznym położeniu Lwowa; w nieszczęście Lwowa jakoś nie mogłem mimo wszystko uwierzyć pomny, że przed dwoma tygodniami widziałem na ulicach Lwowa 300 legionistów, a więc siłę, wystarczającą śmiało do oporu i obrony przeciwko 3.000 Ukraińcom. Wieczorem udałem się do Rady Powiatowej, gdzie się zebrał cywilny zarząd miasta z prof. Przyjemskim na czele, tam także miała się mieścić komenda miasta, którą powierzono por. Mańkowskiemu. Bałagan był straszny — kolejarze, profesorzy, obywatele, typy niekreślonego charakteru i zajęcia, stłoczone razem w kilku pokojach, z zapalą przymierzające mundury, przypasowujące broń rozmaitego kalibru i rodzaju.

Wysłano stąd improwizowane patrole w rozmaite strony, ale ciągle temi samymi ulicami, bowiem po wybieżkach raczej prywatnego charakteru i znaczenia, ulatniała się do domów.

Aby rozciąć ten węzeł gordyjski i nadać całości taki charakter wojskowy, przyniosłem z Komendy miasta mapy i plany Przemyśla i po wyznaczeniu obiektów, które na wypadek ataku z zewnątrz należało przede wszystkim ubezpieczyć, zająłem się organizacją i regularnem wysyłaniem patroli i oddziałów wartowniczych.

Oddziały te otrzymywały odtąd pisemne instrukcje i miały rozkaz składać pisemne raporty; zarządzenie to miało tę dobrą stronę, że już koło godz. 9-tej wieczorem wiedzieliśmy dokładnie, czem dysponujemy.

Około 300 ludzi jako tako zorganizowanych (w tem 80 legionistów, 150 studentów i trochę żołnierza austriackiego wątpliwej jednak wartości wojskowej), oto zaczątek sił, z którymi rozpoczęto regularną kampanję.

Naczelne dowództwo Galicji i Śląska.

Wieczorem 1 listopada nadeszła depesza z Warszawy, że gen. Puchalski, który świeżo brał udział w układach polsko-ukraińskich w Magistracie, ma objąć Dowództwo naczelne Galicji i Śląska.

Po zawarciu układu pomiędzy Radą Narodową polską i ukraińską, generał Puchalski przyjął wspomnianą nominację warunkowo do czasu zwolnienia go z przysięgi przez cesarza Karola. Po przyjeździe jego do Rady Powiatowej i zawiadomieniu nas o objęciu komendy, — złożyłem mu natychmiast raport o stanie naszych formacji wojskowych i obsadzeniu ważniejszych obiektów a także Radymna i Żurawicy, którego się podjął porucznik Marek. Specjalnie obsadzenie Żurawicy miało znaczenie pierwszorzędne, gdyż miejscowość ta zamykała nam drogę na zachód.

Gen. Puchalski przyjął meldunek do wiadomości, zamianował swoim szefem sztabu kap. Grodzickiego, organizując jednocześnie sztab z pośród austriackich oficerów, jedynie na ordynansa zażądał legjonistę, by wypełnić lukę, powstałą wskutek samowolnej demobilizacji jego własnego służącego wraz 125.000 austriacką armją.

Energiczne zarządzenia nowego komendanta oczyściły lokal Dowództwa z wszystkich obywateli i zaprowadziły niezbędny porządek i rygor.

Za kilka godzin nowy sztab był w komplecie.

Był to doskonały zespół oficerów specjalistów, z chlubą noszących bardzo wysokie orderzy Leopolda, Żelaznej korony itd., jednakże bez żadnego zrozumienia dla ruchu narodowościowego i w dodatku bez wojska:

Gdy na dobitek złego zaraz na pierwszej odprawie wojskowej szef sztabu półsłówkami zaczął przemawiać o poddaniu się, jako rozwiązaniu sytuacji naszej, starałem się uzyskać u Puchalskiego przynajmniej to, aby straż nad składami amunicji przypadła wyłącznie legjonistom.

Temu mojemu życzeniu stało się zadość, oddział por. Kazubskiego został przeznaczony do tej służby.

Skutki ugody polsko - ruskiej.

Około 8-mej rano doszły do mojej wiadomości szczegółowe warunki ugody polsko-ruskiej i jej najfatalniejszy punkt o utworzeniu w Przemyśle bataljonu ruskiego, który ma być przez nas zaopatrzony w broń i amunicję, nam natomiast nie wolno będzie absolutnie ściągać posiłków.

Obie Rady Narodowe na skutek zawartej umowy, wezwały całą ludność do spokoju i przestrzegania ugody.

W ratuszu pełno już było radców i polityków. Usiłowałem w prywatnej rozmowie przedstawić wszystkie złe strony ugody, wszyscy jednak byli tak zachwyceni jej zawarciem, że nie poświęcono moim wywodom ani chwili uwagi. W Magistracie zapanował już prawie wszechładnie Zahajkiewicz, starosta zaś zaczął urzędować po niemiecku, czego najlepszym dowodem może posłużyć akt o odebranie Archiwum Superioratu, przechowany w moich papierach.

Na ulicach zrazu pojedynczo, potem coraz liczniej pojawiły się buńczuczne patrole ruskie, przed Dom Narodny zajęchały dwa auta z członkami rządu ukraińskiego ze Lwowa.

Szofer — Niemiec — zapewniał wszystkich gromadzących się, że Lwów i cała Galicja wschodnia jest już w rękach Ukraińców, słaby opór kolejarzy polskich na dworcu we Lwowie, nie osiągnął żadnych rezultatów.

Gdy stwierdziłem jeszcze, że ukraińskie automobile nie były nigdzie zatrzymywane, ani też nikt nie żądał nieodzownych przepustek, postanowiłem wobec grozy sytuacji ściągać legionistów na Zasanie, ażeby do ostateczności bronić składów amunicji, której obfitość mogła i musiała mieć decydujące znaczenie w czekającej nas akcji.

Równocześnie udałem się do Konsystorza, gdzie z ks. Grochowskim ułożyłem wspólnie apel do proboszczów z prośbą, by ze względu na wielkie niebezpieczeństwo natychmiast wysyłali ludzi do obrony Przemyśla; odezwę wymienioną rozniosło niezwłocznie kilku młodszych księży po większych parafjach na zachód od Sanu.

Legja oficerska.

Na odezwę gen. Puchalskiego zgłosiło się 3. XI. około 250 oficerów austriackich z zamiarem służby w wojsku polskim; zostali oni, zaprzysiężeni i zaraz na wstępie wypłacono im pensje albo zaliczki; starałem się nakłonić ich do utworzenia Legji oficerskiej, niestety większość, zresztą źle po polsku mówiąca, marzyła tylko o dowództwach pułków, bataljonów, lub co najmniej kompanji.

„Jeszcze Bogu dzięki niema u nas bolszewików — powiedział mi jeden z tych panów — also i Legji nie potrzeba“. Większość też najspokojniej rozeszła się do domów, czekając na odpowiedni przydział.

Tegoż dnia przyjechał pułkownik Sikorski, który został szefem sztabu Dowództwa Galicji i Śląska.

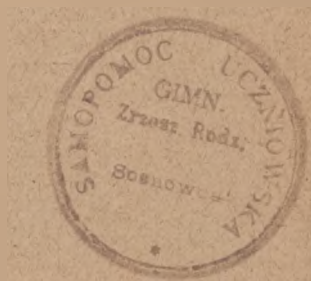
Wieczorem zaczęły się pojawiać na mieście coraz silniejsze patrole ruskie, kolportowano wieści o zbliżających się do Przemyśla bandach chłopskich, za które przemyscy Ukraińcy nie przyjmowali odpowiedzialności. Wieści te znajdowały już potwierdzenie w utarczkach, jakie patrole nasze staczały na krańcach miasta. W dowództwie Galicji i Śląska, złożonem z oficerów austriackich, nie mających pojęcia o rewolucyjnym sposobie tworzenia wojska, zapanował chaos coraz większy, którego Sikorski nie był już w stanie opanować. Puchalski zaś wszystkie depesze i meldunki w dalszym ciągu kierował do ministerstwa wojny we Wiedniu. Tą samą drogą kierował generał depesze radiotelegraficzne do Ententy o dokonanym przewrocie

— mimo, że była znacznie krótsza droga przez Jassy-Bukareszt.

Z uwagi na to wszystko postanowiliśmy mocno trzymać Zasanie i dworzec kolejowy, przede wszystkim siłami P. O. W. i legionistami.

Rozpoczęło się energiczne fortyfikowanie Zasania, a nadzieje wzrosły bardziej jeszcze z chwilą pojawienia się polowej armatki, którą ppor. Buski przy pomocy kilku ludzi sprowadził z sąsiedniego fortu. Resztę armat na nieobsadzonych przez nas fortach, musieliśmy z konieczności demontować.

Zbliżała się groźna chwila.



XXIV.

Rewolucja Ukraińska.

Dnia 4-go listopada o godzinie 6-tej rano, wyszedłszy z domu na mszę do kościoła Benedyktynek, spostrzegłem na ulicy Trzeciego Maja jakiegoś draba, nalepiającego duże afisze. Przy czytaniu nie mogłem wyjść z podziwu: „Ukraińska Komenda“ ogłasza oto sądy doraźne i grozi natychmiastową karą śmierci tym wszystkim, którzy posiadają broń, a nie należą do ukraińskich lub żydowskich organizacji wojskowych.

A więc sądy doraźne wyłącznie przeciw Polakom!

Stało się tedy to, co po zawarciu ugody przez Radę Narodową było niechybnie do przewidzenia: Ukraińcy przy polskiej pomocy zorganizowawszy swe siły, opanowali miasto, a wraz z niem i Radę Narodową.

Pobiegłem co tchu za kładkę obok Żelaznego mostu, aby zasięgnąć dokładnie języka, co się w mieście dzieje, przeszedłem pustą i zupełnie nieobsadzoną kładkę i dopiero po drugiej stronie spotkałem jakiegoś obywatela, który mnie dokładnie objaśnił, co do szczegółów odbytego przewrotu w mieście.

Zamach ukraiński miał miejsce około 4-tej nad ranem; polska komenda, wszyscy legjoniści, oraz władze nasze, są w niewoli; przed Domem Narodowym olbrzymi ruch — uprzejmy posterunek objaśnia mnie, że Przemyśl cały zdobyty, legjoniści wszyscy wyłapani, a „Naczelną Ukraińską Komendą“ właśnie przenosi się z Narodowego Domu do „Korpskomando“.

Po tych faktach bez wytchnienia i z uzasadnionym pośpiechem wróciłem do swoich i zaalarmowałem oddział legionowy w koszarach 45 pp.

Błyskawicznie przebrałem się w mundur i zdecydowałem obronę mostów, bez zabezpieczenia których wszelka obrona koszar była bezowocną. Zabrałem ze sobą 8 chłopców i 2 karabiny maszynowe i tak uzbrojeni pomknęliśmy osobowym automobilem, celem obsadzenia wylotów mostów, a więc: Domu robotniczego, klasztoru Benedyktynek i Zakładu braci Albertów.

Karabinów maszynowych było podostatkiem, 250 świeżutkich, jak z igły, gorzej natomiast było z obsługą, gdyż mało kto z będących pod ręką znał dokładnie aparat i z konieczności nawet i ja musiałem się zabrać w instruktora.

W przeciągu 10 minut mosty były doskonale obsadzone, a dzielna, zaimprovizowana obsada dla dodania sobie animuszu, waliła maszynami siarczyście w mętne wody Sanu.

Przy zorganizowaniu pierwszej obsady linii Sanu, bardzo wielkie zasługi położyli: por. Doskowski, komendant drewnianego mostu, a później dowódca odcinka, ppor. leg. Bucki, który dowodził obsadą żelaznego mostu, tudzież legioniści: Ostroga, Pacuła, Zeiger, Niemczyk, Bystrzycki i w. in.

Większość oficerów legionowych w czasie zamachu, dostała się niestety do niewoli.

Na alarm wszczęty, zaczęli się zbiegać do nas całymi gromadami obywatele starzy i młodzi pod broń; zważywszy, że mieliśmy kilkanaście tysięcy karabinów, wojsko tworzyło się w mig, dając nieraz swym dorywczym składem ciekawe naprawdę obrazki.

Po 20 minutowym ćwiczeniu, oddziały sprawnie maszerują na front, por. Adamski wydaje broń i amunicję, kilka pań uruchomiło kuchnię polową, która nęci podniebienia świeżych adeptów Marsa. O godzinie 11-tej zgromadzono już około 350 ludzi, był to oddział

łek, który mógł stawić czoło. O jego powstaniu zameldowałem telefonicznie gen. Roji w Krakowie.

Rozkaz kapitulacji.

W południe wrócili z ukraińskiej niewoli legjoniści pułk. Sikorski, por. Marek i Huragan), wszyscy w przebraniu. Równocześnie doszła nas wiadomość, że na rozkaz gen. Puchalskiego, Żurawica poddała się Ukraińcom.

A więc łączność z Zachodem stracona, na dobitkę złego, parlamentarz ruski przyniósł nam pisemny rozkaz Puchalskiego, nakazujący natychmiastowe złożenie broni, oddanie wszystkich magazynów Ukraińcom, którzy mają nas odstawić aż do Rzeszowa.

Sikorski, jako najstarszy rangą, zwołał naradę wojenną, podczas której większość obecnych, ze względu na zupełne nasze odcięcie od Zachodu, oświadczyła się za spełnieniem rozkazu kapitulacyjnego. Wystąpiłem przeciwko tym głosom z całą stanowczością, podkreślając, że odpowiedzialność za ten czyn spadnie wyłącznie na nas, gdyż Puchalski nie wie nic o naszych znacznych już siłach, a w dodatku generał, będący w niewoli, nie ma prawa rozkazywania.

Jednocześnie złożyłem oświadczenie, że natychmiast rozpocznę kroki w celu oczyszczenia Żurawicy z nieprzyjaciela i uzyskania szybkiej pomocy z zachodu. Słowa moje znalazły posłuch.

Puchalski dostał właściwą odpowiedź, a ja przy pomocy adjutanta Migacza, organizatora stacji kolejowej na Zasaniu, udałem się sam jeden bez broni na parowozie do Żurawicy.

Odebranie Żurawicy.

Na bloku Żurawicy zatrzymała nas patrol ukraińska, jednak po stwierdzeniu, że nie posiadamy żadnej broni, puszczono nas dalej bez przeszkód. Na stacji spotkałem prawie całą naszą obsadę pod komendą por.

Suchomla, który stał na czele oddziału, złożonego niemal wyłącznie z żołnierzy austriackich. Po złożeniu broni załadowywał ich do odjazdu do Rzeszowa.

Po krótkich słowach przedstawienia się zacząłem wszystkim nieco wymyślać, wykazując smutne następstwa haniebnej ucieczki, bo tylko ucieczką nazwać można to postępowanie na rozkaz generała, wziętego do niewoli, który tem samem stracił prawo i moc rozkazodawstwa, a powoływanie się na jego właśnie rozkaz wyda się niewłaściwem już nie tylko wojskowemu, ale nawet pierwszemu lepszemu „cywilowi“.

Argumentacja poskutkowała, por. Suchomel prawie ze łzami w oczach wyciągnął rewolwer i z okrzykiem: „Chłopcy za mną“, poprowadził chętnych żołnierzy na odbicie dworca i sąsiednich koszar. W przeciągu kilku minut wszystko było znowu w naszych rękach, jedynie Ukraińcy na bloku stacyjnym nie chcieli się poddać, ustąpili jednak wobec możnego rozkazu karabinu maszynowego. O odbiciu Żurawicy, zawiadomiłem natychmiast telefonicznie Zasanie, a w przewidywaniu, że rozkaz kapitulacyjny gen. Puchalski przesłał niezawodnie i do Radymna, udałem się tam natychmiast parowozem.

P o m o c z K r a k o w a .

Z Przeworska wysłałem przedewszystkiem rozkaz do Rzeszowa, aby wszystkie transporty wojskowe szybko demobilizowanych skierować na Jasło-Zagórz, a to w celu uniknięcia fali ruskich żołnierzy, powracających z włoskiego frontu; transporty, będące już w drodze, kazałem kierować na Rawę Ruską.

Nie bez dużych trudności udało mi się otrzymać połączenie telefoniczne z gen. Roją, którego przyrzeczenia rychłej pomocy mogły być w potrzebie pewną nadzieją, nie pozwalały jednak ustalić bliższych tej pomocy szczegółów.

Chcąc upewnić się jednak jak ta pomoc naprawdę będzie się przedstawiała, poprosiłem do telefonu szefa

sztabu krakowskiej komendy i od niego też -z przykrością dowiedziałem się, że na żadną pomoc z Krakowa liczyć nie można, gdyż Kraków poza kilkudziesięciu legionistami wojska niema, a studentów brak nawet do obsadzenia najważniejszych obiektów wojskowych, na które męty podmiejskie rzuciły się gwałtownie.

„Przyślijcie chociażby pusty pociąg pancerny“, — molestowałem szefa sztabu, który zakończył mowę obietnicą: „jeżeli będzie, to księdzu postaram się wysłać“.

Powołując się na pełnomocnictwo gen. Roji, telegrafowałem do wszystkich stacji kolejowych wzdłuż linii Sanu, aby personel kolejowy zbrojnie obsadził wszystkie mosty i przejścia na Sanie.

W nadspodziewanie szybkim tempie zaczęły wpływać meldunki telegraficzne ze wszystkich stron, że zarządzenie moje przyjęto do wiadomości i wykonano, jedynie naczelnik stacji w Rzeszowie nie akceptował rozkazu i zmiany kierunku transportów, jednakże i on niebawem musiał ustąpić, a to na interwencję pułkownika Sławikowskiego, który znowu objął funkcje referenta kolejowego, już jako polski oficer. Nabrałem przeto otuchy i rozzuchwalałem się; w dodatku od czasu tęgiego lania jakie nam przypadło w chwili przeprawy po traktacie brzeskim pod Zuczka, które nam sprawił pociąg pancerny, nabrałem dla mknących potworów pancernych dużego poważania i pragnąłem choć raz siłę pancerki zużytkować w polskiej służbie.

Zażądałem też niezwłocznie połączenia telefonicznego z Zasaniem i świadom tego, że rozmowa moja będzie równocześnie przejęta przez rusinów, podyktowałem następującą depeszę:

„Polskie Dowództwo miasta Przemyśla na Zasaniu. Trzymać się, rano przyjeżdżam pociągiem pancernym z bataljonem, który już awizowany z Krakowa. Panaś“.

Depesza zrobiła swoje, bo w Jarosławiu doręczono mi depeszę następującej treści: „Pociąg pancerny za-trzymać, pod tym warunkiem Ukraińcy godzą się na

rozejm..." Depesza doszła równocześnie jak to przewidywałem, do rąk właściwego adresata, t. j. ukraińskiej komendy i rychło odniosła pożądany skutek.

Zwłoka może nam tylko wyjść na dobre — jutro my będziemy panami sytuacji.

D o g o d n y r o z e j m .

Do Przemyśla wróciłem nad ranem, po drodze zaglądnąłem do Żurawicy, która się znowu doskonale zorganizowała, tutaj dowiedziałem się telefonicznie, że warunki rozejmu mają być dla nas bardzo dogodne: niebawem rzeczywistość potwierdziła te wiadomości.

Rozejm został zawarty na następujących warunkach:

1) wypuszczenie wszystkich podstępnie wziętych do niewoli oficerów i żołnierzy polskich;

2) odwołanie sądów doraźnych przeciwko Polakom posiadającym broń;

3) swobodny ruch ludności cywilnej Przemyśla w całym mieście po obu brzegach Sanu;

4) dostarczenie nam z głównego magazynu 10.000 bochenków chleba i odpowiedniej ilości sztuk bydła na potrzeby załogi Zasania.

Układ ten — jak widać — jest dla nas rzeczywiście bardzo pomyślny, a umieszczenie w protokole potępienia podstępnego zerwania przez Ukraińców ugody zawartej z polską Radą Narodową było dla nas dużym zwycięstwem moralnem.

Korzystając z III punktu układu, włożyłem rewerendę i nienagabywany udałem się do miasta, ażeby zbadać sytuację. Pod pozorem starań o przepustkę zaszedłem do ukraińskiej komendy celem zorientowania się w siłach przeciwnika i jego wartości; ku niemałej uciesze zastałem tam na stanowisku ukraińskiego komendanta, starego austriackiego podpułk. Szafrąńskiego — nie był to groźny przeciwnik i niewątpliwie łatwo będzie go można strachem wykurzyć.

Po drodze odwiedziłem kilku kolegów księży i zanieśli im zapewnienie, że niewola ich wkrótce się skończy; w mieście zetknąłem się także z wielu zaprzysiężonymi już oficerami, którzy dotychczas albo nie mogli, bądź też nie chcieli dostać się na Zasanie, gdzie trudno było być neutralnym.

Wielu nie wróciło na Zasanie, padli bowiem bohatersko na posterunku w dniu trzecim listopada.

Korzystając z tego, że mimo dawniejszego 9-letniego pobytu w Przemyślu jestem tutaj osobiście prawie zupełnie nieznany, rozpocząłem intensywne uganianie po mieście bez obawy rozpoznania przez Ukraińców.

Zdobyte auta ciężarowe.

Spotkałem przypadkowo jednego z naszych szoferów, który mnie zaprowadził do garażu wspaniałych automobili ciężarowych i na miejscu roztaczał fantastyczne plany ich uprowadzenia.

Po dłuższej naradzie postanowiłem, żeby pozostał w mieście w oczekiwaniu na stosowną chwilę, gdy będzie można przeprowadzić ułożony już z góry plan. Pułk. Sikorski po zawarciu układów rozejmu wyjechał do Krakowa, polecając mnie i por. Kazubskiemu dalsze prowadzenie pertraktacji.

W myśl układu gen. Puchalski miał wraz z innymi oficerami polskimi uzyskać wolność, zażądał tedy od ukraińskiej komendy przepustki na automobil, celem przewiezienia go z należnymi honorami z miejsca internowania. Komenda ukraińska papiery odpowiednie wystawiła i na ich podstawie wybrałem się już w mundurze po generała automobilem.

W mieście witano mnie entuzjastycznie.

Stosownie do umowy czekał na mnie koło Komendy korpusnej wspomniany poprzednio szofer i na podstawie wręczonej przezemnie przepustki wy dostał upatrzone auto ciężarowe, mknąc czem rychlej na Zasanie do polskiej twierdzy.

Szofer zobowiązał się powrócić do godziny z „automobilną przepustką”. — Niestety, obietnicy w tej formie nie dotrzymał, jednakże zdażył uprowadzić na Zasanie drugą ciężarówkę, naładowaną materiałem telefonicznym, a podczas prób udania się sztuki po raz trzeci, został ponoś aresztowany po tamtej stronie i słych o nim zaginął.

Wobec bardzo licznych zgłoszeń do wojska z nieobsadzonej części miasta postanowiliśmy utworzyć regularny pułk piechoty i czyniąc zadość miejscowej tradycji nadaliśmy mu z rozkazu gen. Roji Nr. 10, jaki przysługiwał dotąd pułkowi ziemi przemyskiej za czasów austriackich.

Komendę pułku i garnizonu w uwzględnieniu zasług oraz ofiarnej działalności od pierwszej chwili organizacji obrony Zasania otrzymał por. Kazubski, dowództwo batalionów objęli por. Dосkowski i Huragan, por. Marek pełnił funkcję szefa sztabu załogi, ja zaś w dalszym ciągu miałem w swych rękach organizację obrony całej linii Sanu, sieci telefoniczne oraz łączność z Krakowem.

Adjutantem moim był por. Auer, organizację artylerii objął por. Mantel. Gen. Puchalskiemu wytłumaczyłem, że wypadki ostatnich dni gruntownie przeinaczyły sytuację i że obecnie władza wojskowa nad Galicją spoczywa w rękach gen. Roji, który ma odtąd prawo rozkazywania. W towarzystwie por. Burdy odprowadziliśmy gen. Puchalskiego do Jarosławia, gdzie na żołd dla tworzącego się pułku ziemi przemyskiej podjąłem z Banku austro-węgierskiego za pośrednictwem tamtejszego starosty 70.000 k.

Natychmiast po powrocie postanowiliśmy z funduszu tego wszystkim walczącym bez różnicy szarż wypłacać tymczasowo po 10 k. dziennie; krok ten był uczyniony ze względu na to, że obok zapalonych i świadomych celu patriotów, mieliśmy bardzo wiele materiału mniej wartościowego, który trudno było utrzymać w ryzach bez dobrego wikt i pewnego wynagrodzenia.

Gen. Roja przyjął naszą tymczasową „regulację płac“ wojskowych do wiadomości, polecając złożenie odpowiedniego meldunku do szefa naszej Intendantury w Warszawie.

W czasie pobytu w Jarosławiu stwierdziłem, że moje kilkakrotne rozkazy o obsadzeniu mostów kolejowych i zwykłych na Sanie i Szkle nie zostały dotychczas wykonane, interpelowany o to dowódca garnizonu pułk. Jarosz, dysponujący paruset ludźmi doskonale wyekwipowanymi, oświadczył, że według jego zdania ludzie jego nie są dostatecznie wyćwiczeni i wobec tego cały ciężar służby spada z konieczności na mały oddziałek legionowy por. Kaszy.

Przy pomocy por. Nuckowskiego, mego szkolnego kolegi, udało mi się przekonać pułkownika, że obsada mostów na Sanie i Szkle oraz kontrola dokładna pociągów odchodzących i przychodzących z Rawy Ruskiej jest konieczną ze względu na fakt, że jest to druga linia ofenzywy na Lwów.

Przy sposobności pobytu w Jarosławiu odwiedziłem oddział legionowy por. Kaszy w koszarach za miastem i osobiście już dopilnowałem obsadzenia mostu kolejowego pod Surochowem; gorzej natomiast ma być z mostem na Szkle, który, według obiegających pogłosek jest już obsadzony przez chłopów, pozostających pod komendą feldwebla Klee, dawnego podkomendnego pułk. Jarosza, pragnącego początkowo układać się z pułk. J., ten ostatni jednak propozycję układów odrzucił.

Wieczorem udało mi się uzyskać połączenie telefoniczne z Jasłem i Krosnem — mojami rodzinnymi stronami, w których formowały się już oddziały wojskowe pod komendą kap. Swobody, do niego też zwróciłem się z prośbą o najrychlejszy wymarsz w kierunku Sanoka, Zagórza i Chyrowa celem wyrównania naszej linii zagrożonej od południa.

Organizacja artylerji i kawalerji.

Trzeci dzień walki zastał nas już porosłych w pie-rze: mieliśmy jedną baterję nowszego typu pod do-wództwem por. Mantla, oraz kawalerję organizowaną przez Beliniaka, chor. Tatare, wachm. Wasiuty i Ro-bakowskiego.

Pluton kawalerji spatrolował na wstępie swej dzia-łalności wszystkie przejścia i brody na Sanie aż pod Krasiczyn, gdzie się przeprowadził na drugą stronę dla wykonania rekonesansu. W koszarach na Zasaniu, na posterunkach i placówkach odcinkowych wrzało już życie w całej pełni, głód pierwszych dni ustąpił teraz miejsca obfitości chleba, dostarczonego przez Ukraiń-ców na mocy rozejmu.

Układy z żydowską radą ludową.

Około 10-tej przedpołudniem zjawiła się w Kwa-terze naszej deputacja przemyskiej żydowskiej Rady Ludowej z adwokatem Dr. Eisnerem na czele, żądając ze względu na zanoszące się rzekomo na Zasaniu roz-ruchy antysemickie, zezwolenia na utworzenie neutral-nej milicji żydowskiej dla ochrony życia i mienia ży-dów na wzór podobnej, istniejącej już w Przemyśle za zezwoleniem władz ukraińskich.

Sierżant Burda, który wspólnie ze mną prowadził pertraktacje był za utworzeniem proponowanej milicji i wydaniem jej broni, sprzeciwiłem się jednak temu projektowi i wytłumaczyłem pp. delegatom, że to wła-śnie milicja żydowska może spowodować rozruchy an-tyżydowskie, ten bowiem, kto ma w ręce broń w czasie bitwy z trudnością utrzyma się w roli neutralnego i łatwo a niepotrzebnie może się taki zbrojny neutralny narazić na silne podejrzenia i idącą za tem nienawiść tłumu.

Delegacja po tem przedstawieniu stanu rzeczy skłoniła się do mego poglądu, wobec czego dałem im słowo kapłana i legjonisty, że jeżeli nie będą porywać

się na tworzenie milicji żydowskiej, to żadnemu żydowi na Zasaniu włos z głowy nie spadnie.

Zapewnienia te, uznane ze strony delegacji za dostateczne, zostały zaprotokółowane w dwóch jedno-brzmiących egzemplarzach i podpisane przez obie strony.

Układy z Ukraińcami.

W południe udałem się z por. Auerem do Domu Narodowego na dalsze pertraktacje z Ukraińcami.

Po wzajemnem przedstawieniu pełnomocnictw, przewodniczący ukraińskiej komisji p. Sabat, rozpoczął konferencję od komplementów pod moim adresem w związku z Marmarosz Sziget i organizacją Zasania; odpowiedziałem p. S. równym komplementem, dziękując Radzie ukraińskiej za złamanie układu z 2-go listopada i wzięcie do niewoli gen. Puchalskiego wraz z Radą Narodową. Ten bowiem krok Ukraińców w znacznej mierze wyjaśnił wzajemną sytuację i dał możliwość zorganizowania się.

Sabat i Jarema zrobili kwaśne miny, zaczęły się obrady, dotyczące zatargów pomiędzy placówkami na linii demarkacyjnej oraz w sprawie traktowania ludności cywilnej przez obie komendy wojskowe.

Układy zaczęły przekraczać ramy zaściankowych pogadanek z chwilą, gdy Ukraińcy zażądali trwałych gwarancji bezpieczeństwa szczególnie dla ruskich księży, ku wielkiemu też zdziwieniu delegatów stwierdziłem jasno, że właściwie nasze dotychczasowe układy są nieważne w braku zatwierdzenia ze strony zarówno polskiej, jak ukraińskiej Komendy Naczelnej.

„Wprawdzie Polska Komenda Naczelna wie o układach bardzo dobrze, nie może ich jednak zatwierdzić dopóty, dopóki panowie nie przedłożycie zapewnienia ze strony waszej Naczelnej Komendy, że je również zatwierdzi i uzna za obowiązujące. Jeżeli Panowie takiego oświadczenia nie złożą, to zachodzi niebezpieczeństwo, że w tym samym czasie, gdy my tutaj spokojnie

i po przyjacielsku radzimy, przyjadą na Zasanie 4 pociągi pancerne, 2 dywizje piechoty i zaczną bombardować miasto; równie dobrze, gdy układy będą się toczyć na Zasaniu, może się zdarzyć podobna dywersja z drugiej strony, przedewszystkiem więc prosimy o zatwierdzenie układu rozejmowego“. W odpowiedzi na to por. Jarema zauważył: „Wam łatwo porozumieć się z Komendą Naczelną — macie telefony i telegrafy, od nas jednak kurjer musi jechać konno, bo nawet samochodem trudno dojechać“. Z uwagi tej łatwo było wywnioskować, że Ukraińcy są jeszcze nieorganizowanymi, a Lwów widocznie się broni, skoro do ukraińskiego sztabu można dotrzeć tylko konno.

Układy nasze, toczące się w polskim i ukraińskim języku, utknęły na „*principialnoi toczce*“, t. j. braku kompetencji obu stron; mimo to jednak posiedzenia komisyjne miały się odbywać w dalszym ciągu dla załatwienia bieżących spraw.

XXV.

Rada robotniczo-żołnierska.

Gdy wróciłem do koszar, zjawił się u mnie plut. Ostroga i zameldowawszy, że sierżant Burda wydał mu rozkaz udania się w charakterze delegata na posiedzenie Rady robotniczo-żołnierskiej, zapytał, co ma uczynić; gdyby nie kilka zdań, wygłoszonych już przedtem przez wspomnianego Burdę w sprawie milicji żydowskiej, nie dałbym wiary meldunkowi, który mnie przerażał potwornością pomysłu pana Burdy.

— Rzeczą polityków, adwokatów, profesorów i innych cywilów — odrzekłem — jest robić Rady Narodowe czy robotnicze, rzeczą natomiast żołnierza jest bić nieprzyjaciela i dlatego weźmiesz, kochany obywatelu, jedno auto ciężarowe, 2 karabiny maszynowe,

1)) Towarzysz Burda, to typ socjalisty-agitatora, który zdołał ukończyć zaledwie szkołę ludową i przeczytał parę agitacyjnych socjalistycznych broszurek o komunizmie Marxa, któremu jednak nie smakował zawód malarza pokojowego i lakiernika, ale wołał konspiracyjną robotę przeciwko społeczeństwu. Rudolf Burda zawdzięczał swą podoficerską karierę służbie w oddziale wywiadowczym I Bryg., a służba ta w dalszym ciągu mimo bardzo poważnych i uzasadnionych zarzutów, zapewniła mu stopień majora W. P.

W sprawie organizowania rad robotniczo-żołnierskich, ogłoszenia Republiki przemyskiej i wprowadzenia do oddziałów wojskowych czerwonych bolszewickich odznak, toczyła się w sądach wojskowych rozprawa przeciwko Burdzie i p. Kazubskiemu, ale na polecenie „z góry“, została umorzona.

4 żołnierzy i pojedziemy rozbierać ruskie wsie, buntujące się na naszych tyłach. Ja pojedę z Wami. Plut. Ostroga rozkaz natychmiast wykonał, zebrał delegatów Rady Żołnierskiej, wziął karabiny maszynowe, ja zaś tymczasem przestrzegłem por. Kazubskiego o niebezpieczeństwie, grożącym ze strony Rad Żołnierskich.

Okreśną drogą przez Ostrów, Kuńkowce, Wapowce, objechałem z patrołą wszystkie wsie, ustanawiając wszędzie polskie milicje obywatelskie.

Stary i mocno skrzypiący automobil ciężarowy, najeżony karabinami maszynowymi, robił wszędzie przerażające wrażenie, chłopcy wysyłali do pancernego potwora deputacje, że chętnie złożą wszystką broń i zawiozą ją na Zasanie swojemi furami — byle tylko oszczędzić wieś. Spotkawszy po drodze nasz osobowy automobil, powróciłem do Przemyśla późnym wieczorem, a „Rada Żołnierska“ w dalszym ciągu rozbierała ruskie wsie i dopiero na drugi dzień powróciła do koszar.

Niestety pokazało się, że nie tylko p. Burda projektuje dla Polski ustrój komunistyczny, ale do spisku należał również por. Kazubski i dlatego odbyło się mimo wszystko posiedzenie rady robotniczo-żołnierskiej a to dzięki zabiegom sierż. Burdy, który po cofnięciu się plut. Ostrogi i tow. powołał do życia inną delegację żołnierską, uciekając się do bardziej konspiracyjnych metod działania.

Lubelski rząd ludowy.

Dnia 7. XI. o godzinie 12-tej w południe otrzymałem telefoniczną wiadomość z Krakowa o utworzeniu się rządu ludowego w Lublinie z Daszyńskim jako premierem i Rydz-Śmigłym jako ministrem wojny. Zażądałem połączenia telefonicznego z Lublinem, odezwał się na razie Radom, a na żądanie moje rozmowy z pułk. Rydzem w Lublinie, telefonistka, która mnie widocznie znała z gazet oświadczyła, że gen. Rydz jest

na Radzie Ministrów, rozmowa będzie utrudnioną, połączy mnie natomiast z Dowództwem miasta Radomia.

Przy telefonie zjawił się komendant miasta por. Marjański, którego poprosiłem o natychmiastowe przysłanie nam pomocy. „O to będzie trudno, my wojska sami dużo potrzebujemy“. — Wszakże macie cały pułk z Warszawy — zauważyłem — świat się przecie u was nie zawali, a Lwów tymczasem i Przemyśl mogą zginąć“.

— „Przecież czytaliśmy w „Kurjerku“, że w Przemyślu po usunięciu Puchalskiego, ksiądz dzielnie broni miasta, a co do Lwowa, to są dalsze plany w związku z armją Hallera, idącą od wschodu“.

Na zapytanie o sytuację otrzymałem w odpowiedzi informację, że „Besselerczycy“ poddali się i złożyli przysięgę, tylko Zarzycki „pod kluczem“.

Zrozumiałem całą tragedję położenia. Po pożegnaniu porucznika, zacząłem znowu wytrwale domagać się rozmowy z pułk. Śmigłym, który po pewnym czasie zjawił się istotnie przy telefonie, jednakże z powodu złego funkcjonowania aparatów musieliśmy w rozmowie korzystać z pośrednictwa wspomnianej wyżej telefonistki z Radomia.

Z rozmowy z por. Marjańskim wywnioskowałem wiele, lecz mimo to prosiłem usilnie pułk. Rydza o wysłanie przez Rawę Ruską „wehrmachtowego“ pułku pod komendą Zarzyckiego. — „Pułku tego — odrzekł Rydz — wysłać nie mogę, pomoc wyszlę później“.

W wirze sytuacji.

Pragnąc dokładnie zbadać sytuację, zażądałem rozmowy z gen. Roją i Tetmajerem; gen. Roję zapytałem, czy ze względu na fakt, że obrona linii Sanu musi mieć oparcie o Lubelskie, szukać łączności na lewym skrzydle, równocześnie prosiłem o najszybsze przysłanie starszego oficera, któryby umiał miejscowym warun-

kom sprostac i zajac odpowiednie stanowisko w trudnej sytuacji wewnetrznej.

Gen. Roja odpowiedzial krótko: „łączności nie szukać, ja będę za dni parę — pomoc nadejdzie niebawem, dyspozycje wiezie major Matczyński“.

Po tem wyjaśnieniu sytuacja przedstawila mi się w dalszym ciągu niejasna i dlatego zażądałem rozmowy z p. Tetmajerem z komisji likwidacyjnej, ten ostatni mi wyjaśnił, że w kraju lada chwila oczekują wjazdu Piłsudskiego, a rządu lubelskiego nikt poza socjalistami nie uznaje.

Czerwone odznaki zamiast odznak Legionowych.

Komunistyczne dążenia p. Burdy i Kazubskiego nabrały znacznej siły pod wpływem wiadomości z Lublina i obaj ci panowie przyczepili sobie do czapek zamiast orła polskiego czerwoną kokardę, a Kazubski, jako komendant pułku nakazał zrobić to samo żołnierzom, usuwając dawne oznaki legionowe.

Interwenjowałem u komendanta pułku, żądając stanowczo, aby ze względu na ciężkie nasze położenie zdjął czerwoną odznakę, którą zresztą może nosić jako człowiek prywatny, a nie jako dowódca miasta, bo fakt ten gorszy i drażni wielu podkomendnych, jak również zażądałem cofnięcia rozkazu o zaprowadzeniu nowych odznak wojskowych — na kostjumologię mamy bowiem dużo jeszcze czasu, a wiele zadań pilnych przed sobą.

Kazubski zrozumiał moje intencje i w uznaniu słuszności żądania zdjął odznakę i cofnął natychmiast rozkaz o zaprowadzeniu nowych odznak.

Rady robotniczo-żołnierskie.

Mimo wszystko sierż. Burda nie dał za wygraną. Wieczorem nadeszła z miasta wiadomość, że w Przemysłu mają socjaliści proklamować republikę ludową pod rządami Rady robotniczo-żołnierskiej.

Były to najstraszniejsze i najcięższe godziny z tych, jakie mi dotychczas przypadły w udziale.

Za kim iść, komu wierzyć?

Pójść przeciw prądowi i doprowadzić do starcia, to nas wszystkich razem zaleje fala ruska, czy też iść z prądem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa zwali natomiast całe społeczeństwo w przepaść?

„Foris pugnae — intus timores“.

Z rozpaczcy wyrwało mnie pojawienie się moich zaufanych chłopców z patroli odbytej pancernym automobilem; — dotarli oni do Dubiecka i Pruchnika, zabezpieczywszy w ten sposób nasze tyły podnieśli ufność wśród polskiej ludności, która wszędzie potworzyła milicję.

— Chłopcy — przemówilem — spisaliście się dzielnie, gorzej natomiast dzieje się u nas, przyjść może do wewnętrznej walki i dlatego zapamiętajcie sobie, że należy bronić każdego, kto każe bić wroga. Nie dawać jednak posłuchu tym, którzy bić każą swoich.

Późno w nocy, do pokoiku mego obok Centrali telefonicznej przyniósł jeden z legionistów duży afisz czerwony, obwieszczający powstanie Rady robotniczo-żołnierskiej i Republiki ludowej w Przemyślu.

„Cichutko należy te wszystkie afisze pozdzierać tak jak uczyniliśmy z ukraińskimi afiszami o sądach doraźnych“.

Afisze znikły niebawem. Rozbroiliśmy także milicję żydowską, którą mimo wszystko sformował sierż. Burda w porozumieniu z por. Luftem.

Chłopcy sprawili się grzecznie i działali stanowczo, żydzi nie stawiali oporu ze względu na to, że zorganizowali milicję wbrew poleceniom swej własnej delegacji.

Wcześniej rano otrzymałem wiadomość, że do Żurawicy przyjechali major Matczyński, mający według zapowiedzi gen. Roji przywieść szczegółowe dyspozycje.

Major M. oświadczył mi na wstępie, że jest przez gen. Roję mianowany tymczasowym komendantem Przemyśla i jako taki ma zrobić odpowiedni porządek, a ze względu na szerzący się komunizm przeprowadzić odpowiednie aresztowania i sąd doraźny; ponieważ jednak Matczyński nie posiadał odpowiednich do tego sił, więc za moją radą, obowiązków narazie nie objął, aby nie wywołać natychmiastowego starcia.

Nie uchroniło to nas jednak niestety, od poważnego wewnętrznego zatargu, który jedynie, dzięki wysokiemu poczuciu patriotyzmu i taktowi kilku oficerów, udało się załatwić bezkrwawo.

XXVI.

Odsiecz.

Tę tryumfalną wiadomość przywiózł nam umyślny kurjer z Krakowa, komunikując zarazem wyczerpujące wiadomości o zorganizowaniu 4 i 5 pułku legionów, śpieszących na odsiecz Lwowa. Pułki mają się rekrutować przeważnie z dawnych Legionistów, pojawienia się ich należy oczekiwać za dzień, najwyżej półtora. Uściskałem serdecznie gońca, uradowany zwłaszcza wiadomością o pancernym pociągu, miał on bowiem zadać kłam ukraińskiej „Woli“, która zamieściła wczoraj drwiącą notatkę, że „polski pociąg pancerny to tylko brechnie ks. Panasia“.

Będą mieli niebawem brechnię.

Mimo starań w dalszym ciągu nie mogłem dowiedzieć się o miejscu pobytu gen. Bijaka, jeszcze raz tedy poprosiłem gen. Roję o najrychlejsze przysłanie sztabowego taktownego oficera, któryby złuzował maj. Matczyńskiego; ten ostatni jako lekarz i człowiek zbyt nerwowo nie nadawał się według mnie na dowódcę twierdzy.

— Dobrze — odpowiedział gen. Roja — kometantem Przemyśla i całej grupy Sanu zamianowałem maj. Stachiewicza, przyjedzie on jeszcze dzisiaj do Przemyśla z odsieczą, a księdzu dziękuję za organizację i dzielną obronę linii Sanu. W uznaniu zasług nadaję księdzu krzyż „Swastyki“.

Zapewniam, że dla Ojczyzny chętnie i zawsze stanę do każdej pracy zakończyliśmy rozmowę, która równocześnie zbliżała rolę moją do końca. Pozostała jedynie troska, aby objęcie władzy przez maj. Stachiewicza mogło się odbyć bez tarć, których świadkiem byłem poprzedniego dnia.

Po południu miały miejsce zwykłe pertraktacje z Ukraińcami; postanowiliśmy konferować w dalszym ciągu, by nie zwrócić uwagi na planowe zmiany. W pertraktacjach udziału już nie brałem, zwróciłem jednak uwagę por. Marka na potrzebę wyznaczenia jutrzejszych układów na naszym terenie.

Zapowiedziana pomoc w dn. 10. XI. nie przybyła. Ponieważ jednak jej przyjazd został zapowiedziany, już z Jarosławia udałem się wczesnym rankiem na spotkanie odsieczy, którą też zastałem w Żurawicy.

Większość odsieczy, zarówno oficerowie jak i żołnierze piechoty i artylerji, składała się z moich starych znajomych legionowych, więc powitanie nadzwyczaj serdeczne i czułe. Szczególnie mile uderzał widok krakowskiej Legji oficerskiej, o której stworzenie bezowocnie przed 10 dniami zabiegałem w Przemyślu.

Objęcie dowództwa na Zasaniu odbyło się bez najmniejszych tarć, bo sierżant I. Br. Burda, który awansował na porucznika, stracił tupet wobec świeżo mianowanego mjr. I. Br.

Układy nieoficjalne z Rusinami odbywały się w dalszym ciągu, niestety por. Marek nie postarał się o wyznaczenie ich na Zasaniu i sam niebawem znalazł się wskutek tego w wielkim niebezpieczeństwie, gdy pociąg pancerny wskutek nieporozumienia rozpoczął ogień na dworzec kolejowy. Teraz ujawniła się pełna korzyść mojego oświadczenia na jednej z poprzednich konferencji o obustronnem braku upoważnienia do prowadzenia wiążących rokowań; por. Marek niewątpliwie padłby ofiarą porywczosci parlamentarzy ukraińskich, jednakże wobec powyższego mojego oświadczenia

i złożenia słowa honoru, że o planowanym ataku nie nie wiedział, udało mu się cało ująć na wolność.

Z okazji niepotrzebnej strzelaniny straciliśmy dwu ludzi, a nadto przedwczesne zaalarmowanie nieprzyjaciela utrudniało zdobycie miasta.

Dn. 11 listopada maj. Stachiewicz przesłał ukraińskiej komendzie ultimatum z żądaniem oddania miasta do godz. 12 w południe, równocześnie nasi wysłańcy rozlepili po mieście afisze z wezwaniem do ludności, ażeby o godz. 12 pochowała się do domów.

Z powodu braku jakiejkolwiek odpowiedzi na ultimatum ze strony Ukraińców rozpoczęto punktualnie o 12 ostrzeliwanie artylerją wszystkich obiektów obsadzonych przez Ukraińców i uzbrojonych w karabiny maszynowe.

Po przygotowaniu artylerzyckim pociąg pancerny rozpoczął atak na Most żelazny; pancerka nasza dzięki szybkiej orientacji kolejarzy szczęśliwie wyminęła lokomotywę puszczoną umyślnie przez Ukraińców celem wykolejenia naszego pociągu. Parowóz ten ujęto w Żurawicy i zużytkowano dla własnych potrzeb.

Nadbrzeżne domy, stanowiące pozycje ukraińskie, zamieniły się w zbrojne gniazda karabinów maszynowych, również wiadukt kolejowy wprost Żelaznego Mostu dawał Ukraińcom znakomitą pozycję i stanowił pierwszorzędny punkt obserwacyjny dla obrony całego mostu, którym musiał postępować nasz atak.

Mimo ulewnego ognia skrzydłowego, — piechota nasza, postępując za pociągiem pancernym, zdobyła most po 2 minutach. W ataku tym, który równocześnie szedł na most drewniany i na kładkę, rywalizowali ze sobą dawni obrońcy Przemyśla ze świeżo przybyłymi Legjonistami, oraz Legją oficerską.

Kawalerja pod komendą chor. Tatary, przeprawiwszy się w bród przez San pod Prałkowcami, zajęła wzgórza zamkowe i uderzyła od tyłów.

Rannych było kilkunastu; nie bacząc na szalony ogień, panie przemyskie z pełnem poświęceniem przenosiły rannych na noszach do dość odległego szpitala. Później zaczęliśmy przewozić rannych wózkiem kolejowym, co znacznie ułatwiło pracę i przyspieszyło pomoc.

Podochoceni żołnierze rozeszli się po mieście, a że stwierdzono, że w Przemyśle milicja żydowska brała ponad wątpliwość udział w walce przeciw nam, obawiałem się ekscesów antyżydowskich, więc udałem się niezwłocznie z tęgą trzciną na ul. Franciszkańską, aby w razie potrzeby czynnie interwenjować.

Mir mój wśród żołnierzy ułatwił mi znakomicie zadanie i zwykle napomnienie wystarczyło, aby rozbudzoną wściekłość żołnierza powstrzymać, za nim jeszcze mógł wyładować swój gniew. Ku smutkowi jednak podkreślić muszę, że znalazło się w szeregach, samorzutnie i dorywczo organizowanych kilku zwykłych bandytów czy też złodziei. Oficerowie wszyscy bez wyjątku w tej krytycznej dla namiętności ludzkiej chwili, stanęli na wysokości zadania i wszelkie usiłowania stłumili energicznie mimo ciągłych prowokacji ze strony żydów.

Nasze główne siły koncentrowały się koło klasztoru OO. Reformatorów przy placu „Na Bramie“. OO. Reformaci podejmowali nas bardzo gościnnie — tu także znoszono rannych i zaopatrywano przed odesłaniem do szpitala cywilnego na Zasaniu, dokąd dowoziliśmy rannych tresyną kolejową, osiągając w ten sposób maksymalny pośpiech, który pozwolił rannych w przeciągu kilku minut przenieść z pobojoywiska niemal wprost na stół operacyjny.

Mamy 6 zabitych; padł między innymi mój dawny znajomy z Legjonów polskich, podchor. Smoleński.

12 listopada.

Żołnierz ukraiński zdobywa odwach dla polskich wojsk.

Dzięki zajęciu zamku przez wysłaną jeszcze wczoraj kawalerję, oraz obsadzeniu głównego odwachu przez dwóch polskich jeńców pod komendą ukraińskiego żołnierza, udało się porannym atakiem oczyścić w krótkim czasie całe miasto.

Historja ukraińskiego żołnierza, zdobywającego dla nas główny odwach, wymaga komentarza. Rzecz się miała w ten sposób, że zdobywcą tym był 18-letni młodzieniec z Nowego miasta, wychowany przez matkę Polkę w duchu polskim; nie uchroniło go to od wzięcia przemocą do ukraińskiego wojska, o czem zresztą przy okazji rewizji w katedrze głośno opowiadał.

Gdy wczoraj zawrzała walka o miasto, był główny odwach obsadzony przez dwudziestu ruskich landszturmistów; tam sprowadzono też dwu polskich jeńców, których wspomniany ukraińsko-polski bohater natychmiast uzbroił w karabiny i na ich czele zmusił landszturmistów do złożenia broni. Tak tedy odwach główny na tyłach ukraińskich był zdobyty na naszą rzecz. Opowieść wygląda na fantazję, jest jednak najprawdziwszą.

Gdy ścichły strzały, zaczął tłum zrazu zwolna, potem coraz liczniej zapełniać ulice i gorąco manifestować radość z powodu szczęśliwego wkroczenia wojska polskiego, regularnie zorganizowanego i pod sprężystą komendą.

13. listopada

Druga linja wypadowa.

Nadeszły dziś nowe posiłki pod komendą podpułk. Tokarzewskiego z 15. p. p. Llegjonów. Obejmie on komendę całej grupy Sanu. Ze względu na przygotowywającą się ofensywę na Lwów, zwróciłem uwagę podpułk.

Tokarzewskiemu na ważność linii Jarosław — Rawa Ruska i z jego polecenia udałem się tam, aby na znajomym mi już terenie być pomocnym przy zorganizowaniu drugiej linii wypadowej.

Z przykrością muszę zarejestrować, że grupa Jarosław nie tylko nie dopilnowała ważnego mostu na Szkle, umożliwiając b. feldfeblowi Klee na czele watachy z 40 chłopów wysadzenie tego mostu w powietrze, ale zachowuje się tak biernie, że Klee ze swoją garstką odważył się atakować Jarosław.

Patrol, wysłana z Jarosławia po długich i wielokrotnych naleganiach, nie spełniła właściwego swego zadania, jej działalność ogranicza się właściwie do wykonania niemądrych represji w ruskiej wsi Surochowie.

Patrol złożyła również fantastyczny meldunek o sile liczebnej Klee'a, co spowodowało mnie do osobistego zbadania stanu rzeczy: udałem się ze San do Sobiecina i Koniaczowa i na miejscu sprawdziłem, że mimo obrabowania sąsiednich dworów i zabrania najlepszych koni — Klee rozporządza minimalnymi siłami, które można by rozbić przy pomocy jednej kompanji i w ten sposób uzyskać drugą drogę do Lwowa.

Smutna rola 90 p. p.

Moja misja w Jarosławiu jakoś nie daje owoców — jedynie ruchliwsza kompanja chor. Kaszy, złożona z dawnych Legjonistów, odmaszerowała do Przemyśla, by potem główną drogą pójść na Lwów.

Wszystkie nadzieje wykorzystania dla własnej sprawy organizacji dawnego galicyjskiego 90 p. p., który w sile 2000 ludzi przebił się w pełnym uzbrojeniu z Ukrainy, niestety spełzły na niczem.

Zarówno oficerowie (nie włączając kapelana) jak i żołnierze, nie zważali na żadne zakłęcia, rozebrali pomiędzy siebie pieniądze, wozy, uprzęż i konie, i roz-

biegli się do domów. Pułk ten mógłby odegrać olbrzymią rolę, gdyby w drodze z Ukrainy uderzył bezpośrednio na Lwów i w ten sposób od razu zadecydował o losach kampanji z Ukraińcami. Niestety, chyłkiem przez Podkarpacie, omijając drogę bitewną do Lwowa, pułk zmykał do domu, co go jednak nie uchroniło od znacznych strat w Chodorowie.

Bez porównania lepiej i skuteczniej dla Ojczyzny spisała się kadra wspomnianego pułku, która także z całym taborem i dobytkiem powróciła z Czech.

Oficerowie i podoficerowie zawodowi tej kadry prawie wszyscy pozostali na miejscu i pod przewodnictwem kapelana Sinkowskiego czyścili i karmili konie, zwozili sami karabiny maszynowe, składali skrzętnie uprząż, chcąc w ten sposób uchronić cały materiał kadrowy dla przyszłej formacji. Kadra zaczęła się rozrastać, a dla znaczniejszego przypływu ochotników urządziliśmy agitacyjny wiec w Sokole, który w efekcie dał bezpośrednio kilkudziesięciu ochotników.

Pułk. Jarosz niema zbytich skłonności do przeprowadzenia ataku na Rawę Ruską i oświadczył mi wręcz, że na razie może podjąć li tylko obronę linii Sanu.

Moje marzenia o równoczesnym ataku na Lwów, z dwu stron, pozostaną niezawodnie w sferze nieziszczonych ideałów. Tutaj więcej nic już nie zrobię, wracam więc „*rebus iniectis*“ do Przemyśla, gdzie już zjawił się generał Bijak.

Klerycy artylerzystami.

Dnia 16 listopada w komendzie placu zgłosiło się kilku kleryków z przemyskiego seminarjum zawiadomieniem, że mnie szukają od kilku dni z prośbą o wyrobienie im w Rektoracie zezwolenia na wstąpienie do wojska.

Ta pochwała godna gotowość ucieszyła mnie serdecznie, zwłaszcza, że tak bardzo odczuwaliśmy brak inteligentnego materiału dla formacji artyleryjskiej. Ochotników, kleryków — zaprowadziłem natychmiast do referenta artylerji, który bez długich deliberacji ściągnął trochę koni, wykorzystał znaczną ilość armat: odnalazłszy pomiędzy klerykami kilku artylerzystów, stworzył w przeciągu 6 godzin doskonałą baterję ciężkich haubic.

Obsługa składała się wyłącznie z 20 kleryków, rewerendy poszły na kolek.

Dnia 19-go listopada przyjechał generał Roja ze sztabem, w składzie którego odnalazłem przeważnie dawnych znajomych legionowych: byli tam głównie oficerowie 4 pułku legionowego, skupiający się zawsze koło swego komendanta.

Generał zwiedził wszystkie urządzenia wojskowe, chcąc się naocznie przekonać, czy wszystko zostało należycie przygotowane do stanowczego uderzenia. Najgorzej przedstawia się sytuacja w szpitalach. Pierwsze dni listopada były dniami grozy i rozpacz dla wszystkich szpitali *przepełnionych ciężko chorymi. Cały wojskowy personel szpitalny, składający się w $\frac{3}{4}$ z żydów opuścił służbę, zostawiając chorych na pastwę losu. W przeciwstawieniu do tych uciekinierów podnieść należy z podziwem zachowanie się Sióstr Czerwonego Krzyża, które bez względu na narodowość, pozostały na swych stanowiskach i usiłowały spieszyć z pomocą chorym.

Niestety, siły ich były za szczupłe w stosunku do masy ciężko chorych pacjentów — to też po paru dniach wszystkie sale szpitalne przedstawiały obraz nędzy i rozpacz.

W braku sił do grzebania, składano trupy na kupę, czekając spokojniejszych czasów. Większość chorych za wszelką cenę chciała się wyzwolić z tego piekła i uciekała do domu piechotą, bądź na dachach pociągów, gdzie ich jednak czekała śmierć z głodu i zimna.

21 listopada.

Ofenzywa grupy gen. Roji odbywała się prawie bez strzału, mosty niemal wszędzie nienaruszone, wobec czego cały ciężar ofenzywy ograniczył się do zorganizowania etapów i szybkiego dostarczenia materiału wojennego. Podnieść tu należy duże zasługi oficerów przemyskiej prowiantury i magazynu żywnościowego, Romańskiego i Sangerschnieda, którzy od pierwszych dni listopada gorliwie pełnili służbę dla Polski i nawet w czasie inwazji ruskiej dozorowali cenne magazyny.

Zawieszenie broni we Lwowie skończyło się, ustępując miejsca gwałtownej kanonadzie.

W pociągu gen. Roji obok sztabu, znalazły się również różne wielkości polityczne. Jest tu b. minister Głabiński, hr. Skarbek i jeden z redaktorów „Naprzodu“, polityka pulsuje żywym tętnem.

22 listopada.

Wyzwolenie.

Zdobycie miasta zostało poruczone podpułkownikowi Tokarzewskiemu, którego siły wzmocniły oddziały zorganizowane we Lwowie przez oficerów legionowych II. Bryg. Boruty - Spiechowicza i Tatara - Trześniowskiego.

Na grupę tę, jako najlepiej obznajomioną z terenem, spadło najważniejsze zadanie ujęcia uchodzącego nieprzyjaciela w silne kleszcze.

O godz. 6-tej rano byłem pod pocztą, za maszerującymi oddziałami, przebiegłem ulicę mało mi znanego, a tak drogiego miasta. Po dziękczynnej mszy św. u Sióstr Miłosierdzia, poszedłem zameldować ks. Arcybiskupowi, że jego polecenie ściśle wypełniłem i zostałem w kraju. — „Wszyscy dobrze o tem wiemy — odpowiedział — ruskie gazety pisały, że ksiądz automobilem pancernym psuje im szyki na zdobytym już przez

nich terenie; ciągle spodziewaliśmy się księdza we Lwowie“.

Po południu okazało się, że kleszcze, któremi miano ująć i zdusić nieprzyjaciela, są za słabe i za krótkie; większość sił nieprzyjacielskich, korzystając z tego, że oddziały nasze musiały być użyte do zaprowadzenia w mieście porządku i bezpieczeństwa, zdołały ująć bezkarnie.

Radość nasza, i radość wyzwolonego miasta, nie zna granic.



UWAGI KOŃCOWE.

Pamiętki, wyciągnięte z prochów kilkunastoletniego zapomnienia przedkładam polskiej publiczności z pewnem niepokojem — a jednak nie chcę, ażeby pozostały one jedynie w archiwum Ossolineum, czy na starych pożółkłych już kartach, bo to przecież obrazki z najpiękniejszej epopeji wojennej, jaką bezwątpienia była historia II. Karpackiej Brygady, która pod wodzą pułk. Hallera zębami i pazurami broniła każdego skrawka ziemi polskiej, zagryzała nieraz wargi z bólu aż do krwi, a jednak trwała z karabinem u nogi, czekając cierpliwie na sposobność dalszej walki z drugim i trzecim zaborcą o wolność i całość Polski. Marzenia II. Brygady o tworzeniu kadr armji polskiej ziściły się zupełnie, a jej wódz gen. Józef Haller posiadał niebywały zaszczyt w historii: *Pierwszego Żołnierza i Pierwszego Naczelnego Wodza odrodzonej Polski*.

Żołnierze II. Brygady, gdziekolwiek go burza wojenna zanosła, wszędzie stanowili doskonały kadrowy ośrodek dla organizacji armji polskiej, spełnili go również tu w kraju, a gdy rządy zaborcze zaczęły się walić w gruzy, stanęli wszędzie na czele ruchu wyzwolenczego.

Po spełnieniu zadania II. Brygada, nie żądając od swej Ojczyzny ani uznania, ani odznaczeń, ani korzyści, rozplynęła się bez reszty w armji polskiej, która była jej wymarzonem celem. — I właśnie za to należy

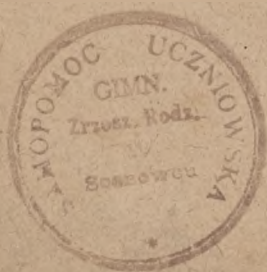
się jej chwala, że ukochała ojczyznę aż do samoza-
parcia się, a nie splamiła się tworzeniem spiskowych
spólek, których celem bywa eksploatacja odrodzonej
ojczyzny.

Był to zapewne romantyzm, ale romantyzm w naj-
szlachetniejszym gatunku, którego charakterystykę naj-
lepiej ujął nasz wieszcz Słowacki w słowach, włożo-
nych w usta Kordjana, które ośmieliłem się cytować
jako motto, a które w zupełności sprawdziły się w dzie-
jach II. Brygady.

Pamiętniki swoje podaję „in crudo“ tak, jak były
napisane w obozie, czy w więzieniu, aby pozostawić
bezpośredność wrażeń. — Dla utrzymania obiektywizmu
w przedstawieniu I. Brygady, przytoczyłem cytaty ludzi
najbardziej kompetentnych, t. j. marsz. Piłsudskiego,
gen. Stachewicza, mjr. Zwisłockiego.

A jeszcze jedno: Nowoczesne linotypy układają
gorący ołów liter i zdań w twarde i nieustępliwe sze-
regi. Nawet mały błąd da się poprawić tylko drogą
dużej stosunkowo ofiary — tak właśnie, jak to bywa
na wojnie, która jest również nieubłagana, a swe błędy
poprawia tylko drogą wielkich ofiar, mniejsze zaś błędy
pozostawia nietknięte.

K a t o w i c e, 29. XI. 1929.

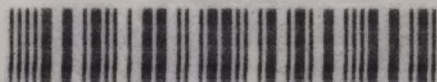




30, -

B 44335.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu
15149 5



001-015149-00-0